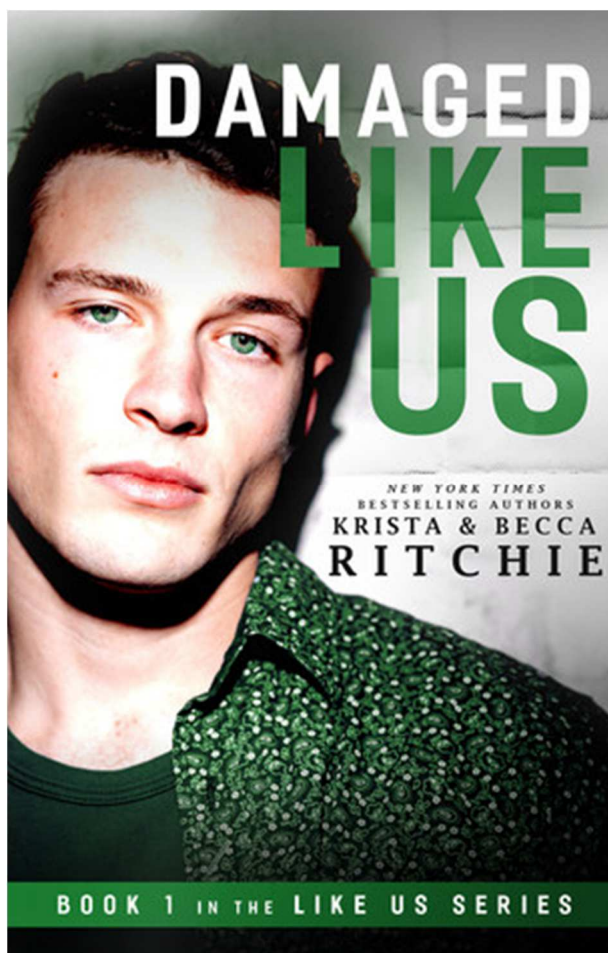


Damaged Like Us (Like Us 01)

Krista & Becca Ritchie



Nieoficjalne tłumaczenie **waydale**

Tłumaczenie w całości należy do autora książki, jako jego prawa autorskie. Tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym, służącym do promocji autora. Tłumaczenie nie służy do otrzymania korzyści materialnych.

Proszę o nie udostępnianie tłumaczenia.

Słowo od autorek:

Nie trzeba czytać serii Addicted, by przeczytać DAMAGED LIKE US. To początek całkiem nowej serii.

Spis postaci

Nie wszystkie osoby z tej listy pojawią się w książce, ale o większości będzie wzmianka.

Zaprezentowane są poszczególne wieki postaci z początku książki. Niektóre będą starsze, kiedy zostaną przedstawione, w zależności od daty ich urodzin.

HALE'OWIE

Lily Calloway & Loren Hale

Maximoff – 22

Luna – 17

Xander – 14

Kinney – 12

COBALTOWIE

Richard Connor Cobalt & Rose Calloway

Jane – 22

Charlie – 19

Beckett – 19

Eliot – 18

Tom – 17

Ben – 15

Audrey – 12

MEADOWSOWIE

Ryke Meadows & Daisy Calloway

Sullivan – 19

Winona – 13

EKIPA OCHRONIARZY

Ochroniarze Hale'ów, Cobaltów i Meadowsów

Sily bezpieczeństwa Omega

Akara Kitsuwon – 25

Farrow Keene – 27

Quinn Oliveira – 20

Oscar Oliveira – 30

Paul Donnelly – 26

Sily bezpieczeństwa Epsilon

Thatcher Moretti – 27

Banks Moretti – 27

Heidi Smith – po 50-stce

...i więcej

Sily bezpieczeństwa Alfa

Price Kepler – po 40-stce

...i więcej

MAXIMOFF HALE

- Nie możesz powiedzieć mi o nim chociaż *jednej* rzeczy? – pytam zapewne po raz milionowy. Właściwie to nie liczyłem. Ale sądząc po tym, jak Akara wgryza się poirytowany w swojego jagodowego bajgla, przypuszczam, iż moje pytanie zmarło gorzką śmiercią jakieś pięć minut temu.

Nadszedł dzień sądu.

Dzień, w którym moje niekonwencjonalne, dziwne życie stanie się *kolosalnie* bardziej skomplikowane. Potrafię poradzić sobie z gównianymi burzami, podtrzymując całą Ziemię na jednej przeklętej ręce – ale lubię być jako tako przygotowany na te sytuacje. Mam w cholernej kieszeni prawdziwy sprężynowy nóż, ale pragnę posiadać także metaforyczny.

Akara przełyka kęs bajgla.

- Chcesz *jedną* rzecz?

- Tylko jedną – potwierdzam.

- To twój nowy ochroniarz.

Powoli przybieram piorunujące spojrzenie.

- Dziękuję za podanie *jednej* rzeczy, którą już, kurwa, wiem. – Właśnie *ta* informacja stawia mnie pod ścianą i każe wściekle się po niej wspinać, jakbym był nawiedzonym Spidermanem. Przez całe życie miałem tego samego ochroniarza, który ostatnio postanowił przejść na emeryturę.

Dopiero co wczoraj pożegnałem się z Declanem. To gorzko-słodkie uczucie. Pragnie spędzić więcej czasu ze swoją żoną i dwójką dzieci, a nie być całodobowym ochroniarzem człowieka sławnego na całym świecie. Rozumiem. Samolubnie chciałbym, żeby został przy mnie dłużej.

A mówiąc dłużej, mam na myśli *na zawsze*.

Prywatni ochroniarze są jak druga połówka. Cała moja rozległa rodzina posiada własnego. Wszędzie za nami chodzą, jadają z nami, pilnują naszych pokojów, jeżeli przyprawimy do domu nieznanomych – czy w moim przypadku, „nieskomplikowane” szybkie numerki. Wspaniały seks. Przygody na jedną noc. Wszystko to jest przekazywane komuś całkiem nowemu.

Nigdy nie musiałem przedstawiać nowemu ochroniarzowi mojego życia. To nie będzie Jeden Dzień w Życiu Maximoffa Hale'a, tylko stała pozycja, która potrwa parę dekad, chyba że okaże się być niekompetentnym kretynem.

Ten kulminacyjny moment doprowadził mnie na krawędź nerwów, ponieważ Akara – ochroniarz przewodzący w siłach bezpieczeństwa Omega – nie chce wyjawiać o nim więcej informacji.

- Jak mówiłem godzinę temu – mówi Akara – lepiej będzie, jak poznać się osobiście. – Nim zdążę odpowiedzieć, dzwoni mu komórka.

Oby to był mój nowy ochroniarz. Zerkam na mój płócienny zegarek na nadgarstku.

Spóźnia się już dwadzieścia minut, a Akara zapewnił mnie, że otrzymał zaproszenie.

Lokalizacja: Superheroes & Scones

Czas: 6:00 (przed otwarciem sklepu o 8)

Przytulny, lecz *masywny* sklep jest pusty. Zapaliłem tylko parę lamp, skoro nie ma tutaj jeszcze pracowników, więc panuje cisza i lekkie przyciemnienie. W międzyczasie staję za barem i nalewam sobie soku pomarańczowego.

Nic nie kradnę.

Ten dwupiętrowy budynek mieszczący sklep z komiksami oraz kawiarenkę posiada moja rodzina. Superheroes & Scones przypomina restaurację retro oraz współczesny sklep komiksowy z czerwonymi i niebieskimi winylowymi łozami, stołkami oraz regałami wypełnionymi komiksami oraz gadżetami. Na całym świecie istnieje jeszcze osiemdziesiąt pięć takich sklepów, ale ten w Filadelfii jest pierwszym, jaki powstał.

Od czasu jego powstania przeżył kilka remontów generalnych. Kiedyś na piętrze znajdowały się biura dla wydawnictwa, które teraz znajdują się w budynku obok.

Nalewając sobie soku z dzbanka, spoglądam na prawo. Jasnoniebieskie, poskręcane schody prowadzą na poddasze, gdzie znajdują się liczne różnokolorowe pufy, sofy, ławy oraz telewizory zawieszane na ścianach, które bez ustanku pokazują filmy z superbohaterami.

Gdybym miał zestawić moje ulubione miejsca na świecie, Superheroes & Scones znajdowałoby się na drugim miejscu. Tuż za basenem.

Jakimkolwiek basenem.

Wypijam duży łyk soku, a telefon Akary zaczyna kilkakrotnie wibrować.

Wycieram usta umięśnionym bicipsem i zauważam na jego ekranie dymki wiadomości.

- Ktoś tu jest popularny. – *Lepiej, żeby to był mój spóźniony ochroniarz.*

- To tylko jedna osoba. - Akara wyciera palce w papierową serwetkę.

Wyciągam szyję, by spróbować zobaczyć, kto tak do niego wypisuje.

Akara przekrzywia komórkę bardziej w swoją stronę, przeglądając wiadomości.

- Odpręż się. Zjedz. Staraj się nie myśleć za dużo, jeżeli to w ogóle dla ciebie możliwe.

- Niemożliwe. – Potrafię to przyznać, do cholery.

Akara uśmiecha się, ale koncentruje na komórce. Kosmyki prostych czarnych włosów ocierają się o jego ciemne rzęsy. Jego wyrzeźbione mięśnie mogłyby rozdrzeć tę niebieską koszulkę z logo *Studio 9*. Ochroniarze nie mają wyznaczonego ubioru, po prostu ubierają się odpowiednio do okazji.

Kiedy biorę udział w przyjęciach dobroczynnych, zakładają garnitury i smokingi.

Odciągam ramiona do tyłu, spinając mięśnie. Muszę się porozciągać, przepłynąć parę basenów. Sprawdzam godzinę w telefonie. Potem biorę kolejny łyk soku i przyglądam się piszącemu Akarze.

- Wiesz – mówię – nie proszę o sens życia czy planetarną mapę nieodkrytych galaktyk. Mógłbyś podać mi jego kolor włosów. Znak zodiaku. Może nazwisko...

- Niezła próba. – Akara podnosi na mnie brązowe oczy, żeby przekazać *mnie nie oszukasz*, po czym wraca do swojego telefonu. – Może dokończysz robienie dla niego swojej listy?

- Już ją wydrukowałem. – Znajduje się w kieszeni moich dżinsów. Akara zasugerował, żebym wypunktował „zasady mojego życia” dla nieznanej mi osoby.

Na przykład #32: *Robię sobie fotki z fanami w czasie rzeczywistym i pozwalam im je publikować*. Nie wszyscy moi kuzyni czy rodzeństwo na to pozwala. Coś takiego podaje społeczeństwu i mediom znacznik czasu oraz miejsca mojego pobytu. Co jest uważane za niebezpieczne.

Zagrożenie bezpieczeństwa.

Ale moje życie znajduje się pod światłem reflektorów odkąd byłem jeszcze w macicy mojej matki. Nie obchodzi mnie czy ktoś wie, gdzie jestem o *jakiejś* tam porze. Szanse są takie, że paparazzi i tak mnie znajdą.

Po odłożeniu szklanki na ladę, przeczesuję sobie jasnobrązowe, potargane włosy, które są rozjaśnione z ciemnego brązu.

Wiem, że wy wiecie, jak wyglądam. Widywaliście moją gębę na okładkach brukowców. Przy oglądaniu mleka z dwuprocentowym tłuszczem, może batonika Kit Kat, przy odrobinie szczęścia puszkę Fizz.

Mam ciemnozielone oczy, które przeszywają dusze tych, którzy zadzierają z moją rodziną. Ostro zarysowane kości policzkowe, które tną niczym noże i smukłą sylwetkę pływaka nabytą po okresie zawodów w pływaniu. Być może *nie* wiecie, że w wieku osiemnastu lat Burberry i Calvin Klein chcieli bym dla nich modelować.

Odrzuciłem ich propozycje.

Akara pisze do kogoś. I pisze.

Przez ostatnich pięć lat był centralną częścią mojego życia. Choć nie jest moim ochroniarzem. Jako przywódca sił bezpieczeństwa Omega jest odpowiedzialny za zatrudnienia, transfery, zwolnienia oraz utrzymanie całego systemu. On jest klejem.

Kimś stałym.

Ma dwadzieścia pięć lat, jest Amerykaninem pochodzenia tajlandzkiego, trenował mieszane sztuki walki, ale specjalizuje się w boksie tajskim i jest właścicielem Studio 9 – szkoły boku i mieszanych sztuk walki, która znajduje się na tej samej ulicy. Każdego poranka jest wypełniona po brzegi i nawet wieczorem trudno jest się tam dostać bez rejestracji.

Podnosi wzrok znad swojego telefonu. Przygląda mi się.

- Musisz się zrelaksować.

Jestem niecierpliwy. I zbyt samokrytyczny.

- Jeżeli nie pojawi się do ósmej, musimy wyjść – odpowiadam stanowczo. Nie może mnie tutaj być przy otwarciu sklepu. Utknę tu na kilka godzin, podpisując autografy i pozując do zdjęć, a mam długą, *długą* listę rzeczy, które muszę załatwić.

Jestem prezesem organizacji dobroczynnej, która co roku zbiera *miliony* dolarów. Postawiłem sobie za cel zebrać 300 milionów dla Filantropii H.M.C. do grudnia. Nie mamy jeszcze nawet połowy.

- On wie – mówi jedynie Akara. *On wie*.

Kim on, kurwa, jest? Prostuję się cały zesztywniały, jakbym zaraz miał dołączyć do gwardii narodowej.

- Wybrałeś przynajmniej kogoś, kto będzie za mną nadążał? Nie zrezygnuje po dwóch godzinach? – Moja zwykła trasa obejmuje moją kamienicę w centrum miasta, biurowiec i dom rodzinny w chronionej dzielnicy. Gdzie nadal mieszka moje młodsze rodzeństwo.

- Powtarzam, odpręż się. – Akara wyciąga rękę. – Znam cię. Nie dałbym ci kogoś, kto nie dałby sobie rady z twoim stylem życia. – Odsuwa sobie włosy z czoła i zakłada czapkę bejsbolową tyłem na przód.

W tej chwili Akara sprawia wrażenie przystępnego. Nawet przyjaznego.

Ale byłem świadkiem, jak gromił spojrzeniem rosnącego pięćdziesięciolatka. Dwa razy od niego większego. Z jego zarysowanych mięśni wystawały żyły: było wiadomo, że brał sterydy. Był także starym ochroniarzem mojego kuzyna Becketta. I spieprzył. Pozwolił kamerzyście wejść do łazienki publicznej, w której mój kuzyn sikał do pisuaru.

Akara zaatakował wściekle ochroniarza. Wrzeszczał, rugał – i patrzyłem, jak ten o wiele młodszy facet doprowadził do płaczu człowieka w średnim wieku. Po jego twarzy *lały* się łzy. Akara sprawił, iż ten poczuł, jakby nieumyślnie spowodował czyjąś śmierć.

Zdaję sobie sprawę, że właśnie dlatego większość ochroniarzy mówi:

- Nie wkurzaj przywódcy SBO. – Wkurzenie Akary to jak życzenie sobie śmierci.

Bum.

Obracamy gwałtownie głowy w stronę zaciemnionych okien. Czwooro ledwie nastolatków wbiegło w szybę, podskakując na palcach. Wykrzykują różne imiona, w tym moje i przykładając ręce do okna, próbując zajrzeć do środka.

Uśmiecham się.

To zabawne. Gdybym myślał inaczej, byłbym zirytowany każdej minuty dnia codziennego. Zwykle przed sklepem stoi długa kolejka aż do zamknięcia, więc nie jestem zdziwiony, że ludzie są tutaj jeszcze przed otwarciem.

- Raz, dwa, trzy – odliczają razem, po czym wrzeszczą: - MAXIMOFF HALE!

Rozciągam szerzej usta.

Wy, tak jak tych czwooro dzieciaków i reszta świata – znacie mnie jako Maximoffa Hale'a. Prezesa nieprzynoszącej dochodów organizacji dobroczynnej, studenta filozofii, wyczynowego pływaka, syna uzależnionej od seksu matki i leczącego się ojca alkoholika oraz niezłomnego starszego brata trojga rodzeństwa i kuzyna jedenastu osób.

Macie obsesję na punkcie mojego wiecznego statusu „singla” i nigdy nie widzieliście, żebym był w związku. Czasem, kiedy nie byłem wystarczająco ostrożny, widzieliście zdjęcia, na których przyprawdzałem do domu przypadkowe dziewczyny albo facetów.

Wiecie, że nie mam wobec nich poważnych zamiarów.

Wiecie, że nie przetrwają dłużej niż jednej nocy. Zero przekłętą przywiązania.

Tak naprawdę *nic* nie wiecie o naszych ochroniarzach. O tym, że są nam tak bliscy, jak rodzina. Ich obowiązek to być anonimowymi dla społeczeństwa i nie możecie ich obserwować ani *znać ich* w ten sam sposób, co my.

Dlatego *nic* nie wiecie o Akarze Kitsuwonie i reszcie sił bezpieczeństwa Omega.

Akara uśmiecha się do trzech dziewczyn i chłopaka, którzy nas nie widzą, ale my widzimy, jak podskakują podekscytowani i robią sobie selfie.

- To gównno nigdy nie robi się nudne.

- Nieśmiertelna rozrywka. - Biorę do ręki szklanę soku. Dwa ręcznie robione znaki zostają przyłożone do okna.

Na jednym widnieje napis „*PRZELEĆ MNIE, MAXIMOFFIE HALE!*” Ona wygląda na dwanaście lat, ma dwa warkoczki i aparat na zębach.

Zaciskam mięśnie szczęki.

- Żartowałem. – To nie jest cholernie zabawne. Nie powinienem musieć tego mówić, ale nigdy nie przespałbym się z nastolatkiem czy kimkolwiek tak młodym. Jezu... *dwunastolatka*. Mam siostrę w tym wieku.

Nie jestem przeciwny sypianiu z fanami. To dość nieuchronne, ale musi być a) dokonane za obopólną zgodą, b) z kimś pełnoletnim i c) jednorazowe.

Akara przypatruje się dzieciakom.

- Najstraszniejsze jest to – mówi – że to już nawet mnie nie peszy. – Obrzuca wzrokiem zamek drzwi wejściowych, po czym wraca do swojej komórki.

Drugi znak trzymany przez jej koleżankę: *CHCĘ MIEĆ TWOJE DZIECI, XANDERZE HALE!!*

Xander to mój czternastoletni brat.

Napinam ramiona, ale staram się dłużej o tym nie myśleć. Akara *znowu* komuś pisze. Nachylam się do przodu, ale dalej nie widzę jego ekranu.

- Gorąca randka? – pytam.

- *Nie* – odpowiada szybko Akara, następnie zabiera łokieć z blatu i siada prosto. – To Sulli.

Sullivan Meadows. Moja dziewiętnastoletnia kuzynka.

- Sulli atakuje cię wiadomościami? – Rzucam mu spojrzenie. – Nie napisałeś jej, że jesteś ze mną? – Potrzebowałem ochroniarza, żeby przywiózł mnie tutaj, gdzie spotkam

nowego ochroniarza. Co za ironia. Zapytałem Akarę czy jest ktoś dostępny z Omegi, a on zaproponował siebie.

- Myślałem, że będzie spać przynajmniej do dziewiątej.

Czekam aż doda więcej.

Ale zamilkł.

- Dlaczego? – Staram się mówić opanowanym głosem. Przysięgam, że cała ekipa ochroniarzy lubi ukrywać przede mną informacje. Mógłbym zdobyć dwa razy więcej wiedzy, wypytując moją rodzinę. Ale powstrzymuję się przed napisaniem do Sulli.

- To nie ma znaczenia – odpowiada wymijająco i odrywa sobie następny kawałek bajgla, esemesując z moją kuzynką.

- Dla mnie ma. To *moja* rodzina. – Ona nie jest częścią ochrony. Jest po mojej stronie. *Sławna.*

Trzy sławne rodziny – Hale’owie, Meadowsowie, Cobaltowie – są wiecznie ze sobą powiązane, ponieważ nasze mamy są siostrami. Ściślej mówiąc, siostrami Calloway. A Calloway’owie, mianowicie mój dziadek, założyli Fizzle: firmę napojów gazowanych tak bardzo znanych na świecie, że przez ostatnią dekadę przebijają w sprzedażach Coca Colę.

Fizzle to część powodu, dla którego jesteśmy sławni.

Ale to nie cała historia.

- Sam mogę do niej napisać – dodaję. Sięgam po mój telefon, ale ugina się, kiwając do mnie głową.

- Wciąż ziewała w drodze powrotnej z parku narodowego – mówi po przełknięciu jedzenia. – Była w domu dopiero o trzeciej nad ranem. – Wysłała kolejną wiadomość. – Powinienem był wiedzieć, że się obudzi. – Przenosi na mnie wzrok. – Ma zespół SPPKJR.

Strach przed przegapieniem każdej jebanej rzeczy.

Wykrzywiam kąciki ust.

Sulli sama to wymyśliła. Najbardziej przewidywalną rzeczą w mojej młodszej kuzynce jest najmniej przewidywalna rzecz: *sen.*

Uważałbym za dziwne, że Akara zna takie szczegóły na temat Sulli, ale jest jej ochroniarzem. Został przydzielony Sullivan, kiedy skończyła szesnaście lat. Jeżeli ktokolwiek zna jej życiowe nawyki, to on.

Znowu uderza we mnie myśl, którą odganiałem niczym pszczołę: *niedługo ktoś nowy również pozna moje życiowe nawyki.*

Wspaniale.

Opieram się o blat, splatając ramiona na zielonej koszulce z wycięciem pod szyją. A wtem naprężam mięśnie, kiedy widzę obracający się zamek na szklanych, zaciemnionych drzwiach.

Ktoś wchodzi. Ktoś, kto dostał klucz.

Mój nowy ochroniarz.

Nareszcie przyszedł.

MAXIMOFF HALE

Kochany świecie, przestań się ze mną pieprzyć. Z poważaniem, poirytowany człowiek.

Do Superheroes & Scones wchodzi ostatnia osoba, którą chciałem dzisiaj ujrzeć. Dolewam sobie soku pomarańczowego i patrzę, jak znajoma twarz otwiera drzwi.

Górując wzrostem metr dziewięćdziesiąt jeden, ubrany w czarną koszulkę z dekoltem w szpic wsuniętą w czarne dżinsy ze skórzanym paskiem. Spod pasa spodni wystaje rękojeść pistoletu, a pofarbowane białe włosy kontrastują z grubymi, brązowymi brwiami.

Większość ludzi stwierdza, że przy pierwszym wrażeniu Farrow Redford Keene jest onieśmielający, ale ja jestem odporny na jakiegokolwiek onieśmielenie.

To się nazywa bycie Halem.

Mogę opisać Farrowa na trzy znaczące sposoby.

1] Frustrujący.

2] Upierdliwy.

3] Sika do mojej gorącej herbaty.

Ponieważ jest ochroniarzem mojej mamy, a ona często pojawia się w sklepie, spodziewam się, że znajduje się niedaleko za jego pewną siebie, spokojny postawą.

Farrow niesie się, jakby świat należał do niego, ale w jego brązowych oczach zawsze widnieje cień rozbawienia. Czasami myślę, że celowo utożsamia się z Jamesem Franco z czasów *Luzaków i kujonów* – pomijając zioło, a pomnażając *uśmiech* Franco miliard razy.

To nie powinno przykuwać mojej uwagi.

Ale przykuwa.

On przykuwa moją uwagę.

Na przykład w tej chwili próbuję zlekceważyć jego przytłaczającą prezencję i powoli przechyłam dzbanek soku, nie odrywając od niego wzroku. Chociaż mówię sobie twardo „*patrz na sok*”.

Mam ten problem od szesnastego roku życia. Niestety znam Farrowa od *bardzo* długiego czasu. Mówię o niedoświadczonych nastoletnich latach. Zanim ekipa ochronna

przydzieliła go do mojej mamy, był synem prywatnego lekarza naszej rodziny, który był dostępny przez całą dobę na domowe wizyty i nagłe wypadki.

Więc kiedy moja młodsza siostra Kinney złamała sobie kostkę w botkach na dwunastocentymetrowym obcasie, pojawił się doktor Keene z synem Farrowem u boku.

Próbowałem zsunąć but Kinney, a dr. Keene powiedział do mnie:

- Odsuń się, Maximoffie. – Potem wykonał gest do Farrowa. Uczył syna podstaw pierwszej pomocy. Wszystko po to, by poszedł w ślady *wielu* pokoleń Keenów. Prestiżowej rodziny lekarzy.

Takie momenty dołożyły do mojej ambitnej natury. Jeżeli Farrow był popychany do przodu, pragnąłem odnaleźć sposób, by znaleźć się obok niego. Jeżeli Farrow przyspieszał, ja starałem się mocniej. I nigdy mi w *niczym* nie ustąpił. Był zbyt uparty, żeby dać mi przejść bez z trudem wywalczonej walki.

Zaczął mi się podobać gdzieś w pobliżu szesnastych urodzin. Może dlatego, że nigdy nie *daje* mi wygrać. Może dlatego, że jest pięć lat starszy i ukończył uniwersytet Yale.

Albo dlatego, że wykonuje trzydzieści podciągnięć, jakby to było przeklęte nic. Może to przez te wszystkie szare i czarne tatuaże, które pokrywają jego bladą skórę, nawet na gardle. Jego kark zdobią pięknie wytatuowane symetryczne skrzydła, a na jabłku Adama widnieją skrzyżowane miecze.

Może to przez cztery widoczne piercingi: kółko na nozdrzu, dolnej wardze i dwa kolczyki we brwi.

Może połączenie *tego wszystkiego* rozgrzewa moją skórę, zbiera krew w dolnych regionach i pociąga mnie, jak idiotę. Postawił sobie obóz w mojej korze mózgowej i penisie i nie wiem, jak się go pozbyć.

To zauroczenie było w porządku, kiedy byłem nastolatkiem, kiedy fantazjowałem w tajemnicy o ustach seksownego starszego faceta. Zawsze wiedziałem, że jest gejem, a kiedy skończyłem osiemnaście lat, oznajmiłem światu swoją biseksualność. Wtedy pomyślałem, iż zaistnieje szansa, że Farrow spojrzy na mnie z zainteresowaniem.

Nie zrobił tego.

Wtedy został ochroniarzem mojej mamy. Dokładnie trzy lata temu.

Jakikolwiek pociąg, który do niego odczuwałem stał się jeszcze bardziej zły etycznie. Przypominam sobie, że on *nic* nie wie. O moim zadurzeniu i błędzie w osądzie opowiedziałem jedynie najlepszej przyjaciółce Jane. A ona nie powie żywej duszy.

Farrow przechodzi przez próg sklepu i odgryza duży kawałek czerwonego jabłka.

Następnie jego brązowe oczy wbijają się w moje ciemnozielone. Od razu przybiera *porozumiewawcze* spojrzenie.

Przypisuję to temu, że jest wszechwiedzący. Muszę okazywać nieznaczące zirygowanie, ponieważ wykrzywia kąciki ust, przeżuując i przełykając owoc.

Biorę łyk soku, mówiąc:

- Spójrzcie, co zwrócił wiatr. – Odstawiam szklanę.

Farrow podnosi jabłko do ust.

- Chodziło ci o *przywiat* wiatr.

- Nie – odpieram stanowczo, kładąc ręce na perłowym blacie. – Chodziło mi o zwrócenie.

Przewraca oczami, a jego usta rozciągają się powoli w rozbawionym uśmiechu. Potem zatrząskuje drzwiami kopniakiem. I zamyka je swoim zapasowym kluczem.

Sztywnieję. – Gdzie moja mama?

Akara w *końcu* chowa komórkę do kieszeni. Tą, do której był przyklejony odkąd tutaj przyszliśmy.

- Dziś rano odbył się transfer ochroniarza Lily.

Transfer.

Co oznacza... mój mózg się smaży, szczeka zaostrza, a oddech robi cięższy, kiedy patrzę, jak Farrow podchodzi do winylowych stołków, jego chód jest męski i niewzruszony. To typ pewnego siebie kroku należącego do ludzi, którzy rozumieją się w pełni.

Opiera kolano na stołku obok Akary.

- Jestem twoim nowym ochroniarzem – oznajmia mi.

Biorę głęboki wdech, pozornie zachowując spokój, ale moje tętno pędzi w nienormalnej prędkości. *Farrow Redford Keene jest moim nowym ochroniarzem.*

Mam problem z dodaniem go do mojego życia w *taki sposób*. Dlatego jestem upiornie milczący i staram się zablokować myśli o tym, jak wszystko stanie się sto razy bardziej skomplikowane.

Farrow patrzy mi prosto w oczy.

- Podekscytowany? – pyta z cieniem uśmiechu na ustach, jakby wiedział, że nie będę się cieszył.

Mam być podekscytowany, że facet, w którym kiedyś się durzyłem będzie moim towarzyszem do końca życia? I jesteśmy etycznie zobowiązani zachować relację platoniczną.

Prędzej wybrałbym takie słowa: *sfrustrowany seksualnie i kurewsko skomplikowane*. Ale zostanmy przy *podekscytowanym*. To spowoduje mniej spieć.

- To jedno z wielu słów opisujących sytuację – mówię i wypijam duszkiem zawartość szklanki. – Jaki jest prawdziwy powód tego wszystkiego? – Gestykuuję do Farrowa pustą szklanką. Cała ekipa bezpieczeństwa ma dobre zamiary i rozumiem, że w zamianie ochroniarzy liczy się dużo.

Nie mogę sobie zażyczyć kogoś nowego, jak uprzywilejowany łajdak. Wszyscy ochroniarze ze sobą współpracują i są *ludźmi*. Nie jakimś plastikowymi figurkami akcji. Ufam im na tyle, żeby szanować ich wybory.

Przecież nie wiedzieli, że kiedyś wyobrażałem sobie Farrowa na kolanach.

Przecież *nigdy* się o tym nie dowiedzą.

- Taki jak zwykle – odpowiada Akara – bierzemy pod uwagę lokalizację twojego zamieszkania. – *Kamienica w Filadelfii*. – Twój styl życia. – *W ciągłym ruchu*. – Inne zmienne związane z ochroną, a potem was dopasujemy.

- A więc to Grindr¹ dla Ochroniarzy bez seksu – mówię żartem i staram się zignorować Farrowa, ale mimowolnie przenoszę na niego wzrok.

Farrow unosi brwi, machając do mnie z samozadowoleniem.

Chcę burknąć i uśmiechnąć się jednocześnie. Jestem pewien, że ta walka odzwierciedla się na mojej twarzy.

- Nie będziemy promować tego w taki sposób, ale tak... zasadniczo – mówi Akara.

- *Zasadniczo* – wtrąca Farrow – Lily chciała, żebym został twoim ochroniarzem. – Lily to moja mama.

Akara wbija w Farrowa intensywne, ale nieujawniające wiele spojrzenie. Mogę jedynie przypuszczać, że Farrow nie miał podać mi tyle informacji.

- Przytaczając jej słowa „*Farrow jest najlepszy*” – dodaje nawet.

- Gówno prawda – odpieram. – Moja mama dałaby słowo i prędzej by skołała nim powiedziała, że *ktokolwiek* jest lepszy od Gartha. – Jej pierwszego ochroniarza. Nigdy nie widziałem, żeby smuciła się tak bardzo czyimkolwiek odejściem niż wtedy, kiedy odszedł na emeryturę.

¹ Grindr – taka aplikacja randkowa dla gejów, lesbijek, biseksualistów, transseksualistów itp.

Farrow obraca jabłko, by ugryźć z innej strony.

- A więc złamała dla mnie swą przedszkolną przysięgę. – Jego rzeczowy głos jest niski i szorstki, ale wyraźnie zmysłowy. Niczym żwir obwiązany jedwabiem.

Czuję jak moje ciało oblewa żar.

- Wow – mówię trochę za bardzo spiętym głosem. Moja głowa znajduje się zupełnie gdzieindziej. Przy tej sytuacji.

Naszej nowej rzeczywistości.

Przy *nim*.

Farrow opuszcza jabłko i moje kości policzkowe musiały się zaostrzyć, ponieważ jego brązowe oczy kierują się do mojej najwyraźniejszej cechy wyglądu.

Pochwytyuję jego spojrzenie i gdy nagle zapada cisza, wzrasta pomiędzy nami gęste napięcie. Przez ten transfer nasze życia ulegną zmianie i dochodzi do tego *nieznany* czynnik.

Nie potrafię nawet określić, jak wygląda Farrow jako mój ochroniarz. Wyczuwam, że Akara spogląda pomiędzy nami. Ocenia, jak będziemy sobie radzić. Ale jego odpowiedź jest równie dobra, co moja.

A nie mam żadnej.

Nie mam pojęcia, jak się rozwija nową relację z ochroniarzem. Miałem tego samego przez praktycznie dwadzieścia dwa lata.

Farrow wrzuca resztkę jabłka do pobliskiego śmietnika. Potem spuszcza kolano ze stołka, jego ramiona są wyraźnie rozluźnione w przeciwieństwie do moich sztywnych.

- Zaczniemy od podstaw, wilczku.

- Ze wszystkich rzeczy, którymi mógłbyś mnie nazwać... - Ale to nie powstrzymuje Farrowa od wybrania tego przezwiska. Moja ciocia stworzyła Wilczków jako organizację skautów dla wszystkich płci. Zdobyła krajowe rozpoznanie i tak, nadal pomagam w wakacje jako kapitan oddziału. – I od jakich *podstaw*?

- Prosty. – Przysuwa się do krawędzi blatu. Jego twarz znajduje się tylko parę centymetrów od mojej. – Za każdym razem, kiedy opuścisz swoje mieszkanie, będę ci towarzyszył. Będę siedł przed tobą. Wchodzę do pokoju przed tobą. Chodzę tam gdzie ty, dopóki nie wrócisz bezpiecznie do domu.

Mrugam powoli, czując palenie skóry. Tak szybkie wyobrazenie sobie towarzyszącego mi Farrowa *przez cały dzień, każdego dnia* jest jak wypicie galonu mleka za jednym razem. Mój mózg cholernie zamarł. Pocieram się po ostrej szczęce.

Farrow przekrzywia głowę.

- Okej?

- Robię korektę.

- Do podstaw? – Zerka na Akarę i wymieniają się spojrzeniem, którego nie potrafię rozpoznać.

Lekceważę to, mówiąc dalej:

- Wchodzisz do pomieszczeń *obok* mnie...

- Nie – wtrąca natychmiast Farrow. Przeczesuje sobie białe włosy, odsuwając kosmyki od twarzy. Czasami robi tak, żeby dać sobie więcej czasu na odpowiedź. Innymi razy myślę, że to znak, iż poważnieje.

Akara opiera łokieć na blacie.

- Moffy, on musi zbadać otoczenie nim wejdiesz do pokoju. Tak jak robił to Declan.

Declan to nie Farrow. Mój stary ochroniarz wolał mieć przede mną prywatność do takiego punktu, iż nie wiedziałem o nim zbyt wiele. *Znam* Farrowa w sposób, jaki nigdy nie znałem Declana.

To od razu zmienia stosunki ochroniarza-klienta, do których się przyzwyczaiłem.

- Więc kiedy będziemy na ulicy – mówię do Farrowa. – Idziesz *obok* mnie. Nie musisz za każdym razem iść przede mną, jakbyś był moim labradoodle.

- Labradoodle – powtarza, a jego rysy balansują na krawędzi wymownego spojrzenia w sufit i roześmiania. – Nie mogłeś wybrać bardziej potulnego zwierzaka, prawda? – Nim zdołam odpowiedzieć, dodaje: - Wezmę to pod uwagę, ale nie obiecuję, że dostosuję się do tego w *każdej* sytuacji.

Słusznie.

Kiwam parę razy głową.

- Kiedy dowiedziałeś się o nowym przydziale? – Wygląda na niewzruszonego, ale gdyby był superbohaterem w strefie wojennej, okienko komiksu pokazywałoby zrelaksowanego Farrowa na zniszczonej ławce, wykorzystującego swoje moce do przetrwania.

W porównaniu ja uzewnętrzniam gotowość na burze: stoję sztywno wyprostowany z wysoko uniesioną głową.

- Powiedziano mi zeszłego wieczoru – odpowiada.

Przyswajam to sobie. – A więc wiedziałeś osiem godzin więcej ode mnie.

- Technicznie to dwanaście. – Wykrzywia kąciki ust, jakby w czymś mnie pokonał.

Powstrzymuję własny uśmiech.

- Dziękuję ci za tę *techniczną* poprawkę.

- Nie ma sprawy, wilczku. – Przysuwa się do przodu i zniża głos do bardzo seksownego szeptu: - Dobrze zapamiętać, że jestem od ciebie lepszy w niemal wszystkim.

Potrzeba mnóstwo wysiłku, żebym nie wbił wzroku w jego usta.

- To mi brzmi na alternatywny wszechświat.

Unosi jeden kącik ust i wycofuje się.

Bum.

Obracamy głowy w kierunku witryny sklepu. Coraz więcej ludzi uderza pięściami w szybę, próbując zajrzeć do wnętrza, a inni rozmawiają głośno, czekając na oficjalne otwarcie Superheroes & Scones.

- Musimy iść – stwierdzam oczywiste.

Dociera do mnie, iż w tym scenariuszu *my* to ja i Farrow. Nie ja i Akara. Nie ja i facet, którego dopiero, co poznałem.

Tylko ja i on.

I nie w taki sposób, o jakim fantazjowałem. Farrow jest teraz zobowiązany mnie ochraniać, utrzymać ze mną profesjonalną relację i zapewnić mi wieczne bezpieczeństwo.

Wyobrazenie sobie misia polarnego zajadającego się chipsami na księżycu jest łatwiejsze niż wyobrazenie Farrowa jako mojego ochroniarza. Myślę, że to znak.

Znak, że zrobi się cholernie dziwnie.

MAXIMOFF HALE

Opuszczając teren Superheroes & Scones w moim czerwonym audi, wjeżdżam na autostradę. Odkąd podałem mu moją ośmiostronną listę, atmosfera jest gęsta. Gdy czyta ją w milczeniu, zajmując miejsce pasażera, ja skupiam się na drodze i wymijam wozy paparazzi, które próbują się do mnie przytulić, jakbyśmy byli dobrymi kumplami.

Farrow podnosi wzrok i przygląda się różnym furgonetkom oraz sedanom, które pędzą za nami.

- To ja powinienem prowadzić w tym związku.

Sztywnieję na słowo *związku*. Dodaję w myślach *platonickým*, ale szesnastoletni ja z dziecinnym zauroczeniem byłby teraz niesamowicie podniecony.

Dwudziestodwuletni ja jest wciąż wkurzony, że dołączyłem Farrowa do mojego banku fantazji.

- Numer dwunasty. – Wskazuję na listę.

Patrzy na mnie dłuższą chwilę, po czym skupia się na kartce.

- Jest tu napisane, że nie przywykłeś do wpuszczania innych ludzi za kółko. – Właściwie jest napisane „*Zawsze prowadzę*”.

Rzucam mu przelotne spojrzenie.

- Nie wiedziałem, że nie umiesz czytać. – Zmieniam pas.

Niemal wyczuwam, jak jego uśmiech się rozszerza.

- Jak zwykle szlachetny mądrala. – Słyszę, jak przerzuca stronę. – Zrobiłeś błąd przy numerze trzydziestym drugim.

Nazwał mnie szlachetnym. Co to w ogóle znaczy, kurwa? Szlachetny. Muszę odpuścić, ale to słowo przewija się przez moje oczy niczym pasek informacyjny.

- Jaki błąd?

- Zapomniałeś o przecinku.

Wydaję poirytowany pomruk.

- To nie praca semestralna. Nie krytykuj mojej gramatyki.

Farrow podnosi jedną nogę na siedzenie. Opiera przedramię na kolanie. Następnie odgryza zszywkę pliku kartek i wypluwa. Spinam się i próbuję jednocześnie patrzeć na niego, i na drogę.

Posiada bardzo szczególną manierę dłoni. Porusza nimi ze skrupulatnością i troską. To rodzaj dokładności należący do chirurgów oraz kogoś przygotowanego do rozbrojenia i złożenia pistoletu z zawiązanymi oczami.

Wyobrażałem sobie te dłonie *na* mnie niezliczoną ilość razy. *Nie zaczynaj znowu, kurwa.* Staram się, ale jego bliskość sprawia, że nieprzyzwoite fantazje próbują wyjść na powierzchnię. Robi mi się gorąco i czuję poruszenie w spodniach.

- Zaraz przegapisz nasz zjazd – odzywa się do mnie Farrow, przekartkowując plik.

- Szlag.

Wygina usta w zadowolonym, rozbawionym uśmiechu, ale umiejętnie omijam trzy zakorkowane pasy i unikam paparazzi. Bezpiecznie zjeżdżam z autostrady.

Farrow złożył niemal wszystkie strony i trzyma tylko dwie.

- Co robisz? – pytam.

Wymachuje złożonym stosikiem.

- Może porzucisz osiemdziesiąt pięć procent swoich zasad i nie będziesz takim wilczkiem, *wilczku?*

- Nie. – Potrząsam głową. Te zasady odzwierciedlają mój obecny styl życia. – To moje pieprzone życie, Farrow.

- I musisz zrobić miejsce dla mnie – odpowiada poważnie. – Wspólnie odnajdziemy jakąś rutynę, ale nie, kiedy nokautujesz mnie jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywki.

Szczerze sędzę, że nie cierpi bycia ograniczonym rygorystycznymi zasadami, które nie są wymyślone przez niego.

- Declan ich przestrzegaj.

- Na twoją szkodę – mówi bez ogródek. – Masz nawyk przekraczania prędkości. To *ja* powinienem prowadzić.

Znowu do tego wracamy.

- Ja prowadzę – mówię. – Możliwości masz *od gromu*. Patrz, jak prowadzę. Patrz na inne samochody. Patrz na horyzont. Licz znaki drogowe. Przełączaj stacje radiowe...

- Niepoprawne. – Oblizuje kciuka i przekartkowuje szybko strony. – Numer dziewięćdziesiąty drugi. *Wolę nie słuchać muzyki w samochodzie do południa.* – Przechyliła do mnie głowę. – Bo...?

- Zwykle muszę wykonywać telefony służbowe. Dla mojej organizacji *dobroczynnej* – podkreślam. Wie, że pracuję non-profit. Teraz codziennie czeka mnie Zabieranie Farrowa do Pracy. Dziwne. Co dziwniejsze, to on teraz pracuje. Nie siedzi w moim samochodzie, żeby sobie pogawędzić. Jest w pracy.

- Zamierzasz wykonać teraz telefon służbowy? – pyta.

- Nie.

- Zatem powinno być tu napisane „*Wolę nie słuchać muzyki w samochodzie do południa, kiedy wykonuję telefony służbowe*”. – Otwiera środkową konsolę i znajduje długopis. Poprawia zapisaną zasadę. – Masz też drugi błąd...

- Przestań pieprzyć o jebanych błędach – mówię i poprawiam kierunek otworów klimatyzacji, bo jest mi gorąco, a on uśmiecha się coraz szerzej.

Żeby zapełnić ciszę, włączam radio i nastawiam stację z elektroniczną muzyką. Przez głośniki przepływa ciężki bas.

- Muzyka przed południem – mówi Farrow. – Już zacząłem poluzowywać jego sznurowadła.

Odrywam jedną rękę od kierownicy, żeby pokazać mu środkowy palec.

- Po prostu uwielbiam, jak przypisujesz sobie durne rzeczy w życiu. Jakie to hojne z twojej strony.

Farrow prawie wybucha śmiechem, ale oboje niespodziewanie milkniemy i poważniejemy. Po bokach mojego samochodu pojawiają się dwie furgonetki i blokują mi skręt w prawo.

- Zjedź z Market Street – sugeruje Farrow.

- Taki miałem zamiar. – Pędzę ponad czterdzieści kilometrów więcej niż jest dozwolone, by wyminąć wozy. Ale mają przede mną przyjaciela hondę. Niebieska honda gwałtownie hamuje, powodując, że muszę zrobić to samo.

Ja pierdołę.

Jestem teraz uwięziony. Jak szczur w pułapce.

Sięgam do stojaka na kubek po okulary przeciwsłoneczne, ale Farrow już podaje mi moje czarne Ray Bans. Przypominając mi, że jest wytrenowany do takich sytuacji. Sam zakłada parę czarnych pilotek.

Z otwartych okien pojazdów paparazzi wystają ramiona i kamery. Jestem zmuszony do jechania w ich prędkości, a z niemal każdej strony oślepiają mnie flesze. Okulary przyciemniają jaskrawe światło, ale nie moją frustrację.

Przez większość dni dobrze mi się żyje z paparazzi. Odpowiadam na ich niewinne pytania, podpisuję fotografie, które sprzedają na eBay'u i nawet się szanujemy.

Potem wycinają *take* numery i kwestionują procent przyzwoitych paparazzi z tymi, którzy spowodowaliby kraksę samochodu mojej rodziny, żeby zarobić tysiąc dolców.

- Pomóc ci? – pyta Farrow. – Czy wolisz, żeby zrobili zdjęcia twojej wściekłej minie?

- Nie pozostało nic innego. – Pokazuję na przednią szybę.

- Nie jestem Declanem. – Farrow odpina swój pas i przechyla się przez środkową konsolę w moim kierunku. Oddech staje mi w gardle i patrzę jak kładzie ramię na oparciu mojego fotela. Drugą ręką uderza w klakson zamontowany w kierownicy.

Nieprzyjemny odgłos przeszywa poranne niebo.

Jeszcze bardziej wyciąga swoje ciało nad moim. Uważa, żeby nie zablokować mi widoku na drogę, ale bardziej koncentruje się na fackie, że jego ramię ociera się o moją klatkę piersiową. A jedno z kolan znajduje się pomiędzy moimi nogami.

Farrow otwiera okno po mojej stronie. Odwraca nieznacznie głowę, nasze twarze oddzielają dosłownie milimetry.

- Każcie odjechać hondzie, bo inaczej zasłonię okna Maximoffa! – krzyczy do paparazzi. Przez *zasłonięcie* ma na myśli przyklejenie prześcieradeł, żeby nie mogli pstryknąć swoich cennych fotek.

- Jeszcze minutkę! – woła paparazzi. – Odsuń się! – Odgania ręką Farrowa.

- Hej! *Teraz albo nigdy* – grozi Farrow tak zjadliwym tonem, iż nie dziwię się, kiedy człowiek wycofuje się do samochodu. Chwilę później honda skręca w lewo.

Uwalnia drogę.

Uwalnia *nas*.

Odjeżdżam tak szybko, jak się da. Declan nigdy nie miał takiego efektu na paparazzi. Przez chwilę jestem oniemiały.

Farrow wraca na swoje miejsce i zamykam okno. Podnosi plik kartek i zerkam na niego, na drogę, znowu na niego.

- Chcesz coś powiedzieć? – Unosi brwi.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

Farrow zapina pas bezpieczeństwa.

- Kiedy ochraniasz najślawniejszą kobietę na świecie, nie można być biernym obserwatorem.

Moją mamę.

Moja mama jest najślawniejszą kobietą na świecie. To przez nią jej siostry zyskały sławę. Dlatego ja jestem sławny.

Dlatego wszyscy jesteśmy sławni.

Lily Calloway jest źródłem uwagi społeczeństwa, nękania mediów, inwazji paparazzi w Filadelfii – ale to nie jej wina.

To nigdy nie była jej wina.

Chciałbym móc powiedzieć, iż nasza popularność wywodzi się z czystego aktu miłości, uprzejmości, tęczy albo pieprzonej magii – *czegoś* innego od tego, co naprawdę się wydarzyło.

Ale chodziło o skandal, który miał miejsce wiele lat przed moimi narodzinami.

Ktoś podał informacje mediom, kiedy miała jedynie dwadzieścia lat.

Lily Calloway, dziedziczka imperium Fizzle, jest seksoholiczką. Taki nagłówek o jej uzależnieniu potrząsnął całym globem. Nieobyczajny, wstrząsający nagłówek – tylko tego było trzeba. Ta nowina sprawiła, że siostry Calloway przeszły od bogatego życia w mroku do natychmiastowej złej sławy.

Nasza popularność płonie. I płonie. Nikt z nas nie musi dokładać do ognia, żeby płomienie nie ustały.

A ja... sława jest moim przyjacielem i wrogiem. Jest częścią mnie. Namacalną rzeczą, która żyje we mnie. To jedyne życie, jakie prowadziłem.

Jedyne życie, jakie znam.

Obecnie zamieszkuję razem z Jane starą, historyczną, wiktoriańską kamienicę, która mierzy około 80 metrów kwadratowych. Parkiet i obmurowanie wewnętrzne. Tak ciasna kuchnia, że gdyby chciała tam wejść trzecia osoba musiałaby odgrywać Indianę Jonesa i skakać po blatach, żeby się zmieścić.

Gdybym mógł, prowadziłbym bardziej minimalistyczne życie. Nie potrzebuję wiele.

I powiedziałbym, że trzypokojowe mieszkanie z jedną łazienką jest ekstremalnie skromne jak na kogoś z moim kontem bankowym, ale jestem doskonale świadom, że życie w historycznej dzielnicy Filadelfii nie jest tanie dla większości ludzi.

Mogę być paskudnie bogaty, ale staram się jak mogę, by zrozumieć, co posiadam, co mogę podarować i czego potrzebują inni.

Wjeżdżam do garażu na trzy samochody, który jest prawdziwym luksusem w tej części Filadelfii i parkuję obok jasnoniebieskiego volkswagena beetle Jane.

Zegar samochodowy pokazuje dwanaście po ósmej rano nim wyłączam silnik. Farrow odpina swój pas i wsuwa złożony plik kartek do tylnej kieszeni spodni. Zachowuje się, jakby tylko składał mi wizytę, ale mój ochroniarz się *wprowadza*.

O tak.

To żaden sitcom pod tytułem *witajcie w moim życiu*, a raczej dramat *dołączyłeś do mojego życia* albo horror.

Jeszcze nie da się stwierdzić które.

Przynajmniej nie zostaniemy współlokatorami. Nad tym garażem znajdują się *dwie* identyczne kamienice, które są połączone drzwiami dla łatwego dostępu.

Ochrona rezyduje w mieszkaniu po prawej.

Jane i ja w tym po lewej.

Farrow nie marnuje sekund na ocenę otoczenia. Wiem, że *on* wie, że się *wprowadza* – w moim bagażniku znajduje się dowód w postaci dwóch walizek i czarnego worka marynarskiego.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze? – Odpinam pas. – Mogę kupić ci coś w sklepie. – Jestem bliski przeklęcia samego siebie. Po jakiego diabła zadaję takie pytania Farrowowi? Jestem w trybie automatycznym i ktoś musi szybko przełączyć mnie na ręczny.

Nieruchomieje, trzymając rękę na klamce. Gdy spogląda na mnie, wykrzywia kąciaki ust.

- Twoje udawanie, że możesz wybrać się do sklepu beze mnie jest słodkie.

- Nie udawałem. – Chowam kluczyki do kieszeni i otwieram drzwi. – Po prostu przeoczyłem ten fakt. – Dla własnego zdrowia psychicznego. Jestem świadom, że teraz Farrow jest zobowiązany wszędzie za mną chodzić. *Bardzo świadom*. Nie potrafię udawać, że ten dwudziestosiedmioletni wytatuowany facet jest jakimś przypadkowym skorupiakiem, który przykleił się do mojego statku.

On jest teraz moim pieprzonym współkapitanem.

I nie jestem tym zachwycony.

Na wypadek, jeśli nie wyraziłem się jasno.

Wysiadamy z audi i zatrzasujemy jednocześnie drzwi. Otwieram bagażnik i kiedy chwytam za największą walizkę, zwracam się do niego:

- Wycofuję moją ofertę.

- Szkoda – odpowiada poważnie Farrow, przerzucając przez ramię worek marynarski – zapomniałem szamponu i odżywki.

- Możesz pożyczyć moje... Jezu, pierdolony, Chryste – warczę do siebie, bo choć przez dwie sekundy chciałbym być dla niego dupkiem.

Farrow śmieje się, jakby wygrał.

- Właśnie sobie przypomniałem. Mam szampon i odżywkę.

Przeszywam go wzrokiem i wyciągam drugą walizkę, wciąż ściskając w ręce pierwszą.

- Jesteś palantem.

- A ty masz czyste serce. Co jeszcze się nie zmieniło? – Farrow próbuje zabrać mi większą walizkę.

Wyrywam ją z jego uścisku.

- Mogę ją zanieść.

Rzuca mi spojrzenie. – Nie zdobędziesz odznaki za *męstwo*. Mogę nosić własne gówno. – Poprawia sobie pasek worka. – Ale będę taki uprzejmy, że pozwolę ci zanieść małą walizkę.

- Wielkie dzięki – mówię oschle, po czym wpycham mu w pierś *małą walizkę*, zatrzymując większą.

Obaj jesteśmy samcami alfa, co staje się ekstremalnie wyraźne podczas tych bezsensownych sprzeczek. Kiedy chcemy ponieść cięższą walizkę.

Jestem przyzwyczajony do pomagania, tym bardziej, że mam wielką rodzinę i jestem najstarszy. A Farrow – jego praca, jego całe wychowanie opierało się na *obowiązku* oraz pomocy innym. Przypominamy błyskawicę i grzmot, z natury różne, ale wystarczająco podobne, by dzielić to samo niebo.

Farrow nie kłóci się o poniesienie większej walizki, więc zamykam bagażnik.

- Pamiętasz, które mieszkanie to które? – Pokazuję gestem głowy na dwa wejścia. Już kiedyś tutaj był jako ochroniarz mojej mamy.

Farrow patrzy mi w oczy.

- Lewe drzwi prowadzą do Azkabanu. Prawe do Mordoru.

Gapię się na niego, jakby wyrosły mu rogi jelenia. To ja rzucam odniesieniami do pop kultury. Farrow nawet nie lubi fantastyki.

Toleruje ją, jak ktoś, kto nie cierpi majonezu, ale zjada go w kanapce z indykiem.

- Spędziłeś za dużo czasu z moją mamą? – pytam. Mam rodziców, którzy uwielbiają komiksy i mają obsesję na punkcie pop kultury. *Są najfajniejsi*. Jestem pewien, że dwie córki Meadowsów i siedmioro dzieci Cobaltów zaprotestowałyby i powiedziało, że ich rodzice są fajni, ale nie ma tutaj żadnego porównania.

Bez dwóch zdań moi są cholernie najlepsi.

Farrow oblizuje powoli dolną wargę, uśmiechając się. Naprężam mięśnie i staram się skupiać na jego oczach, a nie ustach. *Nie na jego ustach*.

- Nie – odpowiada. – To taki wewnętrzny żart w ekipie ochronnej.

Jestem zdziwiony, że mi o tym mówi.

- Serio?

Przytakuje i kierujemy się do drzwi po prawej, które nazwał *Mordorem*.

- Powiedziano mi, że zaczęło się od twojego młodszego brata. Jego ochroniarz powtórzył żart innemu ochroniarzowi, i tak się rozwinęło.

Z łatwością potrafię sobie wyobrazić, jak Xander komentuje *Harry'ego Pottera i Władcę Pierścieni*.

Pokonujemy parę schodów na górę i zatrzymuję się na schodku pod nim, stawiając walizkę na kółkach. Farrow szuka w kieszeni swojego klucza.

- Declan nie rozmawiał z tobą tak często, co?

Nieruchomieję, wypełniając garaż moją obawą. Z perspektywy czasu zastanawiam się czy trzeba było wysilić się bardziej, żeby poznać osobiście mojego ochroniarza. Czy byłem nieuprzejmy? Co jeśli przez cały ten czas chciał, żebym wtrącał się w jego jebane, prywatne sprawy, a ja myślałem, że szanuję jego przestrzeń.

Declan wiedział o mnie wszystko. Cały świat wie o mnie *prawie* wszystko. A ja znałem jedynie imiona jego dzieci i żony.

Nic bardziej istotnego.

Farrow ogląda się na mnie i przygląda mojej minie.

- To nic wielkiego.

Przywołuję jego pytanie.

- Nie wyjawiał mi żadnych sekretów ekipy, jeżeli o to pytasz.

Farrow odnajduje klucz, ale obraca się do mnie całym ciałem.

- Załatwmy to, Moffy...

- *Maximoff* – poprawiam głosem twardym niczym marmur. Cała rodzina zwraca się do mnie Moffy, ale kiedy on używa tego przezwiska, wracam wspomnieniami do dzieciństwa, kiedy tak mnie nazywał. Przez to nasza pięcioletnia różnica wieku staje się wyraźniejsza, a kiedy wyobrażam sobie nastoletniego mnie w łóżku z nim (co zdarzyło się jedynie w fantazjach) to żenujące.

Dlatego nie wolno mu nazywać mnie Moffym.

Koniec kropka.

- Maximoffie – mówi, jakbym był skostniałym kretynem.

- Co takiego mamy załatwić? – Wracam na właściwe tory nim zrozumie moje prawdziwe powody.

- To czym się z tobą dzielę – to nie są *sekrety*. Przynajmniej połowa z nas nie uważa tego za tajemnicę. Druga połowa jest tak sztywna, że mogliby zostać pomyleni ze strażą królewską stojącą przed pałacem Buckingham.

- Więc zasadniczo jesteś *buntownikiem* w ekipie. – Lustruję wzrokiem jego ciało, przyglądając się tatuażom, czarnemu ubiorowi, kolczykom. – Przez cały ten czas nie miałem zielonego pojęcia.

Farrow parska krótkim śmiechem i wygina usta w poirytowanym, rozbawionym uśmiechu, przytakując. Myślę, że ma na końcu języka *mądralę*, po czym opuszcza wzrok na moje usta – na krótką sekundę.

Nim zdążę przetrwać, co to w ogóle znaczy, zachowuje się jakby nigdy nic i zaczyna otwierać drzwi.

Możliwe, że mi się przywidziało.

Mam skłonność do fantazjowania. Kto powie, że nie wymyśliły tego napalone zakamarki mojego seksualnie sfrustrowanego mózgu?

Muszę wybrać się na miasto i znaleźć sobie kogoś na noc.

To moja pierwsza myśl. Ale zaraz mrozi mnie druga: *Farrow musi pójść ze mną.*

Nie zdołam mu uciec. Praktycznie już do końca życia.

FARROW KEENE

Z bagażem w ręce prowadzę drogę po dwóch kondygnacjach wąskich, drewnianych schodów ku rozgoryczeniu Maximoffa. Jestem pewien, że to on chciałby *przewodzić* nieistniejącą paczką, ale tym razem musi ustąpić mi pierwszego miejsca.

I tak naprawdę już zawsze, jeśli będę dołączony do sytuacji.

Nie jestem napuszony czy arogancki. Musi się nauczyć pozwolić mi prowadzić dla własnego bezpieczeństwa.

Gdy pokonujemy schody na górę, rozciąga się pomiędzy nami gęsta cisza. Nie przywykłem do niezręcznego napięcia i myślę, że on także.

Widzicie, nie *prosiłem* się o zostanie jego ochroniarzem. Nie ubiegałem o tę pozycję, nie złożyłem aplikacji. Wszedłem w tę rolę na prośbę jego mamy.

Lubię zmiany.

Przyjmuję zmiany z *otwartymi ramionami*. Ale kiedy jedną z moich ulubionych rozrywek jest wkurzanie Maximoffa Hale'a – nie jestem przekonany czy zgłosiłbym się do tej roboty.

Pomiędzy nami przepływa kolejna napięta minuta, kiedy Moffy rzuca ostrzegawczo:

- Twój pokój jest mały.

Uśmiecham się, ponieważ byłem w tych mieszkaniach już kilka razy. Są identyczne. Na piętrze znajdują się dwie sypialnie i jedyna łazienka. Na drugim jest sypialnia na strychu. Wszystko inne jest ściśnięte na parterze.

Maximoff mieszka w pokoju na strychu w drugiej kamienicy. Ta sypialnie ledwo mieści normalnej wielkości łóżko, regał na książki oraz komodę.

Zamieszkał w identycznej wersji *tego* samego pokoju.

- Poradzę sobie. Jest takiego samego rozmiaru, co twój. – Oglądam się na niego.

Dwa stopnie za mną stoi pewny siebie i poirytowany, jeden z najbardziej uwielbianych celebrytów. Niesie na barkach moją dwudziestokilogramową walizkę niczym żołnierz dźwigający plecak. Nie obnosi się ze swoją siłą. Moffy jest po prostu *sprawny*. Daje sobie więcej przestrzeni, żeby przejść wąskimi schodami.

Jego wyrzeźbione mięśnie naciągają materiał zielonej koszulki.

Uśmiecham się. Jestem pewien, że większość ludzi zemdlałoby mu teraz u stóp. Zaczęłoby dukać od rzeczy. Może spróbowałoby go uwieść. Powiedziałoby parę właściwych słów we właściwej manierze.

Zamiast tego dostał mnie.

- Gdyby tylko twoja gramatyka była równie dobra, co umiejętność podnoszenia ciężarów – mówię – byłbyś idealnym kandydatem.

- Gdyby tylko twoje poczucie humoru było zabawne, zaśmiałybym się.

Uśmiecham się szerzej.

- Nie próbowałem cię rozśmieszyć, wilczku.

Moffy burczy zirytowany, ale powoli wygina kąciki ust. Wykrzywia rysy twarzy, dopóki nie przybiera naburmuszonej miny.

- Lepiej ci? – pytam i wznawiam drogę do góry.

Gdyby miał wolne ręce, pokazałby mi palec, ale nie zmienia ułożenia walizki. Nie wygląda na zmęczonego. Wiele brukowców określa Maximoffa Hale'a jako *najgorętszego celebrytę*.

Trafnie.

Posiada oczy przypominające żdźbła trawy, ostro zarysowaną żuchwę – rysy tak oszałamiające, że już jest bardzo cennym, marmurowym reliktem przed dodaniem tego posągowego, cholernie niezziemskiego ciała.

I wdarł się do moich myśli w sposób niedozwolony przez Disney. Zaczęło się trzy lata temu podczas jego pierwszego semestru studiów.

Właśnie zostałem ochroniarzem jego mamy i wybrała się na jego zawody pływackie. Siedziałem na trybunach i patrzyłem jak wychodzi ze studenckiego basenu, nad którym wisiały transparenty Bluszczowej Ligi. Na wolnym odcinku ściany były nabazgrane łącińskie insygnia.

Jego mięśnie naprężyły się, kiedy wyprostował się do wzrostu metr osiemdziesiąt osiem. Umieścił gogle na głowie, po jego opalanej skórze ściekły kropelki wody. Jego nogi były bardziej muskularne. Barki szersze. Wyglądał na starszego.

Pamiętam jak pomyślałem – *Maximoff Hale jest mężczyzną*.

Po tym jego obrazek nawiedzał mój umysł podczas „osobistych” momentów. Bycie ochroniarzem jego mamy nie powstrzymywało mnie przed wyobrazeniem sobie nagiego i pochylonego nad łóżkiem Maximoffa. Takie rzeczy się zdarzają. Gdy sobie dogadzasz, różni ludzie wpadają ci do głowy.

Cieszę się tylko, że mam dobry gust.

Kiedy dowiedziałem się, że zostałem przydzielony do jego ochrony, nie skupiłem się na fakcie, że mnie pociąga. To nieistotne.

Mógłbym posiadać jego zdjęcie w ramce, do którego waliłbym sobie konia każdej nocy (nie posiadam), a i tak wykonałbym swoją pracę w stu procentach.

Jestem przekłęcie dobrym ochroniarzem.

Jednym z najlepszych i nic ani nikt nie zmieni faktu, że będę go chronić.

Gdy znowu spowija nas cisza, docieram na szczyt schodów, gdzie znajdują się pojedyncze drzwi. Wchodzę do mojego nowego pokoju z Maximoffem depczącym mi po piętach.

Wydaję długi gwizd.

- Postanowiłeś ostrzec mnie, że jest mały, ale nie *duszny* i *wilgotny*? – Rzucam bagaż na podłogę obok łóżka i sprawdzam butem jego sprężyny. Ach, może być. Sam materac i sprężyny.

Moffy kładzie moją walizkę przy drzwiach.

- Sprawdzę klimatyzację.

- Nie musisz. – Pocieram usta, muskając chłodny kolczyk w wardze. Oczywiście, że stwierdzenie „*jest duszno*” spowodowałoby, że chce naprawić temperaturę. – Doceniam troskę, ale tutaj musisz przestać traktować mnie jak gościa, brata albo kogokolwiek, kogo chciałbyś rozpieszczać i chronić. – Podtrzymuję jego twarde spojrzenie. – I będzie goręcej, w końcu to strych.

- Nie wiedziałem o tym – odpiera oschle. – Przez ostatnie trzy lata mieszkalem sobie na strychu, myśląc „*ja pierdolę, dlaczego mam wrażenie, że jestem w piekielnej saunie?*” Dzięki Bogu, że jesteś tu, by podzielić się ze mną tą niezbadaną mądrością.

Muszę oprzeć się o marmurową ścianę, czując na ustach obezwładniający uśmiech.

Sarkazm jest wpisany w jego DNA. Od urodzenia jest wyposażony w słowne widły.

- Mów dalej. – Zachęcam go gestem dłoni.

- Skończyłem.

Przewracam oczami i odsuwam się od obmurowanej ściany. Zdaje sobie sprawę, że wszystkie takie są. Na szczęście nie mają grzyba, ale drewniana krokiew wygląda jakby nie była czyszczona od dekad.

Odrywam koszulkę od klatki piersiowej. Musi być tutaj z trzydzieści stopni. Mamy sierpień, nadal trwają upały, a przy uruchomionej klimatyzacji parter jest zamrażarką w porównaniu z poddaszem.

Zamierzam otworzyć jedyne okno, ale Moffy już kieruje się do parapetu. Całkowicie ignorując moje wcześniejsze przemówienie.

Odchylam głowę do tyłu, hamując kolejne wymowne spojrzenie.

Nie ma pojęcia, że dziś rano przez sześć godzin słuchałem sprawozdania o *nim* oraz wejściach, wyjściach i oknach tych dwóch mieszkań.

Rekomendacja Omegi: *spróbuj trzymać go z daleka od okien*. Nie znajduję się już w chronionej dzielnicy. Okna wychodzą na publiczne ulice, co oznacza, że każdy może wyciągnąć kamerę, skierować ją do góry i spróbować go nagrać.

44 zasada Moffy'ego: *Otwieram własne okna*.

Oto gdzie leży niezgoda. Jego mama przyjmowała wszystkie poduszki powietrzne, które zapewniały jej bezpieczeństwo, ale Moffy woli prowadzić tak nieograniczone życie, jak to tylko możliwe.

Jest to uważane za niebezpieczne.

Widzicie, pomiędzy wolnością a bezpieczeństwem celebrytów istnieje bardzo mała przestrzeń. Walczę o ustanowienie takiego kompromisu klientowi. Szczególnie takiemu jak Maximoff, który pragnie tej wolności. Ale im bardziej stara się chronić *siebie*, tym większy będziemy mieć problem.

Nie może być własnym ochroniarzem.

To niemożliwe.

- Za każde otwarte przez ciebie okno, ja otwieram dwa więcej – oznajmiam. Zatrzymuje się przed parapetem.

- Po jaką cholerę miałbym zgodzić się na nierówny stosunek, który jest na twoją korzyść?

- Ponieważ jedno-na-dwa jest lepszy od jednego-na-trzy.

Oblizuje usta. – Co powiesz na jedno-na-jedno?

Potrząsam głową, nie zastanawiając się nawet przez chwilę.

- Nie.

- Tak.

- Dobra – ulegam wcześniej, zaskakując go, ale naprawdę potrzebuję, żeby w pewnym momencie mnie wpuścił. Jedno-na-jedno jest lepsze od jednego-na-zero.

Moja praca opiera się na błyskawicznych decyzjach, które wpływają na jego życie. Subtelnie i szybko ważę ryzyko. Moje okno wychodzi na wyrośniętą magnolię przesłaniającą widok na ulicę. Poza tym, gdyby obchodziło go bycie uchwyconym przez kamerę, nie rzucałby się tak do okna.

Wniosek jest taki:

Ryzyko = niskie.

Okno = śmiało, Moffy.

Obserwuję go czujnym okiem i wyciągam z worka marynarskiego czarne prześcieradło i pościel.

Maximoff otwiera szarpnięciem zardzewiałe okno, naprężając mięśnie. Stare drewno rozchyła się ze skrzypnięciem.

Gdy wraca do mojego materaca, łamie sobie knykcie. Moffy obrzuca wzrokiem moją pościel, jego komórka byczy w kieszeni spodni, ale wibruje od chwili, kiedy go dzisiaj spotkałem.

Już wcześniej wywnioskowałem, że ignoruje wiadomości.

- Potrzebujesz minuty? – pytam.

- Na co? – Jest sztywny, ale zawsze stoi na baczność, jakby był przygotowany do walki o uratowanie swojej rodziny. Prawie się uśmiecham.

- Minuty na przyswojenie sobie tego wszystkiego.

Bierze mocny wdech.

- Pewnie. Tylko zmień *minutę* na *sto lat* i wszystko będzie dobrze.

- Gdybym dał ci sto lat, skończyłbyś martwy. - Opieram kolano na materacu, wsuwając rękę do kieszeni.

- Wspaniale. Możesz pilnować moich zwłok.

Unoszę brwi. – To słodkie, iż sądzisz, że cię przeżyję.

- Kto mówi, że tak nie będzie?

- Jestem pięć lat starszy od ciebie. – Znajduję w kieszeni plaster gumy i odrywam folię. – I nadal jestem wyższy od ciebie. – *O parę centymetrów.*

- Zapomniałem, że w twoim popierdolonym alternatywnym wszechświecie *wzrost* ustala średnią długość życia.

Parskam śmiechem i wrzucam gumę do buzi.

Stoimy nieruchomo po obu stronach mojego łóżka i żaden z nas nie zamierza się ruszyć. Przyglądam się jego ubiorowi; prostej zielonej koszulce, džinsom i taniemu, płóciennemu zegarkowi. Wygląda, jakby był wart dwadzieścia dolców, a nie ponad miliard.

Jego skromność sprawia, że wydaje się jeszcze starszy.

Wbijam wzrok w jego oczy i patrzę, jak się spina.

Któreś z nas musi się odezwać. Nie żartobliwie. Rzadko prowadzę z nim poważne konwersacje, a żeby być jego ochroniarzem, nasze poważne rozmowy muszą przeważać wszystkie inne.

Po raz trzeci dzisiejszego dnia przeczesuję sobie włosy, odgarniając kosmyki.

- Jakie masz plany na wieczór?

Moje słowa musiały podziałać na niego niczym kubeł lodowatej wody. Wzdryga się, odwraca wzrok i potrząsa głową.

- To jest zbyt, kurwa, dziwne.

Żuję powoli gumę, myśląc jak podejść do tego tematu. To ja przywiązuję się do jego życia, nie na odwrót. Gdyby nasze role były odwrócone, byłbym tak samo rozdrażniony.

- Pomóż mi zaścielić łóżko – mówię.

Maximoff z łatwością przyjmuje zmianę tematu i pokazuje mi, żebym podał mu rąbek pościeli.

Nigdy nie odrzuciłby czyjejś prośby o pomoc. Nie potrafię sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy poprosiłem go, żeby w czymś mi pomógł.

Najprawdopodobniej nigdy.

Zahaczamy pościel z gumką o krawędzie materacu, po czym rzucam mu poduszkę i czarną poszewkę.

Przyglądam mu się długą chwilę i jego ostre zielone oczy wznoszą się do moich brązowych. Zwalniamy i żadne z nas nie musi się odzywać, by wyczuć napiętą atmosferę.

Znam jej źródło.

On zna jej źródło.

Chodzi o *seks*. Seks jest nieruszoną tematem.

Maximoff Hale to najbardziej pożądany kawaler w kraju. Cała społeczność wie, że bywa w klubach nocnych i barach. Moim zadaniem jest *ukrycie* przed mediami ile ma romansów.

Ekipa ochroniarzy plotkuje, ale Declan nigdy nikomu nie wyjawiał ilu ludzi przeleciał Maximoff. Teraz to ja powinienem chronić tę tajemnicę. I mam oczywisty obowiązek nie tylko poznawania każdej osoby, z którą zdecyduje się przespać, ale także ich przesłuchania.

Muszę ich przekonać do podpisania umowy o poufności. Muszę pilnować drzwi jego sypialni na wypadek, jeśli wydarzy się coś złego. Muszę tam stać dopóki nie zostanie sam. Muszę nawet wyprowadzić ich z jego domu.

To ja muszę chronić jego penis. I serce.

- Możesz mi zaufać – mówię.

Wciska moją poduszkę do poszewki.

- *Muszę* ci zaufać, to jebana różnica.

Przebijam balon z gumy i kiwam głową, biorąc pod uwagę jego słowa.

- Prędzej czy później przekonasz się, że można mi zaufać. Teraz pracuję dla ciebie, nie dla twojej mamy.

Te słowa troszeczkę rozluźniają jego ramiona. Cały zespół ochroniarzy często składa sprawozdania rodzicom, ponieważ większość dzieci Hale'ów, Meadowsów i Cobaltów nadal jest niepełnoletnich. Ze strachu przed rodzicielskim gniewem i późniejszym rozwiązaniem umowy, wielu ochroniarzy w mgnieniu oka doniosłoby na Maximoffa.

Ja tego nie zrobię.

Nie obawiam się żadnego rodzica ani możliwości zwolnienia. Trzy lata, praktycznie dwadzieścia cztery godzinę na dobę ochrony jego mamy nie były żartem. Jest nieśmiałą seksoholiczką, a jej patykowata budowa ciała oraz miękkie rysy twarzy sprawiają, że wygląda wiecznie młodo: okrągłe policzki, brązowe włosy do ramion i zielone oczy Moffy'ego. Upierdliwcy widzą ją jako łatwy cel.

Mnóstwo razy napluto mi w twarz. Przyjmowałem prawe sierpowe w twarz, ciosy w żebra – wszystkie przeznaczone dla niej. Złamałem kość policzkową jednego pojeba, za co zostałem *pozwany*. Chociaż to on próbował wsadzić jej rękę pod sukienkę.

Rozbrajałem uzbrojonych bandytów, nożowników i krzykaczy dzierżących plastikowe pistolety na wodę, worki brokatu, *sztuczne penisy* – jakiegokolwiek twarde pociski. Zabierałem Lily z porywczym tłumów, które potrząsały jej samochodem.

Oczyszczałem tysiące pomieszczeń i łazienek przed jej wejściem. Miałem zapewnić, żeby nikt na całym pieprzonym świecie jej nie tknął.

Moje życie opiera się na czynach, które mówią: *Jestem najlepszy we wszystkim, co robię.*

A gdyby ktoś naprawdę chciał mnie zwolnić, zrobiłby to kilka lat temu, kiedy zacząłem odłączać słuchawki i pozostawiać puste pola w codziennych sprawozdaniach „gdzie byłeś” i „co robiłeś”. To standardowe postępowanie służy bardziej plotkom niż ochronie mojego klienta.

Maximoff kładzie moją poduszkę na łóżku.

- Więc co to jest dla ciebie, awans czy degradacja?

- *Transfer.* - Rozścielam czarną kołdrę. – Wszyscy ochroniarze zarabiają tyle samo pieniędzy. Jedynie przywódcy sił zarabiają więcej. – Wycieram bicipsem spocone czoło, wciąż panuje tutaj ukrop.

Moffy używa rąbka koszulki, by otrzeć własne czoło, ukazując wyrzeźbione mięśnie brzucha. *Niech to.* Beztrosko odwracam wzrok.

Nadmuchuję kolejnego balona z guma.

- Ale ta mała sytuacja mieszkaniowa jest zdecydowaną *degradacją.* – Podnoszę wzrok i uśmiecham się, kiedy pokazuje środkowym palcem na drzwi.

- Tam jest wyjście, jeśli nie potrafisz sobie poradzić.

- Radzę sobie ze wszystkim, Maximoffie. – Przeżuwam gumę, uśmiechając się szerzej. – Stwierdzam fakt. Ta kamienica jest mała i stara. Wcześniej mieszkałem w nowiuteńkiej posiadłości. – Hale’owie, Cobaltowie i Meadowsowie mieszkają na tej samej ulicy na bogatym, ogrodzonym osiedlu. Niedaleko stąd.

Na przedmieściach Filadelfii.

Przecnicę dalej znajdują się dwie ośmiopokojowe posiadłości, które kupili dla całodobowych ochroniarzy. Obecnie zamieszkują tam siły bezpieczeństwa Alfa i Epsilon; zasadniczo ci, którzy chronią rodziców i niepełnoletnie dzieciaki.

Omega, ci z nas, którzy chronią dzieci powyżej osiemnastego roku życia, są porozmieszczeni.

Nasze ruchy śledzą ruchy klientów. Nie wybieramy sobie miejsca zamieszkania. Mieszkamy tam, gdzie nasi klienci i zdarzają się zmiany przydziału.

Ktoś składa rezygnację, by założyć rodzinę albo skupić się na swoich dzieciach. Ktoś jest zwolniony za niekompetencję. Ktoś pragnie zmiany życia. Cokolwiek się zdarzy, trzej przywódcy przenoszą wielu z nas, kiedy tylko pojawi się jakieś wolne miejsce.

Tym razem tą osobą okazałem się być ja.

Nigdy nie dołączyłem do „klik” sił bezpieczeństwa Alfa, ponieważ ich nienawidzę. I byłem zbyt wielkim indywidualistą, by zostać zaakceptowanym przez starszych, zdyscyplinowanych ochroniarzy. Gdy teraz należę do Omegi, będę widywał rzadziej Alfę, co doskonale mi pasuje.

Moffy wsuwa ostatnią krawędź kołdry pod materac.

- Więc kiedy ekipa dowiedziała się, że będziesz mnie chronił, nikt nie przysłał ci kartki z kondolencjami ani nie powiedział, że lepiej będzie, jak polecisz na pieprzony księżyc?

Szuka informacji o tym, jak jest postrzegany przez ochronę – bo najwyraźniej Declan gównu mu mówił.

- Nikt nie miał czasu na wysyłanie kartek – mówię. – Ale gdyby mieli, większość napisałoby „*powodzenia z pokierowaniem tego statku*”.

- Brzmi słusznie – odpowiada. – To wszystko?

Wow, on nic nie wie. Jeżeli spotkałbym się dziś z Declanem, uściskałbym mu rękę i powiedział „*Jesteś jebanym dupkiem*”. Ale musiałbym zrobić to samo z ponad połową ekipy. Wszyscy mamy inne relacje z naszymi klientami.

Ja wolę rodzaj wzajemnej sympatii.

- Nikt by się nade mną nie litował. – Wsuwam pusty worek marynarski pod łóżko. – Nie było tak, jak wtedy, kiedy Oscar został przydzielony do Charliego. Urządziliśmy mu pogrzeb. – Poruszam wymownie brwiami do Moffy’ego.

Uśmiecha się lekko i potrząsa głową. – Charlie.

Charlie Cobalt, jego dziewiętnastoletni kuzyn i najstarszy syn Cobaltów, jest znany z utrudniania bycia śledzonym. Jednego dnia jest na Ibizie, następnego w Paryżu, kolejnego w Japonii – jest spontaniczny, nieprzewidywalny i ze wszystkich dzieciaków to jego szczere tweety oraz komentarze zdobywają największą popularność.

Po chwili Moffy opuszcza kąciki ust, a jego kości policzkowe się zaostwiają. Słyszałem plotki w ochronie, że Moffy i Charlie niezbyt się dogadują.

Widziałem nawet, jak się ze sobą kłócili. Jeżeli rzadko spędza czas z Charliem, to ja będę rzadko widywał Oscara.

Tak to działa.

Maximoff sprawdza swoje przychodzące wiadomości, ale po kilku sekundach wsuwa komórkę do kieszeni.

- Dzisiaj zjem obiad w domu. Możesz tutaj zostać, robiąc, co zechcesz, a około czternastej pojedę do mojego biura w Center City. Napiszę ci, kiedy będę w garażu.

- Potrzebuję twój numer.

Ściąga brwi. – Nie podaliśmy sobie numerów?

- Nigdy nie musieliśmy, wilczku. – Znowu przeżuwam wolno gumę. Gdy byliśmy młodszy, widywałem go tylko wtedy, kiedy musiałem towarzyszyć tacie w domowych wizytach albo podczas świąt, na które zapraszali nas Hale'owie. Przyjęcia z grillem w święto pracy, niektóre urodziny. Nie przyjaźniliśmy się z Moffym.

Kiedy ja miałem dwadzieścia lat, on tylko piętnaście. Byłem na studiach z kolegami w moim wieku.

Przechylał głowę, patrząc jak wpatruje się w przestrzeń. Macham ręką do Maximoffa.

- Straciłem cię?

Odsuwa moją rękę, wracając do rzeczywistości, po czym wyciąga ramię.

- Podaj mi swój telefon. Wpiszę mój numer do twoich kontaktów.

- Albo ty mógłbyś dać mi swój telefon.

- Nie.

Przewracam oczami na stanowcze *nie*, ale na razie postanawiam się zastosować i przekazać mu komórkę. Nie potrzebuję wygrać tej sprzeczki.

- Co robisz po skończeniu pracy?

Wbija swój numer do mojej komórki i oddaje ją.

- Plany kolacyjne są pod znakiem zapytania. Dam ci znać czy wybiorę się do restauracji.

- Planujesz coś po kolacji?

Przed odpowiedzią Maximoff ściąga przez głowę mokrą koszulkę i zwija materiał w pięści.

Unoszę brwi, przypatrując się jego wyrzeźbionemu ciału, szerokim barom pływaka i smukłej klatce piersiowej, która lśni od potu. Dla paparazzi byłoby to ujęcie warte miliard dolarów. Pewni klienci chcą „zablokować” fotografom takie ujęcia. Niektórzy zamieszczają je na Instagramie, żeby zdjęcia paparazzi stały się bezwartościowe. Inni mają to gdzieś.

Jego Zasada #67: *nie przejmuj się gorącymi ujęciami. To nieważne.*

Obrzucam wzrokiem krzywizny jego długich ramion.

- Czy siłownia jest twoim stałym przystankiem? Ponieważ twoja mama była dyplomowanym leniuchem. – Zwykłem spędzać *malutką* ilość wolnego czasu w Studio 9 albo drzemiać. Maximoff wyciera mokre czoło bicepsem.

- Basen.

- Tylko basen?

- Ta.

Drapię się po gardle w miejscu, gdzie krzyżują się wytatuowane miecze.

- Mogę wyliczyć osiem miejsc na twoim ciele, które mówią, że pleciesz bzdury. – Wskazuję beztróska na jego brzuch.

Maximoff przygląda mi się.

- Wyglądasz na niewzruszonego. – Przywykł do schlebiających mu ludzi. Zaczynam się uśmiechać.

- Bo moje są lepsze, wilczku.

Fuka, po czym piorunuje mnie wzrokiem, gestykulując ręką.

- Przekonamy się, jak zdejmiesz bluzkę.

Przebijam balon z gumy. – Uwielbiam wyzwanie.

Ściągam przez głowę koszulkę i odrzucam na materac. Przesuwa wzrokiem po czarnym atramencie widocznym na moim torsie, żebrach, mięśniach brzuchach – niemal wszędzie. Moja blada skóra składa się z mozaiki czaszek, skrzyżowanych kości, mieczy, wzburzonych wód oraz żaglowców. Kolorowe wróble i jaskółki urozmaicają szarą gamę pirackich podobizn.

Śledzę jego oczy, które zjeżdżają w dół do paska moich czarnych spodni.

Normalnie pomyślałbym, że mnie ocenia, ale Maximoff posiada najbardziej etyczne granice ze wszystkich znanych mi ludzi. Mogę się założyć, że prędzej wbiłyby sobie miecz w serce niż zaszkodził swojej moralności.

- Moje są lepsze – odparowuje.

- Będziemy potrzebować bezstronnego sędziego.

Moffy zerka na drzwi.

- Janie jeszcze nie wróciła.

- Powiedziałem *bezstronnego*.

- Znajdź kogoś, kto mnie nie zna i wtedy pogadamy. – Jest świadom, że to niemożliwe. Potem pyta: - Czy nadal masz w kieszeni moją listę?

- No.

- Zechcesz ją wyciągnąć i coś zapisać.

Jego lista była skrupulatna, ale zdecydowanie pominął znaczące szczegóły dotyczące seksu. Nie widziałem na kartce żadnej wzmianki o umowie o poufności, ale musi je posiadać, jeżeli chce pieprzyć nieznanym i zachować nieskradzioną bieliznę.

- Zapamiętam cokolwiek masz mi do powiedzenia – mówię. Już w samochodzie zapamiętałem jego 132 zasady, a tylko przelotnie przeczytałem listę. Pewne ręce, bystry umysł – zdałem jako jeden z najlepszych w klasie w szkole medycznej, co wkurzyło połowę wydziału. Nie „wyglądałem” na takiego. Codziennie słyszałem „wyciągnij kolczyki” i „zakryj tatuaże”.

I niemal zrobili pod siebie, kiedy na drugim roku zrobiłem sobie tatuaże na szyi i ręce. Mimo wszystko zdałem z najlepszym wynikiem.

Maximoff nie naciska, żebym chwycił za kartkę.

- W pewnym momencie – mówi – nie dzisiaj, ponieważ dalej przetrawiam ten nowy układ...

- Związek – poprawiam i natychmiast się spina. Fakt, że w jakiś sposób jesteśmy związani na pewno cholernie go wnerwia.

Pomija mój komentarz.

- Wkrótce wybiorę się do klubu nocnego i znajdę sobie szybki numer. Chodzi o sam seks, BZ – *bez zobowiązań* – przygoda na jedną noc i musisz zapamiętać następną część.

- Co?

- Nie możesz powiedzieć mi *nie*.

Poruszam nozdrzami i powoli wywracam oczami.

- Chyba nie mówisz serio? – Jego spojrzenie mówi samo za siebie. – Moffy...

- Maximoff – poprawia mnie, co prawie skłania mnie do potrząśnięcia głową i tysięcznego spojrzenia w sufit. Wszyscy w jego rodzinie i ekipie ochroniarzy używają jego przezwiska. Jedynie media i społeczeństwo upierają się przy nazywaniu go *Maximoffem*. Przypuszczam, że wrzuci mnie do worka z *brukowcami*, żeby spróbować mnie wkurzyć.

Pokazuje na mnie gestem ręki. – Jak na faceta z tak wspaniałą pamięcią, piekielnie często zapominasz zwracać się do mnie pełnym imieniem.

- *Maximoffie* – wymawiam z przesadnym naciskiem, a on pokazuje mi dwa środkowe palce. Wracam do prawdziwego problemu. – Każdy ochroniarz powiedziałby ci *nie*, gdyby wyczuł, że chce się z tobą przespać osoba ze złymi zamiarami. A ja bym ci powiedział, żebyś *był mądrzejszy*.

Jest sławnym miliarderem. Połowa populacji pragnie jego pieniędzy, popularności albo kutasa. W większości wszystkich trzech i niektórzy są skłonni przekroczyć granicę, żeby je zdobyć. Ktoś mógłby go odurzyć. Mógłbym podsłuchać obgadywania, którego on nie słyszy.

Lista ciągnie się bez końca.

Zastanawia się nad moimi słowami przez niecałą sekundę.

- Musisz zaufać moim instynktom, tak jak Declan.

Moja guma straciła już smak. – Będę im ufać, dopóki cię nie zawiodą. Co ty na to?

- W porządku. Bo one nigdy mnie nie zawiodą. – Kieruje się do drzwi i opuszcza mój pokój.

MAXIMOFF HALE

Jadę do sklepu spożywczego, trzymając jedną rękę na kierownicy. Drugą podnoszę telefon do ust i odzywam się do aplikacji zapisującej notatki głosem.

- Detergent do prania, jajka, płyn do naczyń...

- *Jajkowa zupa do prania* – odpowiada automatyczny głos.

To chyba jakieś pierdolone żarty. Piorunuję wzrokiem komórkę.

- Hamuj. - Rozbawienie Farrowa, który siedzi obok jest oczywiste.

- Psiakrew. – Wciskam pedał hamulca przed uderzeniem w białego sedana. Dwa dni posiadania Farrowa za ochroniarza i już odczuwam efekty.

Roztrzepanie.

Podenerwowanie.

Napięcie seksualne.

Nie uprawiałem seksu od czterdziestu ośmiu godzin. Dziś rano masturbowałem się pod prysznicem i przekłęcie mocno starałem się nie wyobrazić sobie *jego*. Gorąca woda tryskała na moje spięte ramiona i pochylałem głowę, mocząc brązowe włosy. Opierałem na ścianie lewą rękę, która była tak mocno ściśnięta, że zbieleły mi knykcie. Drugą dłonią pocierałem pulsującego, stojącego na baczność penisa, *blągającego* o ulżenie.

Jedna fantazja rozgrywa się w kółko, nieważne jak bardzo próbuję ją wymazać. Farrow wchodzi za mną pod prysznic. Szklane drzwiczki są zamglone parą, jest parno.

Jego władcza, asertywna prezencja napiera na moje muskularne plecy. Następnie wyciąga obok mnie silne ramię i nakrywa dużą dłonią moją zbielełą pięść na kafelkach.

Trzyma mnie mocno. Woda oblewa ostre płaszczyzny i doliny jego mięśni. Przesuwam wzrokiem po jego wytatuowanej skórze. Jego miękkie usta muskają mój kark, przysuwając się do ucha, do którego szepcze swoim najniższym, najbardziej ochrypłym głosem, jaki posiada.

- Maximoff. – Farrow pstryka palcami przed moją twarzą... *cholera*.

Otrząsam się z fantazji, powracając do chwili obecnej, kiedy prowadzę samochód i ściskam kurczowo telefon w dłoni. Farrow przypatruje mi się, jakbym odleciał do nieznanego wymiaru. Jakim cudem znowu poddałem się tej scenie z prysznicem?

Próbowałem sobie przypomnieć, że muszę o tym *zapomnieć*. Na zawsze.

Farrow otwiera usta i ubiegam go, nim zdąży zapytać dokąd odpłynąłem myślami.

- Myślałem o Janie. – *Kurwa, co jest ze mną nie tak? Jane, serio?* Powstrzymuję się od skrzywienia. Może być moją najlepszą przyjaciółką, ale jest także kuzynką. – Wiesz, jadę się z nią zobaczyć – dodaję szybko. W sklepie. To prawda. Prawie wszystko robimy wspólnie.

Farrow obserwuje mnie dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Nastawiam otwory klimatyzacji. Jestem rozgrzany, mam spięte mięśnie. Przynajmniej nie przepociłem szarej bluzki. Przynajmniej mi nie stanął.

Wyciąga do mnie ramię.

Marszczę brwi.

- Potrzebujesz chwili? - Farrow kładzie rękę na moim oparciu.

- Do czego? – Nieruchomieję, ale dzielam uwagę pomiędzy nim, a drogą przed nami. Myślę, że zaraz wykona nieprzyzwoity ruch ręką.

Wykrzywia powoli kąciki ust i drapie się po brwi w miejscu, gdzie jest przebity kolczyk.

- Wydajesz się rozproszony – odpowiada.

- *Nic mi nie jest.* – Ściskam kierownicę dziesięć razy mocniej i ciągle oblizuję wargi, jakbym zamierzał rzec coś innego. Nie mam do zaoferowania nic oprócz *przeleć mnie*.

On jest twoim ochroniarzem. Cóż, kiedy nadaję mu taki tytuł, zaczyna być jeszcze *bardziej* atrakcyjny. Nie sądziłem, że to możliwe. Ale kiedy nie jest moim cieniem, wyobrażam go sobie przy mnie. Mózg odmawia zapomnienia o moim ochroniarzu na chociaż jedną chwilę podczas czasu wolnego od Farrowa.

- Daj. – Farrow pokazuje na moją dłoń.

Mój telefon? – Co?

- Skoro nie chcesz pozwolić mi prowadzić, mogę przynajmniej zapisać ci listę zakupów.

Powinienem odpuścić sobie to zadanie, ale nie jestem przekonany, co do przekazania go Farrowowi. Lubię robić wszystko sam.

- Nie jesteś moim asystentem.

- Jestem facetem próbującym zagwarantować, że nie wywołasz kraksy. Potrzebujesz dwóch rąk na kierownicy, więc... - Gestykuje, żebym wypuścił komórkę, a kiedy milczę, dodaje: - Albo możesz zjechać i wpuścić mnie za kółko...

Rzucam mu na kolana komórkę.

- Naprawdę nie chcesz, żebym prowadził. - Kładzie buta na siedzeniu, opierając łokieć na zgiętym kolanie i bierze do ręki mój telefon. - Dzięki temu dzień, w którym w końcu będę cię woził stanie się o wiele bardziej satysfakcjonujący.

- Masz na myśli ten dzień, kiedy to się nigdy nie zdarzy? - pytam oschle. Dostrzegam, jak przewraca oczami, po czym wskazuję na komórkę. - Odblokowana?

- Jestem już w notatkach. - Poprawia błędy ortograficzne zrobione przez aplikację.

- Janie wysłała mi rzeczy, których potrzebuje. - Zmieniam pas. Śledzą mnie dwie furgonetki paparazzi, więc zerkam ciągle w przednie lusterko. - Jej wiadomość powinna być na samym początku.

Wydaje długi gwizd. - Sto *nieprzeczytanych* wiadomości. - Wyczuwam jego zdziwienie, kiedy mówi: - Naprawdę łamiesz swój kodeks moralny.

Patrzę na niego gniewnie i sięgam po telefon, który odsuwa poza mój zasięg.

- Nieładnie tak ignorować rodzinę.

- Myślisz, że jesteś taki cholernie mądry. - Wjeżdżam pomiędzy dwie ciężarówki i wymijam paparazzi. - Te wiadomości są tylko z dzisiaj, Sherlocku. - Wyłączam kierunkowskaz.

- Poważnie?

- Tak. Znajduję się w dwunastu grupowych czatach z różnymi członkami rodziny. - Mam *jedenascioro* kuzynów. Rodzeństwo i rodziców. Ciotki i wujków. Wszyscy ze sobą rozmawiamy. - Jeżeli nie mogę odpisać w dzień, przeglądam wiadomości w nocy.

- Jeśli ktoś ma nagły wypadek, co wtedy robisz? - Przewija wiadomości od Jane.

- Zerkam na wiadomości, gdyby ktoś panikował, ale jeżeli to coś poważnego, przeważnie dzwonią. - O dziwo, nie mam problemu z ujawnianiem faktów, które generalnie zachowuję dla siebie.

Ufam mu.

Pomaga świadomość, że był częścią mojego życia długo przed tym, jak został moim ochroniarzem. Jest to także *problemem*, ale to już całkiem innego.

Gdy zapada milczenie, zapisuje notatki w moim telefonie i mówi:

- Jane prosi o czekoladowe żółwki, precle, tampony i paczki lemoniady. – Przystawia otwory klimatyzacji i nakierowuje lodowate powietrze na mnie.

Przenoszę wzrok z niego na drogę.

- Zimno ci? – Mogę nastawić cieplejsze nawiewy.

- Wyglądałeś na zgrzanego. – Stuka w mój ekran. Jakim pieprzonym cudem to stwierdził?

- Wcale nie – odpieram i nastawiam cieplejszą temperaturę w samochodzie.

- Nadal mam czas, żeby zadzwonić do sklepu. – Farrow przegląda również swój telefon. – Mogę załatwić, żeby ktoś napełnił wózek wszystkimi przedmiotami z twojej listy. – To bezpieczna trasa zapewniająca, że nie zostałem otoczony przez klientów. Alfa jest znana z wykonywania jednego kroku do przodu i zamykania całego marketu, dając moim rodzicom, ciociom i wujkom prywatność, bezpieczne wyjścia oraz wejścia.

- Nie – odpowiadam stanowczo. – Wolę sam zrobić zakupy. – Zajmuje mi to dwie godziny, ale nie podoba mi się myśl, że ktoś na mnie czeka i marnuje cudzy czas.

- Dobrze. – Brzmi na szczerze pogodzonego z tym scenariuszem.

Spodziewałem się dwuminutowej sprzeczki. Rozluźniam nieznacznie napięte mięśnie.

- Ostrzegam, że kiedy tylko wyjdę ze sklepu otoczą mnie paparazzi – mówię. – Podejdą, żeby zrobić fotki moim zakupom. – Słucha uważnie. – Nie obchodzi mnie czy zobaczą, co kupiłem, więc nie przejmuj się odpychaniem ich. Po prostu muszę być w stanie odjechać o rozsądnej porze.

- Wyprowadzę cię. – Jego zagorzałe przekonanie rozgrzewa moje wnętrze. Unosi mój telefon. – Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Mieloną wołowinę, chipsy, przyprawę do taco, bajgle, płatki zbożowe, proteinowe batoniki i koktajle... - *Potrzebuję prezerwatyw. I więcej nawilżacza.* Kurwa.

Wyczuwam wzrost jego konsternacji na nagłą przerwę, ale dokończa zapisywanie tych przedmiotów.

Nie powinienem się przy nim cenzurować.

W pewnym momencie zabiorę kogoś do domu na noc. Być może usłyszy przez pierdolone drzwi albo ścianę, jak dochodzę. Próbowalem nie robić z seksu tematu tabu w moim życiu. Staram się mówić o nim tak swobodnie, jak o pogodzie z ludźmi, którym ufam. Rodzice wychowali mnie, żebym widział seks w pozytywnym świetle.

I tak będzie, dopóki nie zostanie ze mnie martwy trup.

- Co jeszcze? – Farrow patrzy na mnie. Zmieniam uchwyt na kierownicy.

- Co najmniej trzy opakowania prezerwatyw i nawilżacz na bazie wody – mówię, a mój głos przypomina teraz ząbkowany nóż. Jestem gotów go zmasakrować. *Uspokój się. Jestem strasznie nerwowy.*

Wiem o tym.

Farrow opuszcza stopę na matę samochodową, siadając prosto. Stuka w ekran mojego telefonu, a między nami gęstnieje cisza. Nie potrafię odczytać jego reakcji, kiedy koncentruję się na wieczornym ruchu ulicznym i furgonetce, która niemal styka się z moim zderzakiem.

Próbowałem nie jechać więcej niż dwadzieścia pięć kilometrów więcej niż przepisowo, by pokazać mu, że to nie jest „nawyk przekraczania prędkości”, ale wybór, nad którym mam kontrolę. Mój wybór.

Ale ciężko mi nie zwiększyć podwójnie obrotów, kiedy paparazzi znajdują się *tak* blisko.

Przyśpieszam.

Tylko po to, by wyminąć mustanga i zmienić pas, zwiększając odległość między mną, a paparazzi. Kiedy zwalniam, Farrow kładzie ramię na środkowej konsoli.

- Nawilżacz na bazie silikonu jest lepszy od wodnego – mówi, kończąc listę.

Rzucam mu przelotne spojrzenie.

- Nigdy nie próbowałem.

Zasłania ręką usta. *Co to znaczy?*

Zaczynam spoglądać pomiędzy drogą, a nim. On, droga, on i zdają sobie sprawę... że się uśmiecha. Gdy zauważam jego minę, opuszcza dłoń, pokazując szeroki uśmiech i nachyla się do przodu, wpisując coś do mojego telefonu.

- Co robisz?

Odwraca do mnie głowę i wybielone kosmyki włosów opadają mu na rzęsy.

- Zapisuję ci mój ulubiony nawilżacz, wilczku.

Napinam mięśnie brzucha, żeby powstrzymać wzwód. *Kochany świecie, nie cierpię cię. Nie pozdrawiam, człowiek, który próbuje się nie podniecić.*

- Fajnie – mówię, kiedy oddaje mi telefon. Ta, przefajnie. Niech mój obiekt-westchnień-z-dzieciństwa-zmieniony-w-ochroniarza wybiera mi nawilżacz. To *bardzo* mi ułatwi niefantazjowanie o nim.

Jakie to mądre z mojej strony.

Prawdziwy geniusz.

Może trzeba było zostać na Harvardzie.

MAXIMOFF HALE

Pół roku temu Jane Cobalt wpadła o północy do mojego pokoju z maseczką z awokado na twarzy i różowym ręcznikiem na ciemnych włosach.

- Moffy? – szepnęła.

Jeszcze nie zasnąłem. Zapaliłem szybko lampkę na niespokojną nutę w jej lekkim głosie. I Janie ujrzała dziewczynę gnieźdzącą się pod moją kołdrą. Kompletnie naga, tak jak ja.

Jane skrzywiła się.

- Désolée. Ça n'a pas d'importance. – *Strasznie przepraszam. To nieważne. Zaczęła wychodzić.*

- Attends – szepnąłem z nagłością. *Zaczekaj.* Wyskoczyłem z łóżka i założyłem bokserki. – Jane. – Podbiegłem do drzwi, a moja jednonocna przygoda wychrypiła sennie moje imię. – *Zaraz wracam – zapewniłem ją.*

Zostawiłem uchylone drzwi, żeby była mniej skłonna do zrobienia zdjęć mojej sypialni.

Jane czekała na mnie pośrodku schodów. Na ich szczycie Declan grał na swojej komórce – tamtej nocy pilnował mojego pokoju. Mój ochroniarz dawał mi olbrzymią ilość metaforycznej przestrzeni, ledwo zwracając na mnie uwagę.

- Jane? – Zatrzymałem się jeden stopień nad nią.

- *Wracaj* – powiedziała z naciskiem. – Nie chciałam ci przeszkadzać. Dostałam nagłego... - Pokazała dłońmi na swoje ciało i zrobiła gest, jakby coś z niego wyszło. Jane rzadko kiedy brakowało słów.

Zmarszczyłem brwi i potrząsnąłem głową.

- Z twoich jelit cienkich uwolniła się jakaś istota? – Dobra, nie przywykłem do znaków migowych Jane.

Jej mały uśmiech naciągnął skorupę maski.

- I nadal się zastanawiasz dlaczego nie jesteś wybierany pierwszy do kalamburów.

To też.

Wzięła głęboki wdech.

- Dostałam nagłego... épiphanie. – *Objawienia*.

- Na temat? – Przybrałem pozycję kamiennego posągu. *Wyprowadza się*. To nagłe przypuszczenie zadało mi cios w płuca.

Byliśmy razem od narodzin. Nierozłączni jako dzieci i nastolatkwie. W Filadelfii nie znajdowała się nieskończona lista aktorów i celebrytów, którzy mogliby oderwać od nas światło reflektorów. Nie byliśmy w L.A. czy Nowym Jorku. Nasze rodziny były jedynymi lśniącymi zabawkami w witrynie. Jedynymi zwierzętami w zoo.

Dorastając pod okiem publiki, czuliśmy pokrewieństwo wobec bardzo małej ilości ludzi, więc naturalnie trzymaliśmy się razem. Wchodząc w okres dojrzałości zawsze wydawało mi się, że *mieliśmy* jakoś ruszyć dalej – ale nigdy nie rozumiałem, dlaczego to musiało oznaczać, że mamy zrobić to osobno.

Pragnąłem obecności Janie w moim świecie. I to ona powiedziała, że te trzy miesiące, kiedy rozdzieliliśmy się, idąc na studia – ja na Harvard, ona do Princeton – były „najciemniejszymi, najbardziej nieszczęśliwymi dniami” jej życia.

- Objawienia na temat mojej przyszłości – mruknęła po szybkim spojrzeniu na moje uchylone drzwi. – Znasz te nocne rozważania nad życiem.

Znałem. Gdy mieliśmy po szesnaście lat, wdrapywaliśmy się nocą do domku na drzewie córek Meadowsów i godzinami rozprawialiśmy o naszych tożsamościach. O naszych rolach w świecie.

Kim byliśmy. Wewnątrz i na zewnątrz.

Nasza uwaga została odwrócona, kiedy po schodach wspięły się dwa trój kolorowe kotki. Wzięła na ręce Walrusa i pozwoliła umknąć jego bratu Carpenterowi. Jane miała pięć kotów: Walrusa, Carpentera, Toodles, Ofelię i Lady Makbet. Nigdy mi one nie przeszkadzały ani nawet przybłądy, którym czasem dawała schronienie.

One uszczęśliwiały Janie.

- Nie mogę dłużej działać na rzecz filantropii – powiedziała po krótkiej pauzie.

Aha.

Uderzyło we mnie zbyt wiele emocji naraz, więc odsunąłem je na bok i przytłoczyła mnie ciężka pustka.

Od osiemnastego roku życia Jane była tymczasowym dyrektorem finansowym w Filantropii H.M.C.. Starąłem się przygotować na dzień jej odejścia, ale pozwoliłem tej myśli zdechnąć.

Na zawsze pozostanie u mojego boku.

Tyle, że „zawsze” się kończy.

- Minęły prawie trzy lata, Moffy. – Próbowała pocałować Walrusa, nie brudząc mu sierści awokado. Wtedy wyskoczył jej z ramion. – Praca charytatywna powinna być tylko moim przystankiem. To ty jesteś w tym dobry. Ty rozpaczliwie to *kochasz*. – Wypowiedziała słowo „*kochać*” z samego wnętrza. – Ale ja...

- Nie musisz mnie przekonywać. Wiem, że to nie są twoje zainteresowania. – Żałuję, że nie jest inaczej, ale nie *blagałbym* jej samolubnie, żeby została.

Bo zrobiłaby to z lojalności. A ja nie zamierzałem łapać w pułapkę mojej najlepszej przyjaciółki.

Jane zniżyła głos do szeptu.

- Wszyscy jesteśmy niewiarygodnie uprzywilejowani i myśl o zmarnowaniu chwili albo jakiegokolwiek okazji, którą nam podarowano wydaje się wieczną porażką.

- Nie – burknąłem, martwiąc się dokąd to zmierza.

- To prawda. – Próbowała nie podrapać się po twarzy, ale jej maska musiała swędzieć, ponieważ wciąż marszczyła nos. Uniosła podbródek i spojrzała mi prosto w oczy. – Nie mogę siedzieć bezczynnie i być taką kobietą, której *nikt* sobie nie wyobrażał.

Zacisnąłem szczękę.

- Wywierasz na sobie zbyt cholernie wielką presję. – Robiły tak wszystkie otaczające mnie dziewczęta i częściowo miało to dużo wspólnego z mediami, które nakładały na nie niemożliwe ideały.

Nim jeszcze weszły w okres dojrzewania płciowego miały być wzorami do naśladowania, prawniczkami, piękne, zaciekle, silne, skromne i słodkie – kiedy ja tylko chciałem, żeby były *szczęśliwe*.

- Pozwól, że poprzedzę to przedmową – rzekła Jane – moje objawienie nie ma nic wspólnego z matematyką.

- Dobrze.

Jane uwielbiała w dzieciństwie matematykę. Jako nastolatka brała nawet udział w olimpiadach i ludzie fantazjowali o tym, by Janie rozwinęła karierę w tej dziedzinie. Ale nigdy nie chciała, żeby to była jej *życiowa* pasja. Jednak ludzie na Twitterze, Tumblru, na wszystkich mediach społecznych – ułożyli Jane całe życie, opierając się na jej ulubionym przedmiocie szkolnym.

Dla *dziecka* to była ogromna presja.

Strach przed rozczarowaniem swoich rodziców – to jedna ciężka sprawa. Strach przed rozczarowaniem fanów, świata – to masywny, niezniszczalny mur, w który wpada wielu moich bliskich.

Sam spotkałem się z tym murem.

Jane nabrała głębokiego tchu. Nadchodziło sedno.

- Dziś zdałam sobie sprawę – powiedziała – że spędziłam niemal cztery lata „studenckiego doświadczenia” bez żadnych ambicji. Nijako. Potrzebuję determinacji. – Zaciśnęła pięść, jakby wpuszczając do swojej duszy Joannę d’Arc. – Wyzwania. – W jej oczach zapłonął ogień. – Moi rodzice żyją z ambicji, a mój zbiornik jest suchy. Pusty. *Kaput.*

- Nie jesteś bez ambicji. Studiujesz na Princeton. – W świecie każdej innej osoby byłoby to uważane za sukces. Dla rodziny Cobaltów uczęszczanie do Bluszczowej Ligi było czymś oczywistym.

- Odbynam kursy online – poprawiła mnie. – I zostały mi tylko trzy semestry. Stawiam sobie cel. Wyzwanie. Do zakończenia studiów *muszę* znaleźć ścieżkę kariery. Koniec rzucania się jak zdychająca ryba. Urodziły mnie lwy.

Oto nadeszła największa prawda.

Jej rodzice wiedzieli, co chcą robić jeszcze przed narodzinami. Mama stworzyła własną kolekcję modową w wieku *piętnastu* lat. Tata zaczął prowadzić wielomiliardową firmę farb, magnezów oraz brylantów o nazwie Cobalt Inc., mając *dwadzieścia cztery* lata.

Według rozumowania Jane, nie była nawet zółwciem ciągnącym się w tyle. Jeszcze nie stanęła do pieprzonego wyścigu.

Pragnęła ambicji.

Przysiągłem jej pomóc i od tamtej pory wykonywaliśmy wspólnie przypadkowe aktywności, by rozpaść odrobinę natchnienia. Lekcje latania, wyścigi na wrotkach, a ostatnio *dekorowanie ciast.*

Rozbrzmiewa dzwonek, kiedy Farrow podtrzymuje drzwi eleganckiej, miastowej cukierni. Zamierzałem pierwszy chwycić za klamkę, ale ubiegł mnie o krok.

- Po prostu jestem od ciebie szybszy – mówi bliski roześmiania Farrow, kiedy marszczę gniewnie brwi.

Na łódzie może tak.

- I o wiele skromniejszy. – Wiem, że pozwala mi wejść przed sobą tylko dlatego, że cukiernia jest pusta. Wykupiona na parę godzin przez Jane.

Kilka tygodni temu jej ochroniarz także odszedł na emeryturę i Akara przydzielił jej nową twarz. Dwudziestoletni Quinn Oliveira to najmłodszy ochroniarz w ekipie i dąży do zasłużenia sobie na uznanie, zaczynając od strzeżenia Jane.

Nie znam go zbyt dobrze. Wiem tylko, że jest byłym zawodowym bokserem, Brazylijczykiem pochodzenia amerykańskiego, a jego starszy brat również służy w siłach bezpieczeństwa Omega. Nie przeszkadza mi brak doświadczenia Quinna. Każdy musi od czegoś zacząć, ale uważam za dziwne, iż pozwalają, aby wytrenował go Farrow. Chryste, Farrow praktycznie wyrzucił moje zasady w *pierwszym dniu*. Nie jest idealnym wzorcem.

Quinn góruje nad półką z różnorakimi posypkami w pobliżu witryny okiennej, a tam gdzie Quinn znajduje się również Jane.

Zostawiam Farrowa na przodzie sklepu, zmuszając się do tylko jednego zerknięcia za siebie. Farrow podpira kolano na drewnianym taborecie i rozmawia cicho z Quinnem. Mój ochroniarz wskazuje na wejścia i wyjścia, zapewne dając mu wskazówki czy coś.

Wchodzę w głąb cukierni i kiedy tylko dostrzegam moją najlepszą przyjaciółkę, wykrzywiam usta w uśmiechu.

Jane przygląda się artystycznemu menu na tablicy, podpierając dłonie na szerokich biodrach, jakby ta jedna decyzja miała postanowić o jej przyszłości.

Na długich, kędzierzawych brązowych włosach leżą jasnoniebieskie, kocie okulary przeciwsłoneczne. Jane jest równie unikatowa, co jej styl: spodnie w kolorze mięty, wiktoriańskie rękawy z falbankami pod swetrem w pasy zebry, niedopasowane szpilki z cekinami i torebka w kształcie arbuza – nikt nie zdoła sklonować tej dziewczyny.

Jest jedyna w swoim rodzaju i nie zamierzam jej wypuszczać. Ani za dzień, ani za rok. Kocham ją zbyt cholernie mocno.

Łapię jej spojrzenie, podchodząc szybko i patrzę jak rysuje się jej własny uśmiech.

- Bonsoir, ma moitié – mówię gładkim francuskim. *Dobry wieczór, moja druga połówko*. Całuję ją w piegowate policzki.

- Jesteśmy tylko ty i ja, staruszk. - Długie rzęsy okalają jej opanowane, płonące błękitne oczy.

Niemal jednocześnie obejmuje mnie w pasie, a ja zarzucam ręce na jej barki. Przyciągam ją do ciepłego uścisku. Moje mięśnie zaczynają się rozluźniać, jakbym był w domu.

Znacie Jane Eleanor Cobalt jako najstarsze dziecko z siedmiorga Cobaltów. Jako dwudziestodwuletnią miłośniczkę pasteli, zbierającą koty dziewczynę, która zaprasza was do swojego życia, jakbyście byli dobrymi przyjaciółmi. Oglądaliście filmiki na Instagramie, na których paliła francuskie tosty, mierzyła nową parę spodni i recytowała fragmenty starej literatury.

Również naciskacie na nią, żeby została nauczycielką matematyki i poparła kobiety w STEM². I wtrącać się do tego, z kim się umawia, z kim nie – ale nie jesteście przekonani czy ich związek jest „poważny”.

Ja znam ją jako Janie.

Najlepszą przyjaciółkę, ma moi*t*ié. Jestem tylko miesiąc młodszy od niej, ale ona jest milion lat świetlnych mądrzejsza. Dziewczyna, która oddycha lojalnością, jakby to było trzecie płuco. Która poświęci każdy dzień, każdą minutę i sekundę dla ludzi, których kocha.

Ostrzeżenie: rozwałę wam kolana i nabiję łby na widły, jeśli z nią zadrzecie. Cieszę się, że to ustaliliśmy.

Jane opiera brodę na moim torsie, podnosząc wzrok.

- Tylko my. *Nie licząc* dwóch bardzo postawnych ochroniarzy, pracowników cukierni i twojego rodzeństwa, które przyjdzie o dziewiętnastej.

Zaprosiłem moje dwie siostry i brata, żeby później do nas dołączyli.

- Dzięki, że zadzwoniłaś wcześniej do cukierni – mówię poważnie bez cienia sarkazmu. Gdy zapytałem Jane czy mogę zaprosić młodszego brata, pierwsze co powiedziała to: *Wykupię cukiernię na parę godzin*.

Nasza dwójka – Jane i ja – zwykle nie zamykamy dla siebie sklepów. Dajemy sobie radę z mediami i zainteresowaniem ludzi. Ale Jane wiedziała, że Xander nie przyjedzie, jeśli będą tutaj obcy. Zamiast odpowiedzieć „*zostaw go*” ona pierwsza chciała pomóc we włączeniu go do naszego spotkania.

- Avec plaisir – odpowiada jedwabiście. *Cała przyjemność po mojej stronie*.

Jestem biegły w dwóch językach obcych z *bardzo* różnych powodów. Nie wejdę do króliczej nory, która składa się na ten drugi, ale pierwszy, francuski – Jane i ja uczyliśmy się nawzajem lepiej niż zdołała nas nauczyć szkoła. Szybko go podłapaliśmy, ponieważ jej rodzice są biegli w tym języku.

Obejmuję ją ramieniem, kiedy zwracamy się do tablicy, na której różową kredą są nabazgrane szkice ciast o różnych kształtach.

² STEM – angielski akronim tyjący się dyscyplin nauki, technologii, inżynierii i matematyki

Bum.

Obracam głowę w kierunku witryny sklepowej. Tłumy młodych, *podekscytowanych* dziewcząt napiera na szklane drzwi. Mówię o wystarczającej liczbie ludzi, żeby zalali chodnik i wyszli na ulicę.

Prostuję się, naprężając mięśnie.

- Nasza lokalizacja wyciekła do sieci. – *Tak szybko.* Jane i ja nie przyciągamy tłumów, jakbyśmy byli zespołem na festiwalu Coachella, dopóki ludzie nie piszą o nas w internecie.

Jane zaczyna przeglądać Twittera.

- ...wygląda, że fan wrzucił tweeta, że zobaczył fotografa przed cukiernią.

- Podał adres?

- Oui. – *Tak.*

- Cudownie – rzucam sarkastycznie i wyciągam telefon z kieszeni. Kiedy zaparkowałem przed sklepem, otoczyło mnie paru paparazzi. Nie wspominam o nich przy każdym spotkaniu. To jak zauważenie trawy, betonu czy przeklętego nieba. Wszystko to sceneria mojego świata, która nigdy nie zniknie.

I czasami pieprzy mi dzień.

- Cofnąć się! – krzyczy Farrow przez szybę. Dziewczeta próbują otworzyć zamknięte drzwi. Niektóre walą do okien. Choć jego głos brzmi surowo, Farrow nie wygląda na zaniepokojonego rosnącym tłumem. Ścisza klamkę drzwi, żeby powstrzymać drzwi przed wyrwaniem z zawiasów.

Również Quinn woła do fanów, żeby odeszli, ale wpatruję się w Farrowa. Lustruję wzrokiem jego zrelaksowaną sylwetkę ponad metr dziewięćdziesiąt oraz najwyższe opanowanie w obliczu bardzo stresującej sytuacji.

Farrow odwraca się lekko, nie odrywając ręki od drzwi i spogląda mi szybko w oczy.

Nim zdąży odczytać mój wyraz twarzy, obracam się do niego tyłem i pocieram zaostrzoną szczękę.

W mojej dłoni wibruje komórka. Widzę imiona *Luna* i *Kinney*, moich dwóch sióstr i czytam przychodzące wiadomości.

Moffy!!!! Xander nie chce wyjść z domu :’(((- Luna

Powiedziałam mu, że nie stanie się nic złego, ale zobaczył swoje imię w twitterowych trendach – Kinney

I #CukierniaPhilly – Luna

„*Nie ma wielkiego tłumu*” piszę.

Nie kłam. – Xander

Stukam szybko w ekran komórki.

Jak tu wejdiesz, będę u Twojego boku. Obiecuję. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek Cię tknął.

Na razie brak odpowiedzi.

Podnoszę wzrok. Farrow mnie obserwuje. Podążam za jego precyzyjnymi palcami, które dotykają małego, smukłego mikrofonu dołączonego do czarnej bluzki z dekoltem w szpic. Przewód mikrofonu jest dołączony do słuchawki w uchu i radia przypiętego do paska spodni.

Wszyscy ochroniarze noszą taki sprzęt, ale jeśli dotyka mikrofonu to znaczy, że obecnie rozmawia z innymi członkami ochrony.

- Rezygnują? – pyta Jane, stając przy mnie.

- Prawdopodobnie. – Jeżeli Xander zostanie w domu będzie to oznaczać, że jego lęk gwałtownie wzrósł. Luna i Kinney będą chciały dotrzymać mu towarzystwa.

Próbuję ostatni raz.

„*Odwrócę uwagę tłumu, kiedy przyjedziesz*”. Chcę dodać, że zabiłbym dla niego. Przeniósłbym góry i przedarł się przez skałę. Zrobiłbym wszystko, żeby zapewnić bezpieczeństwo mojemu bratu. Dlatego piszę: „*Przyjgåłbym za Ciebie pocisk. Zrobiłbym cholernie wszystko. Po prostu przyjedź*”.

Wysyłam.

Po dłuższej chwili dostaję odpowiedź.

To nie zadziała. Nigdy nie działa. – Xander

Spinam się i pokazuję wiadomość Janie.

- To już będą dwa tygodnie, jak nie opuścił domu. – Moi rodzice próbują go nie męczyć, co do izolacji, dopóki nie trwa miesiąc. *To wzmacnia jego lęk*, mówią. Ale siedzenie w zamknięciu przez kilka tygodni także nie jest zdrowe.

Jane marszczy brwi.

- Następnym razem najpierw po niego pojedziemy.

Przytakuję w zgodzie.

FARROW KEENE

- Alfa do Farrowa. – W moim uchu rozbrzmiewa srogi głos. Zeskrobuję jajecznicę z patelni do ceramicznej miseczki, następnie wrzucam to pierwsze do zlewu w moim mieszkaniu, nie spiesząc się z odpowiedzią Price'owi. Czterdziestoparoletni surowy przywódca Alfa zachowuje się, jakbym wciąż należał do SBA.

A jestem w SBO.

I nie słucham niczyich rozkazów. Co będę robić: wysłucham poleceń Akary i zadecyduję czy chcę się do nich zastosować.

- *Alfa do Farrowa* – powtarza gniewnie Price.

Opieram się o blat kuchenny i zjadam późną kolację w leniwej, lecz naturalnie szybkiej prędkości. Zegarek kuchenki pokazuje 23:23 – jestem w domu od niecałych dwudziestu minut. Wystarczyły mi do skorzystania z ubikacji, wykąpania się i rozbicia paru jajek. Trzy tygodnie w nowej roli i już zdążyłem przywyknąć do szybkiego stylu życia Maximoffa.

Wypełnia swoje dni od rana do wieczora i jego plany ciągle ulegają zmianie w zależności od paparazzi, potrzebującej rodziny i setki pracowników, którymi zarządza w Filantropii H.M.C. Większości przydzielonych mu ochroniarzy zakreśliłoby się od tego w głowie, lecz jego napięty, pełen stresu harmonogram przypomina mi robienie obchodów na ostrym dyżurze.

Żyję tym, jakby to była normalka.

Co najbardziej zaskakuje: jeszcze ani razu nie był w żadnym klubie nocnym czy barze. On sam powiedział, że to „wkrótce” się wydarzy, ale gra na zwłokę. Nie pytam dlaczego, bo wolałbym na niego nie naciskać, żeby kogoś przeleciał. Jak będzie gotów, to będzie gotów – a ja będę musiał go strzec.

Na tym się koncentruję.

- Alfa do Farrowa, *Alfa do Farrowa* – powtarza ostrym tonem Price.

Powinienem słuchać jedynie *Omega do Farrowa*. Dotykam mikrofonu.

- Farrow. – Przekonajmy się, co ma do powiedzenia. Zjadam parę kęsów jajecznicy, siedząc sam w kuchni, ponieważ mój jedyny współlokator poszedł spać. Ochroniarz Jane, Quinn, nie przywykł jeszcze do dziwnych godzin aktywności. Gdy tylko Jane wróciła do

domu, praktycznie padł ze zmęczenia na górze – pomimo moich najlepszych wysiłków, żeby zasugerować szybką przekąskę przed snem.

Kurs podstawowy na ochroniarza: *jedz w każdej wolnej chwili, bo nigdy nie wiesz, kiedy przydarzy ci się druga okazja.*

- Musisz zapytać Moffy'ego o coroczny obóz dobroczynny – słyszę w słuchawce głos Price'a. – Doszły nas plotki, iż w tym roku zamierza udostępnić to wydarzenie publice, a ochrona potrzebuje potwierdzenia. Zrób to szybko. – Radio milknie.

Udostępnianie kontrolowanego, prywatnego wydarzenia ludziom z zewnątrz stwarza potencjalne zagrożenie, którego nigdy bym nie zlekceważył. Lecz Maximoff ma władzę, by zrobić cokolwiek zechce z dobroczynnym obozem. Nie tylko jako prezes, bo to *on* wymyślił parę lat temu to chwalone i promowane grudniowe wydarzenie.

Bogaci darczyńcy zakupią drogie bilety na trzydniowy wyjazd rekreacyjny z nim oraz paroma członkami rodziny. Zasadniczo płacą, żeby posiedzieć przy ognisku z celebrytami. I tylko niezwykle przyjaźni ludzie mogą zakupić te bilety.

Przysłuchiwałem się wielu jego rozmowom telefonicznym w samochodzie i nigdy nie wspomniał o zmianie formatu obozu.

Włączam mikrofon.

- Farrow do Alfy, gdzie usłyszałeś te plotki? – Przechodzę do salonu, trzymając w ręce miskę. Drewniane drzwi obok ceglanego kominka prowadzą do mieszkania Maximoffa.

- SBA namierzyły słowo „*publika*” w mailu jego asystenta – odpowiada Price. – Potrzebujemy więcej informacji od Moffy'ego. Odpowiedz twierdząco. – Kiedy ochrona włamuje się do maili, robi to dla dobra rodzin. Jednakże dostrzegam ironię. Chronimy ich, ale tym samym odbieramy im prywatność.

Nie mogę zmienić tego faktu.

Alfa, Omega i Epsilon mają motto: *być kilka kroków przed mediami*. Nie da się zatrzymać brukowców, ale musimy być świadomi wszystkiego, co mogłoby potencjalnie trafić do druku i zaszkodzić naszym klientom.

Jeszcze raz włączam mikrofon przed złapaniem za kławkę.

- Odezwę się. – Gdy tylko otwieram drzwi do salonu Maximoffa, obok moich kostek przebiega trój kolorowy kotek.

Obracam się szybko i chwytam zwierzątko Jane. Walrus przesuwając pazurami po panelach, ale podnoszę malca na wysokość twarzy.

- Zły kotek. – Ten dotyka łapą mojego nosa. Uśmiecham się, oznajmiając: - Nie wolno ci uciekać, mały draniu.

Walrus miauczy.

- *Nie wpuszczaj kotków do mieszkania ochrony* – mówiła z naciskiem Jane. – *Nie jest zabezpieczone przed kotami. Wcisną się do szczelin.* – Nie zamierzam zgubić kotka.

Kiedy wchodzę do przyległego salonu, wypuszczam Walrusa, który wbiega pod bujane krzesło. Na parterze nikogo nie ma. Zatrząskuję drzwi kopniakiem i słyszę głosy na wąskich schodach.

Opieram się o marmurową ścianę, jem jajecznicę i przeczesuję wzrokiem ciasny obszar. To udekorowana wersja mojego pustego mieszkania: jasnoróżowa wiktoriańska sofa, poduszki z frędzlami, bujane krzesło, pastelowe koce, szklany stolik na kółkach do podawania herbaty, dwuosobowa ława przy wejściu do kuchni i co najmniej dwadzieścia rodzinnych zdjęć na gzymsie kominka.

Brzydki babciny styl krzyczy Jane Cobalt.

Ich dom wydziela również wyraźny aromat parzonej kawy, herbaty, świec o zapachach kwiatów i *kota*.

Ze skrzypiących schodów schodzi pierwsza Jane ubrana w jasnoniebieskie, jedwabiste spodnie pidżamy i podkoszulek. Niesie butelkę oliwki i zauważa mnie dopiero po zejściu z ostatniego schodka.

- Farrow. – Uśmiecha się i lustruje mnie zaciekawionym spojrzeniem. Jak gdyby to ona przyłapała mnie z oliwką.

- Jane – witam się, nabierając sobie kolejną porcję jajek. Gdyby miała w domu „kolegę” już bym o nim wiedział. Nie ma czasu na odpowiedź, bo za nią schodzi Maximoff, który przeskakuje po dwa stopnie naraz.

Zdejmuje białą koszulkę, mierzwiąc przy tym włosy i pokazując wyrzeźbione ciało, a szare spodnie dresowe zwisają nisko na biodrach.

Unoszę coraz wyżej kąciki ust. Jeszcze mnie nie zobaczył, ale kiedy tylko tak się stanie, wpadnie w cholerny szal. Zajadam się jajecznicą, jakby to był popcorn.

Jane przygląda mi się bardzo uważnie, ale nie mam nic do ukrycia. Bez skruchy pozostaję sobą. Każdej minuty każdego dnia.

- Gotowa, Janie? – pyta, zaczesując sobie szybko włosy. Potem podnosi wzrok i mnie widzi. Nieruchomieje, spinając szczękę i wytrzeszczając oczy.

- Ja też za tobą tęskniłem – mówię żartobliwie, opróżniając miskę. Uśmiecham się coraz szerzej, kiedy irytacja wykrzywia jego rysy twarzy i zaostrza spojrzenie.

- Minęły dwie minuty odkąd cię widziałem. - Maximoff zeskakuje na podłogę.

- Trzydzieści trzy – poprawiam i patrzę jak Jane siada na sofie, odkręcając buteleczkę migdałowej oliwki. Mam przeczucie, iż wiem do czego będzie wykorzystana. Skupiam się na Moffym. – Ekipa ochronna chce dostać więcej informacji, co do obozu.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

- Będziesz musiał poczekać. Obiecałem Janie masaż i ona ma pierwszeństwo.

- Dajesz czy dostajesz? – pytam.

Unosi brwi i oblizuje usta, odwracając lekko głowę. Drapie się po ostro zarysowanej żuchwie.

Uśmiecham się, czując naprężające mięśnie, ale ignoruję to uczucie.

- Chodzi o masaż, wilczku. Dajesz czy dostajesz?

- Dostaję – odpowiada bardziej wyluzowany. – Jane wypróbowuje terapię masażem.

Jane związuje falowane włosy w niskiego kucyka.

- Jeżeli musicie porozmawiać o obozie, mogę poczekać...

- Nie. – Maximoff potrząsa głową. – Teraz koncentruję się na tobie. Twoja ambicja i cel, pamiętasz?

Jane przytakuje i czyta składniki na odwrocie oliwki. Podnosi na mnie błękitne oczy.

- Tobie też mogę zrobić po Moffym.

- Najpierw zobaczymy jak ten pójdzie. – Odkładam pustą miskę na pobliską ławę do kawy.

Maximoff wskazuje bujane krzesło.

- Siadaj. – Rozporządza mną przeważnie dlatego, że on musi usiąść i nie cierpi, kiedy nad nim góruję.

- Postoję. – Przechodzę pomiędzy nim, a krzesłem, żeby stanąć przy gzymsie.

- I uważasz, że to ja jestem uparty? – Siada obok Jane, która klęka za nim. Przyglądam się jego rodzinnym zdjęciom.

- Nigdy nie powiedziałem, że masz wyłączność na upór. – Podnoszę ramkę ze zdjęciem, na którym Maximoff robi przewrót w tył na jachcie Hale'ów, Jane stoi w rogu i pokazuje na niego palcem z udawaną zaskoczoną miną. Obracam zdjęcie w jego kierunku. – Wszystko, co umiesz zrobić, ja potrafię zrobić lepiej.

- Cóż za bojowe słowa – odzywa się Jane, wyciskając na dłonie olejek. – Jako trzecia, bezstronna osoba w tym pokoju zgłaszam się do bycia sędzią wszystkich konkurencji.

- Chyba miałaś na myśli *stronną* osobę. – Odstawiam ramkę. Ta dwójka znajduje się praktycznie na każdej fotografii.

- Umiem być bezstronna – mówi Jane i zaczyna ugniatać *napięte* mięśnie naramienne Maximoffa, który podpira się rękoma o oparcie niewygodnej wiktoriańskiej sofy.

- Kto jest lepszy w boksie? – pytam Jane, obserwując go.

Jane zatrzymuje się i otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Postanawiam jej pomóc.

- F-A-R...

- M-O-F-F-Y – literuje prędko i wypuszcza oddech, jak gdyby uniknęła śmierci przez zdradę. – Ciocia Lily mówi „*prawda cię wyzwoli*” i nie mogłabym się bardziej zgodzić. Czuję się o wiele lepiej. – Z powrotem koncentruje się na masażu, przyciskając knykcie do jego pleców.

Maximoff uśmiecha się do mnie, tak jakby zyskał nade mną przewagę.

- Nie wiem, z czego tak się cieszysz. Właśnie udowodniła, że ma do ciebie słabość.

Maximoff posyła mi spojrzenie.

- Czy nie możesz chociaż przez chwilę przyznać, że *może*, tylko *może*, jestem od ciebie lepszy w twoim sporcie?

Musiabym się mocno wysilić, żeby oderwać od niego wzrok.

- Twoja pokora słabnie.

- Twoja wyższość się pogarsza.

Uśmiecham się szeroko, ale opuszczam kąciki ust, kiedy Maximoff odślania zęby, prawie się krzywiąc. Zerka przelotnie na Jane i próbuje spojrzeć na knykcie, które zbliżają się do jego kręgosłupa. Jego barki pozostają w dalszym ciągu w sztywnej pozycji.

- Spróbuj się odprężyć – sugeruję, zbliżając się do sofy. – Czy może potrzebujesz instrukcji „*jak to zrobić*”?

Przeszywa mnie wzrokiem. – Jedyne instrukcje, jakich potrzebuję to jak zamknąć ci gębę... - urywa, tłumiąc kolejny grymas bólu. Jane nie widzi jego twarzy.

- Jesteś za blisko kręgosłupa – mówię do Jane i wyciągam rękę do jej nadgarstka. – Mogę?

- Proszę.

Przenoszę jej dłonie na jego trapezy, mięśnie boczne łopatek. Zaciskam jej palce, natłuszczając sobie ręce oliwką i kiedy tylko zaczyna ugniatać jego skórę, pyta:

- Lepiej, Moffy?

- No. – Jego kark jest zeszywniały i kiedy spogląda na mnie, nabierając gwałtownie powietrza zdaję sobie sprawę, że powodem jest moja bliskość.

Lustruję wzrokiem jego surową postawę: Maximoff Hale, półnagi, naoliwiony i masowany początkującymi dłońmi.

Poczułby się lepiej pod moimi.

- *Ja pierdolę* – krzywi się. – Jane. – Przycisnęła mu nerw.

Jane podnosi naoliwione ręce.

- Przepraszam. – Zaczyna czegoś szukać. – Merde – mówi *cholera* po francusku. – Poczekaj, Moffy. Jeszcze raz odtworzę filmik. – Kiwa do mnie głową, po czym gestykuje na ławę, na której leży jej telefon. – Mógłbyś, Farrow?

Wycieram ręce o czarne spodnie i biorę komórkę w twardym niebieskim etui ze wzorem w paski zebry.

- Jak poważnie myślisz o byciu masażystką?

Odsuwa łokciem kosmyk włosów z upstrzonego piegami policzka.

- Jeżeli naprawdę mi się spodoba, zbiorę informacje o tym, jak zostać profesjonalną masażystką i od tego zacznę. – Wskazuje na komórkę. – Filmik powinien być w mojej liście „ostatnio oglądanych” na YouTube.

Nie od razu odblokowuję ekran.

- A co się stanie, kiedy trafi ci się klient, który zapragnie „szczęśliwego zakończenia” od sławnej Jane Cobalt?

Maximoff zerka na Jane i wymieniają się spojrzeniem mówiącym, że już przerabiali takie scenariusze.

Ilekcio przeglądam media społecznościowe w poszukiwaniu jakichkolwiek gróźb, te dotyczące Jane Cobalt rozciągają się od obrzydliwych i zwyczajnie przyprawiających o gęsią skórkę do *brutalnych*. Oboje są świadomi, jak postrzegają ich niektórzy ludzie. Potrzeba do tego tylko konta na Twitterze:

Złałbym Jane Cobalt na pieprzoną miazgę. Chcę zobaczyć, jak ryczy.

Związać tę sukę i dobrze poddusić #JaneCobalt

Jane Cobalt lubi się zabawić, jak jej mama. Wyruchana do nieprzytomności, pozostawiona cała wilgoootna!!!

Przelecę córkę Connora Cobalta tak mocno, że nie będzie mogła chodzić.

Omega jest bardzo opiekuńcza wobec Jane, z czego ta nawet nie zdaje sobie sprawy. Przez ostatnie trzy tygodnie przechwytywaliśmy jej pocztę, ponieważ jakiś chory pojeb wysłał jej kulki do ust. Nigdy nie poinformowałam o tym Jane. Ochrona pragnie, żeby oni wszyscy mogli żyć bez ciągłego strachu.

Zgadza się z tym.

Czytamy i zajmujemy się całym tym popierdolonym, obłąkanym gównem, żeby oni nie musieli.

Jane wzrusza ramionami i wylewa sobie więcej oliwki na rękę.

- Musiałabym sprawdzać moich klientów, to nieodłączna i niezbyt przyjemna część.

- Bycia popularną – dodaję.

- Bycia córką Rose i Connora Cobaltów – wyjaśnia. – Wszyscy patrzą na mnie poprzez pryzmat moich rodziców.

- Na dobre i na złe – mamrocze Maximoff i obraca szyją, żeby pozbyć się bolesnego skurczu.

Rozumiem.

Ich sława pochodzi od rodziców, nie od nich samych. Rose i Connorowi Cobalt zdarza się być popularnym dlatego, że ich seks taśmy wyciekły do mediów. W szczególności BDSM. Stąd ludzie przypuszczają, że ich najstarsza córka będzie taka sama, co matka.

Siły bezpieczeństwa posiadają intymną, wewnętrzną perspektywę. Właściwie to prawdę. I wiem, że Jane nie kręci BDSM.

Jane przykłada rękę do pleców Maximoffa, ale czeka na wideo.

- YouTube – przypomina i kiedy nasze spojrzenia się spotykają, dodaje: - Mam szczęście, iż posiadam możliwość na szukanie pasji w moim tempie. I mam szczęście, że mogę choćby *wziąć pod uwagę* myśl o byciu masażystką. Jeżeli znajdę to, co naprawdę pokocham, nie mogę pozwolić, żeby sława stanęła mi na drodze.

Zerkam na Maximoffa.

Zaciska mocno szczękę. On również martwi się potencjalnym zagrożeniem. Widział te tweety i mam przeczucie, iż na razie zaspokaja jej ambicję, ale liczy, że Jane wybierze coś bezpiecznego.

Zbyt łatwo idzie mi odblokowanie jej komórki. *Jane*.

- Gdzie masz kod dostępu? – pytam bardzo *uprzejmym* tonem zważając na fakt, iż dwie trzecie ochrony skarciłoby ją teraz, jakby była przedszkolakiem.

- Nie mam – odpowiada. – Doprowadzają mnie do szału, a jeśli zgubię komórkę, to od razu wyczyszczę dane. Poza tym nie mam tam nic obciążającego. Usuwam wszystkie wiadomości, a większość zdjęć i filmików i tak wrzucam na Instagrama. Nie ma tam nic, co można by ukraść.

Maximoff uśmiecha się dumny ze swojej przyjaciółki.

Jej przygotowanie przypomina mi o czymś, co ekipa mówi na temat *Jane*. Iż zachowuje się beztrzesko, ale całe życie ma naszkicowane i zaplanowane według swojego upodobania i zongluje nim równie mocno, jeśli nie bardziej, co Maximoff Hale.

Gdy szukam filmiku, zwracam się do *Jane*.

- Potrzyj mu łagodnie łopatki i nie zrobisz mu krzywdy.

Maximoff zaciska mocniej dłoń na oparciu i znowu oblizuje wargi. Orientuję się, że mu się przyglądam i kiedy podchodzę do podłokietnika znajdującego się przy jego torsie, jego oczy znajdują się na wysokości mojego paska.

Maximoff patrzy przed siebie odległym spojrzeniem. *Gdzie odleciałeś, Moffy?* Macham mu ręką przed twarzą, ale zatracił się w myślach.

- Farrow. – Niebieskie oczy *Jane* migocą. – Ile wcześniej robiłeś masażów? I dlaczego?

Alfa nazywa ją także *Jane* „ciekawość zabiła kota” Cobalt. Przewijam jej ostatnio oglądane filmiki na YouTube.

- Zbyt dużo i wyszukaj sobie główny cel masażu, to dostaniesz odpowiedź. – Odnajduję wideo i gwizdzę. – *Jak zrobić cudowny, super, fantastyczny masaż*. – Naciskam play i odnajduję rozmyty obrazek dwóch licealistek. – Nie. – Wyłączam filmik. – Pozwól, że ci pokażę.

Maximoff przebudza się, patrząc na mnie wściekle.

- Nie.

- Witamy z powrotem, kosmiczny kadecie.

Pokazuje mi palec i powtarza ostro:

- *Nie*.

Jane potrząsa ramionami, już się zmęczyła.

- Musisz używać do tego całego ciała – mówię do niej, a do niego: - Daj mi zademonstrować, żeby mogła to powtórzyć. – *Z przyjemnością* zrobiłbym mu masaż z wielu innych powodów niż samej pomocy Jane.

Maximoff celuje we mnie palcem.

- Nie masz pojęcia, jak się robi masaż.

- A ty przegapiłeś część, w której mówiłem, że już wcześniej to robiłem. – Kładę telefon Jane na ławie. – Potrafię robić mnóstwo rzeczy lepiej niż przeciętnie. Mam zręczne dłonie.

- Świetnie. – Zachowuje się bardziej uparcie wobec czegoś, co myślałem, że poświęci dla Jane. Skupiam się na jego sztywnej postawie i poruszającym się jabłku Adama, kiedy przełyka ślinę.

- Może Farrow ma rację – odzywa się Jane – może przydałaby mi się demonstracja na żywo.

- Może Farrow gównowo wie – odpiera Moffy.

- Może Maximoff boi się dostać masaż ode mnie – ripostuję.

- Mylisz się. – Wstaje, zwracając się do mnie z tak wielką pewnością siebie, co Atlas dźwigający świat. Zakłada ramiona na nagim torsie. – I co teraz? – Zgadza się na masaż.

Odsuwam butem ławę do kawy od kanapy, po czym zrzucam poduszkę na podłogę.

- Połóż się, wilczku. Pozwól, że zmienię twój świat.

MAXIMOFF HALE

Mam przejebane.

Oddycham przez nos. Powstrzymując cokolwiek, co próbuje rozgrzać mi krew w żyłach i zamącić w głowie. Pożądanie? Irytację? *Zauroczenie?*

Patrzę mu prosto w oczy. Jestem niespieszony, ale przez moje myśli przewija się: *nigdy w całym przeklętym życiu nie chciałem tak bardzo posłuchać takiego polecenia.*

Mam świadomość, iż zawsze ciągnęło mnie do samców alfa. Do takich mężczyzn, którzy chcą być na górze tak bardzo, jak ja. *Niemal* za każdym razem stawiam na swoim, ale sama zabawa bezbronnością bycia z kimś równie silnym, równie dominującym rozpala mnie do cholernego maksimum.

Wyobrażając sobie taką osobę, kiedy stoję tu i teraz, zdaję sobie sprawę, iż Farrow Redford Keene idealnie pasuje.

To twój ochroniarz. Dziękuję ci, sumienie. Z tego powodu nie opuszczam wzroku do jego ust ani sylwetki mierzącej ponad metr dziewięćdziesiąt. Nie pozwalam nawet, żeby odczytał moją reakcję.

Zawiązuję sobie od nowa luźne spodnie dresowe, następnie klękam na dywanie i kładę się na brzuchu. Rzadko znajduję się w takiej pozycji.

Podpieram się na łokciach i oglądam przez ramię, wpatrując zmrużonymi oczami w Farrowa, który zdejmuje swoje srebrne sygnety jeden po drugim.

Chryste. Jego palce... *te palce znajdują się na mojej skórze.* Czuję żar na karku.

Jego brązowe oczy przesuwają się leniwie po moich mięśniach pleców, które ukazują ogromną miłość do pływania i wprawę w stylu motylkowym.

Gdy wsadza sygnety do kieszeni, Janie podaje mu butelkę olejku.

- Czy byłby to okropnie zły pomysł czy dobry, żeby nagrać to dla materiału źródłowego?

- Zły – odpowiadam z żadnego innego powodu niż tego – jeśli w jakiś sposób wycieknie do sieci, ludzie zaczną wypytywać, kto jest moim masażystą amatorem.

Farrow przewraca oczami na słowo *amatorem*, ale również się zgadza.

- Nie nagrywaj.

Oboje wiemy, że w tym hipotetycznym nagraniu ludzie skupiliby się na Farrowie. Ponieważ jest a] cały wytatuowany, b] tak atrakcyjny, że pragniesz „szczęśliwego zakończenia” i c] jego ręce będą dotykać mojego ciała.

Zyskałby popularność.

Sławni ludzie nie mogą chronić sławnych ludzi. Inaczej byłbym ochroniarzem mojego rodzeństwa. A kiedy ochroniarz *potrzebuje* własnego ochroniarza staje się bezwartościowy dla ekipy.

Farrow straciłby pracę.

Jane rozsiada się na sofie.

- A więc będę patrzeć uważnie i notować wszystko w myślach. – Lady Makbet, stara czarna kotka, wskakuje jej na kolana i układa się, mrużąc. Janie całuje futro kotki i drapie ją za uszami.

Lepiej, żeby ten przeklęty kot nie rozproszył uwagi Jane. Nie zamierzam powtarzać tego masażu.

- Cela n'arrivera pas deux fois – mówię jej. *Nie będzie powtórki.*

Pięści Lady Makbet, wbijając we mnie porozumiewawcze jasnoniebieskie oczy.

- Je regarde. Profite du massage, Moffy. – *Obserwuję. Ciesz się masażem, Moffy.*

Podpieram się na przedramionach i raz jeszcze patrzę przez ramię. Farrow naoliwia sobie dłonie, stojąc z przekłątą pewnością siebie. Uśmiecha się szerzej, widząc, że go obserwuję, a kolczyk w dolnej wardze jest zbyt seksowny.

Wszystko tyczące się Farrowa przypomina rozbłysk błyskawicy na nocnym niebie.

Obniża się.

Kurwa... no to zaczynamy.

Kładzie kolano obok mojej talii, a jego but znajduje się po mojej drugiej stronie. Siedzi na mnie okrakiem, ale bez siedzenia. A przynajmniej jeszcze nie.

- Połóż się całkowicie, Maximoff – mówi tym niskim, ochrypłym głosem. – Ramiona po bokach.

Tętno pulsuje mi w szyi. Z napięciem rozkładam ramiona po bokach, co zmusza mnie do odwrócenia wzroku od Farrowa. Wolałbym skryć twarz, więc przykładam czoło do ozdobnej poduszki. Ukrywam się, ale również patrzę na *nic*.

- Nie zabij mnie – burczę.

Pochyla się do przodu, jego usta znajdują się przy moim uchu.

- Sprawienie ci bólu sprzeciwia się mojemu zakresowi obowiązków.

Racja.

- Zaufaj mi – mówi cicho. – Zrelaksuj się. – Jedwabista nuta jego głosu łagodzi mnie od stóp do głów, jakbym wkraczał do parującej sauny.

Ja.

Pierdolę.

Moje zwykle spięte barki chcą się rozluźnić i zmuszam się, żeby nie podnieść ramion na poduszkę. Mam odsłonięte plecy. A pomiędzy Farrowem, a moim gołym tyłkiem znajduje się jedynie szary materiał dresów.

Nie mam żadnych bokserek.

Zapewne potrafi to dostrzec.

Zamykam oczy, nabierając głębszego tchu. Dobija mnie to oczekiwanie.

A wtedy jego rozgrzane, naoliwione dłonie dotykają mojej kości ogonowej. *Cholera jasna*. Wykorzystując ciężar swojego ciała do głębokiego ugniecenia, przesuwa kciukami i wnętrzami dłoni po moich plecach. Dosięga karku i robi kółka wokół szerokich barków.

Gwałtowny wdech urywa się w moim gardle. *Cholerajasnacholerajasna*.

Jego palce i ręce tworzą hipnotyczne ruchy wzdłuż moich pleców, barków, a nawet bicepsów oraz przedramion. Ilekroć przyciska mocniej dłonie do mojej skóry, jakby wykorzystywał do tego całe ciało, wyobrażam sobie jego miednicę w pobliżu moich pośladków... zagryzam mocno zęby.

Zaciskam mocniej powieki. Nie może mi stanąć.

- Odpręż się – szepcze, przejeżdżając kciukami po moim karku. *To jest zbyt, kurwa, przyjemne.*

Pochyla się niżej do mojego ciała, kiedy jego duże dłonie suną po mojej sylwetce, po czym kierują do bioder, drażniąc się z paskiem dresów.

Nie fantazuj.

Nie fantazuj.

Znowu oddycham przez nos. Jeżeli się obrócę i usiądę... pocałowalibyśmy się? Kiedy znowu się pochyla, wyobrażam sobie jego usta przy szczęce. Podgryzające mi ucho, potem ssące, wtedy się odwracam i... *nie*.

Tak.

Tak, do diabła.

Wciąż leżę na podłodze. Wciąż masuje moje spięte barki, które nie chcą się rozluźnić. Jego wargi muskają mi ucho i rzeczywiście szepcze:

- Odpuść.

Nie potrafię.

Kiedy tylko odpuszczę, przekroczę granicę, której nie można przekroczyć.

Ugniata mocniej i głębiej czworoboczne mięśnie, niemal doprowadzając mnie do czegoś, czego nie mogę zignorować. Do stanu euforii. Otwieram oczy, ale prawie wywracam nimi do tyłu, rozchylając leciutko wargi. *Pieprzony...*

Chwytam go za nadgarstek.

Niespodziewanie. Instynktownie. I zamiera z rękoma na dolnej części moich pleców. Nie puszczając go, podpieram się na jednym ramieniu. Moja klatka piersiowa unosi się w ciężkim, urywanym oddechu.

Patrzę na niego.

Farrow oddycha równie ciężko i szuka w moich oczach powodów, dla których go zatrzymałem. Wyobrażam sobie, jak przesuwam jego dłoń niżej. Do paska spodni. Pod materiał.

Zrób to.

Mrugam raz... przypominając sobie o obecności Jane. A wtedy myślę: *to nie powinien być jedyny powód, dlaczego się powstrzymałem.*

To mój jebany ochroniarz.

Puszczam jego nadgarstek.

Stara sofa skrzypi, kiedy Jane siada prosto.

- Jeśli chcecie, mogę was zostawić...

- Nie – mówię stanowczo i wpatruję się twardo w Farrowa, czekając aż odrzuci tę propozycję razem ze mną.

Farrow lustruje moje ciało żarliwym wzrokiem, mówiąc praktycznie *ja bym powiedział tak* i wstaje ze mnie.

Nie mam czasu na namysł.

Na ławie rozbrzmiewa dzwonek mojej komórki oznaczający połączenie, nie wiadomośc. Wstaję szybko i chwytam za telefon. Dostrzegam, kto dzwoni – moja młodsza siostra – i moje oczy zamieniają się w dwa lasery.

Robię się *kolosalnie* skupiony na tu i teraz. Wszystko inne zostaje w tyle.

Przykładam komórkę do ucha.

- Luna? – Słyszę dziwny oddech w słuchawce. Marszczę brwi. – Luno?

Farrow wpatruje się w przestrzeń, jakby ktoś mówił do niego przez radio. Podchodzi do drzwi wejściowych. Jane podrywa się na nogi i sprawdza komórkę, czy nie dostała żadnych wiadomości.

- Luna, *odpowiedz mi*. – Moje kości policzkowe stają się bardziej zaostrome. Słucham w skupieniu, ściskając kurczowo komórkę. Nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś takiego, ale jest również ekscentryczką.

Znacie Lunę Hale jako siedemnastoletnią miłośniczkę kosmitów, która zamieszcza na Twitterze niezrozumiałe teksty i wierzy, że UFO istnieje. Przewalście ją chamsko *Wstydem z Drugiej Ręki*. Niektórzy z was mówią nawet, że jest „nachlana”, kiedy jest stuprocentowo trzeźwa i kwestionujecie zdrowy rozsądek każdego, kto chciałby się z nią umawiać.

Ja znam ją jako młodszą siostrę. Dziewczynę, która zostaje wierna sobie wśród nieustannego pośmiewiska. Kogoś, kogo bezwarunkowo podziwiam i kocham.

Ostrzeżenie: zabiję was, jeśli chociażby źle na nią nachuchacie. Po prostu.

Luna wzdycha cichutko przez telefon. Prawie umyka mi ten dźwięk.

- Rozmawiaj ze mną, sio... - Połączenie się urywa. Co się dzieje, do chuja? Odwracam się do Janie. – Napisałaś do swoich braci? – Najlepsi przyjaciele Luny to dwaj młodszy bracia Jane.

- Oui. – Janie stuka szybko w telefon. – Eliot i Tom przysyłają mi diabelskie emotikonki.

Kręcę głową wkurzony. Jest *pięciu* chłopców Cobalt i moja młodsza siostra musiała zaprzyjaźnić się z tą dwójką, która podpaliła domek dla lalek Janie i śmiała się, kiedy spłonął. Mieli wtedy po dziesięć lat, ale w wieku osiemnastu i siedemnastu lat nadal tańczą w chaosie.

Farrow przemawia do mikrofonu, stojąc przy drzwiach.

- Garaż jest pełen. Musisz ją podrzucić albo zaparkować na ulicy. Spotkam się z nią przy aucie. – Farrow przywołuje mnie gestem ręki, ale już zacząłem do niego podchodzić.

Mój telefon wibruje.

Wiadomość.

Jestem w drodze do Ciebie. Nie mogę gadać ☹ - Luna

- Luna tu jedzie – oznajmiam Janie, która nadal esemesuje i zatrzymuję się parę centymetrów od Farrowa. – Co wiesz?

Włącza mikrofon i mówi do ekipy bezpieczeństwa:

- Okej. – Po czym spogląda mi w oczy. – Luna poprosiła ochroniarza, żeby ją tutaj przywiózł. Poprosiła również, żeby pozostał wewnątrz pojazdu, co oznacza...

- Nie chce, żeby ją podsłuchał – dokańczam, kiwając do siebie głową.

Janie zbiera resztę faktów.

- Musi ukrywać coś przed rodzicami i boi się, że jej ochroniarz się wygada. – Zrobiłby to, bo jest niepełnoletnia.

To nie pierwszy raz, kiedy moje rodzeństwo przychodzi do mnie. Gdy coś spieprzą, moja reakcja jest słabszą wersją naszego nadopiekuńczego taty. Twierdzą, że moja reakcja to trzy czwarte reakcji Lorena Hale'a. Czasami myślę, że sprawdzają swoje złe czyny na mnie, żeby nabrać odwagi, by stanąć twarzą w twarz z nim.

Farrow ogląda w swoim telefonie obraz z kamer na zewnątrz. Gdy przyłapuje mnie na patrzeniu, spodziewam się, że odwróci się ode mnie. Zamiast tego łapie mój nadgarstek i przyciąga do swojego boku. Nasze ramiona prawie się stykają.

- To widok na ulicę – mówi. Obraz pokazuje paru paparazzi wałęsających się po chodniku. – Kiedy samochód Luny podjedzie pod krawężnik, otworzę jej drzwi i wprowadzę do domu.

Krzyżuję ramiona i potakuję. Chciałbym sam wprowadzić bezpiecznie siostrę do domu, ale pogorszyłbym tylko sytuację. Przy ciągle czatujących paparazzi wyjście z mieszkania przypomina celowe zdeptanie mrowiska. Biorąc pod uwagę, iż jestem *śmiertelnie* uczulony na mrówki, nie zrobiłbym czegoś takiego. Zwykle opuszczam kamienicę w samochodzie, wyjeżdżając z garażu.

Jane przesuwa ławę na odpowiednie miejsce.

- Luna może spędzić tutaj noc. Pościelę łóżko w pokoju gościnnym. Możemy nawet obejrzeć jej ulubiony film. – Janie rzuca ozdobną poduszkę na sofę. – Dawno nie widziałam *Strażników Galaktyki*.

- Jasne – rzucam oschle – może odłożymy upieczenie ciastek mojej siostrze i rozłożenie pieprzonego czerwonego dywanu, dopóki nie dowiemy się, co się stało? Z tego, co wiemy, mogła oblać dwunastą klasę. – W zeszłym tygodniu dostała szlaban za

palenie e-papierosa w damskiej łazience. Jest apatyczna wobec szkoły odkąd zaczęła być terroryzowana w podstawówce.

Chciałbym być w jej klasie.

By móc być przy niej częściej niż byłem. Mógłbym powstrzymać to dręczenie. W jakiś sposób. Ale jestem *pięć* lat starszy. Gdy zaczęła chodzić do pierwszej klasy liceum, mnie już nie było.

Farrow przeskakuje na inną kamerę.

Jane zbliża się do nas z łagodną i współczującą miną. Wyciąga do mnie rękę.

Nie przestaję krzyżować ramion.

- Moffy – mówi niepewnie. – Wiem, iż wolałbyś sądzić, że Luna w jakiś sposób dała ciała, ponieważ alternatywa jest bolesna, ale musisz wziąć pod uwagę inne możliwości.

Że mojej siostrze mogło zdarzyć się coś złego. I jedzie tutaj, bo potrzebuje mojej pomocy.

Zamykam wszystkie emocje w żelaznym kufrze. Niczego nie okazuję.

- Jestem tego świadom.

Farrow przygląda mi się krótką chwilę i podaje swój telefon.

- Zaraz wracam. – Wychodzi przez drzwi wejściowe, zatrząskuje za sobą kopniakiem i niemal w tej samej chwili na ulicy pojawia się czarny escalade.

Declan nigdy nie oddałby mi swojego telefonu. Zdaję sobie sprawę, że mogę obserwować moją siostrę z komórki Farrowa. Wiedział, że chciałbym znaleźć się tam razem z nim, ale żeby zapewnić bezpieczeństwo Lunie – przed uwagą mediów, przed oszalałymi paparazzi – nie mogę zrobić więcej.

A on podarował mi lepszy widok niż jakikolwiek inny ochroniarz.

FARROW KEENE

Latarnie uliczne i gwałtowne błyski fleszy oświetlają czarnego escalade stojącego na biegu jałowym. Wyciszam się na głosy ekipy w prawym uchu i przeciskam się spokojnie przez oszalałych paparazzi.

Około pięciu mężczyzn otacza samochód, przyciskając obiektywy do zaciemnionych okien. Inni kręcą się po chodniku i wydzwanają do kolegów z branży.

- Przyjeżdżaj tu natychmiast!

- Myślimy, że to dzieciak Hale'ów, oby Xander.

Dwie osoby tłoczą się przy tylnych drzwiach i szturmuję naprzód. Mój groźny krok i wygląd jest jak wystrzał z pistoletu. Odsuwają się do tyłu i chwytam za klamkę escalade. Udaję otwieranie drzwi, żeby pozbyć się nadgorliwych debili.

Jeden mężczyzna wybiega naprzód i uderza w moje twarde plecy. Posyłam mu krótkie, palące spojrzenie.

Krótkie, ponieważ nie muszą myśleć, że się nimi przejmuję. Niektórzy fotografowie szukają bójki dla materiału filmowego albo odszkodowania (ja im robię krzywdę, oni składają pozew), a większość krzykaczy szuka bójki dla sławy albo dlatego, że są kretynami. A moja robota to unikanie konfrontacji.

Nie ich zaczynanie.

Gdy naprawdę otwieram drzwi, wciskam ciało w wolną przestrzeń. Nie pozwalam jeszcze, żeby paparazzi ujrzeli Lunę.

Nie dziwi mnie, co znajduję. Patykowata siedemnastolatka leży rozwalona na skórzanym siedzeniu, przypominając rozgwiazdę. I jest ubrana w kostium Spidermana. Z maską i w ogóle.

To prosty chwyt, żeby ludzie nie mogli pstryknąć cennej fotki.

Patrzy na mnie do góry nogami.

Nie uśmiechnę się w trakcie pandemonium, ale Lunie zawsze udaje się uczynić życie interesującym. Ze wszystkich dzieci Hale'ów, powiedziałbym, że to jej jestem najbliższy. Na moje dwudzieste piąte urodziny napisała mi fanfic *Avengersów*, w którym Bucky Barnes i Kapitan Ameryka nie byli *zwykłymi* przyjaciółmi. Był cholernie rozrywkowy.

- Luna, gotowa do wyjścia? – pytam.

Kierowca się odwraca. To jej stutrydziestokilogramowy ochroniarz, który przez ostatnich dziesięć minut pieprzył mi do ucha. Nie jestem blisko z nikim z Epsilonu, ponieważ przywódca SBE nazywa mnie „obciążeniem”, kiedy tak naprawdę *on* mógłby się ubiegać o rolę strażnika porządku.

Na szczęście jej ochroniarz *nie* jest przywódcą Epsilonu. Uniknąłem tego bólu głowy.

- Nie chce się odezwać – burczy do mnie.

- Nie musi się odzywać, żeby wysiąść z samochodu. – Wyciągam rękę, którą chwyta i podnosi się do pozycji siedzącej.

Gdy tylko dotyka stopami betonu i puszcza moją dłoń, zamykam drzwi. Wychodzę naprzód, żeby utorować nam drogę i upewniam się, że jest tuż za mną.

Mam oko na przód i ciągle oglądam się na Lunę. Ona nie jest jednym z dzieciaków, którzy boją się paparazzi. Wygląda na to, że nic jej nie jest, ale biorąc pod uwagę, że jej twarz zakrywa strój Spidermana, trudno powiedzieć dlaczego tutaj jest i co się wydarzyło.

Kiedy przed nami nie ma już żadnego fotografa, wycofuję się za Lunę i ochraniam jej plecy. Docieramy na ceglany podest i drzwi stają otworem.

Maximoff wciąga swoją siostrę do bezpiecznego wnętrza.

Kłęcząc na podłodze, szperam w szafce pod umywalką w łazience Maximoffa. Kilka razy uderzam łokciem o pobliski klozet. Nie ma tutaj miejsca nawet na wannę. Jest tylko maleńka kabina prysznicowa.

Odsuwam na bok koszyk z lakierami do paznokci Jane i Maximoff pochyla się obok mnie, również zabierając się za poszukiwania. Jest w nim ta nieodłączna potrzeba *pomagania* i przez ostatnich dwadzieścia minut jest w trybie nadopiecznego starszego brata.

Miłość do rodzeństwa go wzmacnia, nie osłabia.

I jak dla mnie facet, który jest taki opiekuńczy wobec swoich bliskich jest diabelsko seksowny.

Wyciągam z samego tyłu podręczną apteczkę.

- Płyn do płukania ust musi być bezalkoholowy – mówię do niego, a kiedy znajduje butelkę, obaj wstajemy. Otwieram apteczkę, by zobaczyć, czego jeszcze będę potrzebować. Maximoff mi się przygląda.

- Jak aktualna jest twoja wiedza medyczna?

- Wiem więcej od ciebie – odpowiadam, skoro próbowałem na dole zdiagnozować Lunę, dopóki się nie wtrąciłem – i to ja skończyłem medycynę na Yale.

- Ale twoje studia licencjackie trwały tylko dwa lata...

- Ponieważ zdałem potrzebne wymagania szybciej niż przeciętna osoba, Wyrzutku Harvarda.

- Serio? – odparowuje. – Może po prostu byłeś do kitu.

Przewracam oczami i śmieję się.

- Nie tak to działa. – Przeglądam przedmioty w apteczce. Rękawiczki, waciki, plastikowe strzykawkę, termometr, ale nadal mi czegoś brakuje.

- Farrow – mówi poważnie – jeśli nie jesteś przekonany...

- Maximoffie. – Wbijam w niego wzrok. – Jestem *stuprocentowo* przekonany, że ma zakażenie po naprawdę paskudnym przekłuwaniu języka. Jeżeli mi nie ufasz, wyszukaj w internecie jej objawy. Wynik oznajmi ci, że mam rację.

Wyłamuje sobie knykcie. – Ufam ci. Ja tylko... - pokazuje na głowę – przetwarzam, że tydzień temu moja siostra wbiła w siebie język igłę do szycia, który nadal krwawi i może mieć lekką gorączkę. No wiesz, typowy piątkowy wieczór.

Wyciągam sobie przybory i zamykam apteczkę.

- Kiedy nikt nie płacze ani nie jest martwy, to się nazywa udany piątkowy wieczór.

- Dlatego właśnie nie chciała jeszcze powiedzieć moim rodzicom. – Porusza zeszytymi barkami. – Mój tata cholernie padnie na zawał, a mama zapłacze się ze zmartwienia. – Potrząsa głową, myśląc o czymś innym. – *Kurwa*.

- Muszę zrobić sól fizjologiczną, więc zabierz swoje *kurwy* ze mną na dół, wilczku.

Trzyma w rękach płyn do płukania ust, kiedy ja mam resztę składników. Na parterze omijamy salon, w którym Luna i Jane rozmawiają cicho na sofie.

Jak tylko wchodzimy do kuchni, Maximoff nalewa wody do garnka i stawia na kuchence. Uśmiecham się i kładę wszystko na blacie. Przysuwa mi sól i przykuwa moje spojrzenie.

- Wiesz, że sól fizjologiczna składa się tylko z destylowanej wody i soli – zdaję sobie sprawę. – Gdzie się tego nauczyłeś? Na treningu Wilczków?

- Zdrowy rozsądek.

Kto by pomyślał, że zdrowy rozsądek może być tak cholernie atrakcyjny? Gorąco wzrasta.

- Zdrowy rozsądek dobrze na tobie wygląda – mówię ostatecznie. Przechodzę obok niego, żeby wyciągnąć kubek z szafki i ocieram się ramieniem o jego nagą skórę. W tej ciasnej kuchni ledwo jest miejsce na dwie osoby.

Spina się, oddychając płytko i ogląda się na mnie.

Wciąż jest ubrany w same dresowe spodnie, w których jego tyłek jest dosłowną perfekcją. Nigdy nie chciałem dotknąć, przytulić i przelecieć kogoś tak mocno, jak pragnę dotknąć, przytulić i *przelecieć* jego. A chociaż dopiero, co masowałem Maximoffa, mam wrażenie, że to nie wystarczyło.

Ani trochę.

Jednakże powiedział *nie*, a kiedy facet odmawia, wciskam hamulce.

Maximoff nalewa do szklanki destylowaną wodę, z którą mieszam sól, po czym wymierzam niewielką ilość płynu do płukania do drugiego kubka. Nasze bicepsy i przedramiona wciąż się krzyżują i zderzają.

Jego oddech kilka razy wyraźnie się zatrzymuje i musi odchrząkać.

Moje mięśnie palą – jeżeli zrobi to jeszcze raz, to może mi stanąć.

- Co cię wcześniej gryzło? – pytam, zwracając się do jego wcześniejszego „kurwa”.

Maximoff spogląda na przejście z kuchni do salonu, wracając do mnie spojrzeniem.

- Moja młodsza siostra przekłuła sobie język, więc myślę o tym, co inni pomyślą o kolczyku w języku, co będą o niej mówić, jak to wszystko na nią wpłynie – prasa i późniejszy nagłówek: „Luna Hale przekłuwa sobie język, lubi robić loda”.

Nie powiem, że jestem zdziwiony.

- Już ustaliliśmy oficjalnie, że za dużo myślisz o tym, co myślą inni ludzie.

- Muszę – odparowuje. – Każdego przekłętego dnia ludzie osądzają moją rodzinę, a jeżeli istnieje jakiś sposób, żeby ochronić moje rodzeństwo i kuzynostwo przed nękaniami... wykorzystam go.

Wsysam sól fizjologiczną, używając strzykawki. Jego rodzice płacą ludziom, żeby przewidywali nagłówki, zmiękczały upadki i stale o tym myśleli, żeby on nie musiał tego robić. Nazywa się ich publicystami, ale Moffy próbuje być wszystkim dla każdego.

Cecha, którą najbardziej w nim lubię może być również jego najgorszą. Za bardzo się troszczy.

- Najprawdopodobniej – mówię – twoja siostra nie przejmuje się tak bardzo osądem innych.

Maximoff kręci sceptycznie głową.

- Widzisz mnie? – pytam, pokazując kolczyki na twarzy. Mam również przekłute lewe ucho, ale w zeszłym miesiącu wyciągnąłem kolczyk dla odmiany. Mój prawy sutek też jest przekłuty. – Ci z nas, którzy robią sobie piercing i tatuaże generalnie mają w dupie to, co ludzie uważają o wspomnianym piercingu i tatuażach.

Maximoff opiera łokieć na blacie i obraca się do mnie twarzą.

- Generalnie większość ludzi nie ma takiego rodzaju sławy, dzięki któremu internetowe trolle przyklejają twoją głowę do dwóch parzących się królików za pomocą Photoshopu.

To przydarzyło się jego mamie, nie Lunie. Zakładam powoli białe lateksowe rękawiczki.

- Powinieneś pamiętać, że twoja siostra przywykła do pośmiewiska.

Przyswaja to sobie chwilę. Luna nie jest bezbronna wobec okrutnych nagłówków. Posiada odrobinę twardego charakteru, którego jej brat nie bierze pod uwagę.

- I realistycznie rzecz biorąc – podciągam drugą rękawiczkę do nadgarstka – mogła wybrać kolczyk w języku z myślą o seksie oralnym.

Krzywi się. – Nie.

- Młodsze siostry mogą lubić obciążanie – mówię i śmieję się, kiedy patrzy na mnie spod byka.

- Bo ty masz tyle młodszych sióstr. – Dobrze wie, że mam zero młodszych sióstr, zero braci i jedną o wiele starszą przyrodną siostrę. Relacje rodzeństwa są dla mnie niezbadanym obszarem, ale lubię oglądać jego relacje i to jak oni wszyscy mają dla siebie ogromne znaczenie.

To ujmujące.

Maximoff nachyla się bliżej i zniża głos.

- Z tego co wiem, nigdy się nie całowała. – Namyśla się chwilę. – Czy ochrona nie wiedziała, gdyby z kimś była?

- Epsilon by wiedział – poprawiam – a gdybym połączył się z nimi, żeby zapytać, kazaliby mi się odpieprzyć. – Nie jestem na tyle zainteresowany życiem seksualnym Luny, żeby wyciągnąć gałązkę oliwną do SBE. Na liście ważnych rzeczy ta znajduje się bardzo, bardzo nisko.

Gdy Moffy nad tym rozmyśla, ja krzyczę:

- Luna!

Pozbawiona maski Spidermana Luna macha i wchodzi marszem do małej kuchni, a Maximoff wskakuje na blat przy tosterze, by miała miejsce, żeby stanąć przy mnie. Jej rysy są połączeniem rodziców: łagodna okrągła twarz, bursztynowe oczy i długie jasnobrązowe włosy.

- Jeżeli od tego umrę – mówi Luna, bełkocząc odrobinę – powiedzcie, proszę, światu, że wdałam się w bójkę z kosmitą i przegrałam.

- Nie umierasz, siostrzyczko – odpowiada z przekonaniem Maximoff.

Bierze głęboki wdech ulgi, ciesząc się, że zachowa życie. Podaję jej szklankę z mieszanką płynu do płukania oraz soli fizjologicznej.

- Przeplucz i wypluj.

Luna płucze usta i wykrzywia twarz, próbując powiedzieć „szlag by to” z buzią pełną słonej wody. Po jej brodzie spływa ślina. Prowadzę ją do zlewu.

- Wypluj.

Wypluwa do metalowego zlewu zakrwawioną wodę.

- Ale piecze – dyszy, ściskając brzeg umywalki.

- To jeszcze nie koniec – ostrzegam. – Wystaw język.

Luna już się krzywi. – Teraz? – Ociera czoło ramieniem, cała poczerwieniała. Muszę zmierzyć jej temperaturę.

- Wybierasz się gdzieś, Luno? – Maximoff przeszywa ją wzrokiem. – Co innego mamy robić?

- Jane obiecała noc filmów i zawsze moglibyśmy coś obejrzeć, potem wrócić. – Porusza niezgrabnie ramionami. – Tak? – Pokazuje mi uniesione kciuki.

- Wystaw język – powtarzam.

Luna ściąga brwi.

- To Moffy ma być twardzielem.

Przewracam oczami. – Ja pierwszy byłem twardzielem, on mnie skopiował.

- Brzmi jak fan fiction – wtrąca Maximoff.

- Koleś, urodziłem się zanim twoi rodzice zaczęli się oficjalnie umawiać. – Rzucam mu spojrzeń. – Pięć lat starszy, dziesięć razy mądrzejszy.

Pokazuje mi środkowy palec. Uśmiecham się, skupiając na jego siostrze.

- Luno.

Wyciąga niechętnie język. Czerwone smugi bieżą od srebrnej kulki do koniuszka języka, który jest lekko opuchnięty. Przynajmniej kupiła prawdziwy kolczyk. Nie ruszam biżuterii, żeby zakażenie nie dostało się do rany.

Luna pochyla się nad zlewem i używam strzykawki, żeby obmyć miejsce wokół nakłucia, do którego nie dotarłoby zwykle płukanie. Po wszystkim znowu wypływa ślinę do umywalki.

- Skończyłeś? – pyta.

- Jeszcze nie. – Moczę wacik w soli fizjologicznej. – Przyciskaj do języka. – Jest pobladła, a jej czoło lśni od potu. Gdy wsadzam jej termometr do prawego ucha, podsumowuję wszystko, co wiem.

- Dopóki zakażenie nie zejdzie, żadnego całowania czy seksu oralnego.

Przytakuje, ale jej brat wtrąca trzy grosze.

- Całowałaś się już? – Nikt nie mówił, iż Maximoff Hale nie jest równie szczery do bólu, co ja.

- Uhm – odpięra Luna.

- Co? – Opada mu szczęką. – Z kim?

Wyciąga z ust wacika.

- Z chłopakiem ze szkoły. Nie znasz go. Po wszystkim kupił mi kanapkę. – Zaczyna się śmiać na widok zmarszczonych brwi i dezorientacji Maximoffa.

- Totalnie się ze mną pieprzysz. – Milknie. – Prawda?

Tak samo, jak on nie potrafię rozpoznać, co jest realem, a fikcją z Luną Hale.

Luna parska znowu śmiechem, po czym na jej twarzy pojawia się grymas. Dotyka buzi.

- Luna. – Jego ostry głos staje się niższy, bardziej poważny. – Dlaczego w ogóle wybrałaś język? Mogłaś przekłuć sobie ucho...

- Mam już przekłute uszy. – Przeciąga ramieniem po spoconym czole. – Podoba mi się, jak wygląda przekłuty język i myślałam, że łatwo będzie zrobić to samej. – Spogląda pomiędzy nami. – W każdym razie słyszałam, że taki kolczyk niewiele daje przyjemności.

- Rzeczywiście – potwierdza Maximoff, przyznając, iż obciążał mu ktoś z przebitym językiem.

Patrę na niego. – Ten ktoś musi być dobry w używaniu piercingu, żebyś coś poczuł.

Oblizuje usta.

- Wiesz z doświadczenia czy po prostu pleciesz bzdury?

- Mój ostatni były chłopak miał kolczyk w języku. – Termometr pipczy, wypełniając nagłą martwą ciszę. Wyciągam go z jej ucha i odczytuję temperaturę: 38.3. Cholera.

- Masz byłego? – pyta z napięciem Maximoff.

Unoszę brwi i sięgam do kieszeni po telefon.

- Czterech, dawno zapomnianych byłych. – Przewijam listę kontaktów.

Luna opiera łokcie na brzegu zlewu.

- Moffy nigdy z nikim nie chodził. – Cały świat wie, że nie spotyka się z nikim publicznie, ale nie miałem pewności czy znalazł w przeszłości sposób, by umawiać się prywatnie.

- Nigdy z nikim nie byłeś? – pytam, nie ruszając się przez chwilę.

- Nie.

Nie mogę pohamować uśmiechu.

- Twoja niewinność wychodzi na jaw. – Wracam do komórki.

- Jestem przekonany, że uprawiałem więcej seksu od ciebie.

Luna nie wygląda na zdziwioną, że w ogóle z kimś sypiał, a skoro ufa swojej rodzinie jestem pewien, że jest przy niej bardziej rozluźniony.

- Tego żadne z nas nie wie na pewno, wilczku. – Znajduję w komórce odpowiedni kontakt. – Po drugie, nie zdobędziesz nagrody za puszczenie się. Tak jak ja nie wygram żadnej za bycie w związkach. Po trzecie, nadal jesteś *niewinny*.

Burczy naburmuszony, co prawie znowu wywołuje mój uśmiech, ale muszę zadzwonić do kogoś, z kim nie jestem chętny rozmawiać. Nim Maximoff zdąży zapytać, wyjaśniam, co zamierzam.

- Luna potrzebuje antybiotyków. Mogę podać jej ogólnodostępny lek na zwalczanie gorączki, ale żeby pozbyć się zakażenia, będzie potrzebować recepty.

Przygląda się mojej komórce i ekranowi, na którym widnieje TATA. Podnosi na mnie wzrok.

- Jesteś lekarzem. Nie możesz sam przepisać tych leków?

- Nie odbyłem stażu, więc nie posiadam medycznej licencji. – Mogę mieć przy imieniu doktora, ale to praktycznie bezużyteczne bez ukończenia stażu i stawienia się przed komisją.

- Teraz mi to mówisz.

Znowu przewracam oczami.

- Wiem wszystko, co każdy lekarz, po prostu nic nie mogę zrobić, jeśli nie chcę zostać pozwany.

- Pójdę się położyć – mamrocze Luna.

Maximoff koncentruje się na siostrze.

- Zostań z Janie na wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała.

Luna kiwa głową i przykłada zmoczony wacik z powrotem do języka. Kiedy wychodzi, Maximoff zeskakuje na podłogę i wyciąga mi telefon z ręki.

- Będzie szybciej, jeśli to ja zadzwonię do twojego taty – mówi.

To mi przypomina, że wszyscy – wszystkie siły bezpieczeństwa *oraz* rodziny – wiedzą, iż jestem w najgorszym możliwym stosunku z moim ojcem. Zaakceptował każdy tatuaż, każdy kolczyk, każdy sposób wyrażania własnego ja, ale w dzień, kiedy rzuciłem medycynę spojrział prosto na mnie przed tymi sławnymi rodzinami, przed ogromną ekipą ochroniarzy w upalne święto pracy i powiedział głośno i wyraźnie:

- Jesteś rozczarowaniem.

Jeżeli zadzwonię do niego teraz w sprawie medycznej, istnieje szansa, że rzuci słuchawką.

Przytakuję Maximoffowi i pozwalam mu pogadać z moim ojcem. Zostaję podczas rozmowy, ale trwa jakieś trzy minuty, kiedy załatwia receptę i oddaje mi komórkę.

- Zostajesz na noc? – pytam.

- Tak.

- Dobrze. – Moim biletom na wyjście z jego mieszkania od początku były upragnione przez Price'a informacje, co do wydarzenia obozu. Wyczuwam, że mój czas się kończy i muszę wsiąść do pociągu do niepożądanego miejsca przeznaczenia. Wolałbym zostać tutaj, ale obowiązki wzywają. – Muszę znać twoje plany, co do grudniowego obozu dobroczynnego.

Maximoff splata ramiona na nagim torsie.

- Możesz powiedzieć ochronie, że plany pozostają bez zmian oprócz procesu wejścia.

Przestępuję z nogi na nogę. – Co masz na myśli?

- W październiku nie wejdą do sprzedaży piekielnie drogie bilety. Zamiast tego zorganizujemy loterię.

- Loterię – powtarzam beznamiętnie.

- Mój zespół przewidział, że zarobimy pięćdziesiąt milionów przy tym, czy tamtym wstępie na obóz – i zdaję sobie sprawę, że loteria niesie ze sobą większe ryzyko – ale chcę dać tym, których nie stać na bilety okazję doświadczenia tego zdarzenia. Więc za każdy wpłacony dolar dana osoba wrzuca swoje imię do loterii. Tydzień przed obozem wylosujemy uczestników.

Cały sztywnieję.

- Zasadniczo otwierasz trzydniową wyprawę dla każdego, kto posiada dolara. – *Dla publiki*. Unoszę rękę, czując szybko bijące tętno w gardle. – Ilu zostanie wybranych uczestników przez loterię?

- Wszyscy. Więc trzystu.

Trzystu. Ochrona będzie musiała prześwietlić *trzysta* osób w siedem dni. A jeśli prześlizgnie się ktoś ze złymi zamiarami, Maximoff będzie w śmiertelnym zagrożeniu.

FARROW KEENE

Pot spływa po moich skroniach, uderzam w czerwony worek treningowy i kończę kombinację prawym sierpowym i mocnym kopniakiem z lewej. Jest godzina 4:23.

Niecałe pięć godzin po tym, jak przekazałem ekipie informacje na temat loterii Akara powołał obowiązkowe i „nagle” spotkanie Omegi w Studio 9.

Widzicie, rozpoznaję zagrożenie wiążące się z loterią, ale jeśli nie potrafię nawet przekonać Maximoffa do wpuszczenia mnie za kółko swojego audi, to wątpię, by *ktokolwiek* zdołał go namówić do zmiany wydarzenia dobroczynnego, w które włąć miesiące pracy i myśli.

I ostrzegłem Maximoffa, że cała ochrona zareaguje gwałtownie wobec jego zmian.

- Pomówię z Trój-Siłą i dostosuję się do tego, co konieczne, ale loteria zostaje – powiedział.

Niewielu ludzi zgłasza się na ochotnika do rozmówienia ze wszystkimi głównymi ochroniarzami jednocześnie. Price Kepler z Alfy, Akara Kitsuwon z Omegi i zmora mojej kariery Thatcher Moretti z Epsilonu znajdują się na szczycie hierarchii ochrony.

Trój-Siła.

Przenoszę wzrok na zamknięte drzwi, na których widnieje srebrna plakietka z napisem *biuro*.

Maximoff przebywa tam z Trój-Siłą już od piętnastu minut. Troje przywódców sądzi, że zdoła mu „bardziej naświetlić” ryzyko, ale Moffy za dużo myśli. Cokolwiek mają mu do powiedzenia, on już na pewno wziął to pod uwagę.

W skrócie – marnują czas.

Ściągam czarne rękawice bokserskie, moja klatka piersiowa unosi się i opada w ciężkich wdechach. Trzy rzędy czerwonych worków treningowych znajdują się po prawej stronie siłowni, gdzie teraz stoję. Po przeciwnej stronie mieści się ring, podpórki na ciężary i inne sprzęty gimnastyczne.

W Omedze znajduje się tylko pięciu ochroniarzy. Jesteśmy młodzi w porównaniu z resztą sił i to umyślnie. Hale’owie, Meadowsowie i Cobaltowie zatrudnili nas, byśmy przetrwali parę dekad w tej karierze, nie parę lat. Gdy jesteśmy zbliżeni wiekiem do naszych klientów, to bardziej prawdopodobne, że pozostaniemy na dłużej.

Gdy czekamy, aż Akara opuści biuro, nasza czwórka znajduje sobie czas na trening, ale zwalniamy po około dwudziestu minutach.

Oscar zsuwa niebieskie rękawice, a jego mokre, kręcone brązowe włosy zwisają ponad chustą.

- Ludzie, słyszeliście, że Luna przekłuła sobie „niecenzuralne” miejsce?

Przywykłem już, że wieści roznoszą się szybko wśród sił bezpieczeństwa. Ochroniarze plotkują jak rodzina, ale nigdy nie podajemy informacji mediom. Nawet przypadkiem. Każdy jest nazbyt ostrożny.

Quinn przerywa robienie brzuszaków przy swoim worku treningowym.

- Co... że jej...? – Pokazuje na krocze.

Przewracam oczami i odwijam czarne taśmy z ręki.

Donnelly przerzuca sobie ręcznik przez ramię.

- Łechtaczkę? To nie jest takie złe słowo.

- Odczepcie się wszyscy od Quinna, dobra – wtrąca Oscar – mój mały braciszek jest młody, podatny na wpływy i nadal trzyma się swojej niewinności oraz cnoty; tymczasem my potraciliśmy umysły.

Quinn rzuca zieloną rękawicą w starszego o dziesięć lat brata.

- Brachu, codziennie mogę z łatwością mówić *łechtaczka*. *Łechtaczka*, *łechtaczka*, *łechtaczka*, *łechtaczka*...

- Rozumiemy – mówię, upuszczając taśmę na matę do ćwiczeń.

Quinn drapie się po zarośniętej szczęce, jego złotobrazowa skóra lśni od potu, a pod okiem widnieje maleńka blizna. Ma również lekko przekrzywiony nos po krótkim epizodzie i złym ciosie w rundzie zawodowego boksu. Oscar posiada podobne trwałe ślady. Ochrona żartuje, iż nieważne, ile lania dostali Oscar i Quinn w przeszłości jako bokserzy, na zawsze pozostaną przystojnymi sukinsynami.

- Specjalnie się ocenzurowałem – wyjaśnia Quinn. – Nie zamierzałem wspominać o... no wiecie, czymś nastolatki.

- Łechtaczce – mówi Donnelly.

- Żelku – dodaje Oscar.

- Magicznym guziku. – Donnelly uśmiecha się ironicznie.

Quinn potrząsa głową, jakbyśmy wszyscy byli popieprzeni.

Unoszę brwi. – To ty przypuściłeś, że „niecenzuralnym” słowem była „przekłuta łechtaczka”. – Przekrzywiam do niego głowę. – I czy ty, *tak jakby*, nie byłeś, *tak jakby*, nastolatkiem rok temu?

Oscar i Donnelly wybuchają śmiechem, a Quinn przeszywa mnie słabym morderczym wzrokiem. Musi trochę popracować nad swoim „zastraszaniem” – jest bardzo zielony: nowusieńki w ekipie bezpieczeństwa i jako dwudziestolatek najmłodszym ochroniarzem. Jeżeli schrzani, wszystko spadnie na barki Omegi, choć tak właściwie to na moje.

Akara codziennie do mnie pisze:

Jeśli Quinn czegoś potrzebuje, pomóż mu.

Sprawdź, co u Quinna.

Informuj o wszystkim Quinna.

Kiedy opuściłem Alfę i dołączyłem do Omegi, Akara powiedział mi wprost.

- Nie działaj na własną rękę. Potrzebuję, byś pomógł nowemu. – Ponieważ przebywam z Quinnem tak często, jak Maximoff spędza czas z Jane.

Czyli dosłownie, co dwie godziny.

Nieumyślnie stałem się przez to nieoficjalnym mentorem Quinna, a nigdy nie nazwałbym się nauczycielem. Lubię robić wszystko po swojemu.

Oscar powinien wypełnić tę rolę, ale bracia Oliveira poprosili o separację by uniknąć „wewnętrznych konfliktów rodziny”. Pewnie dlatego, że parę lat temu prawie przestali ze sobą rozmawiać, kiedy Oscar trenował Quinna w boksie.

Nikt nie wspomina o tym starym rozdźwięku. Ledwo da się zauważyć, że miał w ogóle miejsce.

Quinn bierze do ręki swoją butelkę wody.

- A więc co tak naprawdę Luna sobie przekłuła?

- Myślę, że pępek – odpowiada Oscar.

Donnelly zawiesza się na swoim worku, jego blade ramię pokrywa kolorowy tatuaż. To kasztanowłosy, niebieskooki bezwstydnny dwudziestosześcioletek z południowej Filadelfii.

- Prawda czy plotka, Farrow?

- Skąd miałbyś wiedzieć? – pyta mnie Quinn, jakbym ukrył przed nim jakieś informacje. Teoretycznie tak zrobiłem.

- Ponieważ jestem bliżej Hale'ów niż wy wszyscy razem wzięci. – Każdy z nich jest całodobowym ochroniarzem Cobalta i pod koniec dnia wszyscy jesteśmy zwolennikami chronionych przez nas rodzin. Hale'owie, Cobaltowie i Meadowsowie dożgonnie się kochają i woleliby, żebyśmy my także kochali po równo wszystkie trzy rodziny.

Ale spędzanie całych dni z jedną rodziną sprawia, że się przywiązujemy.

- Zobaczysz, braciszku. - Oscar poprawia sobie chustę. – Wkrótce będziesz wyjeżdżać na europejskie wakacje z Jane i resztą imperium Cobaltów – podczas gdy nasz Farrow utknie na komiksowych konwentach z brygadą geeków.

Uśmiecham się.

- Masz na myśli, że znajdziecie się w *potrzasku* w prywatnym odrzutowcu z siedmiorgiem Cobaltów, ich rodzicami i szybkim przekomarzaniem, które przyprawi was o trwałą migrenę dziesięć kilometrów nad ziemią.

Donnelly celuje we mnie swoją butelką.

- Jak będziesz szturchać nasze legowisko lwów, Farrow, zostaniesz ugryziony.

Rozciągam usta, moja lojalność zawsze jest wyraźna. Hale'owie są znani z serdeczności wobec dziwaków i czarnych owiec, to miłośnicy fandomów, są wszechstronnie wyluzowani oraz fajni. Pierwszego dnia ochrony Lily, zwróciła się do mnie z pytaniem:

- *Do jakiego należysz domu?*

Chodziło jej o dom *Harry'ego Pottera*. Kiedy powiedziałem jej, że nigdy nie przeczytałem tej serii, kupiła mi siedem książek i zaznaczyła ulubione fragmenty.

Hale'owie to grupka głupełców. Dla mnie - można ich pokochać od razu.

Ale szanuję również pozostałe dwie rodziny. Imperium Cobaltów jest największe, znane z królewskiego opanowania, sprawności intelektualnej i zacieklego wzajemnego oddania. Każdy Cobalt jest pełen dumy i namiętnie wyjątkowy, ale kiedy przyjdzie, co do czego łączą się niczym armia.

- Gdzie wybierają się Meadowsowie na rodzinne wycieczki? – pyta Quinn.

- Na Kostarykę – odpowiadamy razem.

Quinn rzuca drugą rękawicę w stronę naszych toreb.

- Akara to szczęśliwy łajdak.

Ochroniarze *ubiegają* się o przydział do dwóch córek Meadowsów. Ta czteroosobowa rodzina jest szalona, żadna przygód i więcej niż pół roku spędzają na łonie natury. Ponieważ Akara ochrania Sullivan Meadows, najstarszą córkę, wędrował z

plecakiem po Południowej Ameryce, pływał z rekinami w Keys, a w zeszłe lato stał za kulisami, kiedy wygrała cztery złote medale w dyscyplinie pływania.

Donnelly kiwa do mnie głową.

- Prawda czy plotka? Myślałeś, że zapomnę o twoim braku odpowiedzi?

- Plotka – odpowiadam spokojnie, nie mając nic do ukrycia. Prawda jest lepsza niż pozwalanie ochronie na naciągane przypuszczenia. Dlatego dodaję: - Przekłuła sobie język.

Oscar podpira się ramieniem o worek treningowy, wcale niezaskoczony. Jego wyraz twarzy mówi: *widziałem wszystko, nic mną nie wstrząsie*.

- Epsilon nie powinien kablować na dzieci – mówi. – Gdyby ufała swojemu ochroniarzowi, mógłby zabrać ją do studia piercingu bez wiedzy jej rodziców.

- Tak wolno? – pyta Quinn, ale nikt nie odpowiada na to podchwytliwe pytanie. Czy wolno? Nie bardzo, ale najlepsi ochroniarze idą do grobu dla swoich klientów.

Ja tak zrobię.

Odwracam się do Oscara.

- Za trzy miesiące Luna kończy osiemnastkę. Gdyby chciała, mogłaby poczekać do listopada, żeby profesjonalista przekłuł jej język.

Oscar przekrzywia głowę.

- A więc samodzielne przekłucie nie ma nic wspólnego z tajemnicą? – Podnosi ramiona. – To *dlaczego?*

- Bo tego chciała. – Zauważam, że klamka drzwi biura nieznacznie się przekręca. Donnelly siada na macie, opierając się o swoją torbę.

- Musiałem być w jej wieku, kiedy sam sobie przekłułem chrząstkę. – Porusza palcami. – Czteroma agrafkami.

Oscar bierze łyk wody. – Branie siebie za przykład, Donnelly, automatycznie dodaje do argumentów *przeciw*.

Donnelly puszcza mu całusa składającego się ze środkowego palca.

W końcu otwierają się drzwi biura i wychodzi stamtąd czterech mężczyzn. Natychmiast wbijam spojrzenie w Maximoffa. Jest opanowany i pewny siebie, nie kuli się wśród zdecydowanych postaw Trój-Siły.

Niech to.

Zaczynam wykrzywiać kąciki ust, ale opuszczam je na jedną irytującą myśl: nie wychodzę z Maximoffem. Thatcher i Price powiedzieli, że eskortują Moffy'ego do jego kamienicy. W ten sposób będę mógł uczestniczyć w spotkaniu Omegi.

Wolałbym sam go wyprowadzić.

Maximoff żegna się z Akarą. Gdy Price i Thatcher kierują się przed Moffym do wyjścia siłowni, on trzyma się chwilę z tyłu. Jego ciemnozielone oczy przeszukują otoczenie, po czym łądują na mnie. *Szukał mnie.*

Uśmiecham się szerzej i unoszę porozumiewawczo brwi.

Oblizuje usta i lustruje moje wilgotne włosy oraz czarną bluzkę przylegającą do mięśni.

- Już zmęczony po pięciu minutach treningu? – woła.

- Dwudziestu – poprawiam – i nie zapominaj, że wytrzymuję dłużej od ciebie.

Maximoff przykłada rękę do serca w drwiącym geście i pokazuje mi wulgarny gest, idąc do wyjścia. Drzwi zamykają się za nim ze stukotem.

Oscar podpira się na worku treningowym, nie odrywając wzroku od wyjścia.

- Zdjęcia nie przedstawiają tego gościa w tak dobry sposób.

Pocieram dolną wargę, czując pod kciukiem chłodne kółko. Wiem, że Oscar jest biseksualny, ponieważ poznałem go na Yale. On także studiował nauki ścisłe, tyle że koncentrował się na kinezylogii, więc mieliśmy razem parę kursów, a w piątkowe wieczory chodziliśmy do gejowskich barów, ponieważ a] Oscar jest rozrywkowy, b] obserwowanie jak podrywa facetów jest cholernie zabawne; nikt nie ma równocześnie najlepszych i najgorszych tekstów na podryw.

Doszukuję się czegoś w jego słowach.

- Uważasz, że Moffy jest gorący?

- Wszyscy uważają, że Moffy jest gorący. – Oscar obraca się do mnie. – Byłoby niemal niemożliwe odnalezienie kogoś, kto twierdziłby inaczej. Widzisz, jaki jest. W skali od jeden do dziesięciu jest...

- Poza twoją ligą – mówię rzeczowo. Staram się nie wyjść na terytorialnego. Naprężam mięśnie, ale Oscar tego nie widzi.

- Raczej bardzo, bardzo *niedostępny*.

Może.

- Hej, zajmijcie wszyscy miejsca. – Podchodzi do nas Akara.

Oscar i ja obniżamy się na maty, na których siedzą już Donnelly i Quinn. Gdy tylko znajdujemy się na ziemi, Oscar wsadza rękę do paczki Doritos.

Cholera, z Oliveirą jest tak, że mógłby spakować do swojej torby całą alejkę przekąsek. Ten facet ciągle jest głodny.

- Zaczniemy po kolei, jeżeli zamierzacie polecać swoich kumpli z siłowni jako ochroniarzy, *pytajcie* skąd pochodzą. To nie takie trudne. Na przykład tak – *hej, Donnelly*.

- Cześć, szefie.

- Gdzie się urodziłeś i wychowałeś?

- W południowej Filadelfii. – Poklepuje się po piersi. W jego ustach *południowej* brzmi jak *powudniowej Filadelfii*.

Akara gestykuluje do braci Oliveira.

- Oscar i Quinn, gdzie się urodziliście i wychowaliście?

- W północno-wschodniej Filadelfii – mówią dumnie.

Akara kiwa do mnie głową.

- W północno-zachodniej Filadelfii, dwie przecznice od ciebie. – Dorastaliśmy w zamożnej dzielnicy i uczęszczaliśmy do tego samego liceum. Byliśmy znajomymi. Zaprzyjaźniliśmy się, kiedy Akara otworzył tę szkołę i byłem jednym z pierwszych, którzy tutaj weszli.

- Widzisz, łatwizna – mówi Akara do Oscara, wywołując go. Trój-Siła zatrudnia tylko tych, którzy urodzili się w Filadelfii. Pragną mieć w ekipie ludzi, którzy potrafią nawigować po mieście z zawiązanymi oczami.

Oscar podnosi rękę. – Myślałem, że Reynolds jest stąd. Miał tę irytującą, południowo-filadelfijską nutkę, przypominał Donnelly’ego próbującego zamówić sobie śniadanie w Lucky’s Diner – wciąż gadał *bałgle* i *gofły*.

Wybuchamy śmiechem.

Niemal wszyscy posługują się łagodnym albo żadnym dialektem, ale mieszkańcy południowej Filadelfii mają o wiele mocniejszy akcent.

- Powtarzam – Akara uśmiecha się – *pytajcie* skąd pochodzą, to mi zaoszczędzi czasu. – Siada w końcu na macie, zamykając okrąg. Obrzucając nas spojrzeniem, układa wargi w poważnej linii. – Nie spodoba wam się, co zamierzam powiedzieć na temat dobroczynnego obozu, ale dostaniecie całe pięć pieprzonych minut na marudzenie. Potem koniec tematu. Nie chcę słyszeć, żeby ktokolwiek jęczał przez radio przez następne trzy miesiące. Nie bądźcie tym facetem.

Quinn kiwa parę razy głową. *Akara powinien być jego mentorem.*

- Szkoda, że Oscar już jest tym facetem. – Zawieszam ramię na zgiętym kolanie.

- Odezwij się do mnie, kiedy zostaniesz przydzielony do Charliego Cobalta. Sam byś zaczął zrzędzić, gdyby twój klient postanowił poeksperymentować z halucynogenami na koncercie muzyki metalowej, a niecały dzień później bierze osiemnastogodzinny lot, żeby być wolontariuszem Czerwona Krzyża na innym *kontynencie*. Nigdy nie widziałem, żeby był zmęczony albo chociażby ziewnął.

- Jestem pewny, że zmęczył się tobą, Oliveira – mówię.

Wszyscy znowu się śmieją.

Quinn gestykuluje do starszego brata.

- Nie powinieneś narzekać na swojego klienta Jo. Wczoraj ciągle mówiła: *Zdołam chronić Charliego lepiej niż Oscar.*

Oscar wzdycha poirytowany. Ich młodsza siostra Joana nie należy do ekipy ochronnej i spotkałem ją tutaj ze dwa razy. W tym roku zaczęła zawodowo uprawiać boks, a bracia Oliveira nie chcą, żeby rezygnowała.

Chociaż Oscar dużo narzeka, nikt inny nie mógłby wykonywać jego roboty.

Wielu próbowało. Jest strategiczny i doskonale pasuje do Charliego Cobalta, dlatego od trzech lat jest jego ochroniarzem.

Akara pstryka palcami, by skupić na sobie uwagę.

- Gotowi na wieści?

- Dawaj. – Donnelly kiwa głową.

- Moffy wyraził się jasno, że nie pozwoli, by jego niepełnoletnie rodzeństwo albo kuzynostwo wzięło udział w wydarzeniu.

- Epsilon wypada – mówi Oscar, skoro SBE chronią młode dzieciaki.

Akara potrząsa głową i odgarnia czarne włosy.

- Większość z nich tam będzie dla dodatkowego bezpieczeństwa.

Rozciągam przed sobą nogi i bose stopy, czując nadchodzący skurcz. Nigdy nie potrzebowaliśmy dodatkowej ochrony dla tego obozu i ten fakt wznosi martwą ciszę w powietrzu.

- Poprosiliśmy Moffy'ego o więcej niż siedem dni na prześwietlenie uczestników. Co znaczy, że musiałby zamknąć loterię szybciej niż tydzień przed obozem. – Akara wspomina o największej kwestii spornej dotyczącej środków bezpieczeństwa. – Moffy

zgodził się dać nam więcej czasu, lecz wydrukował dwanaście kartek statystyk obliczonych przez Jane.

Kręcę głową, unosząc kąciuki ust. *Wilczku*. Wiem już, co zrobił zanim Akara tłumaczy resztę.

- Przewidział starty zysku za każdy dodatkowy tydzień gdybyśmy hipotetycznie zamknęli wcześniej loterię. Jeśli mielibyśmy wziąć czternaście dni na prześwietlenie uczestników, wydarzenie straciłoby około dziesięć milionów dolarów.

Nie jest to mała suma pieniędzy.

- Ich życia są bezcenne – odzywa się Donnelly. – Powiedziałaś im to?

- Tak – mówi do nas wszystkich Akara – ale znacie Moffy’ego.

- Jest uparty – mówi Oscar.

- Bezinteresowny – dodaję. – Filantropia H.M.C. pomaga ludziom.

Quinn ściąga brwi.

- Czy rodziny nie przeznaczają swojego bogactwa na rzecz fundacji? Zbieranie większej ilości pieniędzy to grosze w porównaniu. Mógłby odwołać całe wydarzenie i nic by się nie...

- Nie – mówimy jednocześnie.

Akara nachyla się do Quinna.

- Wszystkie pieniądze zebrane przez H.M.C. są przekazywane czterem obszarom: edukacji, środowisku, kwestiom LGBTQ i zdrowiu psychicznemu. W tych kategoriach Moffy stworzył konkretne programy oraz inicjatywy, i nie każde dostaje taką samą sumę. Niektóre programy opierają się wyłącznie na takich wydarzeniach.

- Na przykład obóz dobroczynny – dołączam. – Wszystkie pieniądze idą na Jeszcze Jeden Dzień. – Wszyscy znają ten program stworzony przez Moffy’ego. Jeszcze Jeden Dzień udziela pomocy ludziom o niskich dochodach, którzy potrzebują odwyku.

Oscar potrząsa butelką wody.

- Czy naprawdę chcemy odmówić potrzebującym dziesięciu milionów? Tylko po to, by uzyskać dodatkowy tydzień na odrzucenie krzykaczy, napastników z brokatem i mąką – być może morderców i gwałcicieli?

Donnelly pragnie drugiego tygodnia, by zapewnić wszystkim bezpieczeństwo, ale ja każdego dnia jestem gotów stawić czoło „mordercom” i „gwałcicielom”.

- Trój-Siła podjęła już decyzję – oznajmia Akara – i zgodziliśmy się na warunki Moffy’ego. Siedem dni na prześwietlenie.

Donnelly jęczy.

Oscar przeklina.

Quinn zapada w głębokie zamyślenie.

Ja się uśmiecham.

Akara podpira się na rękach.

- To nie jest koniec pierdolonego świata. Jakikolwiek zagrożenie, które dostanie się do obozu wykryjemy i odizolujemy tam. Hale’owie, Cobaltowie i Meadowsowie ufają nam z jakiegoś powodu. Popełniamy mało błędów i nigdy nie zawadzimy.

Przed rozmową z Maximoffem Trój-Siła była *niewzruszona* wobec zmiany loterii. Teraz są zadowoleni jego planami.

Ten facet potrafi sobie radzić z ludźmi. Czuję tak wielki podziw, że właściwie czuję nabiegającą krew do penisa.

FARROW KEENE

Declan pozostawił swojemu zastępcy – którym okazałem się być *ja* – krótką notatkę. Nie zastanawiałem się nad słowami Declana, jego *ostrzeżeniem*, do końca września. Do dnia dzisiejszego.

Dopóki Maximoff nie zaprosił swojego rodzeństwa i piątki kuzynów na mini golfa. Dopóki wszyscy nie zrezygnowali oprócz Jane, kiedy zobaczyli media społecznościowe: zgromadzonych paparazzi i zwykłych ludzi wskakujących na teren golfowy, jak gdyby spostreżli gwiazdy rocka albo angielskiego dostojnika.

Wtedy Maximoff powiedział stanowczo i zwięźle:

- Musimy stąd iść.

Byliśmy tam zaledwie pół godziny, a poprzednie *trzy* godziny spędził na koordynowaniu tego wypadu dla swojej rodziny.

Bycie zmuszonym do porzucenia tak zorganizowanego planu wkurzyłoby większość ludzi.

Maximoff odwrócił się na pięcie i obmyślił nowy plan w kilka sekund. Podpisał piłeczki golfowe i kijki do sprzedaży w obiekcie mini golfa, a przez kolejną godzinę pozował do selfie z fanami i Jane. Ja w tym czasie odrywałem od niego przytłoczone, szlochające dziewczyny i chłopaków.

Gdy nareszcie wsiedliśmy do jego audi, spodziewałem się usłyszeć od niego zmęczone westchnienie. Być może wyraz frustracji. Jego mama byłaby wyczerpana, troszkę podenerwowana.

Zamiast tego on wyglądał na gotowego na wszystko.

- Znajdźmy jakiś pub. Spotkamy się tam z Jane.

Declan powinien był napisać: *Maximoff Hale przejdzie przez wszystkie kręgi piekła i wyjdzie z tego bez szwanku.*

Tak naprawdę napisał: *wszystko w życiu Moffy'ego jest krótkotrwałe.*

O 21:12 pozbywamy się paparazzi i odkrywamy irlandzką spelunę w okolicach południowej Filadelfii. Po upewnieniu się, że miejsce jest bezpieczne, zamawiamy jedzenie i napoje przy barze. Informują nas, że niedługo nam przyniosą.

Zajmujemy sobie niski drewniany stolik na tyłach. Dym papierosowy przyćmiewa ciasny, słabo oświetlony obszar, a telewizor odgrywa mecz piłki nożnej, który absorbuje paru starych, brodatych mężczyzn przy wysokim stole i barmana.

Odchylam się na dwóch nóżkach krzesła i rozglądam beztrosko, ale po chwili orientuję się, że mój wzrok pada na niego.

Maximoff czyta wiadomość w komórce.

- Jane i Quinn będą dopiero za piętnaście minut.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale słyszę głos w prawym uchu.

- Omega do Farrowa. – Opadam na cztery nóżki krzesła i włączam mikrofon.

- Farrow. – Podnoszę wzrok na Maximoffa, który przygląda się uważnie. Jak gdyby nigdy wcześniej nie słyszał, żeby jego stary ochroniarz komunikował się z resztą.

Być może tego nie robił.

Nie zamierzam odejść od stolika, żeby porozmawiać z Akarą. Nie obchodzi mnie czy Moffy podsłucha rozmowę o *nim*.

Właściwie – wyciągam słuchawkę z ucha, przewieszając kabel przez ramię i zwiększam głośność w radiu.

Maximoff marszczy brwi w konsternacji.

Uśmiecham się szerzej. *Tylko poczekaj, wilczku.*

W słuchawce rozbrzmiewa szeleszczący głos Akary, który jest słyszalny dla mnie i Maximoffa.

- Muszę wiedzieć czy Moffy zamierza wybrać się do drogerii albo marketu w następnym tygodniu. Będzie trzeba przydzielić mu dodatkową ochronę. – Ze zbliżającym się obozem i jego doroczną popularnością, Moffy niemal codziennie pojawia się w wieczornych wiadomościach rozrywkowych.

- I? – pytam Maximoffa. Wie, że Akara mnie nie usłyszy, dopóki nie dotknę mikrofonu.

Pochyla się do przodu, kładąc przedramiona na stoliku.

- Powiedz mu *nie*.

Włączam mikrofon. – Nie zapowiada się.

- Dzięki – odpowiada Akara i potem połączenie się urywa.

Moffy prostuje się, biorąc głębszy wdech i żaden nie odwraca silnego spojrzenia.

- Podobało ci się? – pytam, unosząc usta.

- Tak bardzo, że aż boli – odpiera oschle, ale na jego twarzy pojawia się prawdziwy uśmiech. – Jesteś skłonny robić to dla mnie przez cały czas?

- A chciałbyś?

Uwielbiam dawać mu tego, czego inni nie mogą. Jak na faceta, który posiada cały świat w zasięgu dłoni, można by pomyśleć, że Maximoffowi nie można już nic zaferować. Lecz odmawiano mu dość prostych przyjemności i ludzkich praw.

Na przykład zdolności bezpiecznej jazdy po pieprzonej autostradzie.

Maximoff wyłamuje sobie knykcie.

- W sumie to nie. Ochrona cię zabije.

- Teraz cię obchodzi, jeśli zginę? Co się stało z wypchnięciem mnie z auta i przejechaniem po moim ciele?

- Daj mi pięć minut – mówi – i wrócimy do twojej śmierci.

Przewracam oczami, uśmiechając się szerzej i obracam wytatuowanymi palcami solniczką, jakby to była moneta. Zauważam, że Maximoff wpatruje się w moje palce przez dwa uderzenia serca. *Zakochał się w moich palcach.* Próbuję pochwycić jego spojrzenie.

Naumyślnie patrzy za mnie.

Podążam za jego uwagą do baru i przejeżdżam językiem po zębach trzonowych, powoli przestając się uśmiechać. Na wystrzępionym skórzanym stołku siedzi facet, na oko w moim wieku, ubrany w czarną, wełnianą czapkę i koszulkę z grafiką.

Drgają mi mięśnie szczęki. Patrząc pomiędzy nimi i tamten lustruje Maximoffa sugestywnym wzrokiem mówiącym *chcę-ci-się-dobrać-do-tyłka.*

Maximoff zaczyna odwzajemniać uśmiech.

Nie potrafię stwierdzić czy jest tylko miły, czy naprawdę zainteresowany. Przenoszę zwięzione oczy z niego na faceta, czując palenie mięśni im dłużej się sobie przyglądają.

Nie powinienem się przejmować.

Kładę łokieć na blacie i zakrywam usta ręką. Obracam solniczką wolnymi palcami, kiedy milion odpowiedzi wywierca mi dziury w mózgu.

On nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

Stać cię na kogoś lepszego.

Naprawdę podoba ci się ten kutas?

Jesteś tu ze mną.

Nie flirtuj z nim.

Nie przeleć go.

Solniczka przewraca się na bok.

Moffy zerka na mnie, kiedy ją podnoszę.

Zazdrość. Jestem zazdrosny o bezimiennego kutasa w wełnianej czapce. Moi byli śmialiby się ze mnie, że tak bardzo mi zależy na dwudziestodwuletnim celebrycie.

Rozpakowuję plasterki gumy do żucia, a kiedy tylko odrywam folię, Maximoff zadaje mi pytanie.

- Jaki jest twój ulubiony kolor?

Unoszę kąciki ust.

- Mój ulubiony kolor? – powtarzam, jakby zadał mi przedszkolne pytanie. Bo tak w sumie zrobił. Ale w moich myślach przewija się jedno: *nie jest już zainteresowany tym.*

Bardziej interesuje się mną.

Maximoff zaplata ramiona.

- Jakie liceum mianuje kogoś *celującym uczniem*, kiedy ten nie potrafi nawet powiedzieć, jaki jest jego ulubiony kolor?

- Mówi ten, który nie wie, jak to jest być *celującym uczniem* – odpowiadam nisko, nachylając się do przodu.

- Przyznaj – mówi – nie masz ulubionego koloru. To smutne.

- Srebrny – odparowuję.

Kiwa parę razy głową, ukazując własny uśmiech i jak zamierza się odezwać, kelnerka przynosi nam dwie szklanki Fizz Life, talerz skórek ziemniaków i koszyk frytek.

Wpatruje się przed siebie dłuższą chwilę, zatracony w myślach. Zwijam papierka po słonce i rzucam mu kuleczką w twarz. Dostaje prosto w czoło i przebudza się, żeby przeszyć mnie wzrokiem.

- Znasz mój? – pyta. *Jego ulubiony kolor.*

- Pomarańczowy.

- Naprawdę wyszukałeś mnie w Google'ach – mówi to tak, jakby przyłapał mnie na masturbowaniu. Prawie wybucham śmiechem.

- Stary, masz *mamę*, która kupuje pomarańczowe plastikowe sztuce i talerze na każde wydarzenie poświęcone Maximoffowi Hale'owi. – Wyliczam na palcach, zaczynając od kciuka. – W tym twoje szesnaste urodziny, zakończenie gimnazjum...

- W porządku. – Na jego twarzy pojawia się grymas. – Znałeś mnie, kiedy miałem szesnaście lat. Rozumiem. Świat to rozumie...

- Świata nie obchodzi, że byłem na twojej szesnastce.

Pokazuje mi środkowy palec, a drugą ręką bierze sobie skórkę, którą do mnie wymachuje.

- Jedz. Przestań się na mnie gapić.

- Dopiero, kiedy przyznasz, że znam cię lepiej niż wyszukiwarka.

Maximoff przestaje jeść, żeby mnie przepytac.

- Dlaczego z nikim nie chodzę, Farrow? – Ten fakt nie jest dostępny w sieci, a także trzymał go przede mną w tajemnicy.

- Nie interesują cię związki – zgaduję.

- Nie dlatego, że nie chciałbym w takim być. Po prostu nie mogę.

- Nie nadażam. – Potrząsam głową.

- Nigdy się nie zwiążę – mówi wprost. – *Nigdy* nie doświadczę żadnego romansu poza jednorazowym numerkiem. Ponieważ, jak już zacznę umawiać się z kimś publicznie, media będą nękać tę osobę do punktu najścia, bezbronności... nigdy nie narażę drugiej osoby na ekstremalną utratę prywatności, której nigdy nie odzyska. Zaakceptowałem, że takie jest moje życie i jestem tym usatysfakcjonowany.

Unoszę brwi. – *Nie* jesteś usatysfakcjonowany, tylko zrezygnowany. – Nim zdąży zaprotestować, pytam: - Zastanawiałeś się kiedyś, jak to jest trzymać kogoś za rękę w sensie romantycznym? Widzieć tego kogoś w swoim łóżku dwie noce z rzędu? Nazajutrz przyrządzać śniadanie, dzielić się ubraniami, budzić się nawzajem przed pracą? Nigdy sobie tego nie wyobrażałeś?

Maximoff potrząsa raz głową.

- Nie mogę.

- *To* jest smutne. – Ponieważ chce pragnąć tych rzeczy, ale nawet sobie na to nie pozwala.

I nikt inny spośród Hale'ów, Cobaltów czy Meadowsów nie poświęciłby możliwości zawarcia związku tylko po to, by ochronić drugą połówkę przed mediami.

Tylko on.

- Co z randkowaniem w ukryciu? – pytam.

- Nie. Jeżeli znajdę kogoś, komu zdołam ufać dłużej niż jedną noc, będzie pokazywany w wiadomościach za każdym razem, kiedy zostaniemy razem zobaczeni. Tym bardziej, jeśli ten ktoś pozna moje rodzeństwo.

Jestem od tego wyjątkiem. Nasze spojrzenia się spotykają i przepływa między nami ten fakt. Odchrząkuje i sięga po swoje Fizz Life, najbardziej popularny napój dietetyczny na świecie.

- Podaj. – Pokazuję na szklankę. Ma zasadę, co do zamawiania napojów. #45: *musisz próbować przede mną napojów. Nie ufam barmanom.*

Przysuwa Fizz Life i wrzuca do ust kolejną skórkę ziemniaka. Biorę łyk jego napoju. *Zero alkoholu.*

- Jest w porządku. – Oddaję mu szklankę.

Maximoff Hale nie pije alkoholu. Nigdy nie pił. Każdy wie, że w jego rodzinie byli alkoholicy i postanowił być abstynentem. Czasem barmani celowo dolewają mu czegoś wysokoprocentowego. Do diabła, niektórzy im za to *płacą*.

Żeby tylko zobaczyć, jak celebryta przerywa abstynencję.

Maximoff popija jedzenie sodą, po czym gestykuluje do mnie.

- Jakie jest twoje ulubione wspomnienie z dzieciństwa?

Uśmiecham się, zjadając frytkę.

- Co to za dwadzieścia pytań?

- Ty możesz mnie wygooglować. Ja nie mogę wygooglować ciebie. – Chce być na równym gruncie.

Okej. Biorę łyk własnego napoju.

- Moim ulubionym wspomnieniem z dzieciństwa jest jedyne wspomnienie, które mam o matce. – Jest świadom, że zmarła na raka piersi, kiedy miałem cztery lata.

Maximoff podtrzymuje mój wzrok.

- Nie rozpoznaję jej twarzy, ale słyszę ten melodyjny głos, kiedy wypowiada moje imię. To wszystko, tylko moje imię.

Farrow.

Ona nadała mi imię. Mogła wybrać Edwarda Nathaniela Keene po moim ojcu, dziadku, pradziadku, po wszystkich moich męskich przodkach, ale zdecydowała się na coś innego. Najwyraźniej uwielbiała starą wersję filmu *Wielki Gatsby* i nazwała mnie po dwóch głównych aktorach.

Mia Farrow.

Robert Redford.

I jestem Keenem.

Rozpoznaję, jak wyjątkowe i unikatowe jest także imię Maximoffa. Jego rodzice również nazwali go po czymś, co kochają i dlatego żaden z nas nie używa swoich imion w przekomarzaniu – i dlatego staram się uhonorować jakkolwiek chce, żebym się do niego zwracał.

Przytakuje z wdzięcznością, że opowiedziałem mu tę historię. Zanurzam frytkę w musztardzie.

- Coś jeszcze?

- Gdybym zapytał o szkołę medyczną, powiedziałbyś mi...?

- Że musisz się bardziej określić. – Wrzucam frytkę do buzi.

- Skoro uczyłeś się całe cztery lata musisz chociaż trochę lubić medycynę, prawda?

- Byli ludzie, którzy ledwo znosili te studia, ale nie byłem jednym z nich. – Odsuwam musztardę na bok i chwytam za szklaną butelkę ketchupu. – Lubiłem medycynę, ale nie tak jak rodzina.

- Co masz na myśli? – Szturcha słomką kostki lodu w swojej szklance.

Odkręcam butelkę. – Dla nich to nie jest tylko medycyna. Mój ojciec, dziadek, pradziadek, prapradziadek – wszyscy dzielą to samo imię i profesję. – Wlewam ketchup do koszyczka z frytkami. – Z kontynuowaniem tego spadku i uzyskaniem tytułu doktora łączy się status i duma. A ja nie troszczyłem się o wypełnienie pokoleniowej tradycji.

- Dlaczego nie zostać doktorem dla siebie i powiedzieć *pieprzyć ich*?

- Dlatego właśnie skończyłem medycynę. – Wycieram ręce w serwetkę. – Szczerze chciałem pomagać ludziom. Ale każdego dnia myślałem o tym, że jestem następnym Keenem, który posłusznie postępuje jak reszta i nie mogłem oddychać. Pamiętam, jak robiłem obchody w szkole medycznej i czułem się źle. Jakbym znajdował się poza własnym ciałem. – Przeczesałem sobie włosy. – Jak gdybym doświadczał życia kogoś innego, jakby to nie powinno być moje życie.

Maximoff przytakuje. Jest dobrym słuchaczem; zawsze wygląda na zaintrygowanego słowami innych. Przynajmniej wtedy, kiedy nie wpatruje się w przestrzeń.

- Jest możliwość – ciągnę – iż lubię medycynę tylko dlatego, że nic więcej nie znałem; do tego byłem przyuczony. I mogę szczerze przyznać, że tylko to mnie kiedykolwiek przerażało.

Namyśla się chwilę, po czym pyta:

- Zatem jak zdecydowałeś, że ochrona będzie ci pasować?

- Od kilku lat uczyłem się mieszanych sztuk walki w Studio 9. Akara zaproponował, żebym wypróbował poćwiczyć na ochroniarza. Spodobało mi się.

Maximoff milczy jeszcze dłuższy moment.

- Możesz to powiedzieć. Niełatwo jest mnie urazić.

Pochyla się nieznacznie do przodu. – Więc lubisz sławę, nie będąc sławnym: posiłki w restauracjach, rejsy jachtem...

- Ja? – Rzucam mu spojrzenie. – Urodziłem się w arystokratycznym rodzie pretensjonalnych *dupków*; nie potrzebowałem chronić celebryty, by jeść pięciogwiazdkowe dania.

Zaczyna się uśmiechać.

- Dlaczego więc to lubisz? Co mi wczoraj powiedziałeś na temat pracy ochroniarza?

- Ten zawód jest znany z wywoływania trzech rzeczy.

Maximoff potakuje, przypominając sobie swoje słowa.

- Trzeźwości, celibatu i bezsenności. – Pokazuje na moją pierś. – Po co znosić dziwne godziny aktywności, izolację, niestałe doby i bezsenne noce?

- Dla twojego życia – odpowiadam. – Jestem tu, żeby cię chronić i uwielbiam znajdować się w stresujących sytuacjach, wychodząc z nich na szczycie. Noszenie białego fartucha nie jest jedynym sposobem oddziaływania na życie. Mój ojciec nigdy tego nie pojął.

Brak mu słów.

Maximoff wciąż przełyka ślinę i odwraca głowę, na jego ustach formuje się uśmiech.

- Uśmiechasz się – wytykam.

- Zamknij się – odpiera beznamiętnie i drapie się po szczęce, patrząc prosto na mnie.
– Bardzo się różnimy.

- Wiem. – Ma wystarczająco rodzeństwa i kuzynów, by stworzyć własną drużynę futbolu. Ja mam jedną starszą, przyrodną siostrę, która mieszka po drugiej stronie kraju. Widuję ją może raz na trzy lata. Jak już. I jest coś jeszcze głębszego.

Jego rodzina jest siłami witalnymi, dzięki którym oddycha i budzi się o poranku. Moja mnie dusiła. Podjąłem decyzję zawodową kosztem zranienia ojca.

Maximoff zapewne prędzej by umarł niż zdradził swojego.

Gdzie ja działałam na własną rękę, on pozostaje lojalny.

Wspominam naszą krótką rozmowę sprzed kilku dni. Powiedział, że nie zdecydował się na tatuaż Batmana, ponieważ to by zabiło jego tatę. Wszyscy wiedzą, iż Loren Hale to zagorzały fan Marvela i Maximoffa *obchodzą* jego uczucia.

Co do tatuażu.

- Nie wiem, jak możesz tak bardzo troszczyć się o swoich rodziców – oznajmiam.

Maximoff rozkłada ramiona po bokach.

- Dali mi wszystko. Nie czuję się im *dłużny*, ale czuję, iż moim obowiązkiem jest w pewien sposób podanie tego dalej. W jakiś przekłęty sposób.

Znowu huśtam się na krześle.

- Na przykład przejęcie firm rodziny? – Fizzle, Hale Co. i Cobalt Inc. to rodzinne firmy zarabiające miliard dolarów, które odziedziczyli ich rodzice. Potem stworzyli własne konglomeracje: Calloway Couture, Halway Comics, Superheroes & Scones, Cobalt Diamonds, Obóz Calloway – lista ciągnie się bez końca.

Biznes powiązany z Hale'ami pewnego dnia może zostać przekazany Maximoffowi i to będzie jego życie.

- Gdybym mógł przejąć Hale Co., zrobiłbym to w mgnieniu oka – odpowiada – ale mój tata, z jakiegoś powodu, codziennie mi odmawia.

Dobrze.

Loren Hale utrzymuje Moffy'ego przy wieku dwudziestu dwóch lat i nie postarza do pięćdziesiątki, a ponieważ Maximoff kolekcjonuje odpowiedzialność, jakby to była jego ulubiona zabawka, wątpię, że zdaje sobie z tego sprawę.

Maximoff siada prościej i koncentruję się na jego pewnym siebie nastawieniu, które wznosi jego ciało, jakby był gotów na wszystko. Na bieg, bójkę, zawody, oszałamiający seks – *cokolwiek*. Nie jest to wyprodukowana determinacja czy nieustępliwość; to wyraźne.

24/7.

Opuszczam nogi krzesła i przysuwam się do przodu. Cholera.

Jestem usidlony, chociaż nikt jeszcze nie umieścił jebanej pułapki.

- Cofnijmy się trochę – mówi. – Powiedzmy, że hipotetycznie skończyłeś staż i zacząłeś rezydenturę, gdzie chciałbyś wylądować? Na chirurgii...

- W medycynie ratunkowej. – Znowu bawię się solniczką. – Ale nie miałem wyboru.

Ściąga brwi. – Co masz na myśli?

- Naprawdę nie wiesz? – Marszczę czoło. Po jego konsternacji zdaję sobie sprawę, że nigdy się tego nie domyślił. Wysuwam się do przodu, kładąc ramiona na stoliku. – Maximoffie... miałem zostać twoim prywatnym lekarzem.

MAXIMOFF HALE

Sztywnieję, pozbywając się wszelkich uczuć z twarzy. Pomijając zaostrome kości policzkowe. Moja pierwsza myśl: *unikanie Farrowa zawsze miało być niemożliwe*. Utknąłem z nim w każdym alternatywnym wszechświecie.

Druga myśl sprawia, że się krzywię.

- Co? – pyta Farrow, szturchając w roztargnieniu srebrne sygnety. Dostrzega, jak często przyglądam się jego dłoniom. Jego wszechwiedzący uśmiech cholernie mnie dobija i przysięgam, że za chwilę zapyta: *podobają ci się?*

A ja myślę: *zbyt przekłęcie mocno*.

Nie zamierzam dzielić się intymnymi szczegółami drugiej myśli. O tym, jak jego *ojciec* mnie badał, kiedy miałem jedenaście lat i wysypkę na penisie. Podrażnienie chlorem. Wyobraźcie sobie, gdyby tym doktorem Keenem był *Farrow*... wzdrygnijcie się ze mną.

Gestykułuję do niego ręką.

- Przeżyłem łagodny zawał na myśl, że mógłbyś być moim lekarzem. – Udaję zaskoczenie. – Gdybyś nim był, mógłbyś mnie teraz uratować. – Rozchylam wargi. – Cóż za idea.

- Gdybyś przeżył zawał, nie mógłbyś teraz gadać.

Okazuję rozdrażnienie, a on śmieje się na zawołanie, *uwielbiając* niweczyć jakikolwiek humor, który wypuszczam w świat. To nie powinno mnie podniecać, ale większość ludzi próbuje mnie udobruchać. Farrow robi coś przeciwnego.

Gdy jego śmiech cichnie, przygląda mi się z cieniem uśmiechu na ustach.

Wgryzam się w kostkę lodu, mój żołądek rzuca się w dziwny sposób. Niemal jakbym był *podeksycytowany*.

- Co? – Teraz ja pytam.

- Chcesz, żebym cię uratował? – Jego brwi unoszą się razem z kolczykami.

- Wolałbym umrzeć – odpowiadam odruchowo.

- Maximoff. – Wyciąga się bliżej do mnie nad stołem i jego głos zniża się do tej głębokiej, szorstkiej oktawy, która gładzi mojego członka. – Jako twój ochroniarz nie mogę na to pozwolić.

Wbijam w niego głębokie spojrzenie. A jego brązowe oczy nie odrywają się od moich zielonych. Przyglądamy się sobie tak intensywnie, iż jestem śmiertelnie przekonany, że zmuszamy się, by nie spojrzeć niżej – na usta lub ciało. Na żadne zakazane miejsce, które spowodowałoby katastrofę.

Staram się z całych sił pohamować, ale moje oczy mówią to, czego nie mogą usta.

Pocałuj mnie.

Odczytał to.

Wiem, że to odczytał i nasze klatki piersiowe jednocześnie unoszą się w ciężkim wdechu. *Jezu Chryste.*

Nie mogę.

Nie możemy.

Ale myślę: pocałuj mnie, kurwa.

Zrób to.

Farrow przesuwa rękę. Żeby wsadzić słuchawkę do ucha, a potem sadza tyłek na krześle.

- Wchodzą do środka, za tobą.

Obracam zeszywniałą szyję i rzeczywiście, Janie wchodzi do pubu za Quinnem, kierując się do naszego stolika. Ma na sobie pastelowo-fioletową spódnicę z tiulu i pasiasty top, który dziś rano umieścił ją na liście Najgorzej Ubranych magazynu plotkarskiego *Celebrity Crush*. Nie przejęła się.

Mrugam powiekami i już są przy nas. Jane opada na miejsce obok mnie i obejmuję ramieniem jej oparcie. Przepycham się przez to, co właśnie wydarzyło się z Farrowem, do diabła. Nie mam innego wyboru, jak iść do przodu.

Janie bardzo subtelnie spogląda pomiędzy Farrowem, a mną, ale na szczęście nie komentuje wiszącego w powietrzu napięcia.

- Dis-moi qu'ils ont du café – szepcze, składając ręce do modlitwy. *Proszę, powiedz, że mają kawę.*

- Je ne sais pas. – *Nie wiem.*

- Kolejne przypomnienie, że muszę przeczytać ten francuski podręcznik od Akary. - Quinn zajmuje krzesło przy Farrowie.

Oczy Jane iskrzą się ciekawością i podpira brodę na pięści, kładąc łokieć na stole.

- I jak ci to idzie?

- Bien. – *Dobrze*. Quinn wzrusza ramionami. – Byłoby łatwiej, gdybyście przenieśli się na portugalski.

Powiedziałbym Quinnowi, że nie znam tego języka tak dobrze, jak on, ale trzymam się faktu, iż naprawdę uczy się francuskiego. Spoglądam na Farrowa.

- Czy ty też dostałeś francuski podręcznik?

- Nie. Bo Akara wiedział, że wylądowałby od razu w śmietniku.

- Cieszę się, że odkryliśmy lokalizację twojej apatii – mówię.

Farrow śmieje się. Wrzuca frytkę do koszyka i obserwuje mnie.

Moja szyja płonie i nie przestaję pocierać sobie zuchwy.

Quinn rozgląda się po stoliku w poszukiwaniu jedzenia. Słysząc, jak mu burczy w brzuchu. Odsuwam frytki od Farrowa w stronę Quinna. Farrow stroi do mnie minę, jak gdybym właśnie oddał jego komórkę nieznanemu.

- Nie wiesz, jak wygląda dzielenie się? – pytam.

Farrow odstawia koszyk na miejsce pomiędzy nim, a mną.

- Quinn musi się nauczyć, jak zamawia się własne żarcie.

- Gdzie kelnerka? – pyta Quinn, nie przejmując się Farrowem.

- Tak, proszę, *kawa, kawa* – mówi Jane. – Jedna łyżeczka cukru, odrobina śmietanki i podajcie mi ją w kroplówce.

- Trzeba zamówić przy barze – informuję ją.

- Merde. – Opuszcza głowę na moje ramię. Jest zmęczona po dzisiejszym fiasku z mini golfem.

- Zrobię to za ciebie. – Gdy zamierzam wstać, Quinn i Farrow pokazują, żebym siedział.

- Sam pójde – mówi Quinn do Farrowa, kiedy wracam na miejsce. – To moja klientka.

- Akara chciałby, żebyś z nią został – odpiera Farrow.

Quinn zastanawia się nad tym przez pół sekundy, po czym wszyscy patrzymy na zbliżającego się wysokiego barmana z brodą. Zatrzymuje się, górując nad stolikiem, bliżej Janie niż mnie. Przesuwa palcami po swoim zapuszczonym zarostie i lustruje jej ciało.

Zatrzymując wzrok na jej klatce piersiowej.

Jestem na krawędzi. Nie ufam każdemu, kto ocenia nas, jakbyśmy byli bydłem. Wiem z doświadczenia, że prędzej skrzywdzą moją rodzinę niż nawiążą gadkę szmatkę.

Podobnie czujność Quinna zdaje się wznieść dziesięciokrotnie. Przekrzywia sylwetkę w stronę Jane i prostuje się w groźniejszej postawie. Niczym bokser stawiający czoło przeciwnikowi. Gdybym nie wiedział, trudno byłoby rozpoznać, że jest nowy w ekipie.

- Cześć – zaczyna Jane, ale barman przerywa jej słowami:
- Jesteś Jane Cobalt.
- Tak. – Głos Janie jest sztywniejszy niż zwykle. – Macie może kawę...
- Twoja mama jest seksowniejsza.

Patrzę na niego wściekle. – Coś ty, kurwa, powiedział? – Widzę krew i już podnoszę się z krzesła. Nasi ochroniarze są tuż za mną. Gdzie Farrow posiada *wyluzowane* nastawienie, jak gdyby to był kolejny normalny dzień, oczy Quinna robią się większe i ciemniejsze. Przerażone.

Wkurzone.

Prawdopodobnie nie przywykł jeszcze do słuchania uszczypliwości, z jaką niektórzy zwracają się do Janie.

Chciałbym, żeby nikt nie musiał się do tego przyzwyczajać.

Barman wcale się przed nami nie kuli.

- Powiedziałem, że *Rose Calloway* jest seksowniejszą dupą niż ta pulchna suka.

Rzucam się do przodu, czując w ustach jad, ale słyszę trzask krzesła, kiedy nie tylko ja podrywam się gwałtownie z miejsca. Odruchowo staję przed Janie. Kątem oka widzę, jak zaciska rękę na torebce w kształcie arbuza, gdzie znajduje się gaz pieprzowy i różowy nóż sprężynowy.

Mogłem przeciąć drogę Jane, ale Farrow staje na mojej drodze, kładąc dłoń na moim torsie. Mówi do mnie coś, czego nie słyszę. Omijam go wzrokiem skoncentrowany na barmanie, który obserwuje reakcję Jane.

- Pierdol się – warczę, próbując odwrócić jego uwagę od przyjaciółki. Ten śmieje się do mnie, a do niej mówi:

- Nie możesz beczeć, jeśli to prawda.

Jane nie płacze. Jej westchnienie zamienia się w gniewny pomruk i stara się go zlekceważyć.

- Pytam o kawę, a dostaję nieproszoną opinię na temat mojego *wyglądu*. Fatalnie nierówne i całkowicie koszmarnie... Moffy. – W jej głosie pojawia się cień strachu i chwyta mój nadgarstek, kiedy próbuję podejść do barmana.

Farrow i Quinn rozdzielają nas. Barman otwiera usta, by znów się odezwać i słyszę początek słowa *zdzira*, a Quinn warczy:

- Spierdalaj.

Farrow podnosi do niego rękę i syczy:

- Uspokój się. Skup się na tym, żeby ją stąd wydostać.

Quinn porusza nozdrzami i przytakuje, po czym szybko zaczyna wyprowadzać moją kuzynkę z pubu. Słyszę protesty i krzyki Jane „Nie zostawiam nikogo w tyle!”.

Farrow kładzie silną dłoń na moim barku, próbując nakierować mnie do wyjścia.

Wyrywam mu się jednym ruchem. Kipię od środka. Mam wrażenie, że po mojej skórze pełzają robale. Przez krótką chwilę patrzymy sobie w oczy. Obaj jesteśmy uparci. I nie będę się ruszać według *jego* zachcianek.

- Nie wyskakuj przede mnie – ostrzega pod nosem Farrow. Obraca się, osłaniając mnie przed barmanem. Wykorzystuje swoje ciało jako barierę pomiędzy mną, a tym draniem.

Ochroniarze są potrzebni do łagodzenia agresywnych sytuacji. Uspokajania ich. Powstrzymywania.

Nie do napędzania czy nawet wygrywania bójek.

Na wypadek, jeśli jeszcze nie jesteście tego świadomi: ja to utrudniam.

Powinienem teraz wyjść. Powinienem zapomnieć o nieokrzesanym spojrzeniu tego faceta. I złośliwych zamiarach. *Powinienem*. I Janie nie odjedzie, dopóki ja tego nie zrobię. Nawet jeśli Quinn wyprowadzi ją siłą, wbije stopy w podłogę albo beton i wydrapie sobie drogę do mnie.

Pragnę, by znalazła się w bezpiecznym miejscu. Daleko stąd.

Dlatego otwieram portfel i rzucam pieniądze na stół. Nie potrafię wyjść bez zapłacenia. Mimo, że płacę jebanemu gnojkwowi.

- A ty jesteś Maximoff Hale – mówi barman. *Nie angażuj się, mówią mi zawsze rodzice. Ignoruj krzykaczy, mówią. Próbują cię podburzyć, przypominają.*

Chcę bójki.

Bez jaj.

Daję sobie radę z przytłoczonymi, nadgorliwymi fanami. Daję sobie radę z rywalizującymi paparazzi. Daję sobie radę ze łzami, autografami i selfie. Poradzę sobie nawet z tym wieczorem. Popieprzoną częścią sławy.

Chorą nienawiścią, która stopniowo wykrusza nasze człowieczeństwo.

Chcecie wiedzieć, co robi niewielu pozostałych ludzi w pubie? *Nagrywają wszystko swoimi komórkami. Jakbym był gwiazdą popierdolonego dramatu, który nosi tytuł To Jest Moje Życie.*

Witajcie. Zajmijcie sobie miejsce.

Wsadzam portfel do kieszeni dzinsów.

- Jak to jest – ponawia gnojek – wiedzieć, że w twojej mamie było ponad tysiąc kutasów? Musiała być całkiem rozciągnięta, kiedy cię urodziła. Idę o zakład, że wyleciałaś jej z pochwy. – Śmieje mi się w twarz.

Mam klapki na oczach. Widzę czerwień. Widzę barmana.

Widzę jak zdruzgotana byłaby moja mama, gdyby usłyszała, że ktoś gada do mnie takie rzeczy. Przeplakałaby całą noc – a wiecie, jak się przez to czuję? Mam ochotę cholernie wrzeszczeć i obić komuś gębę. A mówiąc *komuś*, mam na myśli jego *przeklętą gębę*.

Atakuję.

Farrow powstrzymuje mnie, chwytając w dłoń moją pięść i zmuszając do opuszczenia. Prowadzi mnie tyłem do wyjścia.

- Spójrz na mnie, Maximoff.

Przeszywam wzrokiem tamtego palanta.

- On nie jest wart twojej uwagi – mówi mi do ucha.

Sam mówiłem wcześniej to samo: *bądź mądrzejszy. Odejdź. Reagujesz tak, jak chcę. Przemoc niczego nie rozwiązuje. Jesteś prezesem organizacji dobroczynnej. Przestań.*

Przestań.

Odetchnij.

Odejdź.

Pozwalam, żeby rozdzieliło nas jakieś piętnaście stóp. Wycofuję się. Wycofuję się, kiedy on dalej pieprzy.

- A twoja siostra – śmieje się drwiąco. – Luna Hale... następna wilgotna zdzira. Mogę się założyć, że puszcza się dwa razy więcej od mamy. Czy ona też jest małą seksoholiczką?

Wyczuwam kwas na języku, ale słowa wypalają mi gardło. Zdychają we mnie.

Farrow nie może sprowokować barmana. Jeżeli te obelgi na niego działają, tego też nie może mi pokazać. Jestem *pojedynczą* łodzią ciskającą gromami.

Staram się kierować do drzwi. Prawie tam docieram.

A wtem słyszę:

- Mam nadzieję, że zamyka nocą swoje drzwi.

Sztywnieję.

Nieruchomieję, nadal zwrócony do niego twarzą.

- Co powiedziałaś?

Śmieje się. – Mam nadzieję, że zamyka drzwi na klucz. Wiesz, ilu mężczyzn włamałoby się do niej, żeby posmakować...

Tracę kontrolę. Wyrywam się z uchwytu Farrowa i przemierzam parę długich kroków, robiąc zamach. *Jak tylko* moje knykcie miażdżą mu nasadę nosa, Farrow przecina mi drogę i odpycha trzech facetów, którzy poderwali się ze stołków.

Z jego nozdrzy tryska krew i wykrzykuje jedno słowo. *Pozew.*

- Proszę bardzo, pozwij mi, kurwa. – Odwracam się z furią w oczach, zostawiając za sobą bałagan, który urządziłem. Zapominam, że Farrow nie jest Declanem. Mój stary ochroniarz zostałby, żeby uspokoić klientelę pubu. Farrow biegnie do mojego boku.

Wyrównuje się ze mną i zerkam na niego. Jego twarde spojrzenie niesie żywe zrozumienie mówiące *nie jesteś sam*. Gdy obracamy się do przodu, opuszcza dłoń do mojego nadgarstka, potem do wnętrza ręki... trzyma ją przez krótką, lecz pełną siły chwilę.

Nikt nigdy tak mnie nie trzymał.

Puszcza mnie i przechodzimy przez drzwi pubu, kierując się ręka w rękę do mojego audi zaparkowanego na rozświetlonej ulicy Filadelfii.

Są tu paparazzi.

Rzucam okiem na ekran komórki.

Widziałam, jak wychodzisz. Siedzę w samochodzie, jadę do domu. Jestem bezpieczna. Napisz do mnie, jak znajdziesz się w bezpiecznym miejscu. – Janie

„Jestem w drodze do domu” odpisuję szybko.

Kiedy szukam kluczy w kieszeni, zbliża się trzech mężczyzn z kamerami, zadający te same pytania.

- Dlaczego masz zakrwawione knykcie?!

- Wdałeś się w bójkę, Maximoffie?!

Farrow odpycha kamerę.

- Nie zbliżaj się do twarzy.

- Przepraszam – mówi dość szczerze paparazzi. Robi więcej niż parę kroków w tył.

Otwieram w milczeniu samochód i wsiadam za kierownicę. Farrow zajmuje miejsce pasażera, blokując drzwi i wyjeżdżam na autostradę. Jakby to był kolejny dzień w moim życiu.

Idę do przodu.

Nie oglądam się do tyłu.

Włączam kierunkowskaz, zmieniając pas na lewy i oddalając się od paparazzi, którzy śledzą moje auto.

Farrow wyciąga do mnie rękę. Sztywnieję, przenosząc wzrok z niego na drogę. Chwyta za srebrną klamrę nad moim barkiem i przeciąga pas przez klatkę piersiową, zapinając mnie.

- Dzisiaj nie umrzesz – przypomina mi Farrow. – Pokaż rękę.

Zaciskam obie dłonie na kierownicy. Mam parę rozwalonych kostek.

- Myślałem, że już to przerabialiśmy. Nie jesteś moim przeklętym lekarzem; ani asystentem. Żadnym bojownikiem z peleryną, wyrocznią czy przyjaznym Spidermanem z sąsiedztwa. Jesteś tylko...

Farrowem.

Przełykam gulę w gardle, następnie ryzykuję spojrzenie na niego.

Okazuje to samo zrozumienie, więc mówię:

- Mojej mamie pękłoby serce, gdyby go usłyszała. Wiesz o tym?

- Wiem. – Farrow towarzyszył mamie przez trzy lata. *On wie.* – Ale byłaby bardziej zdruzgotana, gdyby zobaczyła, że jej syn został zaatakowany przez czterech, dwa razy starszych od niego, mężczyzn. – Patrzę na drogę, kiedy dodaje: - Nie chcesz, żeby ktokolwiek ci pomógł, *ale* jesteś skłonny ryzykować życiem dla... *kurwa.* – Wyciąga słuchawkę i odpina radio od paska spodni. Zaczyna przy niej majstrować, pochylając się do przodu.

Wnioskując po drzeniu mięśni szczęki, domyślam się, że przygryza mocno zęby.

- Co jest? – pytam.

- Moje radio padło.

- Cóż, nie możesz wszystkich uratować – mówię, co wywołuje jego uśmiech.

Przechyla do mnie głowę i kosmyki białych włosów opadają mu na oczy.

- Nadal szlachetny mądrala.

Ja również prawie się uśmiecham, ale nasze komórki zaczynają nagle wydzwaniać. Dla mnie to rodzina. Dla niego ekipa ochronna. To będzie długa noc powtarzania w kółko tej samej historii.

Sięgamy po swoje telefony.

Jestem na to gotowy.

FARROW KEENE

Przez siedem następnych wieczorów Maximoff zajmuje się pracą dobroczynną. Pomyślałbym, że to pokuta za bójkę w pubie, ale zanurza się w pracy, żeby uniknąć starej rutyny chodzenia do nocnych klubów, w których „znajduje sobie kogoś do łóżka”. Odkładał to odkąd stałem się jego ochroniarzem.

Do dzisiaj.

Dziś jest pierwsza noc. Znajduję się w przyciemnionym klubie. Światła mrugają, muzyka wprowadza podłogę w wibracje.

Widzicie, jestem cholernie dobrym ochroniarzem. Najlepszym z najlepszych. Ale balansuję pomiędzy wykonywaniem swojej roboty, a byciem palantem. Maximoff zamierza mnie poprosić, bym sprawdził jakiegoś nieznanego, którego chce przelecieć i moim pierwszym instynktem jest skłamanie.

Oznajmienie Maximoffowi, że ten nieznanomy jest gnojkiem.

Kłamcą.

Psychopatą albo mordercą.

Cokolwiek muszę powiedzieć, by przerwać późniejsze zdarzenia.

Przez cały wieczór przekonuję samego siebie, żeby nie obrać tej drogi, żeby nie być zazdrosnym dupkiem. *Wykonuj swoją pierdoloną pracę, Farrow.*

To nigdy nie było trudne. Nie aż tak.

- Farrow, możesz usiąść obok mnie – odzywa się Maximoff. – Oni nigdzie się nie wybierają. – Wskazuje trzech mężczyzn w czarnych garniturach, którzy pilnują kanapy VIPów ze złożonymi dłońmi i czujnym wzrokiem.

Zanim przyjechaliśmy do dwupiętrowego klubu nocnego Tidal Wave, wykonałem telefon. Powiadomiłem kierowników, że wpadnie do nich Maximoff Hale i będzie potrzebował dodatkowej ochrony.

To była najprostsza część wieczoru. Oglądanie, jak zabawia kobiety i mężczyzn, mając na celu ich zaliczenie – powiedzmy, że przeżuwana przeze mnie guma straciła wszelki smak.

Koncentruję się na obecnym zadaniu. Tidal Wave posiada przyzwoitą ochronę, ale pomimo dodatkowych sił pijani ludzie próbują pstrykać zdjęcia i przeskoczyć przez sznury oddzielające obszar VIPów od reszty.

Wszyscy obserwują Maximoffa.

Jestem do tego przyzwyczajony. Może sobie wybierać z nieskończonego oceanu ludzi. Jednakże ukrywa się teraz na skórzanej kanapie i słucha alternatywno-rockowego zespołu, który gra piętro niżej.

Wokół słyhać ciężkie brzmienie basu, metalowa podłoga dygocze pod moimi czarnymi butami. Stoję nad Maximoffem i kładę rękę na oparciu kanapy za jego ramieniem.

- Ufasz *im* bardziej ode mnie? – pytam, pochylając się do niego i wskazując głową na klubową ochronę. – Czy może tak naprawdę przeszkadza ci ta pozycja? Ja stoję, ty siedzisz.

Jego oczy powoli przybierają sarkastyczny wyraz.

Uśmiecham się szeroko i śmieję się, żując bezsmakową gumę. Odsuwam się nieznacznie.

- Trzeba było zostać psychologiem! – krzyczy przez muzykę. – W ten sposób dostałbyś dyplom, kasę albo coś innego za psychoanalizowanie mnie oprócz *tego!* – Pokazuje mi dwa środkowe palce.

Przewracam oczami, bolą mnie policzki od tego przekłętego uśmiechu i postanawiam usiąść obok niego na podłokietniku, ponieważ poprosił. W mojej słuchawce rozbrzmiewa cicha rozmowa, ale nie jest przeznaczona dla mnie.

Nie słucham pomruku w uchu, skanując wzrokiem tłum, który przygląda się bacznie Maximoffowi. Większość ludzi wytyka go palcami przy barze oświetlonym neonami. Potem zerkam na Moffy'ego i nasze spojrzenia się spotykają.

- Czy taka pozycja jest dla ciebie lepsza?! – pytam.

Unosi kąciki ust i mały uśmiech ustępuje miejsca poirytowaniu.

- Kiedy mówiłem, żebyś usiadł obok mnie, to miałem na myśli *obok!* – Pokazuje na wolne miejsce na kanapie.

Nadal jestem od niego wyższy, skoro siedzę na podłokietniku, co go trochę wkurza, ale wszystko jest mu łatwo podawane. Lubię sprawiać, żeby trochę się postarał.

Gdy piosenka uderza w crescendo, wołam:

- Teoretycznie siedzę obok ciebie!

- Uwielbiasz swoje teoretyczności! – Maximoff podrzuca w dłoniach komórkę, jego barki są naprężone, a wzrok równie czujny, co ochroniarzy.

Oglądam innych ludzi, którzy nadskakują nad nim z daleka. Robią zdjęcia, ekscytują się ze znajomymi, pokazują mu gestami, żeby do nich dołączył. Obracam się do niego, zastanawiając czy to zrobi.

Maximoff siedzi w miejscu, jego przefarbowane jasnobrązowe włosy są gęste i potargane.

Żuję gumę, próbując powstrzymać uśmiech, kiedy mu się przyglądam. Postarał się dzisiaj przy goleniu; jego gładka szczęka przypomina ostro zarysowany, wypolerowany marmur i zawsze pachnie chlorem oraz cytrusami.

Latem.

Odblokowuje ekran telefonu i ściąga brwi w rozdrażnieniu.

Zsuwam się na miejsce przy nim i zauważam różowe logo *Celebrity Crush*. Będąc tak blisko mogę mówić bez podnoszenia głosu.

- Myślałem, że nie czytasz brukowców.

- To było zanim *rozwalilem* sobie knykcie i tysiące ludzi groziło, że wycofa swoje dolarowe wejścia do loterii. – Mamy już październik i parę dni temu weszła w życie loteria obozowa, której rozgłos stał się niepohamowany. Wątpię, żeby jakaś bójka naprawdę zaszkodziła reklamie.

Ponieważ to zdecydowanie nie był pierwszy raz, kiedy został przyłapany publicznie w sprzeczce. Po to by ochronić rodzinę.

Czasami bójki są jeszcze bardziej nieprzyjemne. On dostaje w twarz. Mienie ulega szkodzie. Ktoś zostaje pozwany – on albo ochroniarz. Sukcesem jest fakt, iż uniknęliśmy tego wszystkiego.

Siły bezpieczeństwa przeanalizowały nagranie z pubu i zgodnie skrytykowały niespodziewany wybuch Quinna, ale ja go nie winię. Za pierwszym razem, kiedy usłyszałem, co ludzie wygadują na temat Lily Calloway – prosto w jej oczy – niemal straciłem kontrolę.

Przez cały czas słuchamy o nękaniu chronionych przez nas rodzin, ale dopóki nie spotkasz się z tym w rzeczywistości, to nie wydaje się prawdziwe.

- Chcesz zobaczyć ile szkód wywołała bójka? – pytam, spoglądając na telefon. Przytakuje, przewijając stronę *Celebrity Crush*.

Nie przestaję obserwować otoczenia i jego, dzielając uwagę pomiędzy dwoma.

- Nawet, jeśli z loterii wycofa się kilka osób, dołączy do niej dwa razy więcej. – Próbuję złapać jego spojrzenie. – Za dużo myślisz.

- Zawsze tak robię. Dzięki temu... - Niespodziewanie blednie, wbijając wzrok w telefon.

Spinam się.

- Maximoff? – Nachylam się do niego, stykając z jego sztywnym ramieniem. Obrzucam szybkim spojrzeniem ekran.

25 powodów, dla których Maximoff Hale jest jak Ryke Meadows!

Przewija powoli do pierwszego punktu i czytam słowa: *Maximoff Hale najpierw używa pięści, potem rozmawia. Dokładnie, jak Ryke! Porównajcie najnowsze wideo Maximoffa tracącego opanowanie w filadelfijskim pubie z tym starym wideo jego wujka Ryke'a Meadowsa przed knajpą.*

Maximoff odtwarza filmik z jego wujkiem i zwiększa głośność, choć dalej ledwo słychać w klubie. Na nagraniu Ryke musi mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Nieogolony, opalony i naburmuszony – brukowce lubią go nazywać agresywnym dupkiem.

Ryke zabiera kask ze swojego czarnego Ducati.

- Jak to jest bzykać Calloway, Ryke'u Meadowsie?! – pyta złośliwie elegancko ubrany mężczyzna, zbliżając się do Ryke'a stojącego przy krawężniku.

- Pierdol się – warczy, zamieniając się w skałę i ściskając kurczowo kask. Stoi nieruchomo, wpatrując się w tamtego niczym drapieźnik gotowy zaatakować ofiarę. Wyraz oczu Ryke'a *wydaje* się taki sam, co Moffy'ego.

Facet prychnie pogardliwie.

- Jeżeli nie powiesz mi jak smakuje cipka Calloway, sam się dowiem, zaczynając od najmłodszej...

Ryke rzuca się do przodu i robi zamach...

Maximoff wyłącza gwałtownie ekran, telefon robi się czarny i bierze głęboki wdech.

- Czy to wideo przypomniało ci mnie? – Spogląda mi prosto w oczy, wznosząc mury przeciwko mojej odpowiedzi.

Chcę być wobec niego szczery. Żadnych tajemnic, żadnych kłamstw, ale ta prawda leciutko go zrani. Wciągam powietrze przez zęby.

- W siedemdziesięciu pięciu procentach – odpieram, zbliżając do siebie palce.

Maximoff myśli nad tym w milczeniu, po czym przygląda się moim palcom, ponieważ z jakiegoś uroczego powodu ma obsesję na punkcie moich rąk.

- Twoje siedemdziesiąt pięć procent okropnie przypomina dwa procenty.

Uśmiecham się i muszę podnieść głos, kiedy w tle huczy muzyka.

- Więc nie patrzysz uważnie!

- Celowo! – odkrzykuje, ściskając komórkę w pięści.

Przeżuwam gumę, oceniając jego spiętą sylwetkę. Obracam twarz do jego szyi, zatrzymując usta przy jego uchu.

- Oprzyj się ze mną.

- Co? – Sztywnieje i unoszę brwi.

- On nigdy nie relaksuje się na kanapie. – Gwiżdżę. – Nieustannie przedstawiam mu nowe rzeczy.

Maximoff orientuje się, co mam na myśli. Chowa telefon do kieszeni, jakby przyjmował zakład i przesuwają się do tyłu, dopóki nie napotyka plecami oparcia. Jego ramiona w jakiś sposób się rozluźniają.

- Dzięki za bycie ze mną szczerym. Naprawdę – odzywa się po krótkiej ciszy. Słyszę w jego głosie szczerłość.

- Nie ma sprawy, wilczku.

Nasze ramiona bezwiednie się stykają, a kiedy obracamy do siebie głowy, dzieli nas tylko parę centymetrów.

Atmosfera zdaje się być naładowana tym znajomym, duszącym napięciem, które odczuwałem parę tygodni temu, kiedy go masowałem. Nie odrywamy od siebie wzroku.

W mojej głowie mogę być jego ochroniarzem i sypiać z nim.

Jestem tak dobry. I to jest takie proste.

W jego głowie... nie wiem, co się tam dzieje.

Wciąga głęboko powietrze, unosząc klatkę piersiową i szuka w moich oczach znaku. Pieszczę go wzrokiem, jakbyśmy ocierali się skórą. Pragnę przysunąć się bliżej. Pragnę go objąć i skrócić milimetry dystans.

Naprężam mięśnie, siedząc nieruchomo i czując dudniący puls. Znam jego następne spojrzenie. Spojrzenie, które roztopia jego ciemnozielone oczy i błaga cicho, ale zdecydowanie: *pocałuj mnie*.

Wypuszczam oddech, moje ciało jest polane naftą, rozpalone i tuż przed wykonaniem ruchu, wydaniem dźwięku, przed jakąkolwiek reakcją – opuszcza wzrok.

Nie patrzy już na mnie, tylko na podłogę, a potem przenosi spojrzenie na bar, przy którym zaczynają piszczeć radośnie dziewczyny przez nawiązany przez niego kontakt wzrokowy.

Zagryzam zęby, czując ból, jakby ktoś wyrwał mi żebro. Zaczęsuje włosy do tyłu, a Maximoff wstaje. Od razu się za nim podrywam.

- Gdzie idziesz? – pytam z napięciem.

- Nie wiem – mruczy, po czym potrząsa głową, jakby próbował wziąć się w garść.

- Musimy pogadać – mówię, ale nie słyszy mnie przez nagłą zmianę piosenki na hymn hardcorowego rocka. Już opuszcza teren VIPów. Idę w jego ślady, dorównując mu krokiem i przy zatłoczonym barze od razu udostępnia się stołek. Maximoff uśmiecha się do niskiej brunetki w mini sukience wyszywanej cekinami.

- Siedź! – mówi do niej. – Nie wstawaj dla mnie!

Powstrzymuję wymowne spojrzenie.

Ona chichocze.

Maximoff zatrzymuje barmana i zamawia napoje.

Dla jego bezpieczeństwa nie mam innego wyboru, jak wykonywać swoją pracę. Stoję za nim niczym onieśmielający autorytet, ktoś mówiący *nie zadzierać z nim*. Ponieważ chce być dzisiaj dostępny dla wszystkich, nie powinienem mieć tak gniewnej miny.

Trzymam się na uboczu, ale stoję mu na drodze. Niezauważalny, ale widzialny. Wszystkie te oksymorony dzisiaj mnie dobijają.

Dziewczyna sapie i powtarza tysiąc razy „Niemożliwe!”.

Moffy nachyla się, przykładając rękę do jej ucha i szepcze przez dwie pełne minuty. Jej oczy błyszczą, jakby wygrała los na loterii i kiwa głową.

Mogę sobie tylko wyobrazić, iż mówi jej, że chce ją przelecieć. W subtelniejszy sposób, ale dalej oczywisty. *Tylko seks*.

Wypluwam gumę do foli, boli mnie żuchwa. Chowam ją do kieszeni, a wtedy dziewczyna zeskakuje ze stołka, ruszając do łazienki.

Maximoff zostaje przy barze, a ponieważ to pierwszy raz, kiedy próbuje kogoś zaliczyć pod moją ochroną, jestem poniekąd w stanie niewiedzy. Przecież nie wymienił tego w swoich zasadach.

Odwraca się do mnie.

- Musimy porozmawiać! – W stu procentach zamknął swoje uczucia na kłódkę. Przyglądam mu się piorunującym wzrokiem, jego twarz jest tak beznamiętna, tak pozbawiona wyrazu – można by pomyśleć, że upodobnia się do Connora Cobalta, jego wujka, który potrafi pozbyć się emocji, kiedy tylko zechce.

Nienawidzę tego.

Zbliżam się do niego i szepczę mu do ucha.

- Omówimy twoje metody flirtowania? – Odpakowuję nowy pasek gumy, kiedy on stara się ukryć emocje.

Wypuść je, wilczku.

Macha do mnie ręką. – Przypuszczam, że prosisz o radę.

Uśmiecham się, wrzucając gumę do ust.

- Zabawne, ja przypuszczałem, że chcesz dostać poradę ode mnie.

- Powinieneś wyszukać w słowniku wyraz *żart*, bo chyba nie znasz definicji tego, co zabawne.

Gwiżdżę przeciągle.

- Jesteś dziś na jebanej fali, co? – Nie może odpowiedzieć, bo przybywa kelnerka z jego wcześniejszym zamówieniem. Napój gazowany dla niego i koktajl dla wybranki. Kelnerka stawia koktajl na barze, a ja zabieram szklankę napoju z tacy.

Nie od razu przykładam ją do ust.

- Nigdy nie piłeś alkoholu – mówię do Moffy'ego – co oznacza, że nie wiesz jak smakuje.

Patrzy na mnie beznamiętnie.

- Czy kryje się w tym jakieś pytanie, czy wnioskujesz swoje bzdury na głos w stylu Nancy Drew?

- Bardziej przypominam Hardy Boy'a, ale próbowałeś. – Patrzymy na siebie gorętszymi spojrzeniami, gdy przykładam szklankę do warg i biorę łyka.

Ostry posmak alkoholu szczypie mój język.

- Wymieszany z wódką. – Rozglądam się za kelnerką.

- Odpuść. To nic wielkiego. – Gdy zauważa, że szukam kelnerki, dodaje: - Farrow, nic się nie stało.

Nie zamierza narzekać, ale może zwrócić wymieszany napój. A jeśli ten czyn sprawi, że poczuje się jak palant, zrobię to za niego, kurwa.

- Declan dałby sobie spokój – mówi Maximoff.

- Nie jestem Declanem – powtarzam czterdziesty czwarty raz w tym tygodniu. Zdobywam uwagę kelnerki. – Potrzebuję zafoliowaną butelkę wody. – Daję jej pięćdziesiąt dolców.

- Robi się. – Wchodzi za bar, przechodzi obok barmana i rzuca mi butelkowaną wodę. Gdy odwracam się do Maximoffa, wygląda na oszołomionego.

Oblizuje usta, jego emocje próbują się wynurzyć.

- Bierz. – Podaję mu wodę. Trzyma ją, jakby nigdy wcześniej nie widział butelkowanej wody.

- To tylko woda.

Maximoff wciąż jest zamroczony.

- Nie musiałeś tego robić. – Chodzi mu o zdobycie dla niego wody.

- Dobrze, ale zrobiłem. – Nie pierwszy raz zachowuje się tak po tym, jak mu pomogłem. Robię krok do przodu. – Nie widzisz, Maximoffie? Masz przed sobą ścianę i kazano ci być *usatysfakcjonowanym* gapieniem się na nią. – Słucha uważnie. – Więc stoisz sobie tam, nie widząc drugiej strony. – Ściana to paparazzi.

Ściana to ludzie, którzy dolewają mu alkoholu do napojów.

Ściana to dręczyciele i brak prywatności.

Walić to wszystko.

- Jaka jest alternatywa? – odparowuje. – Nienawidzenie własnego życia?

- Nie! – krzyczę, kiedy wzrasta wokół nas harmider. – Moim zadaniem jest pomóc ci przejść przez tę ścianę! Być może Declan kazał ci zaakceptować w życiu to gówno, ale ja dam ci coś, czego nigdy nie dostałeś!

Na przykład butelkowaną wodę.

Declan nigdy nie pomyślał o tym rozwiązaniu. A może słuchał upartego stwierdzenia Maximoffa „*odpuść*”.

Maximoff otwiera usta, żeby się odezwać, ale staje za nim brunetka, przykuwając jego uwagę na lewo i zwraca się do niej.

- Daj mi jedną chwilkę! Twój drink jest na barze!

- Nie spiesz się! Będę czekać! – Przygryza dolną wargę i zajmuje miejsce na stołku.

Moje serce znajduje się w okolicach przełyku. Maximoff szepcze mi do ucha:

- To, o czym chciałem z tobą pomówić... - Jego głos jest wyraźnie spięty. – Nie mogę wpuścić jej do mojego samochodu, dopóki nie podpisze umowy o poufności. Więc będziesz musiał zabrać ją do strefy VIPa, kiedy ja pozostanę przy klubowej ochronie.

To się dzieje naprawdę. Nie mrugam.

Wykonaj swoją jebaną robotę, Farrow.

Cholera.

Muszę zachować profesjonalizm. Muszę dać mu to, czego pragnie a jeśli jest tym...

- Nie chcesz być przy tej rozmowie? – pytam.

Potrząsa głową.

- Moja obecność zwykle kładzie na nich nacisk, a chcę żeby podpisała umowę na własnych warunkach.

Nie potrafię potaknąć czy choćby wymusić uśmiech. Moje ciało odmawia posłuszeństwa, ale jestem w stanie odsunąć się od niego. Nieznośnie zimna akceptacja utwardza moje rysy twarzy. To będzie piekło. Piekło, przez które jestem zobowiązany przejść i tak naprawdę mogę obwiniać jedynie siebie.

Że przede wszystkim go polubiłem.

Przez króciutką chwilę patrzymy sobie w oczy, ale tym razem to ja pozostawiam scenę. Odwracam głowę w stronę baru.

- Okej! – wołam do Moffy'ego.

W drodze do dziewczyny wyciszam radio, bo niespodziewanie irytują mnie te ciche pomruki. Gdy podnoszę wzrok na brunetkę, czuję mocny uścisk na bicepsie.

- Farrow, czekaj. – Jego głos rozbrzmiewa przy moim uchu.

Obracam się do niego powoli i ten dyszy, jakby przebiegł pięć kilometrów, by do mnie dotrzeć.

Przekrzywiam głowę, wciąż niepewny wobec kierunku, w którym to wszystko może pójść. *Czego pragniesz, Maximoffie?* Zgrzytam mocno zębami.

Następnie zamieram. Obserwuję, jak subtelnie przygląda się mojej twarzy: policzkom, kolczykom, piegowi na żuchwie i nareszcie pozwala sobie na wbicie wzroku w moje wargi.

- Maximoff...

- Nie mogę tego zrobić.

Mam wrażenie, że coś wbiło się pomiędzy moje żebra.

- Nie rozumiem.

- Wracam do domu. – Wskazuje butelką na wyjście. – Wychodzę po tym, jak się z nią pożegnam. – Potrzebuje paru sekund, by pożegnać się życzliwie z dziewczyną, potem koncentruje się tylko na mnie.

Ciężar opuszcza moją pierś i wykrzywiam kąciki ust.

Noc słuchania, jak pieprzy kogoś innego została odwołana. I nie musiałem nawet być palantem.

Ruszam, żeby go wyprowadzić.

- Idę przed tobą. – Już próbuje przepchnąć się *przede* mnie, ale gwałtownie staje i mówi:

- Idź obok mnie.

Tak robię. Mamy równie silny, zdeterminowany chód, lecz obaj znajdujemy się na początku czegoś nieznanego. I niesiemy ze sobą znajome napięcie niczym trzeciego towarzysza i bombę.

MAXIMOFF HALE

Żaden z nas nie przerywa milczenia, kiedy wracamy do domu, która pogarsza się z każdą mijaną sekundą. Wszystko wydaje się być jak w zwolnionym tempie.

Farrow wyciąga rękę do wylotów klimatyzacji, które otwiera leniwym, zmysłowym ruchem tymi wytatuowanymi palcami. Wydobywa się z nich zimny podmuch, lecz głównie daje, żeby ostudzić moją skwierzącą skórę.

Oblizuję usta po raz tysięczny, kurwa. Mój penis *pulsuje*, chcąc stwardnieć, poczuć czyjś dotyk, chcę zostać przelecanym i przelecieć.

Zmuszam się do patrzenia na drogę, ściskając kurczowo skórzaną kierownicę. Jego gorący wzrok przenosi się z jadącej za nami furgonetki paparazzi na mnie. I tak w kółko.

Droga, ja. Droga, ja.

Przez cały czas jestem oglądany i obserwowany. Przez nieznajomych. Przez fotografów. Przez *ludzi*. I nigdy, *przenigdy* nie wyszedłem z siebie. Aż do teraz, kiedy jego oczy odczuwam jak dłonie i chcę je poczuć na całym sobie.

- Hamulec – mówi nisko.

Zwalniam samochód w ostatniej chwili, wjeżdżając w korek uliczny. Teraz auto jest nieznośnie nieruchome. Mam wrażenie, że moje audi skurczyło się do małych rozmiarów.

Okropnie małych.

Środkowa konsola ledwo oddziela moje ciało od jego, a jego od mojego. Czy ja w ogóle chcę dalej takiej granicy? *Nie*. I *tak*. On jest moim ochroniarzem – to się nie zmieni.

Nie.

Ale nie potrafię nawet *myśleć* o nikim innym. Nie tylko rozłożył sobie namiot w moim mózgu i kutasie. Zbudował pierdolony kamienny zamek, którego nie zdoła powalić żaden wilk.

Co mam mu powiedzieć? *Mój penis pragnie tylko ciebie. Mój mózg pragnie tylko ciebie. Nie poderwałem tamtej dziewczyny, ponieważ pragnę tylko ciebie.*

Albo: *gdybym przeleciał dzisiaj kogoś innego, poczułbym się paskudnie.*

Żadne nie kasuje tego jednego zimnego faktu: bycie z moim ochroniarzem byłoby złe etycznie.

- Maximoff – odzywa się Farrow, moje imię przecina gęste powietrze niczym opadająca gilotyna.

Rzucam mu przelotne spojrzenie.

Pociera kciukiem dolną, przekłutą wargę i unosi brwi.

- Gotów, by o tym porozmawiać?

- O *tym*... - mówię, wyobrażając sobie, jak zrywam z niego koszulkę. Przylegające do siebie mięśnie, usta... mrugam. – O *tym* korku, który jest cholernie okropny.

- O *tym*, w sensie o *tobie* i *mnie*. – Po czym dodaje po chwili. – O nas.

Oślepiają mnie reflektory odbijające się w przednim lusterku. Surowa postura napina moje barki, mięśnie naramienne, całe ciało i szybko zmieniam pas. W pobliskim pojeździe otwierają się okna i widzę skierowany na siebie obiektyw aparatu.

Świetnie.

Pędzę pięćdziesiąt kilometrów więcej niż dozwolone, by pozbyć się furgonetki. Farrow pilnuje pobliskich pojazdów, mówiąc:

- Wiem, że rozmawianie o tym nie jest łatwe. W każdej innej sytuacji po prostu bym cię pocałował.

Kurwa. Po raz kolejny oblizuję usta, naprężając mięśnie. *Twardnieję* w dzinsach i bokserkach.

- Jesteś pewien, że to nie ja pocałowałbym ciebie? – odparowuję.

Wyczuwam, że się uśmiecha. Choć jesteśmy blisko, przestrzeń pomiędzy nami nie mogłaby wydawać się większa. Ktokolwiek wykona pierwszy ruch będzie musiał pokonać tysiące mil, wdrapać się po górach, przepłynąć oceany, by dotrzeć na drugą stronę.

Spoglądam na niego i jego rozbawiony uśmiech się powiększa.

- Może w snach. – Wzmianka o moich snach przypomina mi, jak długo trwało moje zauroczenie nim.

Od *szesnastego* roku życia.

Zaczynam zamykać swoje emocje tysiącem żelaznych kluczy.

Jego uśmiech powoli znika.

- Powiedziałem coś nie tak?

- Nie – odpowiadam odruchowo, a potem: - Sam nie wiem. – Przed moimi oczami przesuwa się pasek „*Uważaj: on jest twoim ochroniarzem!*” jakby to był pasek informacyjny. Na litość boską, nie możemy się nawet *pocałować* bez uprzedniej rozmowy. Wszystko to jest takie zasadnicze.

Całowanie.

Pragnę zrobić więcej. *Pragnę* więcej, jak nigdy wcześniej i czy właśnie to jest oferowane? Czy jest to w ogóle możliwe?

- O czym myślisz? – pyta. – Bo nie wiem, na czym stoisz. Posiadasz tyle granic, iż praktycznie jesteś żywym znakiem *Nie Wchodzić*.

- Jakbyś ty nie miał żadnych? – odpowiadam.

Śmieje się. – Rozważam niektóre granice jak opowieści ku przestrodze. Postępuję ostrożnie, ale wiesz, dalej idę przodem. – Błyska najseksowniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem i zgrzytam zębami, moja erekcja pragnie nacisku. Ust, ręki, tyłka.

Jego ust, jego ręki.

Jego tyłka.

Potrząsam głową.

- Co? – pyta.

Muszę mu powiedzieć o mojej największej przeszkodzie. Jakby nie była już wystarczająco oczywista.

- Cenię samoświadomość. – Biorę ogromny wdech. – *Zdolność* zrozumienia i spostrzeżenia każdego aspektu mojej dziwnej egzystencji. W greckiej etyce piszą, iż tylko tacy ludzie rozumieją, co właściwe i dlatego będą mieli wiedzę do czynienia tego, co dobre.

Chcę czynić to, co właściwe. Czynić to, co *dobre*.

Być dobrym.

Farrow stuka w konsolę, objijając skórę obrączką na kciuku. Jego dłoń znajduje się parę milimetrów od mojego ramienia. Przytakuje ze zrozumieniem.

- A ty postrzegasz bycie ze swoim ochroniarzem za *niewłaściwe*. Niewłaściwe prowadzi do złego; a zło równa się z nieszczęściem w twojej filozoficznej główce. Zdajesz sobie sprawę, że nie wszyscy myślą w taki sposób, Maximoffie?

Ściągam brwi. – W jakim wszechświecie *niewłaściwe* prowadzi do promyczków jebanego słońca i szczęśliwych zakończeń, Farrow? Oświeć mnie, proszę.

- Może cofniesz się i zapytasz samego siebie: *czy to naprawdę jest niewłaściwe? A może: zacznijmy od tego, co jest etyczne?* Kto ustawił te moralne prawa? – Odchyła się, opierając buta na siedzeniu. – A co powiedział Thoreau?

Marszczę czoło.

- Czytałeś Thoreau?

- Studiowałem filozofię i literaturę na licencjacie.

Posyłam mu przelotne spojrzenie, jakby opuścił tę planetę.

- To było ponad *siedem* lat temu. – A wątpię, żeby czytał w wolnym czasie. Gdy moje półki są wypełnione po brzegi komiksami, powieściami graficznymi i podręcznikami filozofii – jego jedna mała półka w pokoju jest *goła*.

- Pamiętam wszystko, co przebiegam wzrokiem – odpiera, przyznając się do „przebiegania wzrokiem” tekstów.

Jeden skręt w prawo i wjeżdżam na naszą ulicę.

Milkniemy.

Mijam rzędy budynków, mając przed sobą nasze kamienice i zjeżdżam na krótki podjazd. On klika w pilota otwierającego garaż i zatrzymuję się obok jasnoniebieskiego beetle’a Jane. Po wyłączeniu silnika drzwi garażu się zatrząskują.

Zostajemy w garażu mieszczącym trzy pojazdy osłonięci przed filadelfijskim hałasem.

Siedzimy sami w ciszy.

W jednym oddechu Farrow obraca się w moją stronę, kładąc ramię na oparciu mojego skórzanego siedzenia. Moje mięśnie palą i napinają się niczym gumki recepturki bliskie rozerwania. Pragnę go jeszcze *bliżej*. Ale siedzę jak zamurowany.

Drugie ramię opiera na środkowej konsoli. Jego dłoń znajduje się parę centymetrów od mojej nogi.

- Thoreau powiedział „*Nie bądź zbyt moralny. Możesz przez to oszukać samego siebie. Cel jest ponad moralnością. Nie bądź po prostu dobry; bądź dobry dla czegoś*”.

Jego głęboki głos oraz słowa Thoreau przelewają się przeze mnie niczym ciekły miód. „*Nie bądź po prostu dobry*”. Samodoskonałość ma granice. Bycie moralnym, dokonywanie moralnych wyborów – wszystko to nie ma większego znaczenia w

porównaniu z czynieniem dobra dla innych. Nie muszę być idealnym wzorem moralności, żeby pomagać potrzebującym.

Wolałbym być dobrym dla czegoś.

Dla kogoś.

Więc przenoszę na niego wzrok.

I *naprawdę* mu się przyglądam. Jakbym odkopywał każdą jego myśl i pragnienie. Wpatruję się w jego oczy, po czym mój wzrok zamienia się w pożądliwą falę pod wpływem jego spojrzenia.

Farrow odwzajemnia ten podniecony, napięty sentyment. Nasze krótkie oddechy są jedynym prawdziwym dźwiękiem w samochodzie.

To niezaprzeczalnie najgorętsza wymiana spojrzeń w moim życiu.

Pochyla się do przodu, przybliżając do mnie usta i szepcze bardzo nisko, bardzo ochryple.

- Czego chcesz, Maximoffie?

W ciągu jednej sekundy skracam dzielącą nas przestrzeń.

Stykamy się wargami i napięcie eksploduje. Wychodzimy sobie naprzeciw. Niewidzialna przepaść ulega detonacji, rozrywa się na kawałki.

Farrow pogłębia silny pocałunek. Nasze języki walczą ze sobą, brakuje mi tchu. Chwytam go za tył głowy ze stanowczą, zaborczą namiętnością. Pragnę poczuć go *bardziej*.

Jego umięśnione ramię opada na moje szerokie barki pływaka. Przesuwa lekko palcami po mojej płonącej szyi, wplatając je w gęste włosy.

Pieprzony Chryste.

W moim gardle wznosi się niski pomruk, kiedy się całujemy. Jego uśmiech rośnie przy moich piekących wargach.

Chcę znaleźć się bliżej, ale na naszej jebanej drodze stoi środkowa konsola. Wysuwam mu ze spodni czarną koszulkę, wkładam pod nią rękę i odkrywam ciepłe wzniesienia mięśni brzucha, które drgają pod moją dużą dłońią.

Przenoszę drugą rękę na jego szczękę, która jest szorstka po niedokładnym goleniu. Jego męskość wzbiera krew w moim penisie, podniecając mnie od wewnątrz. Podobają mi się mężczyźni potrafiący podnosić takie same, jeśli nie cięższe, ciężary ode mnie. Tacy, którzy próbują pokierować w łóżku moim statkiem, ale ostatecznie ustępują.

Tacy, którzy całują jak szatan, ale zamieniają się w kałużę rozkoszy, kiedy się pieprzymy.

Farrow przyciąga mnie bliżej do swojej rostej sylwetki, znajdując miejsce, żeby się przesunąć. Przerzywa pocałunek, by podążyć ustami wzdłuż mojej ostro zarysowanej zuchwy do szyi.

Ja pierdolę.

Skręcam w pięści jego koszulkę, po czym przechodzę pomiędzy siedzeniami na tył i ciągnę za sobą Farrowa. Siadamy na rozciągniętym skórzanym siedzeniu, gdzie nie przeszkadzają nam żadne fizyczne obiekty.

Oddychamy ciężko. Pędzimy za czymś, czego nigdy wcześniej nie goniliśmy.

Ściągam mu koszulkę przez głowę, a on zdejmuję moją. Rozgrzana skóra przy rozgrzanej skórze, wytatuowana pierś przy nagiej piersi – przyciskam go do drzwi i dotyka głową szybę. Uśmiecha się, dysząc.

- A więc tak to jest? – Zahacza palcami o pasek moich spodni.

Potrzebuję jego ręk na kutasie. Wysuwam biodra do przodu, przesuwając jego dłoń niżej. W jego brązowych oczach pojawia się zaintrygowanie i podniecenie.

- Co tak jest? – pytam nisko. Wykrzywia jeden kącik ust.

- Jesteś władczy w każdym miejscu. Tak to jest. – Następnie Farrow wykorzystuje swoją siłę i wsuwa ramiona pod moje ręce. Obraca mnie szybko i uderzam kręgosłupem o boczne drzwiczki. Nasze role zostały odwrócone. Opieram głowę o okno, a on kładzie kolano pomiędzy moimi nogami. Łapie moją dłoń, przysuwając się bliżej i ssie moje ucho.

- Ja także – szepcze.

- Kurwa – wyduszam, ledwo nabierając powietrza. Brakuje mi jebanego tchu. Od kilku minut ciągle jestem rażony piorunem.

Nigdy w życiu nie byłem zdyszany.

Nigdy w życiu nie byłem ze znaną mi osobą. Nie w taki sposób. Nigdy nie odczuwałem prawdziwych uczuć przed pociągiem fizycznym. Aż pojawił się on.

Połączenie tych dwóch – uczuć z fizycznością – katapultuje mnie na całkiem nowy poziom istnienia. Farrow puszcza moją dłoń, by schwycić moją szczękę. Jego palce dotykają mojej twarzy.

Odchylam głowę do tyłu, niemal wywracając oczami do tyłu. *Cholera.* Potrzebuję go niżej.

Kiedy wbijam w niego przeszywające spojrzenie, zauważam jak pochłania moją rozkosz, podnieca się moim wyrazem twarzy. Wyciska pocałunek przy moich wargach, a ja rzucam się po prawdziwy pocałunek i splatamy się językami.

Łapie mnie za szyję i napieramy na siebie miednicami, a erekcje skryte pod materiałem zdychają z pierdolonego oczekiwania, żeby się spotkać.

Zaciskam rękę na jego włosach i ciągnę, podnosząc się do pozycji siedzącej, byśmy byli na równej wysokości. Czuję, jak klamka wbija mi się w plecy, ale przyciskam Farrowa mocniej do piersi.

Rozchyła wargi, wyduszając ochryply jęk.

Nie zdołam dłużej czekać. Nakierowuję jego rękę *niziej* do zamka błyskawicznego. *Rozepnij mnie, koleś.* Chcę pozbyć się dzinsów i bokserek.

Farrow bierze w rękę mojego członka, następnie ściska przez materiał z idealnym wyczuciem – *ja pieprzę*. Odpina prędko guzik dzinsów i rozpina zamek – instynktownie unoszę jego głowę, żeby znowu mnie pocałował. Farrow trzyma mnie za szczękę w mocnym, lecz czułym uścisku.

Upewnia się, że pozostanę nieruchomy.

Zatem lubi mieć kontrolę. Nie jest to żaden nowy fakt, ale zastanawiam się czy odpuściłby ją sobie w łóżku. A potem zastanawiam się czy myśli to samo o mnie.

Gdy tylko odrywamy się od siebie, przykładam rękę do jego torsu i popycham do tyłu, dopóki nie leży na wznak na skórzanym siedzeniu.

Jego wygłodniałe spojrzenie pochłania mnie całego.

Spodziewam się, że zaprotestuje na nową pozycję, ale ściska moje ramię i ustawia nad sobą. Nasze ruchy przyspieszają, robią się coraz bardziej gorączkowe. Splatamy ze sobą nogi. Ocieramy się o siebie penisami, po czym przesuwam dłoń po jego twardym wzwodzie. *Ja.*

Pieprzę.

Odpinam mu czarne spodnie. On zsuwa moje dzinsy do połowy ud, ukazując zielone bokserki. Co chwila wymieniamy się mocnymi, szorstkimi pocałunkami.

Jego kolczyk w wardze nie jest już zimny, a ciepły w dotyku. Rozpinam jego spodnie... zatrzymujemy się.

Nagle zamieramy na głośny dzwonek mojej komórki znajdującej się w kieszeni.

Nie przestaje dzwonić.

Ktoś do mnie dzwoni. Nasze klatki piersiowe unoszą się i opadają w tym samym momencie. Jego usta są spuchnięte od pocałunków i zanim powiem mu, że muszę odebrać, on już grzebie w kieszeni moich dżinsów i wyciąga telefon.

Zapamiętał, że połączenia są ważniejsze od wiadomości. Nigdy nie ignoruję telefonów. Nie mogę. Co jeśli moja rodzina jest w tarapatach?

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że wyciągnął słuchawkę i nie ma przy sobie radia. Zostawił swój sprzęt na przednim siedzeniu.

Farrow sprawdza, kto dzwoni.

- Twój tata.

MAXIMOFF HALE

Dzwoni do mnie tata. Świeeeeetnie.

Zsuwam się z Farrowa, a ten siada razem ze mną. Wciąż jesteśmy zwrócenii do siebie twarzami, opierając się o to samo siedzenie.

Uspokajam oddech. Przywykłem do *najgorszego wycucia czasu* do większości sytuacji.

Farrow dotyka zielonej słuchawki i podaje mi komórkę, mówiąc zasadniczo: *nie przeszkadza mi, że pogadasz z tatą, wilczku. Rób, co musisz.*

- Cześć, tato – odzywam się, włączając tryb głośnomówiący dla Farrowa.

Niemal podświadomie. Przez te lata – a także okres bycia moim ochroniarzem – zdobył moje zaufanie, a teraz mogę się odwdziżyć. W moim życiu coś takiego jest monumentalne.

Farrow przeczesuje sobie bez troski, dopiero co targane, białe włosy. Wygina kąci ust, kiedy przyłapuje mnie na dłuższej obserwacji.

Obściskałem się z moim ochroniarzem.

Oficjalnie.

Jestem w strefie bez odwrotów. Gdy się tu znajduję, pragnę zrobić o wiele, kurwa, więcej. Mój mózg koncentruje się tylko na nim.

A z tego, co wiem, on koncentruje się w równej mierze na mnie.

- Hej, Moffy. – W samochodzie rozbrzmiewa naturalnie ostry głos taty, ale niczego nie widzi. Dzięki Bogu. – Przynoszę dziś gówniane wieści.

Ściągam brwi. – Jak bardzo gówniane?

- Poczekaj... - Musiał odsunąć telefon, bo ciężko dosłyszeć jego głos. – Co ty robisz o tej porze... zresztą nieważne. Do łóżka. Natychmiast.

- Tato. – Znam ten głos i jej poważny ton, jak gdyby ten bez skrpułów niszczył jej ulubioną parę botków i gotycki zestaw do makijażu. To moja młodsza siostra Kinney. – Nie pojmujesz. O trzeciej w nocy jest godzina duchów... muszę porozumieć się z moim ludem.

- Chwila... czy ty jesteś martwa? Czy zapomniałem o wydrukowaniu nekrologu mojej trzynastoletniej córki? Niech pomyślę. – Oschły głos taty zdecydowanie mówi: *wcale o tym nie myślę*. Jego sarkazm powoduje, że Farrow uśmiecha się do mnie jeszcze szerzej, bo doskonale wie skąd pochodzi mój sarkazm.

- Tato – fuka Kinney.

- Kinney Hale – odpiera. – Wypędziłem duchy z tego domu tysiąc lat temu. Wszystkie się mnie boją. Marnujesz tylko czas. Więc *do łóżka*. Już. Masz jutro szkołę. – Musiał przyłożyć telefon do ucha, bo wzdycha do mnie: - Te dzieciaki. – Żeby tylko ją wkurzyć.

- Nie jestem dzieciakiem, trollu. – Słyszę nawet jak odchodzi z głośnym tupotem.

Tata śmieje się. – Kocham cię, mała Ślizgonko! – woła za nią. – Wybacz, gdzie ja byłem? – pyta mnie.

- Przy gównianych wieściach – odpowiadam, wahając się ze ściągnięciem dzinsów na wypadek, jeśli byłbym potrzebny w domu. Farrow również nie wykonuje żadnych ruchów.

- Jesteś w samochodzie?

- Tak. Nawiasem mówiąc jesteś na głośnomówiącym.

- Farrow, czy on przekracza prędkość? Jeżeli tak, masz moje pozwolenie, żeby go uziemić. Zabierz mu telefon. Nie cierpi tego.

Farrow szerzy zęby w uśmiechu. Za bardzo mu się to podoba. Przeszywam go wzrokiem, pokazując środkowy palec, a on łapie moją dłoń.

- Jedzie tylko dziesięć kilometrów za dużo – odpowiada spokojnie, nadal się uśmiechając. Opuszczam nasze ręce, przyglądając się czarnym literom na jego palcach. Farrow przypatruje mi się uważnie, ale dodaje do mojego taty: - Zwalmy winę na ruch uliczny.

To więcej niż dobre kłamstwo, to kłamstwo, które przede wszystkim ma pomóc mnie. Nie moim rodzicom. Nie ochronie. *Mnie*.

Jest po mojej stronie.

- Następnym razem ukradnij mi kluczyki – mówi tata.

Zerkam na komórkę. – Może przestaniesz rozkazywać mojemu ochroniarzowi? To moja działka.

Farrow uśmiecha się i mówi do mnie bezgłośnie: *chciałbyś*.

Prawie wykrada mi się jęk. Mam ochotę go przelecieć.

Zanim tata zacznie gadać o tym, że mój sposób jazdy niepokoi mamę, zabieram ponownie głos.

- Nie mogę długo gadać. Co to za gówniane wieści?

- Będziemy musieli przenieść nasz jutrzejszy lunch. Wujek Connor i Ryke mają spotkanie z nauczycielami.

Dziś rano przeczytałem wiadomości – a od południa w sieci przewijają się zdjęcia. Moi mali kuzynowie, Winona Meadows i Ben Cobalt, udekorowali klasę biologiczną w Dalton Academy słowami: *mordercy żab!*

Tych dwoje zawsze przysyła mi zawiadomienia dotyczące celów środowiskowych, które powinny dokończyć Filantropie H.M.C.. Mają trzynaście i piętnaście lat, i co miesiąc pakują się razem w kłopoty.

- Daj mi znać, co do nowego terminu. Będę tam – mówię. Lubię spotykać się na lunchach z tatą i wujkami, ale jeśli jeden z nas nie da rady przyjść, przenosimy spotkanie na inny dzień w tygodniu. Gówniana sytuacja, ale nienajgorsza.

- Jedź ostrożnie, Moffy – mówi poważnie tata.

- Będę. Dobranoc.

- Kocham cię, kolego. – Rozłącza się.

Chowam telefon do kieszeni i wbijam wzrok przed siebie, myśląc. Głos taty pozostaje w moich uszach. Bycie z moim *ochroniarzem...* to się wiąże z ogromnymi konsekwencjami. Jeśli zdołam, chciałbym uniknąć ich wszystkich.

Przenoszę wzrok na Farrowa, który patrzy na mnie spod uniesionych brwi, przyciskając knykcie do ust.

- Znowu słuchasz Sokratesa i Plato?

Wymuszam poirytowany uśmiech.

- Nie. – Podciągam dzinsy do bioder, ale jeszcze się nie zapinam. Farrow obserwuje moje ruchy.

- Co jest?

Nie odsuwam się od niego.

- Musimy zachować w sekrecie to, co się wydarzy między nami. Wszystko. Jeżeli chcesz *cokolwiek* ze mną robić, nie możesz traktować tej zasady jak coś elastycznego albo stworzonego do złamania.

- Zgadzam się. – Farrow uśmiecha się.

- My się zgadzamy? – pytam niedowierzająco. *Co to za alternatywny wszechświat?*

- Kocham moją pracę. – Podtrzymuje mój wzrok. – A jeśli ekipa bezpieczeństwa albo twoja rodzina dowiedzą się, że przekroczyłem granicę i zawiodłem ich zaufanie, nie ma mnie. Ktoś inny zostanie twoim ochroniarzem. Co oznacza, że nowa osoba będzie spędzać z tobą więcej czasu niż *ja*, a to... po prostu nie ma opcji. – Jego głos zamienia się w ochryply szept. – Musisz wiedzieć, że będziesz miał mnie na wyłączność. Nie sypiam, z kim popadnie. Chcesz mnie, to będziesz miał tylko mnie i vice versa.

Na wyłączność.

Związek.

Potajemny związek.

Nigdy nie miałem czegoś takiego. Chciałbym móc się cieszyć, że pragnie tylko mnie. Chciałbym móc zaakceptować prawdę: że ja pragnę tylko jego. Ale przejmuję się małymi, denerwującymi detalami, które prześlizgują się pomiędzy tymi faktami.

Patrzę prosto na niego.

- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Nie możesz wiedzieć.

Nie zrywa kontaktu wzrokowego.

- Więc powiedz mi, Maximoffie.

Nie waham się. – Szczerze kocham seks – wyznaję zawsze skrywaną prawdę. – Mam cholernie wysoki popęd seksualny. – To brzmi tak prosto, a takie *nie jest*. – Nigdy nie wypowiedziałem się publicznie na temat ilości seksu w moim życiu. Dzielenie się tymi szczegółami... to ciężka odpowiedzialność, którą traktuję bardzo poważnie. Po pierwsze, moja mama jest seksoholiczką. – *Wie o tym.*

Ja także przywykłem do tego faktu, ale głębia, do której nadal muszę dotrzeć wiąże mi język. Milknę.

Odwracam się nieznacznie i wyłamuję knykcie. Ludzie zwykle pytają: *czy to nie jest niezręczne, że znasz erotyczną historię swojej mamy?* Daję sobie radę z niezręcznością.

Daję sobie radę ze wszystkim.

Nawet z okazywanym jej okrucieństwem, ale zawsze gotuje mi się od tego krew. Jeżeli zamierzacie kogoś atakować, zacznijcie ode mnie.

Farrow przesuwam ramię, które opiera na oparciu siedzeniu, żeby leżało na moim przedramieniu. Prawie pocieszająco.

Obserwuję sposób, w jaki jego palce ściskają mój łokieć, po czym podnoszę na niego wzrok.

- Nie istnieje wystarczająco informacji czy badań, żeby stwierdzić, że seksoholizm jest dziedziczny. Ale jeśli zacznę mówić publicznie o tym, jak często uprawiam seks, media zaczną nazywać mnie nałogowcem. Potem powiedzą, że to *dziedziczne*. Potem jeszcze bardziej zaczną dręczyć moje rodzeństwo o seks. Dlatego zachowuję milczenie.

Częstotliwość, z jaką ktoś odbywa stosunek płciowy *nie* wystarczy do ustalenia uzależnienia od seksu – ale to nie będzie miało znaczenia dla mediów. Przylepią się do tego szczegółu jak pieprzone misie koala i nie odpuszczą.

- To nie jest jedyny powód, dla którego milczę na temat mojego życia seksualnego – ciągnę. – Walczę ze stereotypem, pod który podpadam, z czymś, co czuję się zobowiązany przełamać.

Wciąga powietrze przez zęby.

- *Maximoff*. To nie twój krzyż do dźwigania.

Nie dziwię się, iż wie, o czym mówię.

- Jest, Farrow. Kiedy oznajmiłem światu biseksualność, wiedziałem, że ludzie będą szukać we mnie jakiegoś wzoru. Mam pierdolony obowiązek niepowiększania szkodliwych stereotypów: na przykład, że *biseksualiści są nazbyt seksualni* – że wszyscy po prostu często się bzykamy i z kim popadnie. – Przeczesauję sobie włosy. – Wiesz, kiedy tylko powiedziałem światu, że lubię chłopaków i dziewczyny, wielu ludzi *przypuściło*, że lubię trójkąty – to nie jest, kurwa, w porządku. – Dodaję szybko: - Żeby było jasne, *nie* interesują mnie trójkąty.

Jego wargi drżą. – Zrozumiałem to po twojej zjadliwości. – Przekrzywia głowę. – W skrócie: mówisz, że uprawiasz dużo seksu, ale nikt nie może się dowiedzieć. I jestem przekonany, że zawsze się zabezpieczałeś, ponieważ jesteś *sobą*.

- Dzięki – rzucam oschle, nie wspominając o tym, że co tydzień się badam i jestem czysty. Nie dodaję również, że chodzę na kontrole i testy do prywatnego lekarza.

A mając na myśli *lekarza*, mam na myśli *jego tatę*.

Dzięki Bogu za poufność relacji lekarz-pacjent.

Na ustach Farrowa pojawia się coraz to szerszy wszechwiedzący uśmiech.

- Co? – Mrużę oczy.

- Przeskoczyłeś od *wyłącznieści* do oświadczenia, że uprawiasz dużo seksu.

Nie nadążam za jego logiką.

- Ten uśmiech zaraz spadnie ci z gęby.

Praktycznie wylewa się z niego rozbawienie.

- Myślisz, że nie zdołam cię zadowolić?

Unoszę brwi. Huh.

Biorąc pod uwagę jego oczywistą pewność siebie, on wie, że zdoła.

Lustrujemy się wzrokiem i znowu czuję pulsowanie w penisie. W moim gardle urywa się pomruk.

- Bardziej cię ostrzegałem – mówię cicho. – Na wypadek, gdybyś nie chciał seksu każdego dnia, wiele razy w nocy. Staram się nie zgadywać, co kręci innych ludzi.

Farrow otwiera usta, ale z jego słuchawki leżącej na przednim siedzeniu dobiegają donośne głosy. Wyciąga się do środkowej konsoli, ale ogląda się za siebie, by powiedzieć:

- Ty mnie kręcisz. Gdybym za tobą nie nadązał, nie byłbym twoim ochroniarzem.

Chwyta za radio i dołączoną do niego słuchawkę. Kiedy podkręca głośność, samochód zalewa głos Akary.

- ...znajdź Farrowa. Musi się zameldować.

Widzę drżenie mięśni w jego szczęce i przypina radio do paska spodni. Ktokolwiek został wybrany do „odnalezienia Farrowa” nie może znaleźć go ze mną. Nie w takim stanie; nagie piersi, potargane włosy, zaczerwienione usta, sztywne penisy... *nie*.

Rzucam mu czarną koszulką w wytatuowany tors. Jestem przyzwyczajony do gwałtownych zakończeń i odkładania na później, ale teraz jest bardzo ciężko.

Zakładam przez głowę zieloną bluzkę i otwieram drzwi.

- Dzięki za sine jaja.

Wkłada słuchawkę do ucha.

- Podziękujesz mi bardziej, kiedy poczuję cię całego w ustach.

Naprężam mięśnie, rozgrzewając się na ten obrazek. Spoglądam na Farrowa.

- Łatwo cię podniecić. – Uśmiecha się.

- A ciebie nie? – odparowuję.

- Potrafię lepiej ukrywać emocje. To nieodłączna i niezbyt przyjemna część bycia mną. – Wskazuje na swoje radio. – Nie smuć się tak, wilczku. Nie możesz być we wszystkim najlepszym.

Okazuję zero smutku. Zabijam go spojrzeniem.

- Dobrej zabawy ze swoją ręką. Śnij o mnie. – Wsiadam i zatrząskuję za sobą drzwi. Mam ostatnie słowo, ale odchodząc wyczuwam jego rozbawienie.

Pomimo tego całego ryzyka i nowego terytorium, orientuję się, że się uśmiecham.

MAXIMOFF HALE

Najlepsze biuro, najlepszy widok - z całej mojej rodziny, bez dwóch zdań, posiada Connor Cobalt. Ilekroć pojawiaam się w lśniącym wieżowcu mieszczącym Cobalt Inc. albo zatracam się, wyglądając przez okno na zapierającą dech w piersiach linię horyzontu Filadelfii, albo skupiam się na pamiątkach, które mój wujek układa na regałach lub wieszka na ścianie.

Deszcz uderza o szybę i gdzieś w oddali rozbrzmiewa grzmot. Nie koncentruję się na burzy. Obecnie wbijam twarde spojrzenie w oprawione w ramkę czasopismo *National Geographic* dekorujące granatową ścianę.

Okładka pokazuje umięśnionego, opalonego, ciemnowłosego mężczyznę przed czterdziestką. W oddali widnieje pomarańczowożółty horyzont, a on ściska skałę ponad sto metrów nad ziemią. Wykorzystuje do tego tylko palce prawej ręki.

Bez uprząży.

Bez sznura.

Za nim wschodzi słońce.

Czytam tytuł czasopisma: *Z tak ogromnych wysokości: Najlepszy wspinacz stylu free solo na świecie. Ryke Meadows.*

Mój wujek.

Przyrodni brat mojego taty.

Teraz jest po czterdziestce, ale wciąż się wspina. Wciąż trafia na pierwsze strony magazynów i posiada pięć różnych sponsorów oraz kampanii reklamowych.

Normalnie przypatrywałbym się temu z podziwem i byłbym dumny, że znam Ryke'a. Jestem dumny. Ale tkwię tutaj. Przypatruję się mocniej i dłużej.

Widzę jego ciemne, roztrzepane włosy, gęste brwi, złotą skórę oraz wysportowane, umięśnione, smukłe ciało - i widzę siebie. A przynajmniej to, jak wyglądam bez ciągłego farbowania włosów na jasny brąz.

Odziedziczyłem po tacie ostro zarysowane kości policzkowe, ale to wszystko. Pod koniec dnia jestem bardziej podobny do Ryke'a Meadowsa niż do Lorena Hale'a.

- Nie cierpi tego - odzywa się wujek Connor.

Obracam się.

Zza biurka obserwuje mnie mój inteligentny, elegancki wujek. Tata Jane posiada błękitne oczy, falowane brązowe włosy i nosi uszyty na miarę garnitur z tak wielką pewnością siebie, ile jest wart. Czyli miliardy dolców. Tak jak mój tata i wujek Ryke, jest po czterdziestce i wszyscy trzej dalej są wychwalani za swoją urodę.

W samej ostatniej dekadzie Connor Cobalt był trzy razy Najseksowniejszym Mężczyzną magazynu *People*.

Czekamy na Ryke'a i tatę. Zwykle spotykam się z nimi w publicznych restauracjach. Ale po wrzawie wywołanej moją bójką i obozem zarządzili „lunch w biurze” nim zdążyłbym zaprotestować.

I to Connor przywrócił odwołany lunch. Dziś rano zadzwonił do szkoły Dalton i przekonał administrację, by nie odbywało się żadne spotkanie, dlatego oto jestem.

Staram się nie wspominać wczorajszego wieczoru w moim audi.

Z Farrowem. Zacznę szczerzyć się, jak idiota, a on zdecydowanie by mi dokuczył, gdyby tu był. Ten wieżowiec posiada zabezpieczenia, dlatego Farrowowi wolno wyjść i zjeść w części restauracyjnej na dole, powozić się moim audi – cokolwiek zechce zrobić.

Nie mam zielonego pojęcia, co postanowi i właściwie do siebie nie piszemy. Obaj jesteśmy zbyt mądrzy, żeby dać się przyłapać przez włamanie do telefonu lub skrzynki pocztowej.

Po raz kolejny studiuję magazyn. *Wujek Ryke go nie cierpi?*

- Czemu tak jest? – To świetna okładka. Lepsza od większości brukowców, które pokazują na pierwszej stronie moich rodziców.

- Przez nagłówek.

Czytam go od nowa. – Jest napisane, że jest najlepszy na świecie.

- A on gorąco się z tym nie zgadza. Skromność Ryke'a to jego piąta kończyna. W przeszłości starałem się, jak mogłem ją amputować, ale nie zamierza odejść.

Skromność.

Mrugam parę razy, wytrzeszczając oczy. Jestem świadom, iż wiele razy byłem nazywany skromnym. Zaczynam mrużyć oczy.

Jezu.

Chryste.

Ile jeszcze podzielam z nim cech?

Zostawiam magazyn w spokoju i siadam na skórzanej kanapie stojącej naprzeciw kilku fotelów w wypoczynkowej części jego biura. Wujek zamienia biurko na fotel przede mną.

Wyłamuję sobie parę knycki – zły nawyk – ale nie odrywam wzroku od Connora. On zawsze jest pewny siebie i utrzymuje kontakt wzrokowy. Nie kuli się przed żadnym przeciwnikiem, a choć sprawia, że pracownicy uciekają do swoich kabin albo wpatrują się w niego otumanieni, mnie nigdy nie onieśmiałą jego nadludzka prezencja.

- Wiesz, że dziś rano moja mama pojawiła się na okładce *Celebrity Crush*? – Mam spięte barki. – Pod nagłówkiem: *Lily Calloway powraca do dawnych dzikich nawyków!* Mieli zdjęcie, na którym wsadzała rękę do spodni mojego taty. A wujek Ryke wkurza się okładką, na której wspina się po górze podczas przekłętego wschodu słońca.

Po moim gardle spływa paskudny, kwaśny posmak, ale nie odwracam wzroku.

Wszystkiemu stawiam czoła.

Connor ledwo drga, nic z tego go nie rusza.

- Zapewniam cię, że Ryke był wczoraj dziesięć razy bardziej wkurzony tym brukowcem niż magazynem *National Geographic* wiszącym w moim biurze.

W dzieciństwie podziwiałem Ryke'a.

Ubierałem się tak jak on: skórzane kurtki, styl mam-wszystko-w-dupie. Kiedyś chciałem nim *być*. Ciągłe prosiłem, żeby zabierał mnie na biwak. Błagałem, by pozwolił mi jeździć jego motocyklem.

Potem dowiedziałem się o plotkach. O tym, że moja mama i przyrodni brat taty przespali się ze sobą. O tym, że tak naprawdę jestem synem Ryke'a Meadowsa.

Nie wierzę tym plotkom. Mama stanowczo twierdziła, że zawsze była wierna tacie. I wygląda na pełną dumy ilekroć mówi: „Nigdy nie zdradziłam Lo”. Seksoholiczka, która nigdy nie zdradziła – to coś wielkiego.

Moja mama jest diabelnie silna.

Ale jeden raz kwestionowałem te plotki, kiedy miałem dwanaście lat. Zapytałem tatę wprost, zapytałem, kto jest moim biologicznym ojcem – a on powiedział „*ja*”. Jednoznacznie, z głębi serca. *Ja*.

Wierzę tacie. Widziałem badania DNA, które potwierdzają, iż jestem synem Lorena Hale'a. Nawet opublikowaliśmy te testy.

Ludzie nie lubią wierzyć faktom. Pragną wierzyć w najpikantniejszą historię, która nakręca do przewracania stron szmatławca.

Ta historia nie zawsze jest prawdziwa.

Podoba mi się narracja, w której mama i tata pomogli sobie w pokonaniu własnych uzależnień. Dwoje nałogowców, którzy nakręcali siebie nawzajem zdołało powrócić wspólnie do zdrowia, uzyskać trzeźwość. Podoba mi się moja rzeczywistość. Moi prawdziwi rodzice, którzy posiadają niezmierzoną ilość siły, której większość ludzi nigdy nie pozna ani nie ujrzy.

To moi bohaterowie.

I jestem cholernie dumny, że jestem ich synem.

Ostatnio *znowu* zaczęły szaleć te plotki o ojcostwie. Chcę, by świat wiedział, że jestem dumny z bycia synem Lorena Hale'a. Chcę uhonorować mojego tatę i nie mam pojęcia, co innego zrobić oprócz bycia bardziej podobnym do niego. Dlatego farbuję włosy.

Musicie wiedzieć, że go kocham.

Przekłęcie mocno.

- Przynieśliśmy tacy! – Mój tata wpada do biura z artystycznie poukładanymi jasnobrązowymi włosami. Jego ostre bursztynowe oczy rzadko łagodnieją, podobnie jak głos i szczęką, lecz w moim tacie istnieje coś bardzo ludzkiego i ciepłego.

To miłość, którą żywi do otaczających go ludzi.

Miłość do żony i dzieci.

Miłość do mnie. Jest silniejsza niż wszystko, co mi znane w życiu.

Ryke wchodzi za tatą do biura, którego szklane ściany są zamglone dla prywatności. Zamyka drzwi – podskakuję, kiedy na moich kolanach ląduje zapakowane w folię tacy.

Tata stoi blisko mnie, marszcząc do mnie czoło.

- Wyglądasz na lekko wkurzonego. Co przegapiłem?

Wskazuję z siebie na Connora. – Rozmawialiśmy o tym, że wujek Ryke był wkurzony dzisiejszym wydaniem *Celebrity Crush*. – Zaczynam odrywać folię i podnoszę wzrok, kiedy tata i Ryke odwracają się do Connora, źródła tych informacji.

Ryke piorunuje go wzrokiem.

Tata zaciska szczękę. Nie jest zadowolony, że Connor pogłębił moją frustrację dotyczącą przyjaźni mamy i Ryke'a.

Connor patrzy na mnie i tylko na mnie.

- Kontekst to naprawdę przepiękna rzecz, Moffy. Postarajmy się go nie utracić. – Po czym zwraca się do mojego taty: - Wyrażałem opinię, która zgubiła się w tłumaczeniu. I żeby było jasne, kiepskim tłumaczeniu twojego syna.

Prawda i kiedy zaczynam się uśmiechać, tata opada na miejsce przy mnie, a Ryke zajmuje fotel obok Connora i wymieniają się jedzeniem.

Spoglądam pomiędzy starszymi mężczyznami.

- Czy ktoś wspomni o tym, że ta fotografia została zrobiona *wewnątrz* osiedla?

Tata i mama przebywali w ogrodzie. W *swoim* ogrodzie. W tym samym strzeżonym osiedlu z całodobową ochroną. Nie mam pojęcia, jakim cudem Alfa pozwoliła, żeby jakiś fotograf pstryknął fotę moim rodzicom nie wiadomo skąd.

Co jeśli paparazzi kryją się na drzewach? Co jeśli zatrudnili jednego z sąsiadów jako szpiega?

To nie w porządku.

- Zajmujemy się tym – odpowiada tata, przeszukując swoją papierową torbę z jedzeniem. Widzi mój surowy wyraz twarzy i dodaje: - Nie przejmuj się tym, Moffy.

- Jak mam się nie przejmować? – Celuję w niego taco z kurczakiem. – Mieszkają tam Luna, Xander i Kinney, a ktoś robi zdjęcia domu.

- Przepraszam, czy zgubiłeś swoją plakietkę z imieniem? – Udaje, że szuka na mojej czerwonej koszulce nieistniejącej plakietki. – Ponieważ... nie wydaje mi się, żeby na twoim ubraniu widniał napis *Tata*. – Poklepuje mnie lekko po ramieniu. – Jestem przekonany, że to moja robota, kolego.

- Mam na czole *Wielkiego Brata*. – Musiałem dźgnąć go taco, bo przeszywa mnie wzrokiem.

- Jedz, a nie maltretuj.

Connor ukazuje miliardowy uśmiech.

- Ulubione motto Ryke'a.

Mówią o cipce.

Ryke odwija swoje taco.

- Dobre motto, ale nie moje kurewsko ulubione, Cobalt.

- A powiedz, jakie jest twoje „kurewsko” ulubione.

Ryke wgrzyza się w taco, a po jego zarośniętej szczęce spływa sos. Oblizuje kciuka i odpowiada z pełną buzią.

- *Nie bądź jebanym chujem.*

- Motto, które wszyscy złamaliśmy. – Tata uśmiecha się półgębkiem. Jego brat rzuca w niego kawałkiem sałaty.

Przyglądam się ich interakcjom uważniej niż kiedykolwiek. Wyczuwam, że obserwuje mnie Connor. Prawie porozumiewawczo. Wyprzedza wszystkich o pięć milionów kroków. Zawsze.

Przestaję wariować i zabieram się za moje taco. Zatrzymuję się, kiedy zauważam ostry sos.

- Mam twoje – mówię do taty.

Sprawdza zawartość swojego taco. Tylko ser, kurczak i sałata, więc zamienia się ze mną.

- Nie możesz kazać mi przestać się przejmować. – Wracam do poprzedniego tematu.
– Potrzebuję informacji. Nie trzymaj mnie w nieświadomości.

Bierze gwałtownie wdech, zaciskając mocno szczękę.

- Nie jestem dzieckiem.

- Mówisz tak odkąd skończyłeś cztery lata, więc wybaczone, jeśli chcę być pozostałym dzieckiem. – Bierze kęs taco i zbiera myśli, jedząc. Po napiciu się Fizz Life zabiera głos. – W tym tygodniu odbędzie się spotkanie ochrony w tej sprawie. Sytuacja jest pod kontrolą. Dam ci znać, jeśli cokolwiek się zmieni. Nie mogę dać ci więcej, Moffy.

Farrow może. Będzie wiedział, co się dzieje.

Nawet, gdybym nie miał Farrowa za źródło i tak przytaknąłbym tacie. Mogę często naciskać, ale rozumiem, że nie może mi mówić o każdej małej rzeczy. Ja zachowałem przed *nim* w tajemnicy przekłucie języka Luny.

A on nawet się nie przejął. Wiecie, co mi powiedział?

- *Cieszę się, że twoja siostra może się do ciebie zwrócić. Od tego jest rodzeństwo.*

Następnie dał jej szlaban na dwa tygodnie. Zero komiksów, filmów i komputera. I zabrał jej z szafy wszystkie kostiumy.

Dlatego kiwam głową tacie, ale uderza we mnie następne pytanie.

- Jak ona się czuje? – pytam stanowczo. – Mama. Czy nic jej nie jest? – Jedną z moich największych obaw jest usłyszenie lub zobaczenie paskudnej rzeczy najpierw w brukowcu. Nie chcę uzyskiwać informacji od drugiego źródła.

Nie chcę gwałtownego zwrotu akcji. I nie mogę być karmiony medialnymi faktami, które są zbyt spazzone. Dlatego wciąż naciskam o odpowiedzi.

- Od wielu lat znajduje się we wspaniałym miejscu, kolego. Może wsadzać mi rękę do spodni i czuć się dobrze. Nic jej nie jest. – Na jego ustach pojawia się odległy uśmiech. Jak gdyby coś sobie przypominał.

Znowu przytakuję. – Po prostu nienawidzę, że wykorzystują jej uzależnienie jako przynętę.

- Popierdolone – zgadza się ze mną Ryke.

Zgadzamy się. Ile razy zgadzaliśmy się w pewnych kwestiach? Czy zawsze się zgadzamy? I dlaczego, kurwa, nas psychoanalizuję?

Media. Maximoff Hale jest podobizną Ryke'a Meadowsa!

Udzieliły mi się media. Pasożyty brukowca. Nikt nie zauważa mojej wewnętrznej walki oprócz, być może, Connora.

Ryke zgniata parę serwetek i szuka w torbie drugiego taco.

Tata wzrusza ramionami, jakby to nieczyste zachowanie było normalne. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy się z tym spotkaliśmy, ale ilekroć media dotykają uzależnień moich rodziców, przekraczają granicę. Obracają w popiół wyczucie moralności i etyki.

- Popierdolone jest to taco – mówi tata. – Gdzie są dodatkowe paczki ostrego sosu? – Z jego taco już wylewa się pomarańczowy sos, ale tata dodałby tabasco do wszystkiego, gdyby tylko mógł.

- Zapewne wypaliłeś sobie połowę kubków smakowych w śmiertelnym życiu – mówię mu.

- Zatem dobrze robisz, że mnie nie naśladujesz.

Badam jego słowa w głowie. *Nie dlatego, że nie chcę być do ciebie podobny, chcę powiedzieć.* Ale mój tata o tym wie, kurwa.

Przejmuję się światem.

Przejmuję się wami.

Wpatruję się przez chwilę w przestrzeń, a Ryke rzuca w tatę garstką paczek pikantnego sosu, które uderzają go prosto w twarz.

Tata wbija świdrujące spojrzenie w czoło starszego, tylko o rok, brata. Ryke jest bliski śmiechu.

- Postanowiłem, że nie jesteś już moim bratem – oznajmia Ryke'owi.

- Więc kim jestem, do chuja? – Ryke zwija następną brudną serwetkę.

- Jakimś Tam Facetem. W skrócie: JTF.

Connor uśmiecha się szeroko.

- Od jakiegoś czasu czekałem, żeby zmienić mu imię. Chociaż postawiłbym na coś innego.

Ryke jęczy. – Nie chcemy, kurwa, wiedzieć.

- Ja chcę – wtrącam.

- No jasne – mówi Ryke, wrzucając wszystkie serwetki do papierowej torebki. – Zawsze jesteś po jego pierdolonej stronie.

Potrzebuje dłuższej chwili, żeby nareszcie na mnie spojrzeć. Jego twarde brązowe oczy spotykają moje spokojne ciemnozielone.

- Nie wiedziałem, że istnieją strony.

- Istnieją. – Tata wstaje i sięga do kolan Ryke'a. – Ja zawsze jestem po stronie dobrego żarcia. – Zabiera torebkę i wraca na swoje miejsce. – Taco? – Próbuje przełamać napiętą atmosferę, ale nie odpuszcza.

- Nie zawsze jestem po stronie wujka Connora – odparowuję. – Tydzień temu nazwał mnie idiotą. Dlaczego miałbym być po jego stronie? – Staram się ukryć uśmiech, kiedy gestykuluję do Connora, który wygina *jedną* brew. Graliśmy w szachy i kiedy przegrałem, powiedział, żebym się nie przejmował. Iż nie miałem szansy, porównując moje IQ do *jego*.

W subtelny sposób nazwał mnie idiotą. Nie zaprzecza ani ripostuje. Uwielbiam szczerość, więc podoba mi się tamto wspomnienie.

- Ty mi powiedz, Moffy – mówi Ryke. – To ty od roku farbujesz sobie cholerne włosy.

W pokoju zapada cisza.

Pochyla się do przodu, układając przedramiona na kolanach, żeby być bliżej mnie.

- Co zrobiłem? Powiedz mi i możemy to naprawić, kurwa.

Orientuję się, że siedzę w dokładnie takiej samej pozycji. Pochylony, wspierający się na przedramionach. Nie ruszam się. Nie mrugam. Tylko myślę.

Myślę o tym, że Ryke Meadows mógł mieć największy wpływ na moje życie. Jeżeli jestem bardziej podobny do niego niż do własnego ojca – czy to nie jest oczywisty wniosek?

Czy to znaczy, że spędziłem z nim za dużo czasu? Czy to znaczy, że kocham go bardziej? Czy media wysuną takie pytania – *pieprzyć te pytania* i mój umysł, który nie chce przestać się obracać.

Wychował mnie tata i w wieku dwunastu lat miałem wybór. Mogłem gardzić Rykiem albo kochać go równie mocno, co tata.

Postanowiłem go kochać. Gdy byłem nastolatkiem, nauczył mnie jazdy na motorze. Co roku wybieraliśmy się na kemping. Stworzyłem mój obóz dobroczynny z miłości do pieszych wycieczek, biwakowania, kajakowania... a czy to by istniało bez Ryke'a?

Pokazał mi, jak rozpaść ogień krzemieniem. Jak rozbić namiot. Jak *wspinać się* po skałkach. Poza rodziną Meadowsów *tylko* ja odwiedziłem ich domek na wzgórzu na Kostaryce.

Zaprosili mnie Ryke i jego córka Sulli.

- Moffy. – Ryke warczy moje imię. – Słyszałeś mnie, kurwa? – Jego przekleństwa są częste, ale niezbyt ostre. Nawet patrzy na mnie łagodniejszym spojrzeniem. Nie chce mnie skrzywdzić.

Ja nie chcę go skrzywdzić.

Przez *lata* starałem się go nie krzywdzić, ale w tym roku... pękłem. Plotki o ojcostwie to chwasty, które nie chcą uschnąć. A oburzające nagłówki „*Maximoff Hale jest taki sam, jak Ryke Meadows!*” wyskakują ilekroć wybucham i walczę pięściami.

Powinienem być karcony za przemoc, a nie porównywany do wujka.

- Nie chodzi o ciebie – odpowiadam z przekonaniem wujkowi. – Kocham cię. Wiesz o tym. Ja tylko... - Pokazuję na głowę.

Za dużo myślę. Jak zawsze.

Po prostu nie chcę być wykorzystywany jako dowód, że Loren Hale jest niegodny albo nie pasuje na ojca. Nie chcę, żeby ktokolwiek na mnie spojrzeł i stwierdził: *Maximoff jest dokładnie taki, jak Ryke, więc to Ryke musiał go wychować. Musi kochać mocniej Ryke'a. Musi nienawidzić swojego ojca. Co jeśli jego ojciec się nad nim znęca? Co jeśli jest brutalny?*

Ludziom byłoby bardzo łatwo wysunąć taki wniosek przez przeszłość taty. To leczący się alkoholik i utrzymuje trzeźwość od ponad dwudziestu lat, ale jego własny tata był alkoholikiem. Media twierdziły, że dziadek znęcał się nad tatą. Na inne sposoby. Niektóre prawdziwe.

Niektóre fałszywe.

Lecz nie chcę, by ktokolwiek przywiązał *jakiegokolwiek* paskudztwo do Lorena Hale'a. Trzymajcie się z daleka. Przysięgam na jebanego Boga. Trzymajcie się z daleka.

- Ja pierdołę, jak mogę pomóc? – pyta mnie Ryke. – Chcę pomóc.

Kiwam parę razy głową i wyrzucam z siebie:

- Do którego z was jestem najbardziej podobny? – Ale to tata mi odpowiada.

- Jesteś podobny do całej naszej trójki, kolego.

Odwracam się do niego.

Dotyka swojej piersi. – Pyskaty, jak ja. – Pokazuje na Ryke'a. – Uparty, jak mój drogi brat. – Kiwa głową do Connora. – I wierny, jak moja prawdziwa miłość.

Connor szczerzy się w uśmiechu.

- Nie mógłbym się bardziej zgodzić, kochanie.

Zaczynam się uśmiechać.

- Z którą częścią?

- Ze wszystkimi. – Zaskakuje mnie tym.

Wierzę, że nie uspokajają mnie kłamstwami. Znowu potakuję. Jestem gotów zmienić temat oddalony o lata świetlne od tego.

- Pomówmy o czymś innym – proponuję.

- Jak sobie radzisz z nowym ochroniarzem? – pyta tata.

Drogi Świecie, kpisz sobie ze mnie czy co? Z poważaniem, spłoszony człowiek.

W mojej głowie pojawia się obrazek: ja leżący na Farrowie na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Ponieważ oni wszyscy zatrudniają ochroniarzy do zapewnienia bezpieczeństwa swoim dzieciom, jestem przekonany, iż usłyszeliby „jesteś ze swoim ochroniarzem” jako „Farrow Keene cię wykorzystał” – a to nieprawda.

Dlatego muszę skłamać. Poniekąd.

- Farrow to irytujący, zawodowy mądrała.

Oczy mojego taty iskrzą się przekornie.

- Aż tak go lubisz?

Biorę łyk wody, żeby ukryć uśmiech. On tylko żartuje, ale Chryste, to prawda.

- I tyle? – pyta Ryke, ściągając brwi.

Zbieram szybko myśli.

- Jesteśmy wobec siebie serdeczni. Ja szanuję jego, on mnie. Więcej nie trzeba mówić.

- Nie przeszkadza ci, że zajmuje się twoimi umowami o poufności? – pyta Connor, nawiązując do moich przygód na jedną noc.

- Wcale. – Potrząsam głową. – Tak w ogóle, miałem o coś spytać. – Odkładam butelkę wody. – Co jest lepsze, nawilżacz na bazie silikonu czy wody? – Kiedy ostatnie słowo opuszcza moje usta, uchylają się drzwi biura. Spodziewam się zobaczyć asystenta Connora.

...do biura wchodzi *Farrow*.

Co.

Przecieram oczy, żeby upewnić się, iż absolutnie, stuprocentowo *nie* fantazjuję i nie otrzymałem jakiejś tajemnej supermocy. Nabycie magicznej zdolności wyczarowania nowego chłopaka brzmi teraz bardziej, kurwa, wiarygodnie.

Farrow zapina swoją skórzaną kurtkę, a kosmyk wybielonych włosów opada mu na ciemne rzęsy. Jego beztraska pewność siebie jest przekłęcie seksowna, ale to nie może być fantazja. Ponieważ nawet na mnie nie patrzy.

Zwraca uwagę tylko na Connora.

- Alfa poprosiła, żebym sprawdził widok na ulicę z twojego biura. Price mówił, że wysłał ci wiadomość.

Connor trzyma w ręce komórkę.

- Widziałem. Rób, co musisz.

Chwileczkę.

On zostaje? Moja szczęka opada coraz niżej.

- Dzięki – mówi Farrow, rzucając mi przelotne spojrzenie. Wychwytyuję leciutkie drgnięcie jego warg zanim obraca się do okien i omiata wzrokiem ulicę w dół.

Znajduje się w zasięgu słuchu na milion procent.

Tata otwiera energetyczny napój Lightning Bolt! i szturcha mnie łokciem.

- Po co chcesz wiedzieć, który nawilżacz jest lepszy? – *Nie*.

Nie.

Nie.

Kurwa.

MAXIMOFF HALE

Zamieniłem się w marmurowy posąg.

Miałem nadzieję, że wcześniejsze pytanie zostanie zapomniane albo *zginie*. Nikt się nie cenzuruje w obecności ochroniarzy. Ja też normalnie miałbym to gdzieś, ale to *wczesny* początek tego, co się pomiędzy nami dzieje.

Nie potrzebuję, żeby Farrow wiedział, iż właśnie zapytałem mojego tatę i dwóch wujków o nawilżacz. Taką samą rozmowę prowadziłem z Farrowem – i nie mogę się wycofać bez wzbudzenia podejrzeń.

Muszę przeć do przodu.

- Przyjaciel mi powiedział, że ten na bazie silikonu jest lepszy. Byłem ciekaw waszego zdania. – Powstrzymuję ochotę zerknięcia na Farrowa. Nie zamierzam pokazać tacie albo wujkom, iż wiązę *nawilżacz* z moim ochroniarzem.

Ale wyobrażam sobie jego szeroki uśmiech i słyszę, jak mówi: *taki niewinny*.

Czuję palenie całej szyi. Świeżo upieczony klient Upokorzeni-To-My.

Tata marszczy brwi.

- Jaki przyjaciel?

Mam przyjaciół, którzy są pracownikami, a potem rodzinę. Nie ufam nikomu innemu i tata ma tego doskonałą świadomość. Wybieram jedyną możliwość.

- Janie.

Wzrok Connora przeszywa mnie na wskroś, kiedy przykładła palce do szczęki.

- Jestem pewien, iż moja córka wie, że silikon degraduje silikon. – Chodzi mu o to, że silikonowy nawilżacz niszczy *zabawki erotyczne*.

- Spotyka się z Dupkiem Z Przywilejami – przypominam im. – Z Natem.

- Wiemy – odpowiadają, oni również nie są największymi fanami Nate'a. Ale oni nigdy go nie poznali.

Tylko ja poznaję DZP.

Brukowce publikują zdjęcia Jane bawiącej się w klubach nocnych z tą samą osobą. Nate jest czwartym i obecnym DZP. Posiadają również zdjęcia tych samych facetów z

innymi dziewczynami. Media i fani wahają się z nazywaniem ich jej „chłopakami”, bo nimi nie są.

DZP #1 i #2 pragnął swoich piętnastu minut sławy.

DZP #3 chciał zapoczątkować karierę aktorską.

A teraz Nate, DZP #4, chce butelek szampana wartych tysiące dolarów.

Janie zawsze mówi, że ich intencje nie mają znaczenia, ponieważ ona pragnie jedynie seksu, a oni szanują ją w łóżku. Niełatwo jej odnaleźć ten szacunek, jest jej o wiele trudniej ode mnie. Dlatego właśnie nie potrafi decydować się na szybkie numerki, jak ja. Musi trzymać się jednego faceta przez dłuższy czas.

Ale chcę, żeby Jane była z kimś, kto pragnie jej całej. Nie tylko jej sławy. Nie tylko jej bogactwa. Jest jedną z najlepszych osób na tym przeklętym świecie. Piękna wewnątrz i na zewnątrz. A jeśli faceci, z którymi sypia tego nie widzą, to nie są dla niej wystarczająco, kurwa, dobrzy.

Sprawa zamknięta.

Tata wykrzywia twarz. – Nigdy bym nie przypuszczał, że poznam preferencje mojej siostrzenicy, co do nawilżacza.

- Sam zapytałeś – mówię.

- Żałuję. – Przykłada rękę do serca.

- Nawilżacz na bazie wody jest kurewsko lepszy – odzywa się Ryke. – Nie plami prześcieradła i wydaje się bardziej naturalny.

Connor wygina brew, zwracając się do mnie:

- Oczywiście, jeżeli chcesz posłuchać kogoś, kto od dwóch dekad nie uprawiał seksu analnego.

Ryzykuję spojrzeniem na Farrowa, który nadal stoi twarzą do okna, ale zauważam zaczątek niepohamowanego uśmiechu. Szybko odrywam od niego wzrok i patrzę na tatę. Nie jest najbardziej spostrzegawczą osobą w tym pomieszczeniu i skupia uwagę na swoim bracie oraz najlepszym przyjacielu.

- Pierdol się, Cobalt – jęczy Ryke.

Connor się szczerzy.

- To się stało twoim nieelokwentnym powiedzeniem: *Connor Cobalt ma zawsze rację.*

Ryke pokazuje mu dwa środkowe palce.

Connor koncentruje się na mnie.

- Moje preferencje zależą od tego, co robię. Słowo rady – silikon jest preferowany do stosunku analnego, szczególnie jeśli planujesz być na dole. – Nim ożenił się z Rose Calloway był zarówno z mężczyznami i kobietami, podczas gdy mój tata i Ryke są heteroseksualni.

Dziwnym sposobem *wiem*, że ulubioną pozycją mojej mamy jest anal przez chamskich nastolatków z gimnazjum. Znaleźli te informacje w sieci i uwielbiali mi o tym przypominać.

Gdy zamyślam się na chwilę, znajduję sposób, żeby zyskać przewagę i być może wybić z równowagi Farrowa.

- Najczęściej jestem na górze.

Farrow przebija balon z gumy, co automatycznie przykuwa moją uwagę. Odwraca nieznacznie głowę, ale zatrzymuje się i obraca z powrotem do okna.

- Spotykasz się z kimś? – pyta mnie Connor.

- Co? – Odwracam gwałtownie głowę do wujka. – *Nie*.

Tata próbuje ukryć zmartwienie, ale na jego czole pojawiają się zmarszczki. Nie cierpi, że interesują mnie same jednonocne przygody i seks bez zobowiązań. W ciągu jednej sekundy spogląda na *mojego ochroniarza*.

- Farrow.

Nie.

Farrow obraca się do nas, żując gumę.

- Tak?

- Wiesz, że *ufam*, iż zapewnisz mojemu synowi bezpieczeństwo. – Mroczne spojrzenie taty zdołałoby wymordować całe stado gęsi. – Ilekroć przyprowadza do swojego pokoju nieznanego naraża się na niebezpieczeństwo i ty jesteś cholernie jedyną osobą, która może mu pomóc...

- Jestem pewien, że potrafię sam sobie pomóc – wtrącam.

Farrow uśmiecha się szeroko.

- Posłuchaj taty, wilczku. Potrzebujesz mnie.

Potrząsam głową, starając się sam powstrzymać uśmiech.

- Potrzebuję *mniej* ciebie.

- Tylko ty tak twierdzisz. – Przekrzywia głowę.

- Cieszę się, że mogłem być twoim pierwszym – rzucam oschle. Przekomarzanie jest u nas dość normalne. Nikt nie powinien być podejrzliwy.

Tata się odpręży i spogląda pomiędzy Rykiem i Connorem.

- Nie, żebym się przejął, jeśli to się wydarzy, ale... zdajecie sobie sprawę, że wszystkie nasze *najstarsze* dzieci nigdy nie były w prawdziwym związku?

- Wzór czy zbieg okoliczności? – zastanawia się na głos Connor, ale mogę się założyć, że zna już odpowiedź.

Jane, Sulli i ja – najstarsza trójka z każdej rodziny – odczuwamy największą presję wobec tego, z kim się umawiamy. To nie jedyny powód, dla którego nie byliśmy z nikim związani, ale zdecydowanie ma znaczenie.

- Skoro już rozmawiacie, jakbym wyparował – mówię lekkim tonem, podnosząc się z kanapy – muszę lecieć. Za pół godziny mam spotkanie. – Żegnam się ze wszystkimi oprócz Farrowa.

On musi iść za mną.

Gdy tylko wychodzimy i idziemy *powoli* korytarzem, on wybuchą głośnym śmiechem, uwalniając dźwięk, który zapewne tłumił od dłuższego czasu. To niemal zaraźliwe i czuję, że się uśmiecham.

- Witaj w moim życiu. Najwyraźniej masz miejsce w pierwszym rzędzie.

- To diabelsko zabawne, ale kiedy zamierzasz wpuścić mnie za kółko?

- W dniu, kiedy umrę.

Przewraca oczami na słowo „umrę”. Po czym bezwstydnie lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Poprosiłeś tatę i wujków o poradę na temat nawilżacza. Słodkie.

Sposób, w jaki mówi „słodkie” brzmi szczerze. Ale czuję potrzebę obrony.

- Jestem blisko z rodziną.

Posyła mi ciepły uśmiech.

- Wiem. To jedna z moich ulubionych rzeczy w tobie. – Wymieniamy się gorącymi spojrzeniami, rozgrzewa się we mnie krew. Obrzuca wzrokiem pusty korytarz, po czym szepcze z narastającym uśmiechem.

- „Najczęściej” jesteś na górze. – Rysuje w powietrzu znak cudzysłowu.

- Czy to będzie dla ciebie problemem? – pytam.

Znowu przewraca oczami, jakby nie do tego zmierzał. Stykamy się ramionami, nasze ciała przyciągają się do siebie. Milkniemy, kiedy w oddali zauważamy napływ pracowników Cobalt Inc.

Czekamy w ciszy na windę. Na szczęście jest pusta. Wchodzimy do środka i wciskam parter. Gdy zaczynamy zjeżdżać na dół, Farrow mówi:

- Jestem pasywny. – *Lubi być na górze i na dole.*

Patrzę na niego i unosi do mnie brwi.

- Chcę poczuć w sobie twojego penisa.

Prawie mi staje, ale zauważam, że spogląda na kamerę windy. Jest świadom naszego otoczenia. Dlatego niczego nie robimy, chociaż ryzykuję zbliżeniem. Podchodzę tylko parę kroków.

- Co rozumiesz przez *najczęściej*? – pyta wprost. – Byłem kiedyś z kimś, kto nie lubił żadnej penetracji.

- To zdecydowanie nie jestem ja. – Oblizuję wargi i opuszcza na nie wzrok. – Lubię właściwie wszystko, ale byłem na dole tylko dwa razy.

Wbija w moje oczy brązowe tęczówki i przeżuwa powoli gumę w zamyśleniu.

- Nie spodobało się?

- Nie z nimi. To sprawa zaufania – odpowiadam, kiedy winda się zatrzymuje i rozsuwają się drzwi.

Nie wspominam, że fantazjowałem o tym, że Farrow był za mną – jak napierał na mnie swym ciężarem, ale w fantazjach siedem na dziesięć razy obracam go i przejmuję inicjatywę.

Przy trzech innych razach... jego erekcja znajduje się we mnie.

Z półsnu wybudza mnie dzwonek komórki. Przewracam się na bok i podpieram na ramieniu. Jeżeli Alfa będzie mną teraz dyrygować przez telefon, będziemy musieli odbyć poważną pogawędkę.

Chwytam za telefon, który spadł na starą podłogę i najpierw zauważam godzinę w rogu ekranu.

2:03.

Potem widzę, kto dzwoni: *Wilczek*.

Od razu siadam, czarna kołdra leży skopana w nogach materacu. W tą niezwykle gorącą październikową noc brałem pod uwagę spanie nago. Ale nocne nagłe wypadki mówią na to stanowcze *nie*. Chyba, że chcę zostać facetem, który potyka się o własne nogi, zakładając bieliznę.

A to nie jestem ja.

Przykładam telefon do ucha.

- Maximoff.

Jego długa cisza przyspiesza mi rytm serca i nim zdążę zapytać, co się stało, dobiega mnie jego niski głos.

- Przyjdź do mnie.

A niech to. Mój penis napiera na czarne bokserki, a w sypialni na poddaszu wzrasta temperatura. Ciekawe czy miał na celu sprawić, by „przyjdź do mnie” brzmiało tak żarliwie i erotycznie.

Nie od razu słucham jego rozkazu. Z jednego powodu.

- Nie masz w swoim łóżku dziewczyny? – Szybko odkryłem, że w noc, kiedy Jane i Maximoff przebywają sami w kamienicy – bez przyjaciół z przywilejami, bez przygód na jedną noc – jakimś cudem zasypiają w tym samym pokoju. W tym samym łóżku.

Platonicznie.

To trochę dziwne. Bardzo dziwne, kiedy *naprawdę* się nad tym zastanowić, ale rozumiem także, jak otwarte i nieskrępowane są wobec siebie te rodziny. Jak

doświadczenia dzielone przez Maximoffa i Jane od urodzenia połączyły ich niczym dwujajowe bliźnięta. Są sobie o wiele bliżsi niż zwykłe kuzynostwo.

Nigdy nie umawiałem się z bliźniakiem i szczerze się zastanawiam, jak mam wpasować się do ich dynamiki.

- Powiedziałaś jej o nas? – pytam niż zdąży odpowiedzieć.
- Jeszcze nie. – Zamierza dopuścić ją do naszej tajemnicy.

Już zgodziłem się na ten warunek. Widzicie, Jane Cobalt zajmuje pierwsze miejsce w jego życiu i będzie potrzeba o wiele więcej niż pięciominutowego obściskiwania w jego audi, żeby to zmienić.

- Śpi – mówi ściszym głosem Maximoff. – Opuściłem jej pokój, jestem teraz w moim. *Sam*. – Jego gorąca niecierpliwość gładzi mnie po wzwodzie.

Kładę boscie stopy na podłodze i wstaję z podnieconym węzłem w gardle. Używam ramienia, by uwolnić ręce i przyciskam komórkę do ucha, żeby zawinąć kabel wokół radia i wziąć pistolet w kaburze. Zamierzam powiedzieć „*zaraz będę*”, ale chcę słyszeć jego głos.

- Czy to twoje pierwsze zapraszanie przez telefon na seks? – pytam.
- Czy to pierwszy raz, kiedy celebryta złożył ci niestosowną propozycję? – odparowuje spokojnie.

Uśmiecham się. Mały mądrała.

- Chyba chodziło ci o *Wyrzutka Harvarda*.
- Nie, chodziło mi o *celebrytę*. – Z łatwością mógłby dodać: *ślawny na całym świecie, przytłaczająco uwielbiany oraz szanowany*, ale kończy na celebrycie.

Żartuję, że Maximoff rzucił Harvard, ale znam prawdziwy powód, dlaczego to zrobił. Nie dlatego, że nie potrafił dać sobie rady. Podczas pierwszego i jedyne go semestru potrzebował trzech ochroniarzy. Studenci atakowali go ze wszystkich stron. Chcieli robić sobie z nim zdjęcia przed, podczas i po wykładach. Zakłócenie, które powodowała jego obecność nie tylko wkurzało profesorów, on odczuwał, że rujnuje edukację swoich rówieśników.

Dlatego odszedł.

Mógłby zakończyć naukę prowadząc kursy online, tak jak Jane, ale zamiast tego rzucił się w karierę. Wszyscy to wiedzą.

Zakładam czarne, bawełniane spodnie i trzymając w jednej ręce radio oraz pistolet, wybywam z pokoju szybciej niż zapewne sądzi Maximoff. Schodzę po wąskiej kondygnacji schodów, po cichu mijam pierwsze piętro, gdzie śpi Quinn.

Docieram do salonu i otwieram usta, żeby się odezwać. Ale on pierwszy zapełnia ciszę.

- Spróbuj się nie spuścić zanim tutaj dotrzesz – mówi Maximoff i rozłącza się.

Szlag.

Wsuwam komórkę do kieszeni, czując gorąco na szyi. Podświadomie zaciskam dłoń na penisie. *Pragnę go.*

Cholera, bardzo go pragnę.

Otwieram drzwi łączące nasze mieszkania przy kominku.

- Walrus, ty mały draniu – szepczę i chwytam zmykającego kotka. Zamykam łagodnie drzwi i wypuszczam Walrusa w ciemnym salonie Maximoffa.

Dziś wieczorem czuć tu ostry zapach gorącej herbaty, aromat Earl Gray przypomina mi jego. Widywałem, jak Maximoff napełniał herbatą pięciolitrowe termosy, jakby to była czarna kawa.

Wchodzę szybko po schodach, uważając, żeby nie zaskrzypiały pod moimi stopami. Omijam piętro, gdzie znajduje się pokój Jane, pokój gościnny i jedyna łazienka, ignorując dwa lub trzy koty, które mnie śledzą.

Na samym szczycie schodów dochodzę do jego drzwi i wchodzę do jego pokoju na poddaszu, w którym panuje taki sam ukrop, co w moim – blokuję nogą wejście dwóm futrzanym łajdakom.

Kotkom wstęp wzbroniony. Zamykam przed nimi drzwi. Nim jeszcze podniosę wzrok, słyszę głos Maximoffa.

- Zamknij na zasuwę.

Może powinienem zmienić w telefonie jego kontakt na *Władczy*, ale zamykam drzwi. Nie jestem tak wielkim dupkiem.

Odwracam się i czuję pulsowanie w penisie. Maximoff stoi w samych dresowych spodniach zwisających nisko na jego biodrach, mięśnie brzucha przypominają wyrzeźbiony marmur, ale więcej niż to – więcej niż zarys jego erekcji i piękne kości policzkowe – ten mały pokój na poddaszu obezwładnia jego niewzruszona, solidna postawa.

Która mówi zasadniczo „*dobrze cię przeleczę*”.

Zaczyna się we mnie gotować krew i lustruję go długim palącym spojrzeniem. *Nawzajem, Maximoffie.* Odkładam pistolet i radio na jego komodę.

Siłą nawyku kątem oka studiuję jego pokój: zasunięte szare zasłony, niski regał na książki, ciemnoczerwone ściany z cegły, pełnowymiarowe łóżko i ciemnopomarańczowa kołdra. Z drewnianych krokwi zwisają maleńkie białe żarówki, które rzucają słaby blask. Nie ma tu innego źródła światła.

Stoimy naprzeciw siebie, odgarniam sobie włosy z twarzy, a on przesuwa wzrokiem po moich wytatuowanych mięśniach i kolczyku w sutku. Prawie się uśmiecham.

- Dlaczego nadal masz ciuchy?

Drżą mu kąciki ust. – Podejdź i zdejmij je ze mnie.

Skracam dzielącą nas przestrzeń dwoma długimi krokami – i chwytam jego gardło, sunąc ręką do ostro zarysowanej szczęki. Moje usta znajdują się dokuczliwie blisko. Nasze spojrzenia odgrzebują najgłębszą głębię, jak gdyby szepcząc wściekle: *Znam cię. Znam cię. Znam cię lepiej niż ktokolwiek.*

Intensywność chwili napręża moje mięśnie, przedłużając pocałunek. Nie zamykam oczu. Nie odwracam wzroku.

Maximoff zaciska rękę na moich włosach, zjeżdżając drugą dłonią po moim brzuchu, podczas gdy ja kładę rękę na jego klatce piersiowej. Dosięga mojej erekcji i masuje mnie przez bawełnę... następnie ściska.

Dobry Boże. W moim gardle rozbrzmiewa pomruk i czuję przyjemne pobołowanie w penisie. Ja pierdolę, on wie, co robi.

Gdy wytatuowaną ręką docieram do zagłębienia w jego szyi, po raz pierwszy opuszcza wzrok. Przygląda mi się, oddychając ciężiej.

Odkrycie, co podnieca Maximoffa Hale'a musi być *moim* największym podnieceniem. Chcę doprowadzić go do orgazmu. Mocnego orgazmu.

Lekko – bardzo, *bardzo* lekko – zaciskam palce na jego szyi. Powoli dodaję nacisk, podduszając go słabo. Studiuję jego reakcję oraz sposób, w jaki porusza się jego pierś.

- Podoba ci się? – szepczę przy jego ustach.

Jego jęk brzmi jak wilczy warkot. Przypomina czysty, żywy seks.

Wtedy jego usta stykają się z moimi i umiejętny, *zmysłowy* język rozchyła moje wargi w leniwej, palącej fali. Jego agresja nie znika – ciągnie mnie za włosy, zdziera bawełniane spodnie. Występuję z nich i trzymam nieruchomo jego szczękę, pogłębiając pocałunek.

Prowadzi mnie tyłem i uderzam barkami o cegłę. Nie odrywamy od siebie ust i obejmuję jego twarde pośladki, a on przyciąga mnie do siebie, zsuwając z siebie dresowe spodnie. Nie ma na sobie bokserek, więc moim oczom ukazuje się jego członek. Przerrywam pocałunek i wyginam kąciki ust na jego rozmiar.

Nie jestem zaskoczony, iż posiada najpiękniejszego penisa, jakiego kiedykolwiek widziałem – grubego i długiego. Przylegamy do siebie torsami i miednicami, a on wsuwa palce za pasek moich bokserów.

Jego szept rozgrzewa moją żuchwę.

- To znajdzie się w tobie.

Opieram głowę ceglana ścianę, *tak kurwa*. Naprężam mięśnie i w następnej sekundzie pozbywam się bokserów. Patrzy w dół i jego reakcją na mojego równie pięknego kutasa jest niskie „*Kurwa*”.

Ta, nie jesteś zwycięzcą na każdej arenie, wilczku. Nie, kiedy ja znajduję się w konkurencji.

Chwytam go za kark jedną ręką, a drugą gładzę jego członka, zaciskając na nim palce. Wbijam barki w ścianę. Obserwuje moją dłoń ostrymi oczami, które chcą uciec w głąb czaszki.

Uśmiecham się, kiedy wysuwa biodra do przodu, ponownie przyciskając do mnie wargi i przejmuje kontrolę, zrównując ze sobą nasze erekcje i gorące, wrażliwe ciała ocierają się o siebie nawzajem – masturbuje nas oboje jedną twardą, szorstką dłońią, co przypomina *pieprzenie*... wydaję cichy pomruk, opuszczając rozchylone wargi na jego szczękę.

Obejmuję jego twarz i przygryzam mu wargę, jemu również wyrywa się jęk. *Podobało ci się*. Przejeżdżam zębami po żuchwie, ssąc nasadę szyi i lekko gryzę.

- Ja pierdolę – dyszy.

Naprawdę to lubi. Przesuwam palcami wzdłuż jego pleców i wysuwa biodra do przodu, pragnąc zagłębić się we mnie. Doskonale to widzę. Opuszcza ręce i obracam nim szybko, przyszpilając jego plecy do ściany. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę jak dochodzi.

Właśnie mam klęknąć, ale chwyta mnie w pasie, przesuwając dłoń na moje żebra.

- Czekaj. – Napina szczękę i znowu całuje mnie powoli, szepcząc po chwili: - Najpierw spuść się na mnie.

Czy ja dobrze go usłyszałem? Jeden z najbardziej zasadniczych ludzi, jakich poznałem chce, żebym się na niego spuścił?

Spoglądamy sobie w oczy i dostrzega w moich szok. Po pierwsze, nigdy bym nie pomyślał, że będzie *aż tak* doświadczony. Pomimo twierdzenia, że uprawia dużo seksu, że uwielbia seks – dla mnie nadal jest o pięć lat młodszy. Pięć lat *mnie* doświadczony.

Po drugie, sądziłem, że będzie cały spięty i nie będzie wyrywał się z szeregu. Ale lubi być gryziony. Możliwe, że drapany i podduszony. A teraz to.

Maximoff Hale ma swoje fetysze i na kilka sekund czynią go naprawdę bezbronnym. Jednakże panuje także nad każdym działaniem. Przez moment kręci mi się w głowie i przejeżdżam językiem po piękącej dolnej wardze.

On pociera szybko mojego członka. Nachylam się do przodu, wspierając się ramieniem o ścianę przy jego głowie. Ściskam mocno jego twarz.

- Chcesz, żebym się na ciebie spuścił? – pytam ochryple.

- *Psiakrew*. – Jego jęk przypomina warkot i próbuje odchylić głowę w kierunku cegły. Jego oddech jest nierówny i przyspieszony, a ja tylko trzymam jego twarz.

Zaciska na mnie dużą dłoń – i zagryzam zęby, mięśnie płoną, ścięgna naprężają się do granic możliwości. W głowie mi dudni, krew pędzi w dolne regiony. Oddycham ciężko przez nos. Jego ręka zmienia prędkość, zwalniając i zacieśniając uchwyt. Wzbiera się we mnie doskonały nacisk, otumaniając.

Mam ochotę odchylić głowę, ale pozostaję w tej samej pozycji, prawie opierając o niego czoło. Ten *raz jeszcze* zmienia tempo.

Kurwa.

Zaraz... potrząsa mną dreszcz i dochodzę za pomocą jego cholernej ręki. Jego brzuch lśni spermą i padam na kolana z gulą w gardle.

Przesuwam dłonią po jego twardej erekcji umiejętnym ruchem. Przygląda się uważnie moim palcom i odsuwa mi z twarzy mokre włosy.

Uśmiecham się, po czym przejeżdżam po nim językiem i biorę w rękę jądra. On dygocze i przeklina.

- Kurwa, Farrow. – To *kurwa* powiedziało „*przestań się droczyć*”. Staram się nie roześmiać.

Ssę czubek, następnie obejmuję ustami cały jego wzwód, przesuwając głowę do przodu i do tyłu, smakując jego skórę. Co jakiś czas ściskam jego długość.

Uwielbiam czuć go w ustach, ale co więcej jestem urzeczony sposobem, w jaki mi się przygląda. Jakbym był fantazją. Jakbym był czymś zesłanym z nieba, o czym tylko marzył – i nigdy bym nie pomyślał, żeby zapytać celebrytę, który mógłby mieć *każdego* na całym pierdolonym świecie, o kim fantazjuje.

I zastanawiam się, jak długo tą osobą byłem ja.

Czuję, że znowu twardnieję. Obejmuję jego pośladki i biorę go do samego gardła. Smakuję go na języku. Mamrocze jakieś przekleństwo, wywracając oczami do tyłu, po

czym wbija piorunujące spojrzenie w sufit. To najseksowniejsza szczytująca mina, jaką kiedykolwiek widziałem.

Odsuwam się i przełykam.

Gdy wstaję, całujemy się gorączkowo, zarzucając na siebie ramiona i przyciskam do piersi jego muskularne plecy, ssąc nasadę szyi. Jęczy, kiedy gryzę jego skórę, po czym obraca się. Wciąż walczymy o przewagę bardziej zgodni niż uwierzyłyby większość – niczym dwóch mężczyzn grających o prowadzenie. Nie walczących.

Uśmiecham się szeroko, kiedy kładzie moją dłoń na ścianie, teraz to *on* przylega do moich pleców. Jesteśmy złani potem. Sunie dłońmi po moich biodrach i tyłku, śledząc linie porozrzucanych tatuaży.

Oglądam się przez ramię i łapię go za tył głowy. Całujemy się dwa razy, kiedy mówi:

- Nie ruszaj się.

Maximoff odchodzi do szafki nocnej. Wspieram się przedramionami o cegłę, stojąc niemal w zrelaksowanym wykroku i patrzę, jak wyciąga pudełko kondomów oraz nawilżacz.

- Kupił mój ulubiony – droczę się.

Maximoff okazuje swój zirytowany, zadowolony uśmiech jak mistrz. Mógłbym wpatrywać się w tą twarz każdego dnia. Zasadniczo już to robię.

- To twój ulubiony? – pyta sarkastycznie, nadal dysząc. – Gdybym wiedział, to bym oddał.

Gwiżdżę do niego. – Uważaj. Za chwilę stracisz swoją odznakę *szczerości*.

Nie potrafi ukryć uśmiechu, ale kiedy staje za mną, po raz kolejny pozeramy się wzrokiem. Atmosfera gęstnieje i nie muszę go nawet przygotowywać, bo znów jest twardy jak skała.

Cholera. Bierze prezerwatywę, odrzuca pudełko i zrywa opakowanie zębami. Patrzę, jak osłania penisa, następnie nawilża siebie oraz palce.

Jego pewność siebie formuje gorącą kulę w moim gardle – *pragnę poczuć go w sobie*. Już.

Patrzę przed siebie, zwieszając leciutko głowę i rozluźniam mięśnie. Łapie mnie za biodra i przesuwa palcem wzdłuż mojego rowka, zanim go we mnie wsuwa.

Opada mi szczęka, nacisk wystarcza by oddech stanął mi w gardle. Ociera się o moją prostatę.

- Ja pierdołę, *Maximoff* – jęczę.

Staram się nabierać pełne, głębokie wdechy. Wsadza we mnie drugi palec, przez chwilę się ze mną drocząc. Zerkam do tyłu, kiedy wycofuje palce.

Maximoff chwyta za członka i napiera na mnie. Jego ciepły oddech rozgrzewa moje ucho.

- Potrzebujesz wolnego tempa?

Uśmiechnąłbym się, gdybym nie płonął żywym ogniem.

- Nie. – Pochwytyuję jego spojrzenie. – Weź mnie jakkolwiek zechcesz. – *Ta* myśl zaciska pięść na mojej erekcji.

Wchodzi we mnie łagodnie i obracam głowę w stronę ściany, prawie zaciskając powieki na tę oszałamiającą *presję*. Gdy przyjmuję go całego, przylega piersią do moich pleców i zaczyna się poruszać.

Kurwa... wydaję z siebie urywane, niskie pomruki. Przyciskam pięść do cegły. On wbija palce w moje biodra, jego tempo jest dogłębne, szybkie i hipnotyzujące.

Zatracam się w tym rytmie. Umysł opuszcza pieprzone ciało. Wolną ręką sięgam na dół i gładzę swojego penisa. Tylko dwa razy, ponieważ jego prawa dłoń ześlizguje się z mojego biodra i chwyta mój twardy wzwód. Maximoff wszędzie dodaje tarcie.

Wyciągam ramię do tyłu i łapię go za pośladki. Jego mięśnie naprężają się pod moją ręką z każdym głębszym pchnięciem.

Jęczę, zaciskając mocno zęby. *Kuuuurwa*.

Nasze ciała stykają się ze sobą w intensywnym rytmie i czuję, jak rozkosz przelewa się przez moje rozgrzane do czerwoności żyły. Ledwo patrzę na znajdującą się przede mną ścianę – oczy znajdują się gdzieś w głębi głowy.

Dochodzę i jego pomruk odbija się niskim echem w moim uchu.

- *Farrow*.

Jego ciało ociera się o mnie, kiedy doi swój orgazm, a ja łapię oddech. Opieram czoło o bicepsa, trzymając spoconą dłoń na ścianie.

Obejmuje ramieniem mój brzuch, bardzo współczująco i pocieszająco. Mogę szczerze przyznać, że nikt nigdy tak dobrze mnie nie przeleciał.

Maximoff Hale jest wyjątkowy i nie mogę sobie wyobrazić, żeby miał go ktokolwiek inny poza mną.

MAXIMOFF HALE

Pomnóżcie moje fantazje o pieprzony miliard i oto opis zeszłej nocy.

Przewyższyła wszystko, co mógłbym sobie wyobrazić.

Zanim położyliśmy się w moim łóżku, Farrow ustawił budzik w telefonie na 5:40, by mógł wyjść przed tym, jak Quinn zauważy, że go nie ma. Jakimś sposobem budzimy się godzinę wcześniej.

Pewnie przez nowość tego wszystkiego, ekscytację... albo mój idiotyczny mózg *dziękuję* mi za poddanie się jego sześciolatniemu żądaniom.

Leżę na boku pod białym prześcieradłem i pomarańczową kołdrą zwrócony do mojego ochroniarza. Obaj jesteśmy nadzy. Farrow podpira się na łokciu i gładzi mnie po włosach, przyglądając się odrostom.

- Niedługo będziesz musiał je pofarbować – odzywa się.

Oblizuję usta w zamyśleniu. Mam pewną rutynę z numerkami na jedną noc. *Nigdy* nie mówię o sobie. Nigdy nie zadaję zbyt osobistych pytań, nie chcąc dać im błędnych sygnałów. Wyprowadzam ich na dół i dzwonię po prywatnego szofera, żeby zabrał ich bezpiecznie do domu.

Nigdy więcej ich nie spotykam.

To jest cholernie inne.

Farrow opuszcza rękę, kiedy siadam pod wezgłowiem. Idzie w moje ślady i przypatruje się moim zaostrzonym kościom policzkowym oraz opuszczonym oczom. Wpatruję się w knykcie i orientuję się, że *jestem nerwowo*.

- Drażliwy temat? – pyta.

Przenoszę na niego wzrok, jego przeszywające spojrzenie i tatuaże na szyi są naturalnie onieśmielające. Lecz ja odnajduję w nich komfort.

- Jak myślisz, dlaczego farbuję włosy?

Farrow milczy tylko ułamek sekundy.

- Kochasz swojego tatę.

Przytakuje, czując uśmiech cisnący się na usta. *On mnie zna*. Szybko zalewają mnie nerwy. *On mnie zna*. Prostuję się, naprężając mięśnie barków.

Farrow obserwuje mnie uważnie, ale żaden nie zabiera głosu. Sprawdza godzinę na swojej komórce, po czym opuszcza łóżko. Podnosi się do swojej nagiej, muskularnej, smukłej sylwetki metr dziewięćdziesiąt jeden.

Chryste.

Jest wszystkim, co sobie wyobrażałem i *jeszcze więcej*.

- Porozmawiamy o tym, dlaczego się denerwujesz? - Farrow spogląda na mnie, ubierając bokserki, które podniósł z podłogi. - Myślałeś, że nie zauważyłem?

Podwijam nogi pod kołdrę i kładę ramiona na kolanach.

- Myślałem, że się nie przejmiesz.

- Przejmuję się. - Kiwa głową i odnajduje bawełniane spodnie. - Przejmuję się *bardzo*.

Biorę wdech pełen napięcia. - Znam seks. Nie znam *niczego* innego. Cokolwiek wydarzy się po tym, pomijając pieprzenie się ze sobą... to dla mnie ogromna tajemnica.

Jest w trakcie zakładania spodni i uśmiecha się, wyginając do mnie brwi.

- Wypożycz film.

- Co?

- Wypożycz *jakikolwiek* romantyczny film... chociaż te heteroseksualne nie są najlepsze. Ale wypożycz jakiś film, popatrz jak dwoje sentymentalnych ludzi robi razem głupie, przeciętne rzeczy i proszę bardzo, Maximoff.

Warczę poirytowany, ale powtarzam jego słowa w głowie. Przyłapuję się na uśmiechu. Jezu.

- To nie jest takie, kurwa, proste, Farrow.

- Pomijając fakt, że jestem twoim ochroniarzem i musimy się ukrywać, to jest takie proste. - Podchodzi do mojej strony łóżka i opiera kolano o materac. - Tylko lubisz być dobrze zorientowany nim cokolwiek zrobisz.

- Dziękuję - odpieram oschle.

- Nie ma za co. - Przesuwa kciukiem po śladzie po ugryzieniu na moim barku. - Przepraszam.

- Nie musisz. – Przełykam przyptyw podniecenia, a on nachyla się i całuje mnie w usta. Więc tak to będzie, co? Mogę całować drugą osobę następnego poranka. Mogę się spodziewać, że zobaczę ją za godzinę.

Mogę robić to od nowa i od nowa.

Coś rozjaśnia się w mojej piersi.

Coś jak wolność.

Oblewa mnie strumień prysznic. Mój telefon jest podłączony do głośnika na maleńkiej umywalce, odtwarzając playlistę na Spotify, którą skomponował wczoraj Farrow. Pełno w niej rockowych utworów z lat dziewięćdziesiątych. Nie mam pojęcia, dlaczego lubi ten gatunek muzyki.

W łazience rozbrzmiewa „Cannonball” od The Breeders i mam wrażenie, że ktoś wlewa mi do krwioobiegu benzynę.

Wyciskam na rękę tani szampon o zapachu cytryny i namydlam sobie włosy. Wtedy otwierają się drzwi. Kabina prysznicowa jest matowa od pasa w dół, a góra jest tylko zaparowana i wycieram ją pięścią.

Janie ubrana w niebieską *babciną koszulę nocną* ziewa sennie przy umywalce z różową maską na głowie.

- Bonjour, ma moitié! – krzyczę ponad wodą i muzyką.

- Tylko ty i ja, staruszk. – Ziewa jeszcze głośniej i otwiera szafkę z lustrem nad umywalką, by wyciągnąć swoją szczoteczkę do zębów.

Prawie się uśmiecham. Potem przypominam sobie, że ukrywam coś przed Janie. Nigdy *niczego* przed nią nie ukrywałem i to uczucie nie jest fajne. To jak okłamywanie samego siebie. Jeżeli nie mogę być z nią szczerzy, to nigdy nie zaangażuję się w pełni w cokolwiek dzieje się pomiędzy mną, a Farrowem.

Nie ma innej opcji.

- Zapowiadają dzisiaj deszcz – woła do mnie z pastą w buzi – wielkie i nieszczęśliwe burze! – Wypluwa i płucze buzię wodą. – Jaka jest szansa, że paparazzi zrobią zdjęcia moim napuszonym włosom? Ogromna.

Przez piosenkę ledwo słyszę koniec jej zdania.

- *Wyłączyć muzykę* – wołam i „Cannonball” gwałtownie milknie.

- Może spróbuję podkręcić sobie parę pasemek na dzisiejszy lunch College Merit. Wypróbuję nowy styl... gdzie jest moja... lokówka? – Grzebie pod szafkami.

- Nie powinnaś już brać udziału w żadnych dobroczynnych lunchach – mówię dość chamsko. College Merit to program Filantropii H.M.C., który wspiera finansowo biednych studentów. – Nie miałaś przypadkiem spędzać dzisiaj czasu ze strażnikiem leśnym?

Podłącza do prądu lokówkę. – Miałam, ale... wspomniałam bratu o tym strażniku...

- Nie – warczę, doskonale wiedząc, do czego zmierza.

Janie majstruje przy przyciskach starej lokówki.

- Nie widziałeś, jak Ben na mnie popatrzył, kiedy powiedziałam, że może zająć moje miejsce. Nawet mnie przytulił i nazwał *fajną*, Moffy. – W niemal całkowicie zaparowanym lustrze studiuje pryszczę na brodzie.

Wypłukuję szampon z włosów.

- Będę cię nazywał *fajną* każdego przekłętego dnia do końca naszego życia. Tylko skoncentruj się na sobie dla dobra twojego celu. – Po części się cieszę, że dzisiaj będzie ze mną – ale to egoistyczne. Jeżeli skończy studia i dalej nie odnajdzie ścieżki kariery, nie będzie chciała poświęcać sobie czasu, tak jak teraz.

Jane powie: *Marnuję czas na bezowocne poszukiwania pasji, która być może nawet nie istnieje. Lepiej, jak spędzę czas na pracy dobroczynnej.*

- Zrobię to jutro i następnego dnia – odpowiada, ale jej dojmująca miłość do rodziny jest jej największym atutem i największą słabością. Nie potrafię przewidzieć czy kiedykolwiek ulegnie to zmianie.

Kończę płukanie włosów. Zaczynają mi ciążyć niewypowiedziane rzeczy. Chwytam za kostkę mydła leżącą obok peelingu do twarzy i maszynek do golenia.

- Janie? – Znowu ścieram parę ze szklanej kabiny.

Nakręca na lokówkę ciemny kosmyk włosów.

- Tak?

- Spotykam się z kimś – walę prosto z mostu.

Jane wzdryga się i wypada jej z rąk lokówka, parząc nadgarstek przed uderzeniem o kafelki.

- *Merde.*

Natychmiast rozsuwam szklane drzwiczki gotów pomóc, ale podnosi rękę w geście *zaczekaj*. Jane podnosi lokówkę, odkłada na umywalkę i wkłada zaczerwieniony nadgarstek pod strumień wody.

Czekam kilka sekund w połowie ukryty za drzwiami. Nie wycofuję się ani ich nie zasuwam.

Gdy obraca się do mnie, przykładła palce do różowych ust i wbija we mnie wytrzeszczone błękitne oczy.

Jest wstrząśnięta.

- Szaleństwo – zgadzam się.

- To Farrow? – zgaduje trafnie. Może przez tamten jeden masaż. Wyraźnie wyczuła wtedy coś pomiędzy mną a Farrowem. Ale to mi jedynie przypomina, że musimy bardziej uważać.

Nikt nie może się dowiedzieć, dopóki nie powiemy im *naumyślnie*.

- No – mówię. – Farrow.

- Co się zmieniło? – pyta. – Nie, poczekaj... jak długo to trwa? Kiedy się zaczęło? – Zaczyna się uśmiechać.

Uśmiecha się?

Pieką mnie oczy i przez krótką sekundę jestem po prostu przytłoczony.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Wiele ryzykujesz wiążąc się ze swoim ochroniarzem, a skoro robisz to *ty*... musisz go naprawdę lubić. Pragnę tylko twojego szczęścia, Moffy. Czyż nie tego zawsze dla siebie chcieliśmy?

Przytakuję kilka razy. *Ciesz się z mojego szczęścia*. Pomimo konsekwencji i wielkiego sekretu, którego będzie musiała dotrzymać... cieszy się z mojego szczęścia.

- Nie trwa zbyt długo – mówię, kiedy chłodzi sobie nadgarstek pod kranem. – Dopiero zeszłej nocy *oficjalnie* się przelecieliśmy.

Jej uśmiech pokazuje dołeczki w policzkach. – Pamiętasz, jak mieliśmy szesnaście lat i powiedziałaś, że gdyby *Farrow Redford Keene* kiedykolwiek zrobił ci loda, eksplodowałbyś i potrzebowałbyś resuscytacji oraz karetki?

- To byłem ja? – żartuję.

- Zdecydowanie.

Wykrzywiam leciutko wargi. – Gdyby Farrow zrobiłby mi wtedy loda, tamta szesnastoletnia, dziewicza wersja mnie potrzebowałaby noszy...

Ktoś puka lekko we framugę. Ta, drzwi są *szero*ko otwarte.

I stoi tam Farrow.

Broń w kaburze, słuchawka w uchu, radio przypięte do czarnego paska, koszulka wsunięta do spodni. Jest przygotowany na dzisiejszy dzień i ja stoją nagi pod prysznicem, a moja kuzynka układa sobie włosy niecały metr dalej. Poza tym właśnie przyznałem na głos, że w wieku szesnastu lat myślałem o nim *erotycznie*.

Wspaniale.

- Hipotetycznie – dodaję do nikogo w szczególności. Farrow opiera się o framugę.

- *Hipotetycznie* byłeś dziewicą w wieku szesnastu lat?

Jane wymachuje lokówką w stronę Farrowa.

- Żadnego zawstydzania dziewic.

Farrow zdaje się dopiero teraz zwrócić uwagę na obecność Jane. Spogląda pomiędzy nami i przesuwając wzrokiem po moim częściowo ukrytym, nagim ciele. Patrzy na Jane, potem na mnie.

- Czy to jest tutaj normalna sytuacja? – pyta nas.

Cieszę się, że zostawił moją „hipotetyczną” historyjkę i koncentruje się na mojej relacji z Jane.

Ona odkłada lokówkę do szafki. – Mamy tylko jedną łazienkę i widywanie półnagiego Moffy’ego powinno być dziwniejsze dla jego ochroniarza niż dla mnie.

Farrow przekrzywia głowę z boku na bok, zastanawiając się nad tym stwierdzeniem.

- Nie sądzę. Widzisz, wy jesteście spokrewnieni...

- Dokładnie. – Jane jest w trybie obronnym, przygotowana do zaprezentowania swojej strony z naręczem notatek, slajdów powerpointa i wypracowań na cztery tysiące słów. – Oglądanie siebie nago *nic* nie znaczy, ponieważ jesteśmy kuzynami i serio, jeśli mamy kopać dalej, nagość jest społeczną konstrukcją...

- Dobra, Cobalt – przerywa jej Farrow. – Daruję sobie socjologiczny wykład.

Zawieszam się na drzwiczkach prysznica. *Potrzebuję, żeby się ze sobą dogadywali.*

- Może zapobiegniemy kłótni o to, które z was jest dziwniejsze, że widuje mnie półnagim? Znam milion innych tematów do omówienia. Na przykład... - Podnoszę rękę i mówię pierwsze, co przychodzi mi na myśl, kurwa. - ...dlaczego banany są krzywe.

- Banany rosną w kierunku słońca, Moffy – odpowiada Jane – zatem kiedy rozwijają się przeciw grawitacji, robią się zakrzywione. – Cobaltowie pochłaniają takie ciekawostki jak wodę. Są im niezbędne do codziennego życia.

Farrow śmieje się. – Cofam, co mówiłem. Wasza relacja jest słodka.

Jane obrzuca go zaciekawionym spojrzeniem.

- Wiesz... nie mam pojęcia czy to sarkazm.

- Szczerść – przekonuje.

Przed przekroczeniem granicy ochroniarza-klienta nazwałbym ich stosunki *serdecznymi*, ale żeby oboje uczestniczyli w moim życiu być może będą musieli stworzyć coś bliższego przyjaźni.

A jeśli nie zdołają... nie wiem, co się wydarzy.

Apokalipsa?

Jane zerka na Farrowa, po czym wyciąga leczniczy żel do twarzy na trądzik.

- Dla twojej informacji Moffy powiedział mi o was.

- Domyśliłem się. – Obserwuje Jane. – Nie przeszkadza ci utrzymanie tego w sekrecie?

Jane potrząsa głową.

- Nie musisz się martwić, nikomu bym nie powiedziała. – Szoruje sobie twarz żelem, tworząc mydliny. – Jeśli złamiesz mu serce, będziesz musiał martwić się mną.

Uśmiecham się na jej beztroski ton.

- Groźba zapamiętana – odpowiada Farrow.

Ona obmywa sobie twarz i osusza policzki ręcznikiem.

- Który z was wykonał pierwszy ruch?

- Ja – mówimy jednocześnie z Farrowem, po czym on wybucha śmiechem.

Marszczę brwi. – Jestem stuprocentowo przekonany, że to ja pocałowałem cię pierwszy.

Farrow przybiera jeszcze swobodniejszą postawę, co jest cholernie seksowne.

- A ja jestem stuprocentowo przekonany, że to ja pierwszy powiedziałem ci, co czuję.

- *Ruch* jest działaniem. Ja wykonałem pierwsze działanie – odparowuję.

- Jeżeli chcesz w to wierzyć, nie będę cię powstrzymywał. – Jego brązowe oczy lustrują mnie od stóp do głów i para w prysznicu zdaje się niespodziewanie gorętsza. *Uprawiałem seks z osobą, w której podkochiwałem się za dzieciaka.*

Z pięć lat starszym chłopakiem.

Z moim ochroniarzem.

Cała krew kieruje się do dolnych regionów i mój penis prawie wybudza się z drzemki, pragnąc dotyku. Co oznacza, że psychicznie wykluczyłem z gry wszystkie reperkusje i zaakceptowałem przyciąganie.

Czy pragnę powtórki zeszłej nocy? *Piekielnie mocno.* Przez ułamek sekundy wpatruję się w przestrzeń, wyobrażając sobie wczorajszą noc. Jego wytatuowaną dłoń sunącą po moim torsie. Trzyma mnie za szczękę, a drugą dłonią ściska... mrugam szybko, otrząsając się z transu.

Farrow patrzy na mnie znaczącym spojrzeniem.

- Jeśli chcecie, mogę wyjść – odzywa się Jane. Obracam do niej głowę.

- Nie, to *twój* dom. Dla nas nic się nie zmieniło. – Nie mogę wykopać Janie z pieprzonej łazienki. To również jej łazienka.

Jane zastanawia się nad tym przez chwilę i przenosi niebieskie oczy na mojego ochroniarza.

- Obchodzi cię, że tutaj jestem?

- Nie – odpowiada szybko Farrow, a to jedyna właściwa odpowiedź w moim umyśle.
– Obchodzi cię, że ja tutaj jestem?

- Nie – odpiera równie szybko.

- Okej. – Farrow przytakuje. – Więc między nami zgoda.

Jane kiwa stanowczo głową.

Zdaję sobie sprawę, że czują presję, żeby się ze sobą dogadywać, a ta presja idzie ode mnie. Ale żeby to się udało, cała nasza trójka musi ze sobą koegzystować.

FARROW KEENE

- Współpracuj ze mną, Farrow – mówi Akara z telefonu, który umieściłem w podstawce na kubki w audi. Ustawiłem tryb głośnomówiący, kiedy Maximoff pędzi ponad czterdzieści kilometrów więcej niż dozwolone na dobrowolny turniej golfowy dla pań i panów. – Wszystkie twoje codzienne meldunki są puste po godzinie dziewiętnastej.

Maximoff posyła mi zmrużone spojrzenie.

„*To nic takiego*” mówię bezgłośnie. Dotknąłbym jego dłoni albo ramienia, ale obserwuję czujnie dwa srebrne wozy, które stykają się z naszym zderzakiem. Nie mam pojęcia czy mają obiektywy dalekiego zasięgu, ale jeśli nawet zobaczą nas niewyraźnie w lekkim uścisku, już po nas.

Zbyt bardzo go lubię żeby ryzykować teraz wszystkim dla potrzymania się za rękę, tym bardziej, jeśli potem mogę złapać go za bardziej intymne miejsce.

- Po prostu nie widzę problemu – odpowiadam Akarze. – Gdy byłem ochroniarzem Lily, zawsze zostawiałem dziury w codziennych meldunkach. Jeżeli Alfa jeszcze do tego nie przywykła, to ich pierdolony problem, nie twój.

Moje „indywidualne” skłonności ułatwiają mi ukrywanie się z Maximoffem. *Dokąd wybierał się twój klient od godziny dziewiętnastej do północy?* Pusto.

To wyłącznie nasza sprawa.

- Zapomnij o Alfie – warczy Akara, zbyt dobrze wychodzi mu przeskakiwanie pomiędzy „szefem”, a „przyjacielem”. – W tej chwili to *ja* rozmawiam z *tobą* i mówię ci, że mam w Sile dwóch ochroniarzy, którzy nie wypełniają meldunków. Czy nie przypomniałem ci, że Quinn przejmie twoje nawyki?

W gardle urywa mi się poirytowany pomruk. Nie zauważyłem, że mnie naśladuje. Nie sprawdzam cudzych meldunków, bo to strata czasu.

- Stary, to może wyjść na dobre – mówię, poprawiając słuchawkę, kiedy dobiegają mnie stłumione głosy. – Uczy się od jednego z najlepszych.

- *Jeden* mi wystarczy – odpowiada zdecydowanie Akara. – Nie możemy mieć was dwóch w ekipie.

- Daj mi pogadać z Quinnem.

- Nie – mówi Akara. – Zaczynij wypełniać meldunki. Mam gdzieś czy napiszesz jedno zdanie, czy dwa, pokaż Quinnowi, że taki jest wymóg. I hej, jeśli *nadal* mięknie, spójrz na dół. Przeczytaj, co masz na kostce.

Wywracam oczami. Kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, zrobiłem sobie mały tatuaż tekstowy. Akara był ze mną. Napis na kostce mówi: *moje życie opiera się na czynach*.

- Tak jest, kapitanie.

On pierwszy się rozłącza.

Maximoff zmienia pas ruchu i ogląda się przez ramię.

- Jaki jest plan? Podrabianie wpisów? Ucieczka z wybrzeża, wylot w kosmos? – Nawet na mnie nie patrzy; dwa samochody paparazzi zamieniły się w cztery. – Może stworzymy kolonię na Marsie – mówi z sarkazmem. – Do końca życia będziemy żywić się jedynie ziemniakami.

- Odnosisz się do filmu, którego nigdy nie widziałem, prawda?

Unosi kącik ust, ale nie na długo. Pod jego ironicznym poczuciem humoru kryją się prawdziwe zmartwienia i nie pozwolę im się zaognić.

- Będę mało precyzyjny w meldunkach – wyjaśniam, a rozmowy w prawym uchu stają się coraz głośniejsze. Wyciągam słuchawkę i pogłaśniam radio. – To bardzo dalekie ponurej i ciemnej rzeczywistości, więc przestań pakować zestaw przetrwania i zaufaj mi.

Jest przyzwyczajony do włączania trybu „ograniczania strat”. Ale musi odetchnąć i nie spieszyć się zanadto. Jesteśmy dopiero na starcie maratonu tajemniczości.

Maximoff próbuje odwrócić do mnie głowę, ale musi koncentrować się na otaczających nas paparazzi.

- Wiesz, że ufam ci bardziej niż komukolwiek innemu. Zgodziliśmy się, co do wszystkiego: zero wiadomości, zero mailów, będziemy nawet uważać na kamery uliczne... a to... to dla mnie wiele znaczy.

Moja klatka piersiowa wydaje się lżejsza i rozciągam usta w szerokim uśmiechu.

- Cieszę się, że czujesz się ze mną bezpieczny.

Stroi do mnie minę.

- Tak powiedziałem?

- Między innymi *tak*.

Nie potrafi opanować uśmiechu, ale jego mina szybko mizernieje. Zacieśnia uchwyt na kierownicy i milkniemy, kiedy na pobliski pas wjeżdża niebieski sedan. Dostrzegam kamerę zanim jeszcze zostanie otwarte okno.

Maximoff przyspiesza.

Obracam się i obserwuję furgonetkę, która siedzi nam na ogonie. Przez przednią szybę widać obiektywy skierowane na audi. Odliczam bezgłośnie cztery... pięć, sześć, teraz *siedem* pojazdów na drodze. Po to tylko, żeby zdobyć cenne fotki Maximoffa Hale'a.

- Zjedź z dziewięćdziesiątej piątej.

- Jeszcze nie. – Maximoff zajeżdża drogę sedanowi i umiejętnie lawiruje pomiędzy innymi autami rozrzuconymi po autostradzie. Z mojej słuchawki wydobywa się rozgorączkowane podekscytowanie, które zastępuje naszą skoncentrowaną ciszę.

- *Imperium Cobaltów w komplecie* – mówi Oscar.

- *Drużyna marzeń* – nuci Donnelly.

- *Zespół zaraz zacznie* – szepcze do mikrofonu Heidi, ochroniarka Eliota Cobalta. Jest w Epsilonie, ale to jedyna kobieta w całej ekipie bezpieczeństwa. Niedawno skończyła pięćdziesiąt lat i jest z Cobaltami od narodzin Jane.

Maximoff ponownie zmienia pasy i musi czuć się chyba komfortowo, ponieważ pyta:

- Chciałbyś tam być?

Unoszę brwi. – Masz na myśli z „Imperium Cobaltów” czy oglądając, jak Tom Cobalt i jego zespół po raz pierwszy występują *na żywo* dla publiki?

- I to, i to.

Nie przestaję obserwować pędzących samochodów paparazzi i przypominam sobie, jak siedemnastoletni kuzyn Maximoffa założył trzyosobowy zespół punkowy, kiedy miał czternaście lat. Tom jest jego wokalistą.

- Nie byłem jednym z ochroniarzy, który patrzył jak Tom nauczył się grać na gitarze. Nie widziałem, jak wybierał nazwę zespołu ani się do tego nie przyczyniłem. – Przewracam oczami, ponieważ z całej ekipy to *Oscar* zasugerował nazwę *The Carraways* po drugim imieniu Toma. Tom Carraway Cobalt.

I Tom wybrał *The Carraways*.

- I nie oglądałem jego prób ani nie słuchałem, jak tworzył nowe wersje piosenek. – Wyciągam szyję przez ramię. Nie cierpię tej klejącej się do nas furgonetki. – Oglądanie go *na żywo* w małym lokalu nie ma dla mnie tak wielkiego znaczenia.

- *Trzy, dwa* – szepcze Donnelly - ...*jeden*.

Głęboki, pełen pasji głos Toma oraz gwałtowność gitary, perkusji oraz basu przelewa się przez połączenie. Mogę się założyć, że dziewięcioro ochroniarzy Cobaltów wciska swoje mikrofony, żeby koncertu mogła posłuchać reszta ekipy.

Maximoff uśmiecha się przez emo-punkową piosenkę.

- Tom. – Potrząsa głową i znajduje chwilę, żeby na mnie spojrzeć. – Miał tylko dziesięć lat, kiedy nareszcie powiedziałem wszystkim, że lubię dziewczyny i chłopaków, i nie sądziłem, że to będzie dla niego ważne. Było Boże Narodzenie, stanąłem przed rodziną, prezenty były do połowy rozpakowane, przekłety *Jack Frost* leciał w tle... a kiedy wszyscy zaczęli się uśmiechać i mnie przytulać, zobaczyłem płaczącego Toma.

Jego oczy poczerwieniały i przetyka ciężko ślinę.

Moja klatka piersiowa jest ciężka od emocji.

- Był szczęśliwy.

- Cholernie szczęśliwy. – Maximoff odgania łzy zbierające się w oczach. – Tom wiedział, że jest gejem... odkąd *ja* pamiętam, a jestem pięć lat starszy. A kiedy kucnąłem przed nim i go przytuliłem... poczułem wyrzuty sumienia. – Krzywi się. – Że nie powiedziałem mu szybciej. W sumie już jako trzynastolatek wiedziałem, że pociągają mnie chłopcy. To dwa lata, podczas których mogłem mu powiedzieć.

Układam ramię na jego oparciu, udając, że wykorzystuję siedzenie, żeby obejrzeć się za nas. Po prostu chcę być bliżej Maximoffa.

- To godne podziwu, jak bardzo się troszczysz – mówię – ale on ma szczęście, że w ogóle cię ma. – I dodaję ciepło: - Twoje współczucie wychodzi na jaw.

Próbuje podtrzymać mój wzrok, ale nie potrafi. Nie, kiedy istnieje niebezpieczeństwo, że paparazzi strącą go z drogi.

- Lubisz współczujących facetów?

- Lubię ciebie – odpieram bez wahania.

Oblizuje wargi i na jego szyi wychodzi rumieniec. *Spodobało mu się*. Odchylam się, nie zabierając ramienia z siedzenia.

Maximoff spogląda na mnie.

- Kiedy powiedziałeś swojemu tacie?

- Miałem jedenaście lat – odpowiadam spokojnie – ojciec zapytał czy podobają mi się jakieś dziewczyny w szkole. Powiedziałem, że jest paru chłopców. – Prawie śmieję się na to wspomnienie. – Wciąż widzę jego zszokowaną minę, szczególnie kiedy powiedziałem zdecydowanie: *jestem gejem*. Ale kiedy początkowe zdziwienie minęło, zaczął

wypytywać o chłopaka, który mi się podobał. Gdzieś w tym samym czasie wyznałem prawdę w szkole.

Słucha uważnie. – Pamiętam, jak mówiłeś, że nie byłeś tym wcale zdezorientowany.

To była krótka rozmowa, którą przeprowadziliśmy *lata* temu, kiedy był szesnastolatkiem. Uczestniczyliśmy w przyjęciu z okazji dnia niepodległości, które urządziła jego rodzina. Dziwię się, że zapamiętał.

- Tak – mówię. – Byłem o tym przekonany w wieku dziewięciu lat. Byłem w centrum handlowym i pociągali mnie modele prezentujący męską bieliznę na reklamach. Osiemnaście lat później i dalej mam wspaniały gust. – Patrzę na niego spod uniesionych brwi.

Maximoff uśmiecha się.

- Czy właśnie powiedziałeś, że jestem seksowny?

- Na pewno chwaliłem siebie.

Zamierza pokazać mi palec, ale ruch uliczny skrada jego uwagę. A potem dobiega końca pierwsza piosenka The Carraways i wznawia się rozmowa.

- *Narodziłem się na nowo* – odzywa się Donnelly.

- *Niech mnie ktoś przytuli* – mówi inny ochroniarz.

- *Podajcie chusteczki.*

- *Udało mu się, kurwa.*

- *Cholera, spójrzcie jaki był świetny* – dodaje Quinn.

- *Nasz dzieciak dorósł* – mówi zduszonym głosem Oscar. – *Kurde.*

Maximoff otwiera szerzej oczy niejako oszołomiony ich reakcjami.

- Nie zdawałeś sobie sprawy, że wasze osiągnięcia są zasadniczo naszymi. – Poświęcamy swoje życia tym rodzinom, a kiedy osiągają sukces, *zawsze* będziemy po części odczuwać, że my także coś osiągnęliśmy.

Znowu przyspiesza. – Skoro nie jesteś w obstawie Cobaltów, jaki jest twój odpowiednik tego momentu?

Myślę krótką chwilę.

- Kiedy Luna nauczyła się prowadzić samochód.

Maximoff kiwa porozumiewawczo głową.

- Mama uczyła moją siostrę, co znaczy...

- Że ja również byłem w tym aucie. – Zauważam niebieskiego sedana w tym samym czasie, co Maximoff. Spina się i milkniemy. Wyłączam radio, żeby mógł się skoncentrować.

Sedan podjeżdża z lewej strony, a po prawej znajdują się dwie białe furgonetki, jedna przy zderzaku. Maximoff przypomina sztywną deskę i prawie nie odrywa oczu od przedniego lusterka.

- Czy wiedziałeś, że tata *zakazał* mi uczenia Luny jazdy?

- Tak i byłem temu zgodny. Tu masz przykład. – Wyciągam się do niego, czytając z prędkościomierza. – *Sto siedemdziesiąt kilometrów*. – Zawieszam się na jego siedzeniu i wciskam klakson.

Sedan odjeżdża na parę metrów, ale furgonetki podjeżdżają jeszcze bliżej.

- Powinieneś teraz zjechać z dziewięćdziesiątej piątej.

Próbuje skierować się do zjazdu, ale paparazzi umyślnie zagradzają mu drogę.

- Siadaj, Farrow.

Niecałą sekundę później wszystkie furgonetki, sedan i każdy inny pojazd paparazzi rozjeżdża się w szalonym pędzie, gwałtownie nas uwalniając.

- *Kurwa* – warczy, znając powód.

Za nami migają niebieskie i czerwone światła. Jesteśmy zmuszeni do zjechania na bok przez policję.

MAXIMOFF HALE

Gdy opuszczam rozprawę w miejscowym gmachu sądu, zakładam z konieczności parę okularów przeciwsłonecznych. Na nosie Farrowa znajdują się już czarne pilotki i ramię w ramię przechodzimy przez podwójne drzwi, gdzie oślepiają nas wściekłe błyski fleszów.

Podbiegają do mnie reporterzy z najpopularniejszych stacji informacyjnych, trzymając mikrofony w gotowości i wykrzykując pytania. Farrow wyciąga ramię i powstrzymuje dziennikarzy przed bliższym kontaktem z moją osobą, a ja idę naprzód.

Bez wahania. Bez zbędnego zostawania w tyle. Bez skargi. Kurwa, co się stało to się nie odstanie i nie pierwszy raz broniłem swojej sprawy w sądzie. Nie pierwszy raz powiedziałem: „Biorę pełną odpowiedzialność za przekroczenie prędkości, ale co zostaje poczynione wobec paparazzi?” Rzadko dostają grzywnę.

Sąd zawsze odpowiada tak samo.

- Niezależnie od paparazzi, posiada pan środki, żeby opłacić osobistego szofera. Nie ma żadnego usprawiedliwienia na narażenie życia innych ludzi.

Przyjmuję to do wiadomości.

Dlatego prawie nigdy się nie kłócę. Przed zajęciem miejsca *pasażera* w moim audi dochodzi do mnie koniec wypowiedzi reportera przemawiającego do kamery.

- Już po raz czwarty sąd zawiesił prawo jazdy Maximoffa Hale'a za nadmiernie przekroczenie prędkości. Jego prawo jazdy *pozostanie* zawieszane przez dwanaście miesięcy.

Nie mogę prowadzić przez rok.

Farrow wsuwa się za kierownicę, zamyka drzwi i wkłada kluczyk do stacyjki. Po raz pierwszy nie kieruję samochodem z Farrowem za ochroniarza.

Wyłamuję knykcie i patrzę, jak ustawia boczne lusterka.

- Nie posiadasz się z radości.

Jego szeroki uśmiech wkracza w terytorium Jamesa Franco i zwiększa obroty silnika, ruszając z piskiem opon spod sądu. Prowadzi tylko *jedną* ręką, ale gubi paparazzi po ostrym skręcie w wąską uliczkę, nawigując przez Filadelfię z łatwością i precyzją.

Mój penis pulsuje... *nie*. Gdybym mógł rozmawiać ze swoim członkiem, powiedziałbym: *nie może ci się podobać Farrow prowadzący moje auto. To mój samochód. Mój*. Wolno mu siedzieć za jego kółkiem tylko przez...

Krzywię się. Cały bolesny rok.

Farrow rzuca szybkie spojrzenie na mój wyraz twarzy.

- Uświadamiasz sobie, że jestem lepszym kierowcą od ciebie?

- Uświadamiam sobie, że nadszedł koniec świata. – Raz jeszcze wyłamuję knykcie i zmieniam pozycję, siadając prosto. Częściowo, by uniknąć wzvodu. Przeważnie, by przestać się stresować tym, że nie trzymam nogi na gazie albo hamulcu. Nie jestem już kapitanem mojego statku.

- Każdy dzień nazywasz końcem świata – odpowiada Farrow, co raz częściej na mnie spoglądając.

- Wcale nie.

- Tydzień temu zepsuł się toster, powiedziałaś *koniec świata*. Zabrakło ci wieszaków, powiedziałaś *koniec świata*. Lał deszcz, powiedziałaś...

- Dziękuję za to krótkie streszczenie. – Nie wiem, co ze sobą zrobić na tym miejscu. Pochyliłam się do przodu. Odchyłam do tyłu. Przeczesałam gęste włosy, rozciągam ramiona...

- Maximoff, weź oddech. Nie spowoduję wypadku. Za bardzo lubię twoje obciążanie.

Uśmiecham się lekko. Jakim cudem mnie rozwesela? Biorę wdych i przyciskam plecy do oparcia, lekceważąc nieustannie nadchodzące wiadomości na komórkę. Odwracam do niego głowę.

Nasze oczy pieszczą się nawzajem.

Farrow wyciąga prawą rękę, ale nie może dotknąć mnie fizycznie przez niewielką szansę, że zobaczy to *ktokolwiek* w mijającym nas samochodzie i zrobi zdjęcie. Czasami zastanawiam się czy jest rozczarowany brakiem publicznego okazywania uczuć. Dla mnie nie ma różnicy. Nie brakuje mi czegoś, czego nigdy nie miałem.

Ale dzięki byciu nadmiernie ostrożnym potrwa to dłużej.

Farrow decyduje się na bezpieczne działanie. Chwyta moje oparcie.

- Idę o zakład, że zdołam odwrócić twoją uwagę przez całą jazdę do domu. – Jego głos zniża się do jeszcze bardziej ochryplej oktawy. – *Bez* dotykania. Do diabła, załóżę się, że zdołam cię podniecić bez brudnej gadki.

- A więc musisz lubić przegrywać zakłady.

Farrow uśmiecha się i obraca kierownicę jedną ręką, wjeżdżając na inną ulicę.

- O czym i o kim fantazjowałeś, kiedy byłeś nastolatkiem?

Kurwa. Poprawiam się na siedzeniu, penis napiera na moje dzinsy. *Ja pierdolę.*

- Już podniecony? – Odgarnia białe włosy pilotkami, układając je na czubku głowy. Jego maniera, to jak wykrzywia kącik ust... *chwytą* mojego kutasa w cholernie żelaznym uścisku.

- Raczej poirytowany.

- Widzę. To ten twój mały zgrymaszony uśmiech. – Farrow śmieje się, kiedy pokazuję mu środkowy palec i dodaje: - No dalej, Maximoff. Do czego waliłeś sobie konia?

- Powiedz, jakie są twoje ulubione kategorie gejowskiego porno i może odpowiem.

- *Może* odpowiesz – mówi, unosząc brwi. – Dobra... moje ulubione gejowskie porno... - urywa w zamyśleniu. – Lubię *wielkie penisy* i *ostry seks*. – Włącza lewy kierunkowskaz. – Oglądałeś kiedyś pornografię?

- Parę razy. – Rozumiem, w jaki sposób moja mama uzależniła się od porno i chyba po części dlatego przestałem wchodzić na strony pornograficzne po trzeciej sesji. – Do czego się masturbowałeś jako nastolatek?

- Do olimpijskiej drużyny pływackiej mężczyzn – odpowiada i śmieje się na widok mojego zmarszczonego czoła. – Pieprzę się z tobą. Nie miałem na myśli nikogo konkretnego. – Farrow unika nadjeżdżających z daleka paparazzi, skręcając w boczną ulicę. Następne spojrzenie, które mi posyła jest *znaczące*. – W przeciwieństwie do ciebie.

Wie, że jest moją fantazją.

- Możesz powiedzieć, że *ja* – podkreśla bez owijania w bawełnę.

Rzucam mu spojrzenie.

- Czemu nie panikujesz?

- Bo to nie ja się durzyłem.

Moja twarz wykrzywia się w serii emocji, lądując na grymasie.

- Przysiągłbym, że zakład opierał się na tym, żebyś się *podniecił*, a nie miał ochotę wypchnąć cię z samochodu.

Farrow śmieje się.

- Opowiedz mi swoją fantazję. Szczegółowo. – Omiata mnie wzrokiem w palącej fali i skupia uwagę na drodze. – Chcę ją usłyszeć.

Teraz jego zakład nabiera sensu. Powiedział, że nie będzie musiał stosować brudnej gadki, ponieważ planował, że *ja* to zrobię. To nie powinno być takie trudne. Każdej nocy pieprzymy się w mojej sypialni, a potem razem zasypiamy. Ustawia budzik na 5:40 i opuszcza moje mieszkanie zanim Quinn się obudzi.

Moja rutyna szybkich numerków została zastąpiona rutyną Farrowa Redforda Keene – która jest lepsza. Seksowniejsza. Ale z natury inna.

Na przykład teraz, w południe, mogę opisać *słownie* fantazję. Przebywam dwadzieścia cztery na godzinę w obecności osoby, którą mogę przelecieć do nieprzytomności. Mam swobodny, nieograniczony dostęp do najbardziej upajającego, euforycznego doświadczenia na świecie. Z kimś, na kim mi zależy.

Oblizuję powoli wargi. Jeżeli mam wyjawić fantazję Farrowowi, zrobię to jak należy. Bez zahamowania.

- Mam taką fantazję, która ciągle się powtarza.

Farrow słucha, spoglądając na mnie, co kilka sekund.

- Jestem pod prysznicem – kontynuuję – i dużo myślałem o tym, co znaczy ta lokalizacja. Dlatego oszczędzę ci kłopotu przeprowadzenia mojej psychoanalizy i po prostu ci powiem. – Siadam prosto. – Nigdy nie pozwalam, żeby druga osoba została do rana i brała ze mną prysznic. Nigdy nie ufałem nikomu na tyle, by pozwolić mu zostać, ale mój mózg – z jakiegoś przekłętego powodu – zawsze, *zawsze* pozwala zostać tobie.

Farrow ma taki wyraz oczu, jakby chciał mnie pocałować, ale wie, że nie może. Ścisła mocniej moje siedzenie.

Niżej. Pragnę, żeby ta dłoń zsunęła się *niżej*. Na mnie. Rozpina moje spodnie. Masuje mnie... potrząsam głową i podejmuję na nowo.

- Więc jestem sam pod prysznicem, wtedy rozsuwają się drzwiczki, a tam... - Udaję zdziwienie. – Mój śmiertelny wróg.

Przewraca oczami.

- Kurwa mać. Mogę przegrać ten główniany zakład, jeśli będziesz ciągle przerywał. – Żaden z nas nie wspomina, że o nic się nie zakładaliśmy. Pomijając prawo do chępcenia.

Próbuję zachować większą powagę.

- Jesteś nagusieńki.

- Coraz lepiej.

Poruszam się nieswojo, wyobrażając sobie następną część.

- Wchodzisz do kabiny, zasuwasz drzwiczki i podchodzisz do mnie od tyłu.

Farrow nieruchomieje. – Od tyłu? – Może spodziewał się, że go pochylę i przelecę... a chociaż to przyjemna fantazja, to nie *ta*.

- Tak. – Nasze oddechy stają się cięższe, na mojej skórze kwitną rumieńce. Czuję pulsowanie w lekko stwardniałym penisie. – Masturbuję się, a twoja dłoń zwykle nakrywa moją pięść na ścianie. Przylegasz do moich pleców.

Farrow musi zabrać rękę z mojego siedzenia i kładzie ją na udzie obok wybrzuszenia w czarnych spodniach.

Odchylam głowę do tyłu, naprężając palące mięśnie. Moja krew coraz bardziej się rozgrzewa.

- Potem za każdym razem robisz coś innego. Masujesz mnie, klękasz, a czasami to ja przypieram cię do ściany i pieprzę od tyłu. Ale od czasu do czasu... - Znowu zmieniam pozycję. – Znajdujesz się we mnie.

- Wow – wzdycha Farrow – potrząsnąłem twoim nastoletnim światem, nieprawdaż?

Posyłam mu zirytowany uśmiech.

- Jestem teraz wiotki. Dziękuję ci za to.

Farrow spogląda na zarys w moich dzinsach.

- Twoja erekcja mówi: *jesteś jebanym kłamcą*.

- Nie przemawiaj za mojego penisa – odparowuję, starając się nie uśmiechnąć. Jest bliski śmiechu i po chwili wjeżdża na naszą ulicę.

W ciągu paru sekund znajdujemy się w zamkniętym i bezpiecznym garażu. Skryci przed ludźmi. Jedyne zagrożenie stanowi Quinn w mieszkaniu ochrony.

Farrow wyłącza silnik i odpinamy pasy. Gdy odwracamy się do siebie, najpierw spotykamy się spojrzeniami, w których widać niepohamowane *pragnienie* i *potrzebę*... przylegamy do siebie wargami. Rozchylam językiem jego wargi i sięgam głębiej. Nasze dłonie walczą z guzikami i zamkami spodni tego drugiego.

Ujmuje mojego członka w *najlepszym* uchwycie znanym człowiekowi. Farrow potrafi posługiwać się rękoma w sposób, który całkowicie, kompletnie, ogromnie mnie *unicestwia*. Przerrywam pocałunek, by mruknąć:

- *Kurwa*.

Ssie nasadę mojej szyi i przygryza skórę. *Tak*.

Tak, kurwa.

Przesuwam dłonią po jego imponującym, dosłownie apetycznym członku, nanosząc na rękę płyn ejakulacyjny. Dostrzegam otaczające mnie wytatuowane palce – otwieram usta, ale gardłowy jęk utkwiał mi w płucach.

Przeleć mnie.

Farrow zaciska drugą dłoń na mojej żuchwie i pożera wzrokiem mój wyraz twarzy. *Pochłania* zmrużone ciemnozielone oczy, które warczą *przeleć mnie*. Zgrzyta zębami i porusza nozdrzami. Jego klatka piersiowa unosi się i opada w ciężkim wdechu.

Nasz rytm przyspiesza, to tarcie przypomina boskie, skwierczące piekło. Mam wrażenie, że zaraz odleci mi głowa. *Kurwakurwakurwa*. Dochodzę, a kiedy niski jęk potrząsa Farrowem zdaje sobie sprawę, że sam dochodzi oglądając moje szczytowanie.

Kiedy siedzimy pónadzy, oczyszczeni i z zapiętymi spodniami, każę Farrowowi zaczekać zanim wysiądzie z audi. Zamyka drzwi i wraca na miejsce. To co zamierzam zrobić... *nigdy* wcześniej tego nie robiłem. Wydaje się to bardzo małe i znikome w porównaniu z seksem, ale nie dla mnie.

Farrow marszczy brwi.

- O co chodzi?

Zbieram sobie całą pewność siebie, jaką posiadam. Czyli piekielnie dużo.

- Mam coś dla ciebie.

- Masz coś dla mnie? – powtarza.

- Według *każdego* romantycznego filmu to coś odpowiedniego. – Otwieram mój schowek i wyciągam czarne pudełko, które pomieściłoby naszyjnik. – Nic drogiego, więc obniż oczekiwania.

- Hej, niczego nie oczekuję. – Farrow drapie się po karku i bierze ode mnie pudełko. – Jestem teraz szczerze zaskoczony. – Jego usta zaczynają układać się w uśmiechu. – Jakim cudem to kupiłeś, a ja nie zauważyłem?

- Istnieje coś takiego, jak zakupy internetowe – odpowiadam – przysyłają ci rzeczy do domu, a kiedy ochrona przegląda moją pocztę – mianowicie *ty* – nie dotyka niczego opatrzonego znakiem *Maximoff Hale X*. – Wielu zboczeńców przysyła mi rzeczy pod moim nazwiskiem, dlatego zawsze dodaję *X* do prywatnych zakupów.

Uśmiecha się szerzej. – Co za szlachetny mądrala. – Unosi pokrywę pudełka i śmieje się. – Tak jak mówiłem. – Wyciąga szaroczną trójkątną łątę, na której są wyszyte słowa: *Odznaka Dupka*.

Pokazuję na łąkę. – Przez to ile przyznałeś mi nagród: *męstwo, szczerłość, integralność, przedsiębiorczość, pokorę...* pomyślałem sobie, że musisz czuć się samotnie z zerem własnych.

Nie przestaje się uśmiechać. Pociera parę razy usta, ale ten uśmiech nie zniknie przez kurewsko długi czas. Śmieje się i kiwa głową.

- Chcesz, żebym dołączył do twojego małego klubu wilczków.

- Może. – Oddycham w pełni, a po mojej twarzy rozlewa się szczęście. Wyrażne i swobodne. Coś we mnie ożywa.

Farrow przybliżyła się do mnie, okazując wdzięczność wzrokiem jeszcze zanim się całujemy.

Wjeżdżam na deskorolce do mojej kuchni, wybierając numer w komórce. Farrow i ja rozdzieliliśmy się na czas lunchu. Wrócił do swojego mieszkania, zachowuje pozory z Quinnem i wykonuje kilka innych zadań ochrony. Na przykład wypełnia meldunki.

Otwieram szafkę i wyciągam paczkę chipsów z siemienia lnianego. FaceTime dzwoni i *dzwoni*. Nie mam problemu z wydzwanianiem do czternastoletniego brata kolejnych dwadzieścia lub pięćdziesiąt razy aż nareszcie, kurwa, odbierze.

Gdy już myślę, że połączenie się urwie, na ekranie pojawia się obrazek wypakowanej zamrażarki.

Marszczę brwi.

- Na co patrzę? – pytam, nie musząc witać się z Xanderem. Jeżeli moje rodzeństwo do mnie nie dzwoni, to ja codziennie dzwonię do *nich*. Nawet jeśli porozmawiamy tylko przez dwie, trzy minuty.

- Próbuję znaleźć sobie śniadanie; dopiero wstałem.

Wysypuję chipsy do miski. – Jest druga po południu.

- Jest sobota. Spałbym do czwartej, gdyby Kinney nie włączyła w moim pokoju swojej krzykliwej muzyki. – W rozmowie wideo jego ręka przesuwająca mrożonego kurczaka. Nie mogę skłamać – ilekroć słyszę te małe historie brakuje mi domu. Brakuje mi oglądania tego z pierwszej ręki.

Ale o to chodzi w dorastaniu, starzeniu się – choć dużo tracę, to zyskuję coś nowego z *kimś* nowym.

- Czego szukasz? – pytam, podjeżdżając do lodówki.

- Mama właśnie kupiła więcej mrożonych strudli, a Luna wciąż je chowa.

Wojna o mrożone strudle to prawdziwa rzecz Hale'ów. Luna sądzi, że Xander celowo wszystkie zjada, ale zazwyczaj zostawia jej dwie sztuki, które zostają pożarte przez Kinney.

- Co jesz? – pyta Xander.

Obracam kamerę, kiedy biorę torebkę poszatkowanego sera i podjeżdżam do miski z chipsami.

- Nachosy.

Niespodziewanie z zamrażarki wypada dwadzieścia różnych mrozonek, które uderzają ze stukotem o parkiet. Słyszę w tle, jak nasz rodzinny pies ucieka w popłochu.

- *Kuuuurna* – przeklina Xander. Kamera jest skierowana na bałagan przez dosłownie pełną minutę, gdy zastanawia się nad powkładaniem wszystkiego do środka. – Ughhhh.

Gdybym tam był, posprzątałbym za niego.

- Zrób sobie śniadanie, później posprzątasz, Summers.

Moje przezwisko nadane bratu bierze się od jego imiennika z X-Menów: *Alexandra Summersa*. Mój imiennik również jest powiązany z X-Menami.

Pietro Maximoff.

Quicksilver.

Xander trzyma w ręce pudełko strudli i kieruje się do toster. Nakierowuję obiektyw z powrotem na twarz i obsypuję chipsy serem.

- Więc słyszałem, że siedzisz w domu od kilku tygodni.

- A dziwisz mi się? Nikt nie chce mi powiedzieć, w jaki sposób zrobiono zdjęcie mamie i tacie z *ogrodu*, Moffy. Z ogrodu w strzeżonym osiedlu. Nie wyjdę tam.

Wiem, jak to się stało.

Farrow podzielił się ze mną informacjami ochrony. Rozumiem dlaczego rodzice chcieli utrzymać to w sekrecie przed Xanderem. Martwią się, że prawda podwyższy jego lęki.

Mam pieprzoną władzę, żeby rozsunąć zasłony. I mam władzę, żeby skrzywdzić mojego brata. Jeden wybór. Mógłbym powiedzieć: *hej, Summers, nad domem przeleciały zdalnie sterowane drony paparazzi. Może być ich tam więcej, jeżeli ochrona nie wyłapie ich w porę. Nie ma żadnej gwarancji.*

Dlatego odkładam całą prawdę na bok i mówię:

- Nie dziwię. Ale musisz się zmierzyć z jebanym światem. Nawet jeśli czasami jest do bani.

- Cały czas – poprawia i rozrywa plastikowe opakowanie mrożonego ciastka, wrzucając do tosterka. Wkładam miskę chipsów do mikrofalówki.

- Obróć kamerę – mówię.

Xander wykonuje moje polecenie z westchnieniem i po raz pierwszy ekran ukazuje jego twarz. Ostro zarysowana szczeka, potargane brązowe włosy, ekspresyjne bursztynowe oczy i bluzka z *Hobbita* okrywająca bokserki w kratę. W dzieciństwie był wychwalany jako „klasyczny przystojniak” i to nie uległo zmianie.

Znacie Xandera Hale’a jako *najpiękniejszego* czternastoletniego chłopca na całym świecie. Według was. Zachwycacie się nim, jakby był wokalistą chłopięcej kapeli albo gwiazdą mediów społecznych. Zachowujecie wszystkie zdjęcia, które znajdujecie w sieci i co tydzień trendujecie jego imię. Spowodowaliście, że jego fotografie są warte cztery razy tyle, co moje... przez to paparazzi śledzą go, jak gdyby był najrzadszą, najbardziej skrytą antylopą w stadzie. W rzeczywistości jest zagrożonym, płochliwym ptaszkiem.

Znam go jako mojego młodszego brata. Cudownego człowieka, który mi po elficku, jeśli spędzicie z nim wystarczająco dużo czasu. On po prostu stara się żyć w świecie, który jest dla niego odrobinę za wielki. Nigdy z niego nie zrezygnuję.

Chcę tylko, żeby od czasu do czasu był w stanie poczuć na skórze światło. Jeśli gołymi rękami muszę wyrwać słońce z jebanego nieba, wytrzymam wszystkie oparzenia. Gdybym mógł, podarowałbym mu to wszystko.

Ostrzeżenie: wyobraźcie sobie, że macie odpiłowywane palce stóp i to się właśnie wydarzy, jeśli zadrzecie z moim bratem.

- Paskudnie wyglądasz – mówię szczerze. – Wiesz, co by ci pomogło?

- Dwie dodatkowe godziny snu.

- Pływanie w basenie ogrodowym ze starszym bratem.

Xander wzdycha, patrząc na mnie gniewnie.

- Przyjedź tu i pograj ze mną w gry wideo. Przestań próbować robić mnie takim...

- Zdrowym, prosperującym człowiekiem, który wychodzi na dwór...

- Dobra, dobra – mówi. – Jezu, jakiś ty nieznośny.

Moja mikrofalówka pipczy. Wyciągam miskę chipsów, a kiedy powracam do komórki, zauważam, że Xander mruży oczy do ekranu.

Rzucam mu spojrzenie. – Dłubiesz sobie w nosie? – Zjadam chipsa.

Pociera swój telefon, jak gdyby próbował coś z niego zetrzeć.

- Co... co ty masz na szyi? Czy to *malinka*?

Krztuszę się chipsem. *Ja pierdolę*. Upuszczam komórkę na blat kuchenny i nalewam sobie wody z kranu do szklanki. Wypijam ją duszkiem, kiedy Xander krzyczy:

- Czekaaj, gdzie zniknąłeś... potrzebuję szczegółów!

Jakie są szanse, że Farrow był tak nieostrożny i zrobił mi dziecinną malinkę? *Małe*. Może nie jest tak źle.

Wracam do telefonu i przyglądam się swojej szyi w ekranie. Miejsce wielkości dziesięciocentówki jest lekko czerwone. Pewnie dlatego, że jest świeże. Wątpię, że zostanie.

- Jakich chcesz szczegółów? – pytam brata.

Myśli długo nad moim pytaniem i wybiera to:

- Czy druga osoba żyje?

Uśmiecham się. *Kocham moją rodzinę*.

- Luna twierdzi, że ludzie, z którymi sypiasz natychmiast *rozpadają się* na astralne cząsteczki – wyjaśnia Xander. – Już nikt nigdy nie nawiązuje z nimi kontaktu.

- To cholernie okropna supermoc.

- Bez jaj. – Xander podrzuca w rękach upieczony strudel. – P.S. tata urządza imprezę na cześć zawieszenia twojego prawa jazdy. Wszyscy są całkiem zadowoleni.

- Widziałem wiadomość grupową. – Impreza jest *wyłącznie dla rodziców*, co jest dość główniane, skoro chodzi o mnie. – Ty też się cieszysz? – pytam.

Wzrusza ramionami, po czym spogląda na swoją przekąskę. Xander bywa dość mocno przybity i nasi rodzice często nad nim czuwają. Są jeszcze bardziej świadomi jego zdrowia ode mnie.

Xander nie podnosi wzroku do kamery.

- Podśluchałem, jak Thatcher mówił, że obóz dobroczynny to nowy format niebezpieczeństwa „zagrożającego życiu”. – Thatcher Moretti to jego całodobowy ochroniarz, ale młode dziewczęta tak często atakują Xandera, że jest mu również przydzielony Banks Moretti, identyczny brat bliźniak Thatchera.

- Thatcher to jeden z surowszych facetów – przypominam Xanderowi. – Pewnie przesadza.

- Tak, ale... - Mija kilka napiętych sekund. – Potrzebuję, żebyś żył długo, Moffy. – Jego oczy nieco się szklą. Drapie się po nosie, po czym kieruje kamerę na papierowy talerz.

Wpatruję się twardo w telefon.

Przez całe życie patrzyłem, jak media i bezimienni, anonimowe ludzie srają na moich bliskich. W kółko. Rozdrapywali ich bez końca, rozpaczliwie próbując złamać. Rzucali się do gardeł. Jako dziesięcioletek szedłem sobie po chodniku i usłyszałem słowo *gwałt* rzucony groźbą w moją mamę.

Zastanawiacie się, dlaczego nie stałem się zgorzkniały.

Zastanawiacie się, dlaczego nie gardzę światem.

Ponieważ wiedziałem, iż musiałem stać się kimś, kto zdoła to wszystko wytrzymać.

Dla rodzeństwa, dla rodziny, dla każdego, kto dorastał po mnie i potrzebował kogoś do obrony, kiedy ten nie potrafił zrobić tego sam; kiedy potrzebował ramienia do wypłakania albo siatki asekuracyjnej... jestem tu. Byłem tu.

Zawsze tu będę.

- Nigdzie się nie wybieram, Summers – oznajmiam stanowczo bratu.

Z kuchennych szafek Maximoff zwisają czarnopomarańczowe, Halloweenowe serpentyny i dyniowe lampiony. Ustawiam na blacie butelki alkoholu. Tequila, wódka i smakowy rum. Kupiłem również dwa sześciopaki piwa, karton soku pomarańczowego i litr Fizz.

Maximoff patrzy wilkiem na te zdobycze i unoszę brwi.

- Kazałeś kupić różne napoje. – Gestykułuję na butelki. – Spełniają twoje wymogi.

Niewypowiedziana Zasada #1: *Maximoff Hale pod żadnym wypadkiem nie może sam zakupić alkoholu.*

Chyba, że zechce trafić na pierwszą stronę szmatławca pod nagłówkiem, że przerwał abstinencję. By uniknąć bólu głowy *musiał* mnie poprosić, żebym skoczył do monopolowego.

Jego lista zakupów głosiła: *mnóstwo różnego alkoholu, Każde inne. i coś do popicia.*

Już go wkurzyłem wzmianką o złej interpunkcji i przypadkowych dużych literach. To jedno z moich ulubionych zajęć. I zauważyłem, że jak na faceta, który jest nazbyt *dokładny* to była najbardziej nijaka lista, jaką kiedykolwiek mi dał.

Maximoff splata ramiona na ciemnoczerwonym półgolfie, wznosząc despotyczną prezencję w ciasnej kuchni. Na widok jego koszulki moje myśli na chwilę błędzą.

Dostrzegłem, że pozbywa się większości swoich zielonych koszulek dla *czerwonych*. To przemyślana, wykalkulowana zmiana.

Społeczność kojarzy większość Hale'ów, Meadowsów i Cobaltów z ich ulubionymi kolorami.

A ulubiony kolor jego taty to *czerwony*.

Ryke'a *zielony*.

Nigdy bym nie powiedział Maximoffowi, żeby nie przejmował się swoim tatą. Do diabła, on nawet by nie potrafił *spróbować*. Ale im bardziej stara się udowodnić wartość jego ojca w gruncie rzeczy coraz bardziej upodabnia się do Ryke'a Meadowsa.

To główniane błędne koło. Nie ma zwycięskiej sytuacji i jest na tyle bystry, żeby sam już się tego domyślić. Maximoff jest po prostu zbyt uparty, żeby odpuścić i nic nie robić.

- Co z whisky, szkocką i burbonem? – pyta Maximoff. – Nie kupiłeś ani jednego ciemnego trunku.

Opieram się biodrem o blat, nasze sylwetki znajdują się naturalnie blisko przez małą przestrzeń. Maximoff przyciąga mnie jeszcze bliżej i zderzamy się kolanami. Jesteśmy sami w jego kamienicy.

Przynajmniej na razie.

Zahaczam dwoma palcami o pasek jego ciemnych dżinsów.

- Przypomnij mi – mówię ochryple – jaki jest cel na dzisiejszy wieczór?

Maximoff wpatruje się w moje długie, wytatuowane palce, niespodziewanie zatracając się w myślach. Rozplątuje ramiona i chwyta mój nadgarstek.

Wsadza sobie moją rękę do spodni. Wykrzywiam usta w uśmiechu i z radością przysuwam się bliżej, przylegając do jego torsu i wsuwam dłoń pod bokserki.

Rozgrzane ciemnozielone tęczy lądują na moich wargach. Jego wygłodniały, stanowczy wyraz twarzy rozpala moje ciało i napręża mięśnie. W odbiciu jego oczu mogę praktycznie dojrzeć wszystkie sposoby, na które chce mnie przelecieć.

- Poza oczywistym celem – szepczę. – Moja sperma w twoich ustach.

Twardnieje w moim mocnym uścisku, ale wciąż trzyma mnie za nadgarstek.

- Masz na myśli *moją* spermę w twoich ustach.

A więc tak to dzisiaj będzie. Walka o prowadzenie. Uśmiecham się, nie ulegając tak łatwo jego żądaniom.

- Powiedziałem, co powiedziałem.

- Cel... - przypomina sobie. – *Prawdziwym* celem na dzisiejszy wieczór... - Maximoff wyciąga moją rękę z dżinsów, żeby na chwilę oczyścić głowę. Podpieram się łokciami o blat.

Pomagam mu w wyrażeniu „prawdziwego” celu.

- Jest upicie twojej kuzynki.

Maximoff marszczy brwi na cały ten scenariusz.

- Albo jak sama powiedziała: „Chcę wiedzieć, jakie to pierdolone uczucie być pijaną”. Co może oznaczać jedno albo trzy piwa lub dwadzieścia kieliszków wódki.

- Dwadzieścia kieliszków – powtarzam beznamiętnie. – Chcemy sprawić, żeby poczuła się przyjemnie narąbana, a nie ją zabić.

Nie mówimy o Jane Cobalt.

Jego dziewiętnastoletnia kuzynka Sullivan Meadows poprosiła go o radę w sprawie uczestniczenia w „typowo młodzieżowej imprezie” z alkoholem. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła, ponieważ poświęca czas konkurowaniu i pływaniu jako profesjonalny sportowiec.

Przez trzy godziny ekipa ochronna tylko o tym gadała. Nasza rozmowa przez radio przypominała coś takiego:

Donnelly: *czy Moffy wie cokolwiek o alkoholu?*

Ja: *wie, że wódka jest czysta.*

Akara: *nie zaczynajcie.*

Oscar: *niech ktoś przekona Jane, żeby przekonała do przyjścia Charliego, żebym mógł tam być.*

Ja: *albo moglibyśmy zabawić się bez ciebie, Oliveira.*

Wszyscy młodszy Hale'owie, Meadowsowie i Cobaltowie zwracają się do Maximoffa po radę, pomoc, cokolwiek. A choć facet jest świetny w wielu rzeczach, to nie jest świetny we *wszystkim*.

Na przykład, jeśli chodzi o alkohol.

Najwyraźniej jego kuzynom i rodzeństwu nie zależy na dobrej poradzie, tylko *jego* poradzie. To wiele mówi o ich miłości do Maximoffa. Oraz braku zdrowego rozsądku.

Maximoff wraca do pierwszej kwestii spornej.

- Przyjemne narąbanie *może* obejmować ciemny alkohol. – Patrzy wściekle na moją rozbawioną minę. – No co?

- Dzięki Bogu za moje młodzieńcze pijackie lata. Widzisz, chcemy, żeby zaczęła od podstaw, a nie podwyższać ją do wysokiego poziomu picia. – Wyliczam na palcach, zaczynając od kciuka. – Zero whisky, zero burbonu, zero szkockiej, zero wymiotów.

Jego oczy powoli przybierają rzeczowy, gniewny wyraz.

- Podnieca cię to.

- Co niby?

- Fakt, że wiesz więcej ode mnie na jakiś temat.

Unoszę brwi. – Wilczku, wiem więcej od ciebie na *wiele* tematów. Gdybym dostawał erekcji przy każdej takiej okazji, chodziłbym z nieustannym wzwodem.

- A ja zamierzałem ci pomóc. – Wskazuje na mojego penisa. – Biorąc pod uwagę, że ja mogłem być tego powodem. Ale teraz... - Przykłada rękę do piersi. – Nie czuję się taki hojny.

Przewracam oczami i uśmiecham się, oblizując usta.

- Naprawdę? – Lustruję wzrokiem nasze sylwetki, które nadal do siebie przylegają, moją rękę opierającą się na jego biodrze. Jego na moim tyłku.

Maximoff ostentacyjnie robi *jeden* krok w tył, zrywając kontakt.

- Cały altruizm obecny w moim ciele właśnie uschnął.

- To dramatyczne i niemożliwe.

- Kto powie, że już nie jestem samolubnym gnojkiem? Szarżowałem na autostradzie z tobą w samochodzie, narażałem twoje życie. Chryste, *wiedziałem*, że Jane odmawiała jeżdżenia w tym samym aucie, co ja, jeśli siedziałem za kółkiem. Przeze mnie. Pewnie nadal bym to robił, gdybym miał prawo jazdy.

Nie jest dumny. Jego szczęka drży, oczy pociemniały.

Przywykłem do głębokich tematów. Do przechodzenia z robienia lodu do sensu życia. Tak właśnie działa Maximoff. Dla niego wszystko ma większe znaczenie. Każde działanie ma głęboki podtekst, który próbuje wyładować. Jego umysł jest piekielnie intrygujący i *bardziej* niż ochoczo podążam za każdą nitką, każdą myślą.

- Masz swoje wady – mówię wprost. – Musisz przypominać mnie i społeczeństwu, mediom, że jesteś człowiekiem i nie jesteś idealny, ponieważ tak strasznie się boisz, że nas wszystkich zawiedziesz. – Nachyliłam się, szepcząc: - Dzięki temu nie jesteś takim samolubnym gnojkiem.

Maximoff podchodzi bliżej, jego muskularna sylwetka koliduje z moją. Przejeżdżam dłonią po jego ostrej szczęce. Jego głęboki oddech miesza się z moim, po czym ciepłe wargi rozchylają moje usta. Nasze języki jednoczą się i zaciska rękę na moich włosach.

Niech to, Maximoff. Atmosfera robi się gorąca, czuję podchodzący do gardła pomruk. Odruchowo wypina się do przodu, przylegając do mojej miednicy. Jego członek szuka twardszego kontaktu. Zauważyłem, że często tak robi i tym samym zamienia mnie w pulsującą skałę.

Przyciskam jego plecy do blatu i ocieram się o jego erekcję. Przerywa nasz wygłodniały pocałunek.

- *Kurwa* – jęczy zduszonym głosem.

Chcę mieć go całkiem nagiego. Pochyłego nad kuchennym stołem.

Mogę się założyć, że on pragnie mnie w tej samej pozycji.

Opieram się o niego ciałem. Maximoff przeklina ochryple, wbijając ostre spojrzenie w sufit. Jego serce obija się szybko o moją klatkę piersiową. Obejmuję troskliwie jego szczękę, sunąc palcami po wargach, w dół szyi.

- Ja pierdolę – dyszy. Każde jego spojrzenie, każde wypowiedziane słowo *chwyt*a mojego penisa w żelaznej pięści.

Maximoff odwraca nasze role. Łapie mnie za pośladki i wykorzystuje swą siłę, żeby się wyprostować. Nie odrywając nas od siebie prowadzi mnie tyłem, dopóki nie uderzam kręgosłupem o lodówkę.

Odpina mi pasek i wsuwa szorstką dłoń w czarne spodnie. Jediną barierą pozostaje cienki materiał bokserek. Gdy przesuwa dłoń po moim wzwodzie, zaciskam mocno zęby w podnieceniu, czując jak oblewa mnie rumieniec.

Kurwa. Pochylam się do przodu, przez chwilę kręci mi się w głowie.

- Zdaje się, że powróciłeś do bycia hojnym – dyszę.

Maximoff zabiera rękę.

Prawie się śmieję.

- A potem odchodzi, żeby udowodnić swoją rację.

- Sprawdzam czas, dupku. – Przekręca nadgarstek, żeby spojrzeć na zegarek. – Mamy dziesięć minut zanim wszyscy tu przyjdą. *Może*.

- A więc tylko jeden z nas dostanie loda.

Żaden z nas nie poddaje się tak szybko – nie tylko w tej sytuacji. Maximoff już obmyślił rozwiązanie i wyciąga z kieszeni *monetę*.

- Rzućmy monetą.

- Nosisz w kieszeniach dziesięciocentówki? – Unoszę brwi. – Co jeszcze tam masz? Dyskietkę?

- Zamknij się i wybieraj. – Rzuca monetą w powietrze.

- Orzeł.

Przyciska dziesięciocentówkę do wierzchu dłoni, następnie ukazuje *orła*.

- Nie możesz pokonywać mnie we wszystkim – stwierdzam.

- Zaczynam myśleć, że to twoje ulubione zdanie. – Opada na jedno kolano, przejmując kontrolę nad moim ciałem, szarpiąc mnie do przodu... *szlag*.

Opieram się barkami o lodówkę z sercem w gardle.

- Zdecydowanie do nich należy.

Po jednym pociągnięciu moje spodnie zawisają na udach. Wsuwam palce w jego gęste włosy. Mimo, że przede mną klęczy nadal wydaje się boski i posągowy, godny adoracji. Przesuwa dłońmi po zakrzywieniu moich bioder, które przyciągają go do mojego członka.

- Chyba podobasz mi się tam na dole – droczę się.

- Tak jak większości ludziom. – Powoli zsuwa bokserki po moich udach, z których wyskakuje erekcja i bierze głęboki wdech. Rzuca mi jedno spojrzenie i mówi: - Doskonale obciążam.

Doskonale może być niedopowiedzeniem, ale odpieram:

- Zaczynam myśleć, że wszyscy, którzy nazywają cię skromnym są wierutnymi kłamcami.

- A może rzeczywiście jestem skromny, tyle że nie w kwestii seksu.

Ten komentarz pozostaje ze mną przez dłuższą chwilę, a potem bierze mnie do rąk i przejeżdża leniwie językiem po czubku... *cholera*. W moim gardle formuje się płonący węzeł. Uderzam głową o magnez na lodówce, kiedy obejmuje wargami mojego członka. *Choleracholera*.

Poruszam biodrami, sięgając głębiej do wnętrza jego ust. Wiem, że zdoła wziąć mnie całego. Zaciskam uchwyt na jego potylicy.

Maximoff obejmuje mocno mój goły tyłek i sięgam do tyłu, nakrywając jego dłoń.

Ssie i liże, wykonując większość roboty, ale zaczyna brakować mi tchu, jakbym to ja biegł w maratonie. Zgrzytam zębami, tłumiąc w sobie jęk.

Kurwa. Wypuszczam ciężko oddech pełen napięcia.

- Maximoff. – Mierzwię mu włosy pomiędzy palcami. Cały płonę.

A wtedy Maximoff podnosi wzrok, biorąc mnie sobie całego do buzi. Same jego oczy niemal doprowadzają mnie do orgazmu. Jego oczy mają wyraz, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

To wyraz, który stanowczo.

Zdecydowanie.

I bez większego wysiłku mówi...

To moje królestwo.

Reaguje na to całe moje ciało, mój świat został rozpalony. Przyjmuje całą spermę, zlizuje resztę z mojego penisa i przełyka. Gdy wstaje z klęczek, jakby wszystko, co przed chwilą uczynił było najnormalniejszą rzeczą na świecie, prawie znowu twardnieje.

Maximoff wygląda na pochłoniętego moją osobą. Oddycha ciężko, pożera wzrokiem moje kończyny, każdy centymetr skóry. Podciągam bokserki oraz spodnie, ale łapie mnie za rękę nim się zapnę.

- Potrzebuję się w tobie znaleźć – mówi na wydechu.

Potrzebuję. Jest bliski orgazmu. Odpuszczam i poddaję się jego pragnieniom. Zaoferowałbym mu wszystko, czego potrzebuje. Posiadając bardzo mało czasu wchodzimy pośpiesznie do maleńkiej spiżarni.

Maximoff zamyka drzwi i znowu zsuwa ze mnie spodnie i bokserki, kiedy odpinam mu dżinsy, uwalniając jego erekcję. Nasze gorące i ciężkie oddechy mieszają się ze sobą.

- Prezerwatywa? – pytam.

Wyciąga jedną ze swojej kieszeni. *Oczywiście.*

Całujemy się szorstko i pośpiesznie, i zabieram mu kondoma, nakładając na jego wzwód. Szybciej niż sam by to zrobił. Pluje sobie w rękę, bo brakuje nam nawilżacza i ten obrazek na długo pozostanie mi w głowie, już teraz przyspiesza przepływ mojej krwi.

Odwracam się, kładę przedramiona na półce obok słoików z masłem orzechowym i dżemem, i leciutko się pochylam. Czuję na biodrach jego silne dłonie.

Jego niski, ostry głos zabija mój hart ducha.

- Zamierzam cię szybko przelecieć.

Wtulam czoło w ramię, tłumiąc jęk.

- Dobrze – odpowiadam zduszonym głosem. – Przeleć mnie szybko.

Maximoff wchodzi we mnie, a ten nacisk jest przytłaczający i cholernie... *kurwa mać.* Zanurza się cały i zaczyna się poruszać w szybkim, wygodniwym rytmie.

Próbuję złapać się drewnianej półki, lecz mój umysł wznosi się do miejsca, gdzie nie istnieje zdrowy rozsądek, wyłącznie odrętwiające uczucia. *Dobry pierdolony Boże.* Wzbiera się we mnie rozkosz.

Zaciskam zęby, wydychając przez nos gorące powietrze. Spoglądam przez ramię, widząc jak pożera wzrokiem sposób, w jaki jego penis wchodzi we mnie w głębokich i szybkich pchnięciach.

Jego satysfakcja łapie mnie w silniejszym imadle. Przyspiesza, przyciągając mnie bliżej bicepsami zlanymi potem. Szczeka mnie boli od mocnego zaciskania zębów i rozchyłam wargi. Wyrywa mi się ochrypy jęk.

- *Kurwa* – warczy nisko Maximoff. – *Farrow*. – Do mojego imienia są dołączone niewypowiedziane słowa „*zaraz dojdę*”. Przenosi dłoń z mojego biodra na ramię.

Na mojej szyi wychodzą żyły, serce przyspiesza dziesięciokrotnie, a wtem słychać donośny kobiecy głos.

- Moffy!

Jane.

A niech to.

- Jesteśmy w domu!! – ogłasza rażąco swą obecność. Zgaduję, że dlatego, by dać nam czas na „ogarnięcie się”, jeśli jesteśmy w nie wyjściowym stanie.

A jesteśmy w cholernie bardzo nie wyjściowym stanie.

- Dokończ albo wyciągnij – mówię ściszym głosem.

O dziwo, to on zabawia się ryzykiem, pozostając we mnie. Wszystko dla tego orgazmu... *ja pierdołę*, przetykam kolejny jęk, kiedy wysuwa biodra do przodu. Zgrzytam mocno zębami. Szczególnie, kiedy dobiegają nas kroki przechodzące przez salon i kuchnię.

Maximoff wysuwa się ze mnie i wyrzuca zużytą prezerwatywę do małego śmietnika pod najniższą półką. Łapiemy oddech i prędko się ubieramy. Jest uzbrojony, jakby był gotów na strzelaninę, mało spanikowany. Obraca się do mnie po zapięciu dzinsów i poprawia roztrzepane kosmyki moich białych włosów. Góruję nad nim o parę centymetrów i zapinam pas, następnie wsuwam koszulkę do spodni i wsadzam słuchawkę do ucha. Przejeżdżam kciukiem po jego zaczerwienionych wargach.

Maximoff zniża głos.

- Ten odcień nazywa się *Moje Usta Przy Twoich* i nie zejdzie, więc przestań trzeć i wymyślmy jakiś plan.

- Nie ma problemu. – Odwijam kawałek gumy i wrzucam sobie do buzi. – Wychodzimy i mówimy, że szukaliśmy jedzenia na imprezę. – Ściągam garstkę pierdół z półek: masło orzechowe, krakersy, paczkę napojów energetycznych *Lightning Bolt*!

Maximoff bierze dwie rolki ręcznika papierowego i każdy wysuwa się naprzód, by pierwszy wyjść. Zerkamy na siebie, a po chwili ścigamy się. *Pierwszy* chwytam za klamkę i wychodzę.

Śmieję się na widok jego gniewnej miny, po czym zaciskam wargi, kiedy zauważam Jane, która przeszukuje kuchenne szuflady.

- Tutaj jesteście – szepcze i jej zaciekawione błękitne oczy przenoszą się ze spizarki na nas. Właściwie to na włosy Maximoffa. Przyglądam kilka nierównych kosmyków i odkładam żarcie obok butelek alkoholu. Biorę ręczniki papierowe od Maximoffa, który posyła Jane ciepły, szczery uśmiech.

- Bonsoir, ma moitié. – Zamierza ucałować jej policzki, ale zamiera w połowie drogi.

Na jego twarzy pojawia się grymas, bo robił mi loda. Bardzo, bardzo niedawno.

Jane krzywi się, wszystko ze sobą układając.

- Powinieneś... iść się odświeżyć. Ja przejrzę to wszystko przed przyjazdem Sulli i Akary. – Wskazuje gestem ręki na cały blat kuchenny.

- Dzięki. – Maximoff wyłamuje sobie dwie kostki i przed pójściem na górę zwraca się do mnie: - Wszystko dobrze?

Marszczę brwi i przeżuwam wolniej gumę.

- Czemu miałyby być inaczej? – Odczytuję jego wzrok: *Czy byłem dla ciebie za szybki? Zrobiłem ci krzywdę?* To urocze, ale jestem *ostatnią* osobą, która potrzebuje pocieszenia. – Powiedziałbym ci od razu.

Jego ramiona wyraźnie się rozluźniają i znika za przejściem. Słyszę, jak wita Quinna, ale ta wymiana zdań jest normalna. Koncentruję się na dziewczynie w kuchni.

- Czego potrzebujesz? – pytam Jane i przekręcam gałkę w radiu, przywracając ciche rozmowy.

Grzebie w szufladzie przebrana w coś, co Maximoff nazywa czule „babciną pidżamą” na imprezę: spodnie flanelowe we wzory kotów i bluzka z kołnierzykiem i długim rękawem. Jane spogląda przez ramię i szepcze do mnie:

- Byliście niemal niebezpiecznie głośni. Musiałam odesłać Quinna do mojego samochodu po czekoladowe bombonierki, których nie kupiłam.

Jestem więcej niż wdzięczny za to krycie.

- Dzięki, jestem ci dłużny.

- Nie złam serca Moffy’emu. To wystarczająca zapłata. – Zamyka szufladę i otwiera następną. – Albo jak powiedziałaaby moja mama: *ty złamiesz mu serce; ja złamię ci kutasa.*

Gwiżdżę i wyciągam butelki trunku z papierowych toreb. To była *łagodna* hiperboliczna groźba w stylu Rose Calloway.

- Żadnego odcinania mojego penisa i rzucania w kierunku słońca?

Jane klęka przed niską szafką. – To Moffy lubi pompatyczne, upiększone ostrzeżenia. – Zamyka szafkę z pustymi rękoma i wstaje. – Możesz odejść. Wiem, że jesteś tutaj tylko z obowiązku wobec Moffy’ego.

Nie zamierzam skłamać i powiedzieć: *och, nie, Jane, naprawdę jestem tu dla ciebie*. Bo nie jestem. Zostałem w kuchni, ponieważ chciałby tego ode mnie Maximoff. Jedyne, co mamy wspólnego z Jane Cobalt to Maximoff Hale. Wyciągnąć go z równania i jesteśmy liczbą oraz literą, których nie da się do siebie dodać.

- Chce, żebyśmy się dogadywali – wyznaję prawdę.

Otwiera pobliską szufladę i mruży oczy.

- Powiedział ci tak?

- Nie słowami – odpieram. – Ale znasz Maximoffa, jest nazbyt przygotowany. Czekam na kontrakt, żeby podpisać się pod *Będę się przyjaźnić z Jane Cobalt*.

Wyciąga z szuflady tarkę do sera i zaciska wargi w prostej linii, kiedy na mnie patrzy. Czuję, że powiedziałem coś nie tak zanim jeszcze otwiera usta.

- Więc zaprzyjaźniłbyś się ze mną tylko wtedy, kiedy Moffy zmusiłby cię do podpisania kontraktu?

- Nie – odpowiadam szybko. *Cholera*. – Mówię tylko, że Maximoff jest wobec wszystkiego taki praktyczny i drobiazgowy. To był żart. – Przeczesuję sobie włosy. – Wspominał ci coś o *nas*? – Gestykuluję na nią i na siebie.

- Nie, ale zauważyłam to samo, co ty. – Robi krok w bok, sięgając do lodówki. – Denerwuje się, że nie dogadujemy się ze sobą.

- I zgadzamy się, że nie chcemy, żeby tak się denerwował? – pytam.

- Oczywiście – odpowiada i podnosi z półeczki kostkę sera cheddar. Zatrząskuje drzwi lodówki papciem. – Niczego bardziej nie pragnę niż jego szczęścia.

- Ja także – mówię, unosząc rękę. – Widzisz, już robimy postępy. Dobra, co jeszcze mamy wspólnego?

Niespodziewanie w kuchni zalega cisza. Powoli odkrawa kawałek sera.

- Zastanawiasz się? – pytam.

- Tak, to trudne.

- Nie może być aż takie trudne.

- A ty co masz? – odparowuje.

- Kochasz zwierzęta – mówię. – A ja ich nie nienawidzę.

Wbija we mnie wzrok. – Ze trzydzieści razy słyszałam, jak nazywasz Walrusa małym draniem.

- Z czułością – mówię.

Wrzuca do ust kawałek sera. – Zatem łączą nas dwie rzeczy. Według moich kalkulacji powinniśmy mieć wystarczająco podobieństw, żeby zaprzyjaźnić się za pięćset sześćdziesiąt cztery lata. – Sięga po swoje piwo i nie wiem, co powiedzieć bez strzelenia gafy.

Nie chcę z tego zrezygnować, ale czuję zagęszczającą się atmosferę, do której dołącza niezręczne cisza. Uderzam obrączką na kciuku o blat kuchenny, żeby zastąpić milczenie. Przygląda mi się chwilę, po czym odkorkowuje butelkę piwa, zahaczając nakrętką o krawędź blatu.

- Miałeś temu zaprzeczyć – mówi beztrąsko, przykładając piwo do ust.

Przestaję stukać. – Tej przyjaźni za pięćset sześćdziesiąt cztery lata?

- Tak – przytakuje i celuje we mnie butelką. – Miałeś powiedzieć: *co ty, Jane, zaprzyjaźnimy się za parę lat.*

- Nie posiadam jebanej kryształowej kuli – mówię.

- Dobra, więc powiedz tylko, że się mylę.

- Mylisz się – mówię. – Ponieważ szkielety nie nawiązują przyjaźni w grobach.

- Wow. – Potrząsa głową.

- Co wow? – Nie potrafię powiedzieć czegoś dobrze, a poprawianie kursu to jak kopanie pod sobą jeszcze większej dziury.

- Wow, chcesz zostać moim przyjacielem, ale nie potrafisz nawet uwierzyć, że to się stanie – odpowiada. – Nie za pięćset lat. Nie za dwa lata. Może kiedykolwiek?

- Wierzę w siebie, ale przyjaźń jest obustronna – mówię.

Marszczy brwi. – Więc uważasz, że to ja się nie staram?

Ja pierdolę.

- Masz rację – mówię. – To jest trudne.

- Zgadza się.

Coś mnie dręczy i na pewno nas nie przybliży, ponieważ dotyczy Maximoffa. Drapię się po szczęce.

- Maximoff nie posiada już prawa jazdy – mówi. – Myślałem, że nie jeździcie ze sobą tylko z powodu jego stylu jazdy.

- Tak było – odpowiada i nie umyka mi czas przeszły.

- Ale już nie?

- Nie macie za dużo czasu sam na sam... - Wzrusza ramionami.

Pragnę jej powiedzieć, żeby się tym nie przejmowała, żeby robiła to, co zwykle, gdyby mnie tu nie było. Ale *kurwa*. Uwielbiam mieć prywatność z Maximoffem i te przejażdżki autem mają w tym duży udział. Nie mam najmniejszej ochoty z tego zrezygnować, żeby być uprzejmym.

- Akara do Farrowa. – W mojej słuchawce rozbrzmiewa głos Akary. – Wjeżdżamy do garażu. Drzwi są otwarte?

Odsuwam się od Jane, zdając sobie sprawę, że w ciągu paru minut nasza rozmowa przeszła z przyjemnej do bolesnej. I szczerze to nie przez nią. Nie wiem nawet czy przeze mnie. To taka nieuchwytna, niewymierna rzecz.

MAXIMOFF HALE

- Chyba przyniosłam za mało chipsów – stwierdza Sulli, stojąc obok mnie w kuchni. Wspólnie przyrządzamy talerz jedzenia dla reszty. Obrzuca wzrokiem Tostitos. – Co ja sobie myślałam? *Jedna jebana paczka*. Akara potrafi sam zjeść jedną paczkę. I po co wzięłam paczki? Tylko ja lubię paczki z posypką.

- Hej. – Kładę ręce na jej szerokich barkach pływaczki. Ma długie nogi i ramiona, na boso mierzy metr osiemdziesiąt wzrostu. Jest tylko parę centymetrów niższa ode mnie i nasze oczy znajdują się prawie na tym samym poziomie.

Wyglądamy, jak brat i siostra. Nie tylko kuzynowie.

Nasze mamy są siostrami. Mamy takie same zielone oczy.

Nasi ojcowie są przyrodnimi braćmi. Mamy takie same ciemnobrązowe włosy po dziadku (gdybym ja swoich nie farbował).

Zatem znacie Sullivan Minnie Meadows jako *wulgarną*, ekstremalnie skupioną olimpijkę, która w zeszłe wakacje wróciła do domu z czterema złotymi medalami za styl dowolny oraz zmienny na 200 i 400 metrów. Złóściecie się, że wycofała się z profesjonalnego pływactwa, ale niektórzy za bardzo ekscytują się myślą, że Sullivan zacznie randkować, żeby poważnie się tym przejąć.

Czytałem wasze tweety na temat jej dziewictwa.

Spadajcie.

A ja... ja znam ją jako Sulli. Moją dziewiętnastoletnią kuzynkę, która rzuca ordynarnymi kawałami, szalenie kocha i potrafi przegonić mnie w wodzie i na lądzie. Kocham ją jak młodszą siostrę, a ona nie ma żadnych braci.

Ostrzeżenie: jeśli z nią zadrzecie, wyrwę wam płuca i przemielę je w *zardzewiałej* maszynce do mięsa.

- Nie stresuj się – mówię, ściskając jej barki. – Jedna paczka chipsów starczy. I czy *kiedykolwiek* przejmowałaś się, że nikt inny nie lubi paczków?

- To nasza pierwsza Wigilia Halloween dla Przyjaciół.

Rozumiem. Halloween to bardziej urodziny mojego taty oraz olbrzymie spotkanie kostiumowe wyłącznie dla rodziny. Jane i Sulli od *lat* próbowały wymyślić jakąś tradycję

na dzień przed Halloween, która nie dotyczyłaby naszych rodziców albo młodszych dzieciaków.

Stąd *Wigilia Halloween dla Przyjaciół*. Z całego naszego rodzeństwa i kuzynostwa postanowiliśmy zaprosić tylko tych, którzy skończyli już liceum. Charlie nie odpowiedział na zaproszenie. *Kurewsko typowe*. A jego bliźniak Beckett właśnie został głównym tancerzem w prestiżowym balecie. Byłby tutaj dla Sulli, swojej najlepszej przyjaciółki, ale ma dzisiaj występ.

Dlatego jesteśmy tylko Jane, Sulli i ja.

- I to pierwszy raz, jak jestem gospodarzem imprezy – przypomina Sulli. – Musi być doskonale. – Nieustannie nakłada na siebie presję. Ilekroć Sullivan stawia sobie jakiś cel uważa, że jej zadaniem jest walka o złoto.

- Współgospodarzem – poprawiam, zabierając ręce. – To *mój* dom. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, możesz zwalić winę na mnie. – Wysypuję jej chipsy do pomarańczowej miski.

Sulli prycha. – Nie tak to działa. Nie możesz ponosić dla mnie odpowiedzialności, Mof. – Dodaje cicho: - I nie chcę, żeby to była najgorsza impreza, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyli nasi ochroniarze.

Marszczę brwi.

- Komu próbujesz zaimponować? To tylko Akara, Quinn i Farrow. - Zaprosiliśmy ich jako *przyjaciół*. Poza służbą. Cały wieczór spędzimy w naszej kamienicy i będziemy oglądać horror. Mogą pić alkohol, ale muszą się tutaj przespać.

Zepchnęliśmy sofę pod przejście do kuchni, dlatego musimy przejść przez mebel, by dojść do salonu, gdzie poukładaliśmy pufy i śpiwory. Podobnie, co Jane, Sulli ma już na sobie pidżamę – bokserki w babeczki oraz turkusowy podkoszulek.

- Próbuję zaimponować im wszystkim – szepcze Sulli. – Słyszałam, jak narzekali na *twoje* przyjęcie przy basenie... ile miałeś lat?

- Osiemnaście i ta plaga komarów nie była moją jebaną winą. Byliśmy na *dworze*, gdzie żyją owady. Naturalnie.

- Hej, ja się z ciebie nie nabijam – mówi Sulli. – Totalnie się zgadzam. To jebana wina natury, a nie przekrojonego przez ciebie arbuza.

Marszczę gniewnie brwi.

- Masz rację, oni są denerwujący. Po co ich zaprosiliśmy? – Jestem pół poważny, pół sarkastyczny. Chociaż spędzam cały czas z Farrowem to będzie pierwszy raz, kiedy *teoretycznie* będzie przy mnie poza służbą.

A on uwielbia swoje teoretyczności.

- Gdybyśmy ich nie zaprosili, musielibyśmy nazwać tę imprezę Wigilia Halloween dla *Rodziny*, ponieważ nasza trójka nie ma przyjaciół poza ludźmi, którym płacimy za ochronę.

- Jezu, ale jesteśmy żałośni – mówię sarkastycznie.

Sulli uśmiecha się.

- Najżałośniejsi na całym pierdolonym świecie. – Chwyta szyjkę butelki piwa i wypija mały łycalek. Krzywi się, marszcząc nos, najwidoczniej nie smakuje jej gorzki smak.

Jej ciemne włosy są rozdzielone pośrodku i opadają kaskadą na szerokie ramiona. Spogląda w kierunku salonu.

Ponad sofą zauważam, że Jane zabawia Quinna, Akarę i Farrowa jakąś zmyślną historią. Gestykułuje dziko rękoma, ściskając lemoniadę wymieszaną z alkoholem.

- Jest w tym taka dobra – mówi zadumany tonem Sulli. – Przez połowę czasu nie mam, kurwa, pojęcia co mówić ludziom.

- Cobaltowie tak mają – przypominam jej. – Trudniej im się domyślić, kiedy trzeba się przymknąć.

Wymienia się ze mną uśmiechem. *Kochamy* naszych kuzynów Cobalt – wszak znajdują się w nich nasi najlepsi przyjaciele: dla niej Beckett, dla mnie Janie – ale nie sposób nie zauważyć, jak bardzo jesteśmy od nich różni.

Kiwa głową i bierze większego łyka piwa, starając się nie robić obrzydzonej miny. Udaje jej się. Po czym zwraca się do mnie w innym języku.

- Has pensado en la ultra? – *Myślałeś o ultra?*

Ryke Meadows nauczył swoje córki hiszpańskiego. Nauczył również mnie. Jestem dumny z biegłości w tym języku, ale kiedy przez cały rok jestem porównywany do Ryke'a... sam nie wiem.

Wszystko kwestionuję.

- Moffy? – Sulli szturcha mnie w żebra, otrząsając z otępienia.

Ultra.

Wyciągam sobie butelkę wody z lodówki turystycznej obok naszych nóg. Myślę. Sulli wycofała się z pływania ponieważ osiągnęła swój cel. Pojechała na olimpiadę. Zdobyła medale. Mogłaby pojechać na następne letnie igrzyska, ale nie chciała wracać do tego samego.

Dlatego postawiła sobie za cel wzięcie udziału w *ultra* maratonie w Chile. Atacama Crossing, 250 kilometrowy bieg przez pustynię. To jej następny cel.

Następna walka o pierwsze miejsce.

I chce, żebym był u jej boku.

Pływanie i bieganie idą ręką w rękę. Kiedyś trenowaliśmy na łądzie, wykonując wspólnie biegi wytrzymałościowe i z *przyjemnością* wygospodarowałbym czas na *ultra*.

Gdyby zapytała mnie rok temu, nie wahałabym się tak jak teraz.

- To dlatego, że mój tata biegł w *ultra*, prawda?

- Sul. – Gładzę się po szczęce. – Jeśli pojedę, zaczną mnie jeszcze bardziej porównywać do twojego taty.

Sulli odrywa etykietkę butelki.

- Słuchaj, wiem, że nie jesteś moim bratem...

- Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. – *Niech to szlag*.

- Hej, ja wiem. Jestem cholernie kiepska w słowach. – Bierze głęboki wdech, nie poddając się tak łatwo. Sulli rzadko z czegokolwiek rezygnuje. – Wysłuchaj mnie. Razem rozpoczęliśmy pływanie wyczynowe i w wielkim wszechświecie przyjaźni oraz przeznaczenia może to także powinniśmy zacząć razem. – Urywa na chwilę. – Nie potrafię sobie wyobrazić, że zrobię to sama, kurwa. Więc pomyśl o tym, dobrze?

Potakuję. – Zrobię to dla ciebie.

Sulli przykłada butelkę do ust i dostrzega, jak przyglądam się trunkowi. Opuszcza butelkę.

- Przestań na mnie patrzeć, jakby wyrosły mi skrzydła.

- Właściwie to patrzę na ciebie, jakbyś tuliła rozpalony fajerwerk.

- Wiem, co robię, Moffy – próbuje mnie przekonać.

Nasz dziadek był alkoholikiem.

Mój tata to leczący się alkoholik.

Jej tata postanowił przestać pić w wieku siedemnastu lat.

Hale'owie oraz Meadowsowie mają alkoholizm we krwi. Fakt, że ja zdecydowałem, iż nigdy nie tknę alkoholu nie znaczy, że moje rodzeństwo albo kuzynostwo postanowi tak samo.

- Po prostu bądź ostrożna. – Wrzucam precle do drugiej miski.

Sulli nie odpowiada: *przecież zawsze jestem*. W jej krwi płynie także przygoda oraz *nieustrasżoność*. Jako, że jest Meadowsówną dorastała na zeskakiwaniu z klifów do tropikalnych oceanów, jeździe Ducati oraz lataniu parolotnią setki metrów nad ziemią.

- Znam ryzyko – mówi zamiast tego.

Sulli sięga po pudełko z cukierni, które zawiera tuzin czekoladowych pączków. Zabieramy ze sobą stos jedzenia: precle, chipsy, skrzydełka, halloweenowe słodycze i wegetariańskie przekąski. Udaje nam się przejść przez sofę, nie upuszczając niczego po drodze.

Akara, Quinn i Farrow wylegują się na poduchach pozbawieni radyjek, więc poważnie są poza służbą. Siedzą zwróceni do kominka, nad którym wisi telewizor. Odkładam żarcie na zielony śpiwór pośrodku i Janie ciągnie za sznurek dołączony do lampy na suficie, spowijając nas w niemal całkowitej ciemności.

Farrow opiera się o czarną poduchę, która znajduje się najbliżej schodów. Poniekąd znajduje się na własnej przeklętej wyspie. Akara, Quinn, a nawet Janie, która zajmuje miejsce przy jedzeniu, tłoczą się o wiele bliżej siebie.

Farrow bierze łyk piwa, nie odrywając ode mnie wzroku. Zastanawia się, jaki będzie mój następny ruch. *Ja także*. Chciałbym usiąść przy nim, ale jaką wtedy wysłę wiadomość wszystkim innym?

Hej, pieprzę się z moim ochroniarzem!

Albo hej, ja i mój ochroniarz jesteśmy dobrymi kumplami.

Dobra... to pierwsze brzmi jak czysta paranoja z odrobiną przesady. Nim ruszę w stronę Farrowa, Sulli kładzie pączki obok chipsów i przeklina.

- Na wszystkie jebane kutasy.

- Co? – pytam.

- Zapomniałam o salsie. – Przykłada dwa palce do warg: to sławny wyraz *koncentracji* Sullivan Meadows. I używa go do kryzysu z *salsą*.

- Sulli – rzucam burkliwie. – Nic nie szkodzi.

- Masz coś w lodówce? Mogłabym sama zrobić. – Nie może zaproponować wypadu do sklepu, ponieważ to by się wiązało z *wymaganiem* trzeźwego Akary Kitsuwona.

- Zapomnij o salsie, Sulli.

- Wujek Lo twierdzi, że impreza bez salsy to żadna impreza. Taka jest zasada. Prawda? – Patrzy na Jane.

- Cóż... - Jane duma nad tym o wiele za długo. Postanawiam się wtrącić.

- Mój tata mógłby także pożreć pięć saszetek pikantnego sosu na drugie śniadanie i nic poza tym.

- Ej, sławni – woła Farrow i obracamy do niego głowy. – Imprezy nie mają *żadnej* zasady z salsą. To nie jest normalne.

Chryste, fakt, iż potrzebowaliśmy wyjaśnienia od *Farrowsa* każe mi przycisnąć palce do oczu i jęknąć na głos. Ten uśmiecha się szeroko w otwór butelki piwa.

- Chodź tu, Sul. – Akara trzyma na kolanach miskę chipsów i pokazuje jej, żeby usiadła na zielonej poduszce obok niego. Sulli zajmuje miejsce i przyciąga nogi do klatki piersiowej, ale nachyla się do niego.

- Są idealne *bez* salsy. – Demonstruje, wrzucając sobie kukurydziany przysmak do ust. – Przepyszne.

- Tak tylko mówisz – odparowuje Sulli.

- Wcale nie. – Akara przyciska miskę do swojego torsu. – Teraz należą do mnie, dzięki.

Sulli uśmiecha się promiennie i próbuje wziąć sobie chipsa, ale on wznosi miskę nad jej głową, drocząc się.

Drocząc?

Podchodzę oszołomiony do Farrowsa, nie odrywając spojrzenia od *tej* sceny i siadam obok niego.

- O co w tym chodzi? – szepczę do niego.

- To się nazywa *kumpelski* ochroniarz, wilczku.

Słyszałem już, jak ekipa używa tego terminu. *Kumpelski* ochroniarz (rzeczownik): ten, który ochrania bardzo ważną osobę, ale jest również jej bliskim przyjacielem.

Wiedziałem, że Akara rozumie *wszystko* w Sulli, jej nawyki, upodobania i uprzedzenia – po prostu nigdy nie zwracałem uwagi na ich „przyjaźń”, dopóki...

Dopóki nie zacząłem bzykać mojego ochroniarza.

Świetnie. Czy teraz moje wyobrażenie każdej relacji ochroniarz-klient będzie się skłaniało ku „*oni ze sobą współżyją*”? Mój umysł to królicza nora, do której nie prosiłem się wpadać.

- Odchyl się – mówi Farrow, popijając piwo.

Odchylam i stykamy się ramionami, ale moje zwężone oczy wlepiają się w kuzynkę i jej ochroniarza. Ściszam głos, żeby usłyszał mnie tylko Farrow.

- Czy wyglądają ci na super bliskich? Na więcej niż kumpelską ochronę?

- Nie. – Bierze kolejny łyk piwa całkowicie wyluzowany. Obserwuję kuzynkę, która popycha umięśniony biceps Akary i śmieje się, kiedy ten chowa miskę za plecami.

Wykrzywiam twarz w grymasie... *czy oni flirtują?* Staram się nie ruszać moich zmieszanych uczuć. Będę hipokrytą, jeśli nie spodoba mi się sama myśl o Sulli ze swoim ochroniarzem, ale część mnie wkracza na teren „Hulk Zmiażdżyć Akarę”.

- Jesteś pewien?

Farrow odwraca głowę, by szepnąć mi do ucha.

- Znam Akarę od dawna i nigdy nie przekroczyłby tej granicy z Sulli. Jest *przywódcą* ochrony, zbyt profesjonalny. I wie, że zabiłby go Ryke Meadows.

Mój tata cię zabije. Spinam szczękę i chyba musiał wyczuć moją niespodziewaną myśl.

Znowu szepcze w moje ucho.

- Nie pocałowałbym cię, gdyby przerażał mnie twój tata.

Co mi przypomina... nie żałowałem przekroczenia granicy z Farrowem. Ani razu.

Opuszczam nieznacznie ramiona, a Farrow wgryza się w muffinkę angielską z jajkiem, bekonem i serem, którą przyrządził w swoim mieszkaniu po prysznicu i przyniósł tutaj. Chociaż kupiliśmy na dzisiaj przekąski.

Jego miłość do śniadaniowego jedzenia nie zna granic. Farrow *dostłownie* będzie sobie zamawiał jajka sadzone i kiełbaski na każdy posiłek.

Wyciąga do mnie do połowy zjedzoną kanapkę.

- Myślałem, że się nie dzielisz.

Oblizuje kciuka, wykrzywiając kąciki ust.

- Dzielę się tylko z tobą.

- Bo jestem twoim klientem. – Biorę kanapkę.

- Spróbuj jeszcze raz.

Bo jestem twoim...

- Ty mi powiedz. – Czy określimy ten związek... sam nie wiem? To mój pierwszy związek... kiedy przychodzą jakieś etykiety? Może Farrow potrzebuje pół roku czasu zanim będzie uważał drugą osobę za swojego...

Patrzę, jak kątem oka obserwuje otoczenie. Farrow będący subtelnie uważny na wszystko wokoło... uwielbiam. Ja jestem bardziej oczywisty. Spoglądam prosto przed siebie.

Janie używa pilota, żeby znaleźć horror na Netfliksie. Akara i Sulli rozmawiają po cichu, kiedy ona układa chipsy na pączku. Quinn bawi się z Ofelią, biała kotka biega wokół jego muskularnych nóg.

- Maximoff. – Farrow przyciąga mój wzrok. Powstrzymuje się przed dalszymi słowami i nie mogę czuć rozczarowania, ponieważ wiem, iż widzi, że ktoś nas obserwuje. Wraca spojrzeniem do telewizora.

Odgryzam kawałek jego kanapki i oddaję, następnie odkręcam butelkę wody, upijając łyk.

- Do diabła, co jest z tym nie tak? – Quinn spogląda spod zmarszczonych brwi na trójkolorowego kotka, który drapie go po kostce.

- To cię nienawidzi, Oliveira – mówi Farrow, pijąc piwo.

- *On.* – Janie poprawia Farrowa ze znaczącym spojrzeniem; kiedy zauważa, że się temu przyglądam, wymusza uśmiech mówiący: *jesteśmy przyjaciółmi; nie przejmuj się, Moffy.*

Czy to kogoś przekonało? Tapeto, lampo, stole, człowieku na księżycu – jesteście, kurwa, przekonani? Ja też nie.

- Co? – Quinn zwraca się do Farrowa, wyglądając na szczerze zaniepokojonego taką myślą. – On mnie nie nienawidzi. Jestem *światny* ze zwierzętami. Zanim zostałem zawodowym bokserem, mogłem być zaklinaczem psów. – Klika językiem i mruczy do kotka.

Akara nachyla się do Quinna, trzymając w rękach czerwony kubek.

- Ej, chyba wiesz, że to jest *kot*, nie pies.

Quinn śmieje się razem z resztą. Nigdy nie widziałem, żeby powalił go żaden metaforyczny cios. Popija swój rum wymieszany z Fizz.

- W dzieciństwie miałem psa.

- Jakiego? – pyta Sulli, a Janie ląduje na *Koszmarze z ulicy Wiązów* i pyta bezgłośnie mnie i Farrowa: *tak czy nie?*

Pokazuję jej uniesiony kciuk.

Farrow celowo pokazuje kciuk do dołu, ale poprawiam jego pieprzone ustawienie.

Na jego twarzy pojawia się zadowolony wyraz, jakbym właśnie się zgodził, że zrobię mu dobrze. Żaden to odpowiednik, ale rzeczywiście poświęcam mu piekielnie dużo uwagi i on mnie o tym uświadamia.

- Miałem husky'ego – odpowiada Quinn mojej kuzynce.
- Ja też – mówi Sulli i w pokoju zapada cisza. – Zdechła jakiś czas temu.
- Ta, wiem. Widziałem na... - Quinn urywa i odchrząkuje.
- Twitterze – dopowiada Farrow.
- Właściwie to na Facebooku – zwraca się pewniejszym tonem Quinn do Sulli.

Gdyby Meadowsowie mieli piątego członka rodziny, to nie byłbym *ja*, tylko suczka husky Coconut. *Kochaliście* tego psa. Ja kochałem tego przekłętą psa i nam wszystkim było przykro, kiedy zdechła ze starości.

Quinn próbuje pogłaskać trójkolorowego kotka, ale ten gryzie go w palec.

- Jane?
- Carpenter lubi warzywa. Rzuć mu jeden z tych małych pomidorków.

Quinn wyciąga się do tacki z warzywami i wrzuca pomidora pod sofę. Carpenter rzuca się za nim jak szalony.

Quinn potrząsa głową. – To nienaturalne.

- Dalej bawimy się w alkoholową grę? – Akara wskazuje kubkiem na telewizor.
- Tak. – Sulli przytakuje kilka razy. – Jane ma zasady.

- Racja. – Jane ugniata sobie poduchę. Zazwyczaj siedzi obok mnie podczas takich wydarzeń, a teraz jest tak jakby w kącie.

- Janie – mówię głośno i przywołuję ją ruchem dłoni.

Nie, mówi bezgłośnie i rzuca króciutkie spojrzenie na Farrowa, jakby musiała dać nam prywatność. Przecież nie będziemy sobie po kryjomu walić konia w jebanej ciemności. Znajduję się w pomieszczeniu z dwoma kuzynkami.

Nie ma mowy.

- Jane – woła Farrow zanim zacznę naciskać.

Waha się przez jedną sekundę, po czym przysuwa sobie do nas różową poduchę i sadowi się parę stóp ode mnie. Wyciągam ramię i przyciągam ją oraz pupę do mojego boku.

Jane nie potrafi ukryć uśmiechu.

- Zasady gry alkoholowej w Wigilię Halloween dla Przyjaciół – ogłasza całej grupie. – Bierzecie łyk napoju za każdym razem, kiedy pojawi się Freddy Krueger, ktoś krzyknie albo powie *koszmar, sen i śpij*.

- Co z Moffym? – pyta Sulli.

- Nie gram.

- Nie możesz *nie* grać – odpowiada Jane. – A wiesz, że jestem *okropnie* poważna, kiedy mówię dwa razy „nie” w tym samym zdaniu.

Sulli w gryza się w pączka i mówi z pełną buzią:

- Wujek Lo i mój tata zawsze mają alternatywne zasady dla trzeźwych graczy.

Janie rozwesela się. – Ilekroć ktoś krzyknie zdejmiesz artykuł odzieży.

- Ce n'est pas une bonne idée – mówię po francusku żeby zrozumiała jedynie Jane. *To nie jest dobry pomysł*. Tak, już jeden raz dzisiaj doszedłem i mogę pozbyć się erekcji za pomocą umyślowego skoncentrowania. Ale to co innego, kiedy będę się rozbierał przy Farrowie. Słuchajcie, niektórych rzeczy nie da się tak łatwo ukryć.

Należy do nich mój duży, twardy jak skała penis.

Wszyscy się na mnie patrzą oprócz Farrowa. Odsuwa się ode mnie, następnie wychodzi do kuchni z pustą butelką piwa.

- Je n'ai pas d'autre idée que celle-ci – odpowiada Jane. *Nie mam innego pomysłu*.

Zerkam na Sulli i przypominam sobie jej niepokój o porażkę tej imprezy. Nie chcę rozczarować mojej kuzynki przez wzwód. Zaciskam powieki przez dłuższą chwilę, próbując wymazać tą ostatnią dziwną myśl.

- W porządku – mówię, otwierając oczy. – Zdejmę artykuł odzieży, co drugi krzyk, *ale* zatrzymam się przed bielizną. – Każdy się zgadza i Farrow wraca z nowym jasnym *ale* i jednym z pastelowo-niebieskich koców Janie. Rzuca mi nakrycie i zajmuje poprzednie miejsce.

Czyli siedzi tak samo blisko. Ramię przy ramieniu. Jego obecność przypomina piec, który rozgotowuje mnie od stóp do głów. *Nie daj się przyłapać*. Jak idzie ta mantra? Jeżeli będę powtarzać ją w kółko, powinienem uniknąć erekcji. Zdecydowanie.

Nie daj się przyłapać, kurwa.

Janie naciska start i po około dziesięciu minutach filmu, Farrow odzywa się głośno.

- Akara, jesteś na służbie czy po prostu uwielbiasz dekorację Jane? – Najwyraźniej rozglądał się po pokoju.

Niespodziewanie wrzeszczy aktorka. Wszyscy upijają swoje drinki, a ja ściągam koszulkę i odrzucam na bok. Opieram się obok Farrowa, który próbuje ukryć uśmiech.

Rzadkość.

Jane podtrzymuje rozmowę.

- Akara, podoba ci się, jak udekorowałam mieszkanie?

- Ja tego nie powiedziałem – mówi.

- Mój brat lubi twoje dekoracje – odzywa się Quinn. – Nazywa to Autentycznym Babcinym Retro.

Janie uśmiecha się szeroko.

- Uważam, że jest cholernie urocza – mówi jej Sulli.

- Dziękuję, Sullivan – odpowiada Janie. – Zostaniesz moim nowym ochroniarzem?

- Oczywiście, będę cię chronić do jebanego grobu.

- I podążać za mną gdziekolwiek pójdę?

- Gdziekolwiek.

- Hejhejhej – przerywa im Quinn, wyciągając ramię do Sulli. – Nie odbieraj mi roboty. Nie jest na sprzedaż.

Jane uśmiecha się jeszcze promiennie. Jej ostatni ochroniarz na *emeryturze* nigdy nie wyrażał zadowolenia z bycia jej obstawą.

- Szkoda, że nie jesteś odpowiedzialny za transfery, Quinn – mówi mu Farrow. – Tylko Akara może o tym zdecydować.

Sulli szturcha ramię Akary.

- Co powiesz, Kits? Przydzielisz mnie do ochrony Jane? – *Kits*.

Moja kuzynka ma specjalne przezwisko dla swojego ochroniarza. Wzięte z nazwiska Kitsuwon, ale to nadal przezwisko. Farrow ma dla mnie przezwisko. Dwa plus dwa równa się...

Huh.

Muszę dzisiaj przestać myśleć. Przysięgam, że wyląduję w nowym kręgu piekła dla paranoidalnych dusz.

Akara kiwa głową do Sulli.

- Kiedy zdołasz mnie pokonać na ringu, możesz ochraniać Jane. – Brzmi poważnie, ale być może wie, że nigdy go nie pokona. Od szóstego roku życia trenował tajski boks.

Sulli marszczy nos. – Ale jestem kochankiem, nie wojownikiem.

- Wybacz, Sul. – Unosi kąciki ust. – Będziesz musiała sobie odpuścić. Byłabyś głównianym ochroniarzem.

Jane ściska się za serce. – Nie mów.

- Pijemy – woła Farrow kiedy na ekranie zostaje wypowiedziane słowo *śpij*. Przez kolejnych dwadzieścia minut absorbuje nas film. Widziałem, jak każdy robił sobie trzy dolewki.

Sulli trzyma *szóste* piwo.

Tak, liczę.

A ja już nie mam *żadnych* ubrań poza ciemnozielonymi bokserkami. Koc to był manewr taktyczny ze strony Farrowa na wypadek, jeśli mi stanie. Ale nic mi nie jest. Przestałem patrzeć, jak popija piwo i choć raz współpracują ze mną mózg oraz penis.

Na szczęście.

Dostaję parę wiadomości i odpisuję mojemu rodzeństwu. Większość jest *wkurzona*, że nie została zaproszona na Wigilię Halloween dla Przyjaciół.

Kinney jest najbardziej poirytowana.

Ty gnojku. Nie wiesz nawet, co to horror. – Kinney

„Następnym razem urządzimy sobie halloweenową noc filmów u mamy i taty. Obiecuję.” Wysyłam do niej.

Odpisuje emotikonkami czaszki i skrzyżowanych kości.

Nie chcę jeszcze, żeby przebywali w otoczeniu alkoholu. Nie, kiedy spędzam czas z dwudziestoparoletnimi facetami. Moja siostra ma *trzynaście* lat i może pozostać w tym wieku.

A Luna... po tym przekłuciu języka stąpa po kruchym lodzie z rodzicami. Nie zapraszając jej, robię jej tylko przysługę.

Poza tym, gdybyśmy zaprosili Lunę musielibyśmy zaprosić także dwóch braci Jane – Eliota i Toma Cobaltów. Co zapewne skończyłoby się na tym, że to *ja* dzwoniłbym po straż pożarną albo naszego lekarza na telefon.

Dlatego właśnie obmyśliliśmy warunek „tylko dla absolwentów liceum”.

- Sulli? – Zaniepokojony głos jej ochroniarza przyciąga moją uwagę. Pochyla się nad moją kuzynką i obejmuje jej policzek. – Poczekaj... - Wstaje i bez problemu przeskakuje przez sofę.

Sulli przyciska mocno nogi do klatki piersiowej i przykłada czoło do kolan. *Ma zawroty głowy.*

- Sulli... – zaczynam, zamierzając wstać, ale wraca Akara z nowym pudełkiem pączków.

- Zjedz. – Podaje Sulli pączka z lukrem. – Jedzenie pomoże pozbyć się zawrotów. – Wysuwa z jej palców butelkę piwa.

- Dzięki – mamrocze i podnosi głowę na tyle, żeby przyjąć pączka.

Jane gładzi swoją czarną kotkę Lady Makbet.

- Za pierwszym razem, kiedy się upiłam wszędzie wymiotowałam – mówi do Sulli. – Moffy trzymał mi włosy. – Opiera policzek na moim ramieniu, a ja ją obejmuję.

- Za pierwszym razem, kiedy się upiłem straciłem przytomność we własnych sikach – mówi Quinn. – Nie pytajcie.

Farrow odstawia pustą butelkę.

- A teraz zamierzam...

Nagle jakiś przedmiot roztrzaskuje okno frontowe zakryte zasłoną. Za nim podąża szybkie, ostre *pop, pop, pop, pop...*

Pop.

Petardy.

Co to za pierdolone jaja... podrywam się gwałtownie na nogi, kiedy trzech ochroniarzy przechodzi do działania.

- Farrow! – krzyczy Akara i wskazuje na frontowe drzwi, następnie podnosi swoje radio ze śpiwora. – Akara do Alfya. Akara do Alfya.

Farrow biegnie już do wyjścia, a ja nie zostaję daleko w tyle ze wściekłym spojrzeniem, gotując się od środka. *Ktoś rozbił moje okno z zamiarem zadania krzywdy mojej rodzinie. To mogły być pociski.* Tylko tyle czuję.

I widzę czerwień.

Farrow chwyta za klamkę, ale nagle obraca się do mnie. Przykłada dłoń do mojego nagiego torsu, zagrządzając dojście do drzwi. Gniew rozpała jego czujne spojrzenie w sposób, który nigdy nie był skierowany na *mnie*.

- Quinn, nie podchodź do *okna*, na podłodze jest szkło! – woła Akara. – Zabierz dziewczyny i Moffy'ego na górę do łazienki i zablokuj drzwi!

W moich uszach huczy szalejące tętno.

- Co ty wyprawiasz, *do chuja?* – warczy do mnie Farrow. – *Nie* możesz za mną iść. – Dostrzegam króciutki przebłysk niepokoju, lęku zanim jego wzrok zamienia się w skałę.

Zaciskam zęby. *Muszę pomóc. Muszę, kurwa, pomóc.* Ta nieodłączna potrzeba kołacze w mojej głowie, żebrach, *sercu* i nie wiem, jak się odwrócić.

Nie wiem, jak się ukryć w łazience i *czekać*.

- Widzę go! – wrzeszczy nagle Quinn. Rzuca się w naszym kierunku, przedziera się pomiędzy Farrowem, a mną, żeby otworzyć drzwi i wbiega w ciemną noc. Paparazzi, którzy koczowali na mojej ulicy wybudzają się niczym drzemiące świetliki i szerszenie.

Widoczne w ciemności. I gotowe uządlić.

- *Nie. Idź. Za. Mną* – ostrzega mnie szybko Farrow i wypada na zewnątrz, śledząc pośpieszne kroki Quinna. Zjadliwy głos Farrowa wypala mi jebane uszy.

Próbuje mnie chronić. To takie proste.

Wciąż zaciskam ręce w pięści, ale odwracam się, żeby odnaleźć Jane i Sulli, żeby zapewnić im bezpieczeństwo...

- CARPENTER! – Jane wydziera się wniebogłosy, a ten odgłos rozcina moje serce. Wszystko dzieje się tak szybko... wrywa się z uścisku Sulli i zbiega po schodach.

- Jane! – krzyczy Sulli, prawie się za nią rzucając, ale Akara chwyta ją w pasie. – KITS!

- Musisz tu zostać! – krzyczy Akara. – JANE!

- MOFFY! CARPENTER! – wrzeszczy Jane, a po jej policzkach spływają łzy niepokoju. Próbuję zamknąć drzwi, żeby zatrzymać koty wewnątrz, ale piszczy: - ON JUŻ WYBIEGŁ! WYBIEGŁ NA DWÓR!

Drugi kotek Walrus przebiega obok moich kostek i wyciągam rękę, żeby go złapać, ale czmycha w noc. Nie marnuję czasu. Gonię za cholernym zwierzakiem.

Wybiegam na dwór.

Te domowe koty są jej maluszkami i mieszkamy w mieście, gdzie ciągle jeżdżą samochody. Jeżeli któryś z nich zginie... będzie zdruzgotana. Tylko o tym myślę.

Tylko tyle wiem.

Biegnę, kurwa. Wskakuję na chodnik, kierując się do pobliskiego parkingu, gdzie widzę Walrusa wsuwającego się pod zaparkowane auto.

Wtem jestem otoczony paparazzi. Z każdej pierdolonej strony mam kamerę.

- CARPENTER! – woła spanikowanym głosem Jane. *Jest na zewnątrz?* Obracam głową we wszystkich kierunkach, mrużąc oczy w ostrym świetle fleszy. Nie widzę nawet, co jest przede mną.

- JANE! – krzyczę i odpycham fotografów, żeby utorować sobie drogę tam, gdzie wydaje mi się, że poszła Jane. Widzę, jak utyka i potyka się o własne bose stopy, ale goni za drugim trójkolorowym kotkiem. *Jest pijana.*

Jest kurewsko pijana.

Zapomniałem.

Ja jeden jestem tu trzeźwy.

- Mam go! Mam go, Maximoff! – woła do mnie jakiś kamerzysta i niespodziewanie podaje Walrusa. Nie mam czasu, żeby wyrazić pełną ulgę albo wdzięczność. Kiwam mu głową, następnie skupiam całą przeklętą uwagę na dotarciu do Jane.

- Przepuście go! – zaczynają do siebie wrzeszczeć paparazzi. – Przepuście go!

- JANE! – krzyczę, przepychając się pomiędzy nimi. Przepycham się przez głosy wykrzykujące moje imię. Przepycham się przez łapczywe ręce.

- CARPENTER! – wyje załamana. Ledwo widzę małego kota, który wskakuje na cholerną *drogę*, a Jane biegnie za nim.

Przedzieram się siłą przez jebanych paparazzi i przypadkiem dostaję w policzek ciężką kamerą. Nie zatrzymuję się.

Nie mogę.

Moje stopy uderzają o asfalt i ściskając w jednej ręce Walrusa, otaczam ramieniem talię Jane w tym samym czasie, co chwytą swojego maleńkiego trójkolorowego kota. Oświetlają nas reflektory samochodu, który pędzi naszą ulicą. Obracam ją szybko w kierunku chodnika i docieramy do krawężnika w ostatniej chwili, kiedy mija nas auto.

Jane trzęsie się i lekko utyka. *Musiła się przewrócić.*

Próbuję się zorientować, gdzie jesteśmy... chyba dwanaście albo piętnaście budynków dalej od naszego. Prowadzę najlepszą przyjaciółkę w stronę naszej kamienicy.

- Maximoffie! Dlaczego jesteś w samej bieliźnie o ósmej wieczorem?! – Tylko to pytanie przyciąga moją uwagę, przypominając mi, że jestem kurewsko półnagi w chłodny wieczór trzydziestego października.

Wspaniale.

Wokół nas błyska gorączkowa seria fleszy, ale koncentruję się wyłącznie na doprowadzeniu Jane do domu. Na doprowadzeniu *nas* do domu.

- Moffy – odzywa się stanowczym głosem Jane i wbija rozszerzone oczy w Carpentera i tylko niego. – On prawie... on... czy ty...?

- Nic mu nie jest. Wszystko dobrze. – Nie sędzę, że zdała sobie w ogóle sprawę, że Walrus również uciekł. Albo że trzymam go w ramionach. Jest całkiem pijana i stara się podtrzymać ciężkie powieki w górze. Spoglądam w dół. Przez materiał jej flanelowych spodni przesiąka krew na wysokości kolan.

Zaciskam szczękę.

- Chodź, Jane. – Próbuję przyspieszyć tempo. Tam gdzie jest tyle zamieszania mogą pojawić się jacyś hejterzy. Chociaż to wszystko zaczęło się od hejtera z petardami – może ma kolegów, którzy przyjdą na rundę drugą.

Może nie był sam.

Może zamierzają ukryć się w naszym domu.

Psiakrew.

Walrus wierci się w zgięciu mojego lewego ramienia i wbija pazury w nagą klatkę piersiową, żeby wspiać się na górę. Ściągam go z powrotem na dół, nie przejmując się zadrapaniami.

Paparazzi pchają mi się przed twarz, kiedy obejmuję Jane ramieniem. Muszę ją puścić, żeby ich odepchnąć.

- Cofnąć się! – krzyczę na serio.

Wielu z nich rzeczywiście się odsuwa, ale reszta ma nas w dupie.

Jane niemal znowu się przewraca, chwiejąc się w upojonym stanie.

- *Janie*. Trzymaj go. – Podaję jej Walrusa.

Rozchyła wargi, orientując się, że uciekły *dwa* koty.

- Merde. – Musimy mieć nadzieję, że przed Walrusem i Carpenterem nie wybiegł żaden inny zwierzak.

Jane ściska swoje kotki w zaciekle opiekuńczym uścisku.

Wsuwam szybko ramię pod jej nogi, drugim obejmuję plecy i podnoszę ją, przytulając do siebie najlepszą przyjaciółkę – paparazzi wpadają w szal.

- TUTAJ, MAXIMOFF, JANE!! SPÓJRZCIE TUTAJ!

Spieprzajcie.

W ten sposób mogę poruszać się trzy razy szybciej. Jane wtula twarz w moją pierś z powodu przeszywających świateł, ale flesze stają się coraz bardziej nieznośne.

A wtem... paparazzi zaczynają tworzyć ścieżkę, rozdzielając się wystarczająco, by pomieścić ciało. Ale nie dla nas. Dla *dwumetrowego* mężczyzny, który prze w naszym kierunku.

Mrużę oczy, bo mam rozmazany wzrok od jaskrawych fleszy, ale rozpoznaję przydługie, potargane włosy, zarost na szczęce oraz surowe brązowe oczy Thatchera Morettiego, Amerykanina pochodzenia włoskiego, przywódcy sił bezpieczeństwa Epsilon.

Swoim ogromnym wzrostem i silną sylwetką tworzy barierę pomiędzy nami, a mediami, dzięki czemu przejście staje się dziesięć razy łatwiejsze.

Thatcher włącza mikrofon przypięty do kołnierzyka czarnej koszuli.

- Mam ich. Oczyszćcie ulicę. – Zauważa Walrusa, który wierci się w matczynym uścisku Jane. Thatcher bierze kotka i wsuwa sobie opiekuńczo pod pachę, jakby to była futrzana piłka rugby.

Gdy nareszcie docieramy do ganka przed moją kamienicą mam przed oczami białe plamki. Mogę wyliczyć na palcach jednej ręki ilość razy, kiedy używałem drzwi wejściowych.

Trzy.

Trzy pierdolone razy.

Ponieważ wydarzyło się to szaleństwo.

Kiedy tylko zamykają się za mną drzwi, rejestruję ogromną ilość ludzi w moim mieszkaniu. Wszystkie znajome twarze z Alfą. Zaklejają nasze okno i zamiatają szkło. Przemawiają do swoich mikrofonów, przeczesując resztę kamienicy w poszukiwaniu intruzów.

Kładę Jane na sofie, która nadal stoi w przejściu do kuchni.

Nagle widzę Quinna, który przebiega obok w kierunku schodów. *Quinn?*

- Quinn, gdzie Farrow? – wołam. Nie zatrzymuje się, więc ruszam za nim do podnóża schodów. – Quinn!

Staje na chwilę, żeby obejrzeć się za siebie i widzę zakrwawiony nos.

Co.

Się.

Stało.

Quinn otwiera usta, ale Thatcher mówi do niego:

- Idź, Quinn.

Nie. Walić to.

- Gdzie jest Farrow?! – krzyczę i to żadne żarty.

Quinn porusza mięśniami szczęki, ale wbiega na górę. Potrząsam głową *wkurzony*. Odwracam się do Thatchera, ale stoi w pobliżu Jane, która powoli przeszukuje apteczkę, szukając czegoś na zakrwawione kolana.

- Wszyscy mają się skoncentrować na kotach! – wrzeszczy polecenia Thatcher. Wsadza trójkolorowe kotki do ich transportera w cętki. – Mamy Walrusa i Carpentera. Gdzie są Ofelia, Lady Makbet i Toodles?

Jane przenosi na niego zamroczony wzrok.

- Znasz ich imiona?

- Gdzie jest, kurwa, Farrow? – Patrzę wściekle na Thatchera.

Nic.

Żadnego uznania mojego pytania. W ogromnym systemie ochrony *nie muszę* znać miejsca pobytu swojego ochroniarza. Mam siedzieć i pozwolić, żeby zajęła się mną dodatkowa ochrona. Nie mam się nim przejmować.

Nawet, jeśli stanie mu się krzywda.

To jego robota.

Zauważam przy rozbitym oknie Price'a, przywódca Alfy rozmawia z młodszym członkiem ekipy. Na wymiętych śpiworach wibruje wściekle mój telefon. Na pewno cała moja rodzina panikuje.

Moja mama...

Muszę do niej zadzwonić.

Thatcher nie odpowiada nawet na pytanie Jane. To najsurowszy, najrozsądniejszy facet w siłach bezpieczeństwa. Przysięgam, że to mi się w nim podobało, ale teraz jestem jebanie zirytowany.

Thatcher ściska swój mikrofon.

- Jane, trzymasz w domu jakieś przybłędy? – Moja przyjaciółka próbuje otworzyć paczkę gazy i ruszam, żeby pomóc, ale on przecina mi drogę i zajmuje moje miejsce. Klęka przed sofą i rozrywa gazę.

Muszę coś zrobić, ale ochrona uwielbia utrudniać mi robienie *czegokolwiek* produktywnego.

Jestem teraz tak sfrustrowany, że mógłbym wrzeszczeć. Pocieram twarz.

Gdzie jest Farrow?

Gdzie jest Farrow?!

Gdzie jest mój... Wbijam skupione spojrzenie w zamknięte drzwi wejściowe.

- Żadnych przybłęd – odpowiada mu Jane, starając się mocno, żeby nie bełkotać. – Ale wczoraj jednego zaadoptowałam. Licorice. Ma cztery lata... ma długą szarą sierść. Błękitne oczy.

Thatcher przemawia do mikrofonu.

- Jest szósty kot... Licorice. Szary. – Przykłada gazę do jej kolan, a Jane rozrywa zębami plaster. – Lady Makbet, Toodles i Ofelia są pilnowane.

Jane przytakuje, ledwie się rozluźniając.

Drzwi się otwierają i zaczynam czuć ulgę, myśląc, że to Farrow. Ale to nie on.

To nie on, tylko ochroniarz Luny.

Pieprzyć to.

Podchodzę do przywódcy Alfy. Mój krok jest silny i zdeterminowany. Nigdy nie kuliłem się przed żadnym z tych mężczyzn. Ani przez jedną przeklętą sekundę i teraz mi *odpowiedzą*.

- Price. – Mój stanowczy głos odrywa jego uwagę od młodszego ochroniarza. – Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Farrow. *Teraz*.

- Powinieneś usiąść...

- *Nie*. Masz mi powiedzieć, kurwa, gdzie jest mój ochroniarz. Bez dyskusji.

Price włącza swój mikrofon. – Price do ochrony, niech ktoś mi powie, co się dzieje z Farrowem. – *Jasne*. Farrow nie wziął swojego radia przed wybiegnięciem na zewnątrz. Price nie może skontaktować się z nim osobiście.

Wpatruje się przed siebie.

- Price do ochrony – powtarza. – Niech *ktos* mi powie, co się dzieje z Farrowem.

Zaplatam ramiona na klatce piersiowej. To czekanie mnie dobija. Odwracam się nieznacznie i zauważam na schodach Akarę.

Marszczę brwi, spodziewając się zobaczyć za nim Sulli. Ostatnie, co zapamiętałem... był z nią. Byłem pewien, że z nią był.

- Akara! – wołam. – Gdzie Sulli?

Podchodzi do mnie napiętym krokiem.

- Wyszła. – Dotyka nieobecny gestem swojej słuchawki i znowu skupia na mnie uwagę. – W połowie filmu napisała do swojego taty, żeby po nią przyjechał. Czuła się o wiele gorzej niż okazywała.

- Ryke tu był?

Potakuje.

Nie jestem zdziwiony. Sulli posiada bardzo bliską przyjaźń ze swoimi rodzicami. Wszystko im mówi. Gdyby było jej niedobrze nie wahałaby się z telefonem do Ryke'a.

- Zamierzał zostać, żeby sprawdzić, co z tobą i Jane – wyjaśnia Akara – ale zrobił się chaos i musiał zabrać stąd Sulli zanim paparazzi zablokowali drogę.

- Dlaczego z nią nie jesteś?

Akara wygląda na zdenerwowanego, jego twarz jest cała spięta.

- Oficjalnie nie mogę być jej ochroniarzem, skoro piłem. Ktoś inny jest z Sul. – Dotyka słuchawki i robi krok w stronę kuchni. Przed odejściem poklepuje mnie po ramieniu w stylu: *cieszę się, że nic ci nie jest, trzymaj się.*

- Hej – mówię do niego. – Dzięki.

Kiwa głową. – To tylko kolejny gówniany dzień, co?

- *Koniec świata* – odpieram i czuję węzeł w gardle, bo przypomina mi się Farrow. Price po raz czwarty powtarza to samo zdanie.

Zaraz chyba sam wyjdę szukać Farrowa, co może tylko pogorszyć sytuację, ale jeśli nikt go nie znajdzie, ja to zrobię.

- Price do ochrony – powtarza, a wtedy drzwi stają otworem. – Oto jest. – Nie potrafię nawet się odprężyć. „*Czy on jest, kurwa, zraniony?*” obija się o moją głowę.

Farrow wchodzi sztywno do środka i zamyka za sobą drzwi. Gdy tylko mnie widzi, niemal chwieje się do tyłu i porusza nozdrzami.

- Wyszedłeś na *dwór*? – Wlepia wzrok w mój zaczerwieniony policzek i wargę... pocieram usta, które pieką. Najwyraźniej tamta kamera rozwalila mi wargę.

Skupiam się na jego *zakrwawionych* przedramionach, których skóra wygląda, jakby był ciągnięty po chodniku. Od nadgarstków po łokcie.

Wykrzywiam twarz w grymasie i serce podchodzi mi do gardła.

- Koty uciekły i Moffy po nie wyszedł – wyjaśnia krótko Price. – Potrzebujemy informacji.

Farrow przełyka ciężko ślinę, a jego twarz wykrzywia się im dłużej na mnie patrzy, niemal w zbołałej minie. Robi krok w moją stronę dokładnie w tym samym czasie, co ja wychodzę naprzód.

Zatrzymujemy się.

W całym pieprzonym życiu nigdy tak bardzo nie chciałem kogoś przytulić. Coś wzbiera się w moim ciele. Emocja, której nigdy nie doświadczyłem.

- *Farrow* – burczy Price.

Mrugam kilka razy, odrywając wzrok od mojego ochroniarza. Farrow przeczesuje sobie włosy i zwraca się do przywódcy Alfy.

- Obaj mężczyźni zostaną dzisiaj spisani na policji – mówi.

Sztywnieję. – Złapałeś ich? – Jestem *oszołomiony*. Hejterzy. Dręczyciele. Osoby, które rzucają czym popadnie. Osoby, które nas prześladują. Oni *rzadko* kiedy zostają złapani. Ci ludzie to zwykle bezimienni, anonimowi ludzie. Tak nieokreśleni, jak anonim w sieci. Prowadziłem swoje życie w spokoju, wiedząc, że sprawiedliwości nie stanie się zadość.

Nie przeszkadza mi to.

Rozumiem.

- Kilku paparazzi podstawiło nogi obu facetom – odpowiada Farrow bardziej mnie niż Price'owi. – Spowolnili ich. Udało mi się zablokować i przytrzymać jednego, a Quinn złapał drugiego, wtedy przyjechała policja. Zająłem się gliniarzami... Quinn tutaj wrócił, prawda? – pyta Price.

Ten przytakuje i rzuca mu radio.

- Nie ściszej głosu.

Farrow przypina radio do paska.

- Jane ma apteczkę – mówię do Farrowa i wskazuję na sofę. Wciąż przyglądam się jego krwawiącym ramionom. On nadal bada moją twarz, nawet kiedy wsadza słuchawkę do ucha.

- Należy już do was – zwraca się do nas Jane, podnosząc się chwiejnie na opatrzonych kolanach. Unosi podbródek, by spojrzeć w oczy Thatchera. – Znaleźliście Licorice'a?

On zawiesza dłoń nad jej biodrem na wypadek, gdyby upadła.

- Pracujemy nad tym. – Słyszę jego południowo-filadelfijski akcent. – Nic ci nie jest?

- Nie. – Jane trzepocze powiekami, jakby próbowała zwalczyć podchmielenie. Dopada ją czkawka i dodaje: - Dziękuję, panie Moretti. – On ma dwadzieścia siedem lat, jest w tym samym wieku, co Farrow. Nie jest w *średnim wieku*.

- Wystarczy *Thatcher* – odpowiada jej.

Czy ona się rumieni?

Jane zaciska wargi i chwieje się w miejscu.

- Powinnam zadzwonić do rodziców... - Odnajduje mnie wzrokiem. – Chcesz, żebym zadzwoniła do twojej mamy, Moffy?

- Proszę.

Czka, po czym pochyla się niepewnie po transporter kotów i próbuje wejść z godnością po schodach niczym Kopciuszek na balu.

Udaje jej się bezpiecznie i bez potknięcia dotrzeć na piętro. *Zaklaskałbym*, ale koncentruję się na Farrowie. Obaj opadamy na sofę.

Przekopuję się przez apteczkę, a on się przygląda. Nawet nie komentuje, że to on jest tutaj lekarzem.

Thatcher przeciąga do nas żelazne krzesło i siada *bezpośrednio* przed nami, ale zwraca uwagę tylko na Farrowa.

- Powinieneś był wziąć radio zanim opuściłeś dom.

Farrow odchyła się. – Nie przeproszę za to.

- Nigdy za nic nie przepraszasz. – Thatcher przeszywa go wzrokiem.

- Złapałem faceta...

- Pouciekały koty...

- To nie ma nic wspólnego z moim pierdolonym radiem – odparowuje wściekle Farrow. – Opuść, Thatcher. – Jednego razu zapytałem Farrowa, kogo najbardziej nie cierpi w ekipie bezpieczeństwa. Odpowiedział bez chwili zawahania. *Thatcher Moretti*. Teraz rozumiem dlaczego.

Jego surowy charakter jest przeciwieństwem Farrowa.

Otwieram chusteczki odkażające.

- Czy to była cegła? – pytam Thatchera, próbując rozładować napięcie. Wskazuję głową na okno. Ekipa przykleiła kawałek kartonu do dziury w szybie. Szkło zostało pozamiatane, zasłony zaciągnięte.

Próbuję sobie wyobrazić ten pocisk.

- Nie martw się tym – odpowiada. *Wymijająco*. Dzisiaj sobie przypomniałem, że Thatcher znajduje się w obozie „*Maximoff zadaje za dużo pytań. Maximoff bierze na siebie za dużo odpowiedzialności. Maximoff nie należy do ochrony. Przypominajcie mu o tym przy każdej okazji*”.

- Nie dowiem się tego jutro w sieci – mówię stanowczo. – Cegła, młotek, przeklęte UFO...

- Piłka do bejsbolu – odpowiada Farrow.

Thatcher patrzy na niego w surowy sposób mówiący *nie musiał tego wiedzieć*. Thatcher przywykł do chronienia Xandera, przed którym ukrywa się fakty dokładające do jego łąków. Ale nie jestem moim bratem.

I jestem *osiem* lat starszy.

- Zapytałem – przypominam Thatcherowi.

Kiwa powoli głową. – Masz rację.

Farrow unosi brwi, po czym pokazuje na chusteczki odkażające.

- Daj mi.

Podaję mu je i ściera sobie z ramion krew oraz brud bez wzdrygnięcia. Musi mieć wysoką tolerancję bólu. Dowód: każdy cholerny tatuaż.

Thatcher wychyla się do przodu, składając dłonie. Przygląda mi się.

- Ekipa ma parę pytań, które musimy ci zadać.

- W porządku. – Usztywniam ramiona i otwieram Farrowowi paczkę gazy. Wygląda na niedoinformowanego, co do tego wcześniej zaplanowanego przesłuchania. Pewnie dlatego, że nie był podłączony do swojego radia.

- Kto cię ugryzł? – pyta Thatcher.

Zamieniam się w posąg.

- Co?

Farrow kładzie rękę na mojej łopatce i przygląda się moim plecom.

- Od kogo masz dwa ślady po ugryzieniu? – pyta jaśniej Thatcher.

Patrzę na niego wilkiem.

- To *nie* jest wasza jebana sprawa. – Nigdy nie dzieliłem się moją seksualną historią z całą ekipą. Nie, kiedy moim ochroniarzem był Declan. I na pewno nie teraz.

- Już można o tym przeczytać w internecie. – Thatcher podaje mi swój telefon, który wyświetla stronę *Celebrity Crush*.

Na pierwszej fotografii jestem pokazany w samych ciemnozielonych bokserkach na mojej ulicy. Na drugiej widać zbliżenie na dwa czerwone ugryzienia. Jedno w pobliżu szyi, drugie na biodrze nad paskiem bielizny.

Nagłówek głosi: *Maximoff Hale przyłapano z seksownymi śladami po ugryzieniu! Czy kręci go perwersja?!*

Nim zdążę to przetrwać zauważam drugi nagłówek, kolejną fotografię z tego wieczoru. A pod nią zdjęcie sprzed dwudziestu lat. Czytam wszystko bez mrugnięcia okiem: *Maximoff Hale nosi zieloną bieliznę jak Ryke Meadows!*

Świetnie.

Cholera, a *tak* uważałem z noszeniem zieleni. Nie zamierzałem dzisiaj wybiegać na dwór w samej bieliźnie. Ani *żadnym innym razem*.

Oddaję komórkę Thatcherowi, nie tracąc rezonu.

- Niezależnie od artykułu nie musicie wiedzieć, kto mnie ugryzł ani z kim sypiam... *nic* z tego nie jest waszym interesem.

Thatcher obraca się do Farrowa.

- Gdzie są umowy o poufności każdej osoby, z którą miał intymne stosunki odkąd zostałeś jego ochroniarzem? – *Jebany Chryste*. – Bo nie zameldowałeś o żadnej.

- Nie ma żadnych umów. – Farrow nie traci rytmu, przejmując kontrolę nad sytuacją. – Przez cały czas jest z tą samą dziewczyną i chciał utrzymać to w tajemnicy.

- *Celem* tych umów jest dalsze zabezpieczenie jego prywatności.

- W tajemnicy przed ochroną – wyjaśnia Farrow, może wymyśla to wszystko na poczekaniu. – To dziewczyna, która nie spodobałaby się jego rodzicom.

Thatcher przenosi wzrok na mnie.

Kiwam raz głową nadal wkurzony. Chcę, żeby cała ekipa bezpieczeństwa opuściła moją sypialnię. W tej chwili. Nawet wymyśloną sypialnię z wymyśloną dziewczyną, którą niby pieprzę i która niby mnie gryzie.

- Maximoffie – mówi Thatcher – jeżeli złoży przeciwko tobie pozew, czeka cię koszmar. Kimkolwiek jest ta dziewczyna o wiele lepiej będzie, jak podpisze umowę o poufności. Masz wyrozumiałych rodziców.

- Nie pozwie mnie. Ufam jej i to tyle, co mam do powiedzenia. – Mam dosyć. – Ta rozmowa dobiegła końca. Jeżeli masz do mnie inne pytanie, proszę bardzo. Jeśli dotyczy seksu, nawet się nie odzywaj.

- To wszystko. – Thatcher wstaje i patrzy z góry na Farrowa. – Cokolwiek mu się stanie to będzie twoja wina.

- Zrozumiano – odpowiada Farrow, nie przerywając ich spojrzenia.

To nie będzie wina Farrowa. Jestem odpowiedzialny za własne czyny. Za własne życie. Jeśli wpadnę do ruchomych piasków będę obwiniać wyłącznie siebie.

FARROW KEENE

Dokańczam bandażowanie ramion, a Maximoff idzie na górę, żeby zajrzeć do Jane i wykonać parę rodzinnych telefonów. Nie możemy porozmawiać w obecności wszystkich ochroniarzy. Przez godzinę powtarzam dzisiejsze wydarzenia Trój-Sile w odrętwiałych szczegółach.

Potem puszczają mnie wolno.

Znajdź Maximoffa. Tylko to chciałem zrobić. Znajdź Maximoffa. Znajdź go.

Bądź z nim.

Kieruję się do schodów, mijając trzech ochroniarzy Alfę, którzy poklepują mnie po ramionach.

- Dobra robota – mówią. – Zręczne ręce.

Gratulują mi, ponieważ facet, którego przyspiliłem do asfaltu miał przy sobie pistolet. Musiałem go rozbroić, a większość SBA sądzi, że tych dwóch z łatwością mogłoby wrócić do domu Maximoffa i Jane, gdyby nie zostali złapani.

Pokonuję wąskie schody, czując zawroty głowy, ale nie od alkoholu. Nic nie mogło otrzeźwić mnie szybciej niż dzisiejszy nieszczęśliwy wypadek.

Docieram na piętro i zauważam uchylone drzwi łazienki. Maximoff trzyma rękę na umywalce, przyciskając komórkę do ucha.

- Ja też cię kocham... wiem, mamo.

Opieram się o framugę, kiedy kończy rozmowę i jego ciemnozielone tęczaówki topnieją pod wpływem mojego spojrzenia. Ma rozciętą dolną wargę. Na kości policzkowej zaczyna formować się siniak, a pod okiem widnieje purpurowy odcień. Prawie tak, jakby dostał cios w twarz.

Mój żołądek skręca się w mocnych węzłach i gula staje w gardle. Na jedną chwilę oddzieliłem od siebie część bycia ochroniarzem, która dzisiaj uderzyła we mnie z impetem. Naprawdę zakochuję się w osobie, której życie jest codziennie zagrożone. Aż do przesady. Bardziej niż życie aktora. Bardziej niż życie większości celebrytów.

On jest członkiem amerykańskiej rodziny *królewskiej*. Sławny od chwili narodzin.

To rodzaj złej sławy, która podburza nienawiść oraz niedowierzenie. Gdzie ludzie wrzeszczą: *dla czego oni są sławni?!* Gdzie ludzie orzekają: *nie zasługują!*

Gdzie dowcipy pozostawiają blizny, groźby graniczą z przestępstwami, a ceną może być życie.

Zależy mi na nim. Cholera, przejmuję się czy jest ranny, czy mnie potrzebuje. Czas na nieprzychylną opinię: żałuję, że nie dał zdechnąć tym kotom.

Z drugiej strony nie żałuję. Ponieważ nie byłby Maximoffem Halem, gdyby nie pognał za tymi małymi draniami. Nie byłby Maximoffem Halem, gdyby nie troszczył się o Jane i całą swą rodzinę.

Nie byłby facetem, od którego nie potrafię oderwać wzroku. O którym nie mogę przestać myśleć. Byłby kimś zupełnie innym. Kimś, kogo nigdy bym nie pomyślał pocałować.

- Obiecuję – mówi do komórki. – Dobranoc. – Rozłącza się i wchodzi do łazienki, zamykając za sobą drzwi na zasuwę.

Nie odrywamy od siebie oczu i natychmiast otaczamy się ramionami. Przytulam go do piersi tak mocno, jak on mnie. Obejmuję jego potylicę, jego dłoń ogrzewa moją szyję, a tętno obija się o moje ciało.

Bierze głęboki wdech, unosząc klatkę piersiową. Czuję pieczenie w oczach, ale staram się oddychać równo.

Muszą minąć dwie minuty zanim odsuwamy się od siebie. Tylko trochę. Trzymam jego zaostzoną szczękę. Całujemy się łagodnie i odsuwamy jeszcze dalej, przyglądając się sobie nawzajem.

Jego oczy są zaczerwienione.

Zastanawiam się, jak to jest być w jego głowie. Zgaduję, że paranoicznie. Myśli pędzące kilometr na minutę. Niezwalniające.

Z żadnego powodu.

- Wszystko dobrze? – pytam w końcu.

Kiwa raz głową. – A z tobą? Bo myślałem, że stało ci się coś poważnie, kurwa, straszno. Nikt nie mógł się z tobą skontaktować, zobaczyłem Quinna i... - Przętyka z trudem ślinę.

- Nic mi nie jest. – Ściągam brwi. – Wiesz, że to co dzisiaj zrobiłem było częścią mojej pracy?

Oblizuje powoli usta. – Więc nie chcesz, żebym się o ciebie troszczył...

- Nie. – Zniżam głos. – Musisz po prostu wiedzieć, że będę ponosił rany, a ty nie możesz przybiec mi na ratunek, wilczku. Musisz na to pozwolić.

Maximoff wbija wściekłe spojrzenie w sufit, potem lustro. Nareszcie to do niego dociera. Fakt, że mnie wolno go chronić, ale on nie może ochronić mnie. Nie w dokładnie taki sam sposób.

- Nie wszyscy możemy być bohaterami – mówię rzeczowo.

Opuszcza wzrok na mnie, ale jego usta powoli się wyginają, wciąż ściskamy się mocno w ramionach.

- Jeżeli nie jestem bohaterem, to kim? – Maximoff czeka aż nazwę go czarnym charakterem. W jego komiksach taka jest właśnie różnica. Bohaterowie przeciwko łotrom.

Bardzo mu do niego daleko.

Przyciskam usta do jego szczęki i szyi, po czym szepczę mu do ucha:

- Jesteś księciem, który pragnie być rycerzem.

FARROW KEENE

Maximoff mknie przez wodę niczym ptak przecinający powietrze, z wdziękiem i niewielkim wysiłkiem. Stworzony do latania.

W ciągu paru sekund przepływa cały kryty basen.

Siedzę na krawędzi trampoliny, opierając na niej jedną stopę, a drugą zwieszając do dołu. Po mojej piersi spływa woda, mam mokre czarne kąpielówki, a chociaż jesteśmy sami nadal byłbym skoncentrowany na Maximoffie, gdyby basen był wypakowany po brzegi.

Mam doskonały widok, kiedy przechodzi do stylu motylkowego i wraca na moją stronę basenu, jego wdzięk zamienia się w *siłę*. Mocne ramiona wyciągają się i zanurzają w wodę, wysuwając jego pierś i głowę ponad powierzchnię.

Cholera. Czuję poruszenie w kąpielówkach.

Maximoff jest znany z doskonałej techniki stylu motylkowego. Zaczął pływać w naprawdę młodym wieku, najpierw brał udział w zawodach dla juniorów, potem dla starszaków w regionalnych i krajowych konkurencjach. Ochrona często plotkuje o tym, że kwalifikowałby się na olimpiadę, ale on nawet nie starał się dostać.

Postanowił zająć się karierą, pracą dobroczynną. Za każdym razem, kiedy pływa przypominam sobie, jak wielkie ma serce.

Maximoff dociera na mój koniec i zamiast rzucić się do następnego okrążenia, podciąga się na trampolinie na *jednym* ramieniu. Ściąga gogle i czepek, a brązowe włosy sterczą mu we wszystkich kierunkach.

To urocze, jak cholera.

- Gotów na piątą rundę? – pyta, jego klatka piersiowa porusza się ciężko, jakby przebiegł maraton. Ścigaliśmy się już *cztery* razy. Tak, przegrałem wszystkie. Nie, mojego ego nie da się tak łatwo zranić.

Rozciągam kąciki ust. – Może najpierw złapiesz oddech?

- Boisz się przegrać. – Uśmiecha się, jakby mnie pokonał.

- Nie – mówię. – Boję się, że mam na ciebie zły wpływ. Nie wyglądasz dobrze z *pychą*. – Po czym dodaje: - I nadal jestem wyższy. W tej chwili i *każdego dnia*.

- O *jeden* przeklęty cal. – Próbuje podciągnąć się wyżej... żeby dowieść swojej racji, ale popycham jego pierś. Wystarczająco mocno, żeby wpadł z powrotem do wody.

Nie mogę przestać się śmiać, kiedy wypływa z dwoma środkowymi palcami. Po chwili chwyta moją zwisającą kostkę i wciąga mnie do basenu. *Cholera*.

Zanurzam się do wody, która świeci na niebiesko w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Wypływam na powierzchnię z rosnącym uśmiechem. Maximoff pływa w miejscu zwrócony do mnie twarzą. Jego mokre włosy są ciemniejsze, niemal bliższe naturalnego koloru.

Jeszcze się nie dotykamy.

Wbijam wzrok w kamery bezpieczeństwa. Jesteśmy w biurowcu Hale Co., który jest zamknięty na noc. Jest synem prezesa, dlatego ma swój dodatek korzyści. Na przykład ma dostęp do krytego basenu po godzinach. Pomaga fakt, że w tym budynku znajduje się główne biuro Filantropii H.M.C.

Maximoff rzadko używa swoich wpływów dla siebie, ale ilekroć widzę wyraz jego twarzy, kiedy nurkuje w wodę wszystko nabiera idealnego sensu, dlatego postanawia otworzyć basen.

Podpływam do zakrzywienia basenu o głębokości trzech metrów – to jedyny martwy punkt. Byłem w pomieszczeniu ochrony Hale Co. i obejrzałem nagrania z kamer, dlatego jestem o tym stuprocentowo przekonany.

Maximoff podąża za mną.

Gdy tylko docieramy do kąta, eksplodujemy – jego wargi miażdżą moje usta, szorstkie i silne jak gdyby oszczędzał siły na ten duszący moment. Po naszych szczękach i skroniach spływają kropelki wody. Jesteśmy mokrzy, ale rozgrzani... *przekłęcie rozgrzani*.

Jego twarde jak skała ciało wrzeszczy *bliżej i więcej*. Porusza przy mnie biodrami... *szlag*.

Szlag. Ten facet mógłby mnie pieprzyć cały dzień. Chwytam za kafelkowy brzeg basenu i wykorzystuję swoją sylwetkę, żeby przyszpilić do niego Maximoffa. Odchyła głowę do tyłu, powstrzymując się od wywrócenia oczami. Nabiera ostro powietrza.

- Kurwa.

- Podobało ci się? – szepczę szorstko do jego ucha. Odpowiada twardym pocałunkiem, rozchylając językiem moje wargi. Masuję jego penisa pod czerwonymi spodenkami, czując jak rośnie pod moim dotykiem.

Ja pierdolę, krew pulsuje w moim członku. Zaciska dłonie na moim pasie pod wodą rozświetloną łagodnym niebieskim blaskiem – i obraca nas, przyciskając moje barki do krawędzi.

Przylega do mnie całą sylwetką i sunę dłońmi po jego wyrzeźbionych mięśniach brzucha.

Maximoff zwalnia, jego oddech staje się głębszy i patrzę, jak śledzi palcami jeden z moich tatuaży na obojczyku, gdzie szkarłatny wróbel przelatuje przez maszt szarego statku.

Patrzy na mnie, jakbym był niesamowicie ważnym celebrytą. Jakbym to ja był tym najbardziej cenionym.

Obrzucam wzrokiem wyblakłego siniaka na jego kości policzkowej.

Nienawidzę patrzeć, jak cierpisz. I nie ja jeden. Po tym incydencie z petardami w zeszłym tygodniu, wszyscy jego młodsi kuzynowie oraz dwójka rodzeństwa podeszli do mnie na rodzinnym obiedzie. W tajemnicy przed Maximoffem.

W sumie powiedzieli tak:

- Obiecuj nam, że nie pozwolisz, żeby Moffy’emu znowu stała się krzywda.
- Albo umarł – dodał jego brat.
- Nie umrze – powiedziałem z przekonaniem. *Dalej jestem o tym przekonany.*
- No to żeby nikt go nie zranił – oznajmili jednocześnie.
- *Obiecuj nam* – podkreśliła Audrey Cobalt, najmłodsza z siedmiorga Cobaltów i trzymała w ręce nóż do całej przysięgi krwi, której *odmówiłem*.
- Obiecuję – rzekłem osiemnaście razy, dopóki mi nie uwierzyli.

Nigdy nie nosiłem żadnej obietnicy, jak ciężaru, ale tu i teraz... *przypominając* sobie czystą, bezwarunkową miłość tych dzieciaków do Maximoffa, czuję pierdoloną potrzebę, żeby przynajmniej go ostrzec.

Przesuwam dłonią po jego gładkiej szczęce.

- Musisz być ostrożniejszy.
- Jestem tak samo ostrożny, jak zawsze. – Jego oczy przemykają przez moje usta i policzki. Maximoff trzyma jedno ramię za basenem, wykorzystując swój ciężar, żeby mnie usidlić, podtrzymując nasze barki ponad powierzchnią wody. – A więc mówi to mój ochroniarz czy mój...? – Urywa.

- Wow. – Unoszę brwi z uśmiechem tańczącym na ustach. – Nie potrafi nawet powiedzieć, czym jesteśmy.

- A jesteśmy...? – Jego klatka piersiowa wznosi się w głębszym wdechu. Albo nie chce być pierwszym, który wypowie to słowo, albo nie jest pewien czy to „normalna” pora na używanie etykietek.

Przekrzywiam głowę. – Twoje dziewictwo wychodzi na jaw.

- Jestem pewien, że straciłem dziewictwo dawno temu.

- *Związkowe* dziewictwo.

Wsuwa rękę do moich kąpielówek, gładząc nagie pośladki. Zaciskam zęby, moje serce dudni. Przyciągam go bliżej do piersi, mimo że to on przyszpila mnie do kąta.

- Jak dawno temu? – pytam. Nie jest to wszechobecna wiedza, a on jeszcze mi nie powiedział.

Maximoff wpatruje się w moje usta.

Ochlapuję go wodą.

Puszczą brzeg basenu, żeby otrzeć twarz. – Dziękuję.

- Przestań sobie wyobrażać swojego penisa w moich ustach.

Udaje konsternację.

- Skąd wiedziałeś?

- Zgadywałem.

Zniża głos do niskiego szeptu. – Kiedy przeżyłeś pierwsze doświadczenie seksualne z drugą osobą? – Potrzebuje, żebym odpowiedział pierwszy. Nie mam nic przeciwko.

- Jak miałem trzynaście lat. Byłem młody i pomyliłem „*masz świetny tyłek*” z miłością. – Niektórych ludzi kręci przypadkowy seks albo seks bez zobowiązań, ale to nie należy do moich ulubionych. Wolę poznać drugą osobę przed, podczas albo chwilę potem... i nie znoszę otwartych związków.

Kiedy pieprzysz mnie, to tylko i wyłącznie mnie.

Uśmiecha się lekko, ale zaraz opuszcza kąciki ust w głębokim rozmyśleniu nad moimi słowami: *Byłem młody i pomyliłem „masz świetny tyłek” z miłością*. Następnie pyta.

- Skąd wiesz, że nie dzieje się teraz to samo?

Unoszę brwi. – To przypuszczenie, że jestem w tobie za... - przerywam sam sobie, odczytując jego sztywny język ciała. Zaczyna się przede mną zamykać. *Nie. Nie.* – Hej,

tylko się z tobą drażnię, Maximoff. Jestem dupkiem. – Ściskam jego beznamiętną twarz. Skręca mnie w żołądku. Strasznie mu trudno okazać bezbronność. *Wiem o tym.*

Nie powinienem był tak żartować.

- Nic się nie stało – odpowiada pustym głosem. – Rozumiem.

- Nie rozumiesz. – Po czym oznajmiam mu otwarcie, pewnie, bez jebanej wątpliwości: - Jesteś moim chłopakiem. Od samego początku to było coś więcej niż seks. – Tak, chcieliśmy się przelecieć, ale żeby Maximoff podjął takie ryzyko musiało chodzić o coś więcej niż to, co mógł dostać w nocnym klubie.

Jego ramiona próbują się rozluźnić i zaczyna się uśmiechać, a z naszych mokrych włosów spływa woda.

- Chłopacy. Jesteś przekonany, że tym jesteśmy?

- Na sto procent – odpowiadam, a po chwili wahania: - A ty?

Kiwa stanowczo głową. – Tak.

Wtedy go po prostu całuję, kurwa. Pogłębia nasz uścisk, przenosząc rękę z mojego tyłka na głowę.

Gdy odrywamy się od siebie, mówi w końcu:

- Siedemnaście lat. Wtedy pierwszy raz uprawiałem seks.

To ma sens. Zamierzam odpowiedzieć, ale przy trampolinie zaczyna dzwonić jego telefon. Maximoff natychmiast podpływa na drugą stronę basenu, a ja wychodzę z basenu.

Kiedy do niego dochodzę, ten siedzi już na krawędzi, trzymając komórkę w ręku.

- To Luna. – Niepokój utwardza rysy jego twarzy.

Jest pierwsza w nocy w dniu szkolnym, za późno, żeby do niego dzwoniła. Odbiera, włączając tryb głośnomówiący.

- Hej, co się dzieje?

Luna pociąga głośno nosem, a jak tylko Maximoff dostaje niewielki sygnał płaczącej siostry, podnosi się z miną wyrażającą „musimy iść”.

Chwytam nasze ręczniki, suche ubrania, mój pistolet w kaburze, radio... wszystko gotowe. Jesteśmy przemoczeni i pod nami rośnie kałuża wody, ale nie będzie marnował czasu na przebranie.

Gdy Luna zabiera głos, już znajdujemy się w windzie zjeżdżającej do parkingu.

- Właśnie dostałam wyniki ostatniego sprawdzianu przed końcowymi egzaminami.
- Jej głos się łamie. - Moffy, zawałam trzy przedmioty. - Zaczyna płakać. - Eliot i Tom wykonali obliczenia i... musiałabym zdobyć sto dziewięćdziesiąt trzy punkty na egzaminach, żeby w ogóle zdać.

Cholera. Przypinam radio do mokrych kąpielówek i wkładam słuchawkę do ucha.

Maximoff ściska mocno komórkę i wciska bez ustanku guzik windy.

- Do diabła, co się stało, Luna? Myślałam, że radzisz sobie lepiej.

- Cześć, Luno - odzywam się i łapię jego rękę, żeby przestał krzywdzić jebany przycisk i nie od razu ją puszczać.

- Farrow, słyszałeś...

- Tak. Trzymaj się.

- Próbuję. - Drży jej głos. - Ale to moja wina. Przegapiłam za dużo klasówek. Opuszczałam przedmioty, na których musiałabym spotykać Jeffrę.

- Co ona zrobiła? - niemal warczy Maximoff.

- W sierpniu puściła plotkę, że jestem takim *dziwakiem*, że jem gównem dla zabawy. Nie przejęłam się. Mogłaby nazwać mnie, jak tylko zechce i miałabym to gdzieś. - Luna milknie na krótką chwilę. - Ale ktoś wsadził mi do szafki papierową torebkę z prawdziwym gównem i nie potrafiłam nawet na nią spojrzeć, bo robiło mi się niedobrze.

Poruszam mięśniami szczęki.

Oczy Maximoffa błyszczą żądzą mordy. Jeśli się odezwie, może powiedzieć coś w stylu „*zamorduję kogoś*”.

Ściskam jego rękę. - To nie jej wina - mówię.

- Pozwoliłam, żeby wpędziła mnie w gorsze samopoczucie - mówi Luna. - To moja wina.

- *Nie* - warczy Maximoff. - *Nie*.

- Gdzie był twój ochroniarz? - pytam. Epsilon nie podzielił się tymi informacjami z resztą ekipy, bo inaczej bym o tym wiedział.

- Nie widział tego. Udałam, że to mój lunch, a potem wyrzuciłam. Nie chciałam, żeby niepokoił mamę i tatę. - Jej głos słabnie. - Teraz żałuję, bo wtedy może miałabym odwagę, żeby stawić jej czoła w klasie. I wiem, że mogę powtórzyć rok albo uczyć się w domu, jak Xander, ale pragnęłam dla nich uroczystego zakończenia szkoły. Widziałam, jak patrzyli na ciebie, Moffy, kiedy skończyłeś liceum i chciałam podarować to rodzicom. Chciałam, żeby byli ze mnie dumni. I wszystko spieprzyłam.

Maximoff piorunuje wzrokiem telefon.

- Luno, posłuchaj mnie. *Kocham cię*. Zaraz przyjadę. Wtedy rozgryziemy, jak powiedzieć o tym mamie i tacie.

W windzie rozbrzmiewa dzwonek oznajmiający, że dotarliśmy do parkingu.

MAXIMOFF HALE

Wracamy do mojej kamienicy prawie o czwartej nad ranem – Farrow i ja zostaliśmy z moją siostrą przez niecałe trzy godziny. Mógł poczekać w domu ochrony jedną przecnicę dalej, ale on ma najbliższą relację z Luną i cieszyłem się, że pragnęła jego obecności.

Luna poczuła się na tyle komfortowo, żeby wyznać prawdę naszym rodzicom. Polały się łzy i uściski. Ostatecznie postanowili porozmawiać z dyrektorem. Być może nie będzie musiała powtarzać całego roku, jeżeli dowiedzą się o gównie w torebce.

Myślałem, że ja jestem wkurzony, ale mój tata prawie obudził rodziców Jeffry o trzeciej nad ranem – nie telefonem. Ta rodzina mieszka na naszym osiedlu.

Mama rzuciła mu się na plecy, żeby go zatrzymać, a on zamienił się w pełną czułości papkę w jej obecności.

Zamykam drzwi sypialni i spoglądam na zegarek.

4:23.

- Przepraszam – mówię do Farrowa. Wyłączam ostry blask głównej lampy i żarówki zawieszane na krokwi rzucają cienie oraz łagodne pomarańczowe światło na pokój.

Farrow rozwiązuje sobie buty.

- To już piąty raz, jak dzisiaj niepotrzebnie przeprosiłeś.

Ściągam przez głowę półgolf i wrzucam do wiklinowego kosza.

- Za każdym przeklętym razem, kiedy jesteśmy sami albo rozmawiamy... właściwie, kiedy *cokolwiek* robimy nagle coś mi wyskakuje. Twoje kieszenie przepełniają przekładane terminy. – Patrzę, jak podchodzi do mojego jedyne okna, które zasłaniają szare zasłony. – Nie nadaję się do tego, Farrow. Powinieneś zastanowić się nad tym wszystkim jeszcze raz.

Jest tak cholernie spokojny, kiedy przysiada na parapecie.

- Nad tym wszystkim?

- Tak, nad *tym*. – Pokazuję od niego na siebie. – Mogę się pieprzyć. Chryste, jestem dobry w seksie...

- Kto ci powiedział? – Wykrzywia kąć ust.

Nie tracę rytmu. - ...ale bycie czymś chłopakiem znajduje się daleko poza moim terytorium. W całkiem innej galaktyce. W moim życiu nie ma miejsca na romantyczne relacje, a przynajmniej nie takie, na które zasługujesz.

- Naprawdę tak uważasz? – Marszczy ponuro brwi.

- Tak. – Kiwam głową. – Miałeś *czterech* chłopaków, Farrow i wiem, że najprawdopodobniej jestem twoim *najgorszym*. Chociaż pod względem seksu jestem przekonany, że znajduję się na pierwszym miejscu.

- Pewnie – dodaje, przyglądając mi się bez wyrazu. Może przetrawia wszystko, co na niego zrzuciłem. Potrząsa głową. – Od jak dawna się tym zadręczasz?

- Co?

- Daj spokój – mówi wciąż spokojnym głosem. Wciąż wyluzowany. Splata ramiona w bardziej leniwy niż poważny sposób. – Ty to *ty*. Masz obsesję na punkcie szczegółów, na każdej zmiennej, która wpadnie ci do głowy. Pewnie borykałeś się z tym od tygodni, jeśli nie miesięcy.

Dobrze mnie zna.

Zna mnie milion ludzi, ale nie w taki sposób. Czepiam się tego faktu, jak sznura na ścianie, która blokuje mi wszelki widok. Dzięki niemu dostrzegam drugą stronę. To on uczynił moje życie *swobodniejszym*.

Sprawił, iż uwierzyłem, że mogę mieć prawdziwy związek.

Sprawił, iż uwierzyłem, że mogę doświadczyć czegoś więcej niż chwilowej, tymczasowej relacji.

I doświadczyłem.

Chryste, ale jak to wygląda dla niego? Oddaję mu się w *połowie*. To połówka związku. Pozory czegoś realnego.

- Myślałem o tym – przyznaję. – Wiesz już, jaki jest ze mną związek. *Nieustanne* przerwy, których nie mogę zignorować. Brak prywatności, który nie ulegnie zmianie. Niekończące się telefony. *Zero* publicznego okazywania uczuć. Jeżeli chcesz teraz wszystko zakończyć, to zrozumiem. Tylko... niech to będzie czyste cięcie. Wrócisz do bycia tylko moim ochroniarzem, a ja do bycia tylko twoim klientem. – Moja klatka piersiowa płonie żywym ogniem.

- Chcesz tego? – pyta, a jego słowa przypominają wymach ostrza.

- Nie. – Pieką mnie oczy. – *Nie*. Chcę ciebie. – *Bardziej niż kogokolwiek innego*.

Farrow nie odrywa ode mnie spojrzenia. – I przypuszczasz, że przeszkadzają mi brak prywatności, „zero” publicznego okazywania uczuć i wszystkie przerwy. – Kręci

głową. – Nie przeszkadzają. Czy chciałbym dotykać cię w samochodzie, na ulicy czy nawet w windzie? Oczywiście, ale dostaję *więcej* będąc z tobą niż dałoby mi jakiegokolwiek publiczne okazywanie uczuć.

- Nie rozumiem.

- Maximoffie – mówi – ten związek działa *dlatego*, że jestem twoim ochroniarzem. Jestem przy tobie niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeden tydzień z tobą jest tym samym, co trzy miesiące z każdą inną osobą. Wiesz więcej o mnie i tym, jak to jest ze mną być niż niektórzy z moich długoterminowych byłych. – Śmieje się na tą myśl. – Fakt, że razem śpimy, ciągle ze sobą przebywamy i *nie* zabijamy się nawzajem to istny cud. I to coś mówi.

Jego słowa gaszą toksyczny żar w mojej piersi.

- Co takiego?

- Tworzymy dobry związek. *Naprawdę* dobry. – Farrow uśmiecha się. – I nie jesteś złym chłopakiem ani najgorszym. Ani nawet przed-najgorszym. Jesteś najtroskliwszym chłopakiem i media miały rację mówiąc, że ktokolwiek nawiąże z tobą związek będzie cholernie najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Czuję, że mam *szczęście*, że z tobą chodzę.

Biorę wdech, ale zatrzymuję go w piersi.

- Ale nie potrafię dać ci więcej. Wiem, iż może nastać chwila, kiedy kryzys w mojej rodzinie zderzy się z jakąś sytuacją w twoim życiu... i nie spodoba ci się, kogo wybiorę.

- Wybierzesz rodzinę, ponieważ takim właśnie jesteś człowiekiem – mówi stanowczo Farrow. – I będę cię za to kochać.

Kładę ręce na karku. On nie bierze pod uwagę wszystkich zmiennych. A może układam wokół domu worki z piaskiem zanim ten wybuchnie?

- To nie jest związek – protestuję. – *Powinienem* wybrać mojego chłopaka.

- Jeżeli nadal będziesz porównywał swoją moralność ze skalami, to przegrasz. – Farrow nie zmienia spokojnej postawy. – Odstaw hipotetyczności na bok. Opuść sobie.

Nie wiem jak to zrobić. Chcę podarować mu tyle, ile on mnie.

Farrow oblizuje dolną wargę.

- Możemy coś uzgodnić? – pyta. – Jesteśmy razem. Robimy to i żaden z nas nie chce tego kończyć.

- Tak.

Odpycha się od okna i przechodzi szybko przez pokój, dopóki nie staje przede mną i kładzie dłonie na pasku moich dżinsów. Chwytam jego muskularne ramiona, które są ciepłe pod moim dotykiem.

- Pewnego dnia – mówi głosem przypominający żwir obwinięty jedwabiem. Przywiera ustami do nasady mojej szyi, ssąc i gryząc sobie drogę do ucha. Rozluźniam mięśnie i przysuwam się jeszcze bliżej. Jego gorący oddech wywołuje pulsowanie w moim członku. – Znajdę się w tobie.

Pewnego dnia. Nadal lubię fantazjować o tej myśli. To bezbronne miejsce, które ostatecznie pragnę z nim osiągnąć.

Tylko nie dzisiaj.

Budzę się do najgorszego odgłosu budzika o 5:40 – *zbyt cholernie wcześnie*. Farrow trzyma głowę na moim ramieniu i nasze nogi są splecione. Wyciągam rękę i włączam *drzemkę* w jego telefonie.

Nie byłby to pierwszy raz, kiedy został dłużej w moim łóżku. Oboje jesteśmy pobłażliwi, co do tego środka ostrożności. Później wróci do swojego mieszkania i miejmy nadzieję, że Quinn nie zauważy niczego dziwnego.

Farrow ziewa do pięści i podpira się na łokciach. Białe włosy w nieładzie, wargi poczerwieniałe od szorstkich pocałunków sprzed godziny i zaczątki wszechwiedzącego uśmiechu.

Nie da się zaprzeczyć.

Farrow Keene to czysty *seks* o poranku. Mam do niego więcej niż małą erekcję. Na przykład w tej chwili okropnie go pragnę.

Przygląda mi się, jakbym był stałym elementem tych pobudek o 5:40. Jakby niezależnie od ogromu zmęczenia, to mnie pierwszego chce ujrzeć na początku dnia.

Ja pierdolę. Mój penis pulsuje boleśnie pod pomarańczową kołdrą.

Farrow bez słowa wyciąga się do szafki nocnej po prezerwatywę i nawilżacz. Podaje mi buteleczkę, ale zatrzymuje kondoma.

Zrywa opakowanie, a ja skopuję z nas pościel i obserwuję ruchy jego palców, kiedy odkrywa moją erekcję lekkim dotykiem. *Bliżej.*

Więcej.

Jego usta unoszą się w kącikach i układa się na łokciach.

Nawilżam się, wbijając wzrok w wytatuowaną czaszkę pirata i lawendowego wróbla na jego żebrach. Wznoszę oczy na kolczyk przecinający sutek... *kurwa*. Wyginam nieznacznie biodra.

Obracam się do Farrowa i przesuwam go wyżej, zrównując nasze miednice. Wyprostowuje łokcie, kiedy ustawiam go na boku. Nie jestem, *kurwa*, delikatny.

Wydaje szorstki, ochrypliły odgłos i przesuwa dwa razy dłonią po swoim penisie. Jego krągłe pośladki ocierają się o mnie.

Dotykam wargami jego karku i zaciskam rękę na udzie. Przekładam sobie jego nogę przez biodro, żeby jeszcze bardziej go rozszerzyć i muskam erekcją jego szparkę.

Jego nozdrza poruszają się w przyływie pragnienia.

- Tylko w taki sposób zgadzam się na bycie łyżeczką – przypomina. – Lepiej się tym naciesz, do cholery.

Odwraca do mnie głowę na tyle, bym mógł go pocałować i rozchylam językiem jego wargi. Podnosi rękę i chwyta moją szczękę. *Ja pieprzę*. Mam ochotę już się w niego wsunąć. Przerywam wcześniej pocałunek i mówię cicho:

- Uwierz, że już się cieszę.

Nigdy nie łyżeczkuje się w nocy, żaden z nas nie potrafi zrezygnować z takiej przewagi. Przez większość nocy po prostu splatamy się kończynami.

Ściskam mój wzwód i wchodzę *powoli* w Farrowa. Chowa twarz w poduszkę, otwierając usta i wymyka mu się szorstki odgłos.

Obserwuję go przez chwilę, napinając mięśnie pośladków. *Tak. Kurwa, tak*. Jest całkiem diabelsko ciasny na mojego kutasa. Za każdym razem, kiedy w niego wchodzę odczuwam szczytową, oszałamiającą rozkosz.

Moje tempo jest niespieszne. Boleśnie *umiarkowane*. Staram się wykorzystywać każdą sekundę

- *Cholera*, Maximoff – niemal dyszy, jego oddech płytki.

Wydaję pomruk, zanurzając się w nim do końca. *Taktak*. Przechodzę do głębszego rytmu, obejmując jego brzuch. Zaciskam rękę na jego cholernie wielkiej erekcji i synchronizuję pchnięcia z dłonią.

Farrow zaciska zęby, po czym znowu jest zmuszony rozchylić wargi przez napływ przyjemności. Przeklina w poduszkę, jego twarz nabrała rumieńców. Wstrzymuje oddech i napina szyję.

Kurwa, rany boskie.

Wbijam się w niego mocniej, naprężając mięśnie pośladków. Zderzam się z jego biodrami i przylegam torsem do mocnych, wytatuowanych pleców. Farrow sięga za siebie i chwyta mój tyłek, przyciskając mnie mocniej do siebie. *Taktaktakurwatak*. Wypina się do mnie, kiedy się w niego wbijam.

Poruszamy się jednogłośnie, niczym wolna, dzika fala.

Jęczy nisko i ochryple, jak gdyby ten dźwięk wydobył się z jego najgłębszego wnętrza.

- *Kurwa* – jęczy znowu. – *Kurwakurwa*.

- Farrow – mruczę zlany potem. Wznoszę się na intensywny szczyt. Przyspieszam rytm w końcowym etapie – *takurwatakurwatak*. Rozchodzi się po mnie orgazm, a jego szczytowanie pokrywa moją dłoń. Nie od razu z niego wychodzę, spowolniam ruchy i dyszę gorącym oddechem w jego kark.

Farrow próbuje złapać oddech w poduszce, następnie obraca głowę i patrzy, jak się z niego wysuwam. Wtedy go całuję.

Seks z Farrowem jest nieporównywalny i niezmierny. Właściwie jestem już stracony. Totalnie i kompletnie prześladowany całym procesem – to aż absurdalne. W najlepszy przeklęty sposób.

Podnoszę się do siadu, pozbywam się prezerwatywy i wyciągam ręcznik z szuflady szafki, rzucając do niego.

Farrow opiera się o wezglowie. – Martwisz się czasem, że zostaniesz seksoholikiem? – Zaskakuje mnie tym pytaniem i czeka, aż je przetrawię.

Mrugam parę razy. Siedzę na brzegu łóżka, opierając stopy na zimnej podłodze. Oglądam się na niego.

- Nie. – To puste, *zdecydowane* słowo.

- Nie? – Farrow zdaje się zdziwiony. – Przez to jak bardzo unikasz picia myślałem...

- Jestem ostrożny – mówię, wstając. – Nie pozwalam, żeby seks kolidował z życiem codziennym. *Nigdy*. – Jestem wysoce świadom znaków ostrzegawczych niezdrowego zachowania. *Wysoce świadom*.

Mogę uprawiać często seks i nie być uzależnionym. W chwili, kiedy seks zrukuje moje relacje albo robotę – wtedy to będzie przeklęty problem.

Jeśli o mnie chodzi, nie mam tego problemu.

- W porządku – mówi Farrow, gniotąc ręcznik w pięści.

Zbyt szybko zostawił ten temat.

Odwracam się do niego.

- Czy *ty* uważasz, że mam problem? – Jako trzyletni ochroniarz mojej mamy był w pobliżu seksoholika o wiele dłużej niż większość ludzi.

- Nie – odpowiada. – Nie uważam, ale zauważyłem, że masz nałogowe skłonności.

Nie proszę o szczegóły.

- Wiem.

- Dobrze – przytakuje.

FARROW KEENE

Jane stawia kilkanaście pudełek ciastek na niskim stoliku w Superheroes & Scones. Na wypoczynkowym poddaszu stoją porozrzucane jaskrawe i neonowe puffy, a na zawieszonych telewizorach odgrywa się film *Avengers*.

Lokal jest martwy o piątej rano i popijam kawę, zajmując miejsce naprzeciwko Maximoffa na niebieskiej pufie. Niemal stykam się ramionami z Quinnem.

Nie był to mój pierwszy wybór. Ale parę dni temu Quinn powiedział do mnie:

- Nie widzę cię o porankach i twoje łóżko też jest puste.

To mną nie wstrząsnęło, ale nie zamierzałem wymyślać niedorzecznego, zawiłego kłamstwa, które mogłoby wyjść na jaw, dlatego odparłem:

- Od czasu do czasu sypiam na kanapie albo w jednym z samochodów. Tam jest chłodniej. – Dobrze wie, że w mojej sypialni potrafi zrobić się ukrop.

Bądźmy ostrożniejsi przy Quinnie – to nowa zasada Maximoffa. Mogłem nas dzisiaj oddzielić fizycznie, ale bez ustanku wpatruję się w mojego chłopaka. Uśmiecham się do kawy, kiedy udaje, że jest bardziej zainteresowany filmem.

Trzyma w rękach papierowy kubek gorącej herbaty, pijąc bez pośpiechu i stara się na mnie nie patrzeć. Wszyscy wiemy, że klasyfikuje mnie wyżej od Iron Mana, Thora i jakiegokolwiek innego Avengersa, który prezentuje się na ekranie. Nie tylko dlatego, że jestem wyraźnie lepszy i wyraźnie *nie* fikcyjny.

Lecz dlatego, że jestem jego ochroniarzem. Jego rzeczywistym superbohaterem.

Jane otwiera dwa różowe pudełka.

- Mamy przygotowane na spotkanie croissanty, babeczki, pączki z nadzieniem, pączki z polewą, ciastka z owocami, bułeczki, bajgle, kilka gofrów, ale pod żadnym warunkiem nie jedzcie *tego*. – Podnosi puszkę w kształcie serca. – Wczoraj spędziłam dwie godziny na pomaganiu mojej jedynej siostrze w pracy domowej z matematyki, a potem wydała mi surowe rozkazy, żeby przekazać to Oscarowi Oliveirze i zamierzam wypełnić to zadanie.

Wychyłam się do przodu i zabieram jej puszkę.

- Farrow!

- Oddychaj. Nie będę jeść ciasteczek Oscara. – Otwieram pojemnik i obrzucam wzrokiem serduszkowe kruche ciastka z różowym lukrem i napisami *Oscar* oraz *kocham Cię*.

Maximoff wykrzywia się do Jane.

- Czy twoja dwunastoletnia siostra może podkochać się w kimś, kto *nie* ma trzydziestu lat?

Co powiesz na kogoś pięć lat starszego? Bardzo się staram z nim nie podroczyć.

- Schowaj swój miecz, Moffy. To nic groźnego – mówi Jane i obserwuje mnie bacznie, kiedy podaję puszkę Quinnowi, który wyciąga sobie ciasteczko.

Jane piorunuje go wzrokiem i wyrywa mu cały pojemnik.

- *Quinn*.

Śmieję się. Z każdym dniem coraz bardziej lubię tego chłopaka. Ten bez wahania wgryza się w ciastko.

- Oscar to mój brat. Powiniennem dostać za to *jedno* ciastko. Hej, będę jego drużbą czy kimś tam na ich udawanym ślubie.

Audrey wyprosiła mnie z tego „ślubu” trzy lata temu, kiedy oznajmiłem, że ma kiepski gust w mężczyznach.

Jane siada na swojej pufie i ściska troskliwie pojemnik na kolanach. Zauważyłem paczkę groszku, którą nosi przez cały poranek i na której *siedzi*, a zaintrygowanie powoli zamienia się w troskę.

Teraz muszę zapytać.

- Czy przegapiłem wczorajszą wizytę Nate’a? – Gestykułuję kawą na paczkę, której używa jako worek lodu.

Jane wygląda na szczerze zaskoczoną, że pytam. Wpatruje się w moje oczy z intensywną ciekawością. Zastanawia się *dlaczego...* dlaczego zapytałem.

Ponieważ liczysz się dla Maximoffa.

I zaczynasz liczyć się dla mnie.

Rysy Maximoffa się zaostrzają, ale nie odrywa uwagi od telewizora widocznie niezmartwiony. Przypuszczam, że musiała mu już przekazać wieści dzisiaj w łazience.

Quinn marszczy brwi do Jane.

- Zakradł się do ciebie? Nie mówiłaś, że przychodzi...

- Nie przyszedł – mówi szybko.

- Jakiś nowy facet? – dopytuje Quinn. – Powiniennem przy tym być. Z umową.

- Jeżeli chcesz podpisać umowę z moimi zabawkami erotycznymi. – Jane uśmiecha się, kiedy Quinn rozchyła wargi w zrozumieniu.

- Och.

Patrzę na Jane spod uniesionych brwi.

- Za mało nawilżacza?

- Nie. – Siada prosto, przybierając swoją posturę „przygotowuję się do przemowy”. – Seks to niemal dziedzictwo mojej rodziny. Moi rodzice byli w porno.

- Nie z własnej woli – poprawia ją Maximoff. Ich nagrania z sypialni wyciekły do sieci.

- Tak czy inaczej – mówi – pomyślałam, że moja prawdziwa pasja tkwi w zabawkach erotycznych. Mogłabym zostać ich bajeczną recenzentką.

Opieram ramię na zgiętym kolanie.

- I co się stało?

- Wsadziłam coś w *okropnie* nieodpowiedni sposób.

Wszyscy robimy zbolące miny.

Jane bierze głęboki, uspokajający oddech, następnie deklaruje:

- Zdałam sobie sprawę, że to nie dla mnie.

- Wiem, co ci poprawi samopoczucie – mówię poważnie.

- Co? – pyta z zaciekawionym błyskiem w oku.

- Jedno z ciastek Oliveiry.

Quinn śmieje się, a Maximoff patrzy pomiędzy Jane i mną, jakbyśmy zaraz mieli zrujnować relację, której nawet nie zbudowaliśmy.

Jane przechyla do mnie głowę w geście *touché*.

- Akara do Farrowa i Quinna. – Głos przywódcy Omegi przelewa się przez moją słuchawkę. – Sul i ja właśnie wyjeżdżamy. Niedługo tam będziemy. – W tle słyszeć obroty silnika motoru.

Podnoszę się, przyglądając słodkościom.

- Sulli i Akara są w drodze – oznajmiam Maximoffowi. – Co chcesz zjeść?

Mruży oczy, jak gdyby mówiąc: *nie powinieneś się do mnie odzywać przy Quinnie.*

Przekrzywiam głowę, uśmiechając się. *Daj spokój.* Przyciągalibyśmy większą uwagę, gdybyśmy zachowywali między sobą milczenie. Ufam sobie, że powstrzymam beztroskie flirtowanie. Jestem przekonany, że on także wierzy w swoje możliwości. Po prostu lubi dodawać pięć łańcuchów do już zatrzaśniętych i zablokowanych drzwi.

Wstaje sztywno. – Sam sobie wezmę. – To dla niego pospolity zwrot: *sam mogę to zrobić. Nie musisz otwierać mi drzwi samochodu.* I tak dalej, i tak dalej.

To bardziej ujmujące niż pojmuje. Biorę sobie croissanta z jajkiem i serem, patrząc jak wybiera bułeczkę jagodową. Wracamy na miejsca niemal w tym samym czasie.

Bardzo pragnie skupić na mnie uwagę. Wpatruje się długą chwilę w moje włosy, jakby były nowiusieńkie.

- Od dwóch tygodni mam niebieskie włosy – przypominam, nawiązując do zaczesanych elektryczno-niebieskich kosmyków. Chciałem zmiany. Mam teraz tylko jednego kolczyka we brwi i wsadziłem małe kółko.

- Zauważyłem, dzięki – odpowiada, oblizując usta i bierze łyk herbaty.

Uśmiecham się szeroko.

Quinn rozsmarowuje sobie serek śmietankowy na bajglu.

- Czy ktoś mi może wytłumaczyć, po co to produkcyjne spotkanie do *Jesteśmy Calloway*, jeżeli nagrywanie zaczyna się dopiero w styczniu? – Oblizuje kciuka.

Dlatego tu jesteśmy.

Dla spotkania produkcyjnego.

Jesteśmy Calloway to serial dokumentalny liczący ponad dziesięć lat, który był nominowany do Emmy i wiele razy zdobywał nagrody. Jest jedyną platformą umożliwiającą Hale'om, Meadowsom i Cobaltom nagłośnienie swoich opinii i opowiedzenie życiowych historii. Ma zapewnić, że prawda zostanie usłyszana, a nie przekreślona na mediach społecznościowych.

Byłem dzieciakiem, kiedy ten serial po raz pierwszy pojawił się w telewizji i pamiętam, jak zszedłem po cichu na dół i schowałem się za kanapą ojca, kiedy oglądał program dla dorosłych. Wyjrzałem zza podłokietnika i ujrzałem Lily Calloway.

Dwudziestoparoletnią chudziutką dziewczynę, którą pewnego dnia miałem chronić. Spojrzała stanowczo do kamery i powiedziała:

- Zawsze będę seksoholiczką, ale w moim życiu liczy się o wiele więcej niż sam seks.

Każdy naturalny kadr serialu poruszył we mnie czułą strunę, a pod koniec mój ojciec siedział w ciszy i wydukał jedno słowo. *Wow*.

Po tych wszystkich latach rodziny nadal nagrywają sezon za sezonem, żeby uczłowieczyć siebie, ale także dla setek ludzi, którzy się z nimi utożsamiają.

Ostatnio dokument miał krótką przerwę, ale wznawia się w przyszłym roku. Mam z nim tylko jeden problem.

Utrudnia nam zapewnienie bezpieczeństwa.

Maximoff rozrywa bułeczkę na pół. – Mamy wcześniejsze spotkania, ponieważ musimy porozmawiać z Jackiem zanim cokolwiek zrobimy.

Quinn niemal krztusi się kawą.

- Jackiem? *Ze tym* Jackiem?

- Jedynym i niepowtarzalnym Jackiem Highlandem – mówię. – Zapamiętaj, po której jesteś stronie. Wielu nabrało się na jego urok.

Maximoff posyła mi twarde spojrzenie.

- Nie ma żadnych stron.

- Zdecydowanie są, wilczku. – Pokazuję na Quinna i siebie. – Jesteśmy odpowiedzialni za ochronę waszego prywatnego życia, a Jack jest odpowiedzialny za ochronę waszego publicznego życia.

Jednak pod koniec dnia musimy się zjednoczyć i odnaleźć wspólny język. I niemal każdy lubi Jacka Highlanda. Trudno go nienawidzić. Przez to byłem wobec niego troszkę ostrożny, ale nie mam z nim żadnego spięcia. Jest najmłodszym producentem wykonawczym *Jesteśmy Calloway* i ma ogromną styczność z ekipą bezpieczeństwa.

Musi mieć. Produkcja i ochrona splata się ze sobą w okresie filmowania. Takie spotkania przygotowują większość roboty.

Ktoś puka do zamkniętych drzwi wejściowych na dole. Wstaję i wychylam się za balustradę. *O wilku mowa...*

- Idź przywitaj się z nim pierwszy, Quinn.

Odgryza kawałek bajgla i zbiega po krętych żelaznych schodach.

Maximoff odsunął na bok jedzenie i herbatę. Jakimś cudem udaje mu się siedzieć sztywno na miękkiej czerwonej pufie i wyłamuje knykcie.

Jane przesuwa pod sobą paczkę groszku, ale widzę, że ona także jest spięta.

- Co jest? – pytam ich. Opieram się o srebrną ścianę wyklejoną błyskawicami.

- To pierwsze spotkanie produkcyjne dla Sulli – odpowiada Maximoff.

- Musi pójść dobrze – dodaje Jane.

Racja.

Ich kuzynka nigdy nie pojawiła się w *Jesteśmy Calloway*. Dołączając do tego dokumentu Sulli otwiera się na nową krytykę społeczeństwa.

Ale Maximoff i Jane brali udział w serialu od małego. Zanim jeszcze go poznałem, oglądałem w telewizji jak Maximoff Hale wyznaje dozgonną miłość Power Rangersom i mówi radośnie: *Jeżeli będę miał brata albo siostrę, mam nadzieję, że oni także polubią Power Rangersów.*

Fakt publiczny: Xander przebiera się za Power Rangersa w każde Halloween.

Jane porzuca mrożonkę, żeby otworzyć następne pudełko ciastek.

- Co zjesz, Jack?

Po krętych schodach wchodzi Jack Highland. Wygląda jak typowy „student sportowiec”: wyrzeźbione mięśnie widoczne przez obcisłą czarną koszulę, bary szerokie jak u zawodnika futbolu, charyzma i popularność rozgrywającego w skórzanej kurtce uniwersytetu.

W każdej komedii młodzieżowej mój „rodzaj” powinien nienawidzić jego „rodzaju”, ale realni ludzie to coś więcej niż „buntownik” versus „sportowiec”. Poza tym oboje jesteśmy dorośli.

To co wiem o Jacku: nie grał w futbol, ale pływał w college’u. Ma dwadzieścia pięć lat, jest amerykanem pochodzenia filipińskiego i ma krótkie ciemnobrązowe włosy, miodowe oczy i jest ode mnie wyższy o cały cal.

- Daj mi jagodową babeczkę – mówi do Jane, która podaje mu upieczone słodkości i zajmuje ostrożnie miejsce. Quinn pada na swoją poduchę.

Jack rozpakowuje babeczkę i najpierw odwraca się do mnie.

- Zastanowiłeś się nad moją propozycją?

- Jaką propozycją? – Maximoff marszczy brwi.

Splatam luźno ramiona.

- Jack chce mnie w serialu. *Cholernie bardzo.* – Podkreślam ostatnie słowa. – Jak długo mnie prosisz?

- Trzy lata. – Wgryza się w jagodową babeczkę. – Im bardziej będziesz mi odmawiać, tym bardziej zacznę wierzyć, że to coś osobistego.

- Chwila. – Maximoff wstaje. Przysięgam, że nie cierpi siedzieć, kiedy reszta ludzi stoi. – Chcesz *Farrowa*, tego *Farrowa* – pokazuje na mnie – w serialu?

Obrzucam Maximoffa długim spojrzeniem.

- Ilu znasz *Farrowów*? – Pokazuje mi środkowy palec.

Jack jest przyzwyczajony do takiego zachowania, więc nie jest speszony.

- Zawsze chciałem pokazać ochroniarza w *Jesteśmy Calloway*. *Farrow* nieźle wygląda, jest taki gif z waszą dwójką... - Jedną ręką wyciąga komórkę i przewija coś na ekranie, pokazując mi pierwszemu.

Widzieliśmy tego gifa.

Użytkownik Tumblra stworzył gif z nagrania, kiedy sąd zawiesił prawo jazdy *Moffy'ego*. Wychodzimy z gmachu w okularach słonecznych, ręka w rękę w oświetleniu fleszy.

Wyglądamy razem seksownie.

- I *Farrow* jest na tyle przystojny, żeby być modelem – oznajmia Jack mojemu chłopakowi.

Unoszę brwi w samozadowoleniu do Maximoffa, który próbuje na mnie znowu nie spojrzeć. W jego oczach niemal widnieje wyraz *przeleć mnie*.

Tak poza tym Jack jest hetero. I zgadzam się, że mam dziesięć punktów w dziesięciopunktowej skali, ale słysząc te słowa od Jacka...

- To traci na znaczeniu, kiedy słyszałem, jak prawisz ten sam komplement czterdziestu dwóm innym osobom. – Podałem dokładną liczbę, ponieważ mam świetną pamięć. Więc jestem precyzyjny i poprawny.

Widzicie, Jack potrafi poprawić samopoczucie ludziom. Jego zadaniem jest upewnienie się, że wszyscy wokół czują się komfortowo. Wtedy są bardziej skłonni dzielić się z nim informacjami.

Nawet teraz patrzy na mnie łagodniejszym wzrokiem.

- Jesteś zachwycającym facetem. Lepiej?

- Dochodzimy do czegoś odrobinę oryginalniejszego. Ale niewiele – mówię i wracam na pufę obok *Quinna*.

W ciągu paru sekund wszyscy zajmujemy miejsca wokół niskiego stolika.

Maximoff dolewa sobie herbaty, zwracając się do Jacka:

- To wciąż bez sensu. Jeżeli włączysz Farrowa do serialu, stanie się sławny. Nie będzie mógł być dłużej moim ochroniarzem.

- Dokładnie. – Podnoszę moją kanapkę z croissanta. – Jack chce, żebym *grał* ochroniarza. Jeszcze nie pojął faktu, że lubię być prawdziwym ochroniarzem.

Maximoff bardzo się stara, żeby na mnie nie spojrzeć i przyciągnąć do nas uwagi. Ale zna pełniejszą wersję tej prawdy: *uwielbiam* moją pracę, ponieważ spędzam z nim czas.

Jack otwiera swój notes, siedząc w wyluzowanej pozycji na żółtej poduszce.

- Mówię tylko, że pewnego dnia możesz zapragnąć zmiany. – Przewraca kartkę. – Przed przyjazdem Sullivan możemy zacząć od waszej dwójki. – Celuje długopisem w Maximoffa i Jane. – W następnym sezonie pojawią się wielkie tematy. Czy jest coś szczególnego, o czym chcielibyście powiedzieć?

MAXIMOFF HALE

Czy jest coś szczególnego, o czym chcielibyście powiedzieć?

Jack zawsze wybiera to na pierwsze pytanie. Mój umysł przewija się przez przeróżne kwestie, o których mógłbym dyskutować. Wszystko kurczy się do jednego.

Jeden temat, jedna trudna sytuacja, jedna przeklęta irytacja.

- Tak. – Stawiam mój kubek na stole. – Chcę pomówić o moim wujku.

Na poddaszu Superheroes & Scones zapada cisza. Patrę przelotnie na scenę walki w *Avengersach*, w której Hulk rozbija budynki w drobny mak.

Jack omija nagłą ciszę, jakby nigdy nie miała miejsca.

- O którym wujku?

- Ryke'u. Wczoraj jeden artykuł porównywał jego przekleństwa do moich, a przecież wcale nie klnę tak często. Sulli robi to więcej ode mnie. – Nie chciałem, żeby ta wypowiedź zabrzmiała tak gorąco i poirytowanie.

Wyczuwam spokojne nastawienie Farrowa i wiecie, co jest najdziwniejsze? Ono mnie uspokaja. Mam wrażenie, że mam kogoś, kto jest przygotowany stanąć po mojej stronie. W tej chwili. W tym momencie. W *każdym* momencie.

Jest ze mną.

Rozluźniam spięte ramiona.

Jack nie jest typem osoby, która mówi proste „nie”. Stara się wysłuchać ludzi, ale przypomina mi:

- Mówiłeś o tym w zeszłym sezonie, Moffy.

- W tym roku się pogorszyło.

- Ale ten serial niczego nie zmieni – mówi. – Trzy razy omówiłeś *szczegółowo* ten temat. Więcej nie zdołamy zrobić. Jeżeli zrobisz to jeszcze raz, publika uwierzy, że próbujesz coś naprawić. Jako producent powiedziałbym ci, żebyś mówił o tym bez oporu, to podniesie oglądalność. Ale jako twój przyjaciel mówię ci, żebyś zostawił ten temat.

Niech to szlag. – Co jeśli pogadam o moim tacie?

- Zależy. – Jack odkręca nakrętkę napoju sportowego Ziff. – Jeżeli zamierzasz tylko powiedzieć, jak wspaniały jest twój ojciec... to *nie*.

Pocieram się po obolałym ramieniu. Muszę się rozciągnąć.

- No to powiedz, o czym mam mówić.

- O seksie – odpowiada Jack. – Właśnie ten temat najbardziej nurtuje ludzi, szczególnie po tych zdjęciach. – *Ślady po ugryzieniu*. – Z kim się widzisz? Z jaką mierzysz się presją, będąc synem seksoholiczki? Czy jesteś ostrożniejszy? Czy dręczą cię jakieś obawy? – Wszystkie te pytanie wystrzeliwuje z prędkością światła.

Już to wszystko słyszałem. Jack porusza temat *seksu* na prawie każdym spotkaniu.

- Jesteś gotów o tym mówić? – pyta.

- Nie – odpieram stanowczo. – Nie w tym sezonie. Może nigdy. Przykro mi.

- To jest strefa *zero przeproszania*, pamiętasz? Pasuje nam cokolwiek, czym zechcesz się podzielić. Wszystko zależy od was. – Jack przeskakuje do nowego tematu. – Co powiesz na twoją relację z Luną? Niedługo skończy osiemnastkę i będzie samodzielna. To byłaby świetna historia.

Z całego mojego rodzeństwa tylko Luna pojawia się ze mną w *Jesteśmy Calloway*. Nawiązaliśmy większą więź poprzez wspólne nagrywanie i już wiem, że ucieszyłaby się z całego odcinka na temat naszej relacji.

Dlatego się zgadzam.

- Jane? Jakież osobiste tematy? – pyta Jack.

Janie i ja zdążyliśmy przysunąć się do siebie bliżej. Patrzą z góry na najlepszą przyjaciółkę, która ma na sobie sweter w gepardzie cętki, jasnożółte spodnie i szpilki w cekiny. Nie mam zielonego pojęcia, co zamierza powiedzieć.

- Chciałabym omówić moją wagę – oznajmia zdecydowanie.

Nasi ochroniarze nie wiedzą, jak zareagować na kwestie, które nie dotyczą ochrony. Nawet Farrow, myślę. Nie przestają jeść i pić, starając się nie okazywać *troski*. Bycie zaangażowanymi emocjonalnie z klientami nie jest ich obowiązkiem.

Ale zdałem sobie sprawę, kurwa, że wielu z nich się troszczy.

Oczywiście.

Jednym z nich jest mój chłopak. *Nie patrz na niego*. Staram się. *Chryste*, staram się od piętnastu minut.

- A dokładniej? – dopytuje Jack, spisując notatki i bierze gryz babeczki.

Obejmuję Janie ramieniem, kiedy mówi:

- O tym, że kocham moje ciało takim jakie jest. Mam małe piersi, zero tyłka, boczki w talii i na biodrach oraz większy brzusek. O tym, że *pulchna* nie jest złośliwym epitetem. I nienawiść ludzi wcale mnie nie zmienia.

Farrow i Quinn biją brawo w prawdziwym uznaniu.

Możemy się cofnąć w czasie?

Nasi ochroniarze tak naprawdę wiedzą, jak zareagować. *Są naszymi przyjaciółmi.*

Wiem. *Wiem.*

Ściskam Jane i całuję jej piegowaty policzek. - Je t'aime, ma moitié. - *Kocham cię, moja druga połówko.*

Jane uśmiecha się ciepło.

- Je t'aime aussi. - *Ja ciebie też.*

Jack kiwa głową, gryzmołąc w notesie.

- Cudownie. Tak w ogóle wyglądasz jak zawsze ślicznie, Jane.

- Merci.

Farrow przewraca oczami nie na komentarz Janie, ale producenta.

- No co? - zwraca się do niego Jack. - Już nie mogę prawić komplementów tej grupie?

- Już prawie osiągnąłeś limit - mówi Farrow.

- Zatem wszyscy jesteście paskudni. - Jack uśmiecha się szeroko. - Może być?

Quinn zaczyna powoli klaskać dla Jacka, a Farrow, Jane i ja dołączamy. Uśmiech producenta wykonawczego staje się szerszy.

Wtem dobiega nas dzwonek otwieranych drzwi wejściowych. Akara posiada klucz. Janie i ja siadamy prosto, wymieniając się spojrzeniem, które mówi: *chronić Sulli, jeśli zrobi się intensywnie.*

Rzeczywisty proces dokumentu jest kurewsko bolesny.

Runda 1 Dzielenia się zbyt wieloma informacjami: *wywalić swoją historię osobistą na Jacka i grupkę ochroniarzy.*

Runda 2: *pozwolić zespołom produkcyjnym na naruszenie twojej przestrzeni osobistej na określony czas.*

Runda 3: *pozwolić światu patrzeć na bezbronną wersję siebie.*

W tej chwili koncentruję się tylko na pierwszej rundzie dla Sul. Będzie chciała skończyć, co zaczęła – nieważne co – ale jeśli runda pierwsza wpędzi ją w zakłopotanie, *ja* wszystko odwołam, kurwa.

- Jack – szepczę, słysząc kroki na żelaznych schodach. – Ponieważ to pierwsze spotkanie Sulli, możesz nie rzucać jej od razu na głęboką wodę?

- Jasne. – Jack przytakuje i podnosi się, by powitać moją kuzynkę. Reszta obraca się i patrzy.

- Daj, Sul. – Akara zabiera od niej kask motocyklowy, trzymając również swój.

- Dzięki, Kits. – Sulli rozpiną dzinsową kurtkę ubrana również w dzinsy i prostą białą koszulkę. Jej długie ciemne włosy sięgają do klatki piersiowej.

Jack podchodzi do nich i pochwytuje jej spojrzenie.

- Ty musisz być Jack. – Sulli wyciąga rękę.

Akara okrąża ich i dostrzegam *długie* ostrzegawcze spojrzenie, które posyła Jackowi. To spojrzenie mówi zasadniczo: *bądź z nią ostrożny, bo inaczej nie żyjesz.*

Jacka na krótką chwilę łapie zawahanie.

- Um... - Marszczy brwi, po czym szybko się otrząsa i ściska dłoń Sulli. – Jestem Jack.

- Jack Highland – dodaje Sulli, a ich uścisk trwa długą chwilę.

Janie szturcha moje ramię i porusza wymownie brwiami, rozrywając swojego croissanta.

Nie wiem, co to, kurwa, znaczy.

Wiem jedynie, że Jack dziwnie się zachowuje. Nie potrafię rozgryźć czy dlatego, że ostrzegłem go, co do Sulli, Akara posłał mu spojrzenie czy dlatego, że żartowaliśmy na temat jego komplementów.

Akara zajmuje miejsce na podusze pomiędzy Farrowem i Quinnem. Ochrona trzyma się swojej strony niskiego stolika. *W porządku, a więc są strony.* Wszyscy przyglądają się Sulli i Jackowi czujniej niż większości normalnych sytuacji.

- A ty jesteś Sullivan Meadows. – Jack nareszcie puszcza jej rękę.

- Możesz mi mówić Sulli. – Przenosi wzrok na Jane, która przywołuje ją gestem ręki i robi miejsce, żeby usiadła między nami. Chwytam niebiesko-zieloną poduchę i stawiam w wolnej przestrzeni.

Kiedy Jack i Sulli dołączają do stołu, on siada po swojej stronie i bierze do rąk notes. Teraz istnieją trzy metaforyczne i dosłowne strony: *celebryci, ochrona, produkcja*.

Rozumiem.

Patrzę, jak Jack *obserwuje* Sulli. Moja kuzynka wciska się między mnie a Jane i przysuwa się do stołu, przygotowując talerz jedzenia.

Jack obraca długopisem w palcach.

- Chcesz zostać przedstawiona w serialu jako Sulli?

Sulli nakłada sobie dwa gofry.

- Ummm... tak by było dobrze, prawda? – Spogląda na mnie, potem na Jane. – Kurwa, nie wiem. Jak wy jesteście przedstawieni?

- Jane.

- Maximoff.

Przenosi wzrok na Jacka. – No to Sullivan. – On kiwa głową.

Sulli ustawia *trzy* czekoladowe pączki na gofrach. Odnajduje puszkę bitej śmietany oraz syrop truskawkowy, które przyniosła Janie i polewa wszystkim gofrowo-pączkową górkę.

Jack nie potrafi oderwać wzroku od jej śniadania, przyciskając długopis do kartki.

- Chciałabyś o tym pomówić?

- O czym? – Podnosi wzrok skonsternowana. – O moich pączkach? Jeszcze ich nie zjadłam. Jak mam o nich mówić?

Farrow przechyla głowę do Sulli.

- *Zielony*, odcień nowicjuszy. Uroczo wyglądasz w tym kolorze.

Moja kuzynka się rumieni i zerka na Akarę, który rzuca poduszką w pierś przewracającego oczami Farrowa. Nie umiem zareagować na ten żart czy dodać sarkastycznego komentarza. Pozostaję czujny na dalsze wydarzenia.

- W dokumencie – mówi Jack, ignorując mojego ochroniarza... chłopaka. *Skup się*. Mrugam parę razy, a on wyjaśnia: - Czy chcesz pomówić o swoich nawykach jedzeniowych?

- Och. Ja pierdołę, naprawdę? – Marszczy mocno brwi. – Ludzie będą chcieli takich informacji? – Prasa fotografowała moją kuzynkę w restauracjach.

Zamawia sobie jedynie desery. Nie, żeby to były jej śniadania, obiady i kolacje, ale nie śledzi również piramidy żywnościowej. Widziałem, żeby odżywiła się zdrowo tylko podczas intensywnych treningów. Wtedy zatykała nos i wypijała do dna proteinowe koktajle.

- Serial przede wszystkim opiera się na tym, co chcesz zrobić. Społeczeństwo chciałoby wiedzieć o tobie *wszystko*, dlatego nie czuj się naciskana, żeby omawiać temat, który cię krępuje.

Sulli kiwa głową, przekrajając swoje cudaczne danie.

- Podoba mi się.

Jane pokazuje mi uniesiony kciuk. Nie jestem jeszcze gotów do wyluzowania.

- Jack ma dobre wyobrażenie o tym, jak ludzie zareagują na to, czym zechcesz się podzielić – mówię jej.

- Wow, serio? – Sulli zaczyna się uśmiechać. Nieczęsto znajdujemy ludzi, którzy zdobywają nasze zaufanie. – Więc co by pomyślała publika o moim śniadaniu?

Ochroniarze przypatrują się bacznie Jackowi.

- Na początek zaszufadkują cię jako osobę wybredną, a niektórzy wezmą to za coś uroczonego. Inni będą na ciebie srali. To jest ogromna część programu – opowiadasz swoją historię i zgadzasz się na dobre oraz złe reakcje.

- Przyjemna jest świadomość, że możesz zabrać głos na świecie – wtrąca Jane.

Sulli napycha sobie buzię i przeżuwa powoli, rozmyślając.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? – pytam. – Nikt cię nie zmusza do *Jesteśmy Calloway*. Możesz się wycofać, Sulli.

Jack przygląda jej się. – On ma rację. Chcielibyśmy, żebyś pojawiła się w serialu, ale to twoja decyzja.

- Nie, potrzebuję tego. – Sulli kiwa do siebie głową. – Posłuchajcie, *muszę* omówić część tych bzdur... po prostu staram się pojąć, jak to wszystko działa.

- Nie ma sprawy – mówi pocieszająco Jack. – Poprowadzę cię przez cały ten proces.

Sulli bierze głębszy wdech i patrzy na Akarę. Ten zaczesuje sobie czarne włosy i zakłada bejsbolówkę tyłem do przodu.

- Będiesz przy nagrywaniu? – pyta go. – Nawet jeśli to nie będzie miejsce publiczne?

- Jeżeli tego chcesz – odpowiada. – Będę tam, Sul.

- Dobrze.

Jack przysuwa się bliżej do stołu i do niej.

- Miejmy nadzieję – odzywa się, przykuwając wzrok Sulli – że ty i ja dotrzemy do takiego punktu zaufania, że nie będziesz potrzebować Akary w pokoju.

Atmosfera zagęszcza się po stronie ochroniarzy. Jane odchyła się razem ze mną i patrzymy spod zmarszczonych brwi na trzech mężczyzn.

Akara gotuje się ze złości. W jego piorunującym wzroku widać jad i napręża mocno mięśnie. Siedzi całkowicie nieruchomo – co jakimś cudem jest jeszcze bardziej przerażające. A mnie *nikt* nie przeraża.

Ale o tym wiecie.

Nie wiecie, że Farrow zaciska szczękę i przyciska pięść do ust.

Albo, że Quinn patrzy na Jacka ze skrzyżowanymi ramionami.

Nie są zadowoleni, że właśnie metaforycznie wyrzucił ochroniarza z pokoju. Jack to wyczuwa i zwraca się bezpośrednio do Akary.

- Na co byłeś potrzebny w bezpiecznym środowisku?

- Bo poprosiła, żebym tam był – odpowiada szorstko. – Masz jeszcze jakieś pytania, *Jack*?

- Do Sulli tak – mówi Jack, próbując zlekceważyć poirytowanych ochroniarzy.

Sulli waha się z kolejnym kęsem jedzenia.

- Wszystko dobrze, Kits?

Jack i Akara gromią się spojrzeniami, a potem ten drugi mówi wprost:

- Szanuj ochronę, to my będziemy szanować produkcję.

- Brzmi dobrze, stary. – Jack bierze łyk drinka sportowego. Akara przytakuje.

Jestem cholernie niecierpliwy.

- Idźmy dalej.

- A może – Jack zwraca się do Sulli – powiesz nam, co byś chciała poruszyć w dokumencie. Powiedziałaś, że trzeba omówić jakieś bzdury. Na przykład?

Sulli ociera usta muskularnym bicipsem. – Zdjęcia z igrzysk.

Spinam się, ale bez wahania spogląda w oczy Jacka, odkrywając więcej swoich uczuć.

- Te z włosami. Te durne pojeby, które uważają, że to śmieszne robić zbliżenia na okolice bikini muszą wiedzieć, że są *pojebami*.

- Zgadzam się. – Dokańczam herbatę jednym łykiem.

Olimpiada powinna być czasem *celebrowania* sportowych osiągnięć Sulli. Przez ten *cały* jebany okres media czepiały się jej nawyków golenia i woskowania. Parę tygodni przed letnimi igrzyskami zrobili zdjęcie Sulli, na których było widać włoski w okolicach bikini.

Ta fotografia rozprzestrzeniła się w zastraszającym tempie.

85% pytań, które jej zadawano na olimpiadzie dotyczyło włosów – a na wszystkie odpowiedziała zdecydowanym „*walcie się*”.

To także poszło w świat.

- Czy ten temat sięga dalej? – pyta Jack i spinam się.

- Co masz na myśli? – Sulli nabiera na widelec kawałek gofra.

- Chodzi mu to, kiedy byłaś młodsza – wyjaśniam. – Czy mierzyłaś się z czymś takim w okresie dojrzewania? – Jej ciemnozielone oczy, które mają ten sam odcień, co mój *roztapiają* się pod moim spojrzeniem – ponieważ byłem przy tym. Dorastałem z Sulli. Patrzyłem, jak weszła w okres dojrzewania płciowego wcześniej niż większość dziewczynek. Jej włosy są ciemne i szybko rosną.

Widziałem, jak po zawodach pływackich chłopcy *naśmiewali się* z włosków na jej ramionach. Wepchnąłem dwóch do basenu, kiedy zaczęli wydawać odgłosy goryłów. Potem przytuliłem Sulli w szatni i powiedzieliśmy wspólnie „*pieprzyć ich*”.

Pieprzyć ich.

- Muszę teraz o tym mówić? – szepcze do mnie.

- Nie. – Posyłam Jackowi poważne spojrzenie mówiące: *zadziałaj swoją produkcyjną magią i zmień temat. Już.*

- Może ty i Moffy dostaniecie odcinek, w którym będziecie ze sobą pływać albo ścigać.

Dziękuję. Prawie się uśmiecham. – Masz na myśli odcinek, w którym skopie mi tyłek.

Sulli wygina kąciki ust i szturcha mnie barkiem.

- Dam ci fory.

- Nie dasz. – Odwracam się do Jacka. – Zrobię to tylko wtedy, kiedy zgodzisz się, żeby tobie też skopała tyłek.

Quinn kaszle w pięść. *Co takiego powiedziałem?*

Farrow wygina szyję, wskazując bezgłośnie na Akarę, który patrzy morderczo. Nie na mnie, a na Jacka.

Zaproponowałem pływanie, nie seks.

Jack nie przekroczyłby swoich profesjonalnych granic, inaczej pozbawiłbym go wszystkich kończyn, o czym doskonale wie.

Sullivan obraca głowę do producenta.

- Pływasz? – W jej oczach pojawia się blask. Lista ludzi, z którymi może się ścigać w wolnym czasie jest bardzo krótka.

- Pływałem przez cztery lata w Penn. – Posyła jej uśmiech i przerzuca stronę w notesie. – Mogę przejść na chwilę na osobiste tematy?

Sulli odkręca butelkę wody. – Pewnie.

- Chciałabyś omówić w serialu swoje dziewictwo?

W pomieszczeniu nastaje napięta cisza. Tak naprawdę Sulli podzieliła się z publiką całym wiadrem *niczego* na temat randkowania czy seksu. Zachowywała prywatność, więc wszyscy przypuszczają, że jest dziewicą.

Ich przypuszczenie jest choć raz poprawne.

- Um... - Sulli rozważa tę opcję.

- Nie ma presji – mówi Jack. – Musiałem zapytać, ponieważ wiele osób rozmawia o seksie w serialu. – Urywa na chwilę. – Oglądałaś jakiś odcinek?

- Nie bardzo. – Sulli przykładła rękę do kwadratowej szczęki. – Trochę dziwnie ogląda się rodzinę w telewizji. – Nie tylko ona postanowiła zaoszczędzić sobie tego widowiska.

Jej najlepszy przyjaciel Beckett Cobalt nie widział ani jednego odcinka.

Sulli nachyla się do Janie.

- Czy ty mówisz o seksie?

Jane dotyka klatki piersiowej. – Muszę o nim mówić. Jeżeli kolejny facet spróbuje mnie podduszać w łóżku, wpadnę w furję.

- To już nigdy się nie wydarzy – odzywa się Akara, patrząc na mnie z ukosa, ponieważ wie, że zabiłbym tego człowieka. Naprawdę popełniłbym morderstwo.

Farrow nie był w pobliżu Jane podczas tego incydentu. To była jedna z najgorszych nocy w moim życiu – obudziłem się przez trzask lampy. Stary ochroniarz Jane zaczął pukać do pilnowanych przez niego zamkniętych drzwi, ponieważ kogoś przyprowadziła. Wpadłem do jej sypialni nim ochroniarz zdążyłby zrobić jakikolwiek ruch – i zerwałem z jej ciała kołosa dwa razy większego od niej.

Byłem wściekły. Mój mózg odczytywał tylko trzy komunikaty: *zabijasz ją, zabijasz ją, zginiesz*. Mój ochroniarz musiał zapanować nade *mną*.

Żeby było jasne, nie jestem z tego dumny.

- Mogę cię o coś spytać? – Sulli pyta Jacka. – Co dokładnie miałabym rzec o seksie? Nigdy go nie uprawiałam, koniec. Nie ma nic więcej.

Jack zamyka notes.

- Czy czekasz ze współżyciem do ślubu czy na tego jedyne...

- Byłam *tak bardzo* skupiona na pływaniu, że nigdy nie miałam na nic czasu, w tym seks czy randki, a jeśli miałabym wybierać, zrobiłabym to raz jeszcze. Niczego nie żałuję.

- Czy ktoś cię kiedyś pociągał? Czy kiedykolwiek *myślałaś*, żeby się z kimś przespać?

Przysięgam, że zachowują się tak, jakby byli tutaj tylko we dwoje. Całkowicie nas ignorują.

Sulli kiwa parę razy głową.

- Zdecydowanie. Paru... dobra, kilkunastu facetów w drużynie było pieprzonymi ciachami, ale nie zamierzałam pozwolić, żeby romans stanął na mojej drodze. Moja mama zawsze mówiła, że żałowała, iż nie zaczekała na kogoś, dzięki komu czuła się kochana i komfortowo. Na kogoś takiego, jak mój tata. I ja również tego pragnę.

Jack uśmiecha się.

- Okej. Całowałaś się już?

- Nie. – Przygryza wargę.

Chwila.

Tego nie wiedziałem.

Zerkam na Akarę. Doskonale odczytuję jego opiekuńczy wyraz twarzy i kiwam do siebie głową – *on wiedział*.

Jack uśmiecha się cieplej.

- Prawda jest taka, że to wywoła duży rozgłos, ale od ciebie zależy czy zechcesz się tym podzielić. Pozytywy: myślę, że wiele dziewczyn będzie się z tobą utożsamiało. Wady: wielu facetów będzie...

- Pojebami?

- Tak.

- Zboczonymi pojebami – dodaje bardziej otwarcie Farrow.

Sulli przyciąga nogę do klatki piersiowej. – To nie powinna być taka kurewsko wielka sprawa. No i co? Mam dziewiętnaście lat i nigdy się nie całowałam. Kogo to obchodzi?

- Spraw, żeby to nie była taka wielka sprawa – odpowiada Jack. – Spraw, żeby była przeciętna, normalna. Masz taką władzę. I wszystko zależy od ciebie.

MAXIMOFF HALE

Spotkania zarządu o ósmej rano przypominają dziesięciminutowy sprint przeciętnego człowieka. Przyjdźcie przygotowani do mojego stolika... wtedy wrócimy do własnych biur o 8:10.

Piętnaście osób zajmuje skórzane fotele. W wieku dwudziestu dwóch lat siedzę na czele stołu. Nie doprowadziła mnie tu jedynie ciężka praca. *Nepotyzm* ma w tym kluczową rolę.

Nigdy o tym nie zapominam.

- Dostaliśmy trzy wnioski o dotację, które wyglądają obiecująco – oświadcza Yara, długoletnia członkini zarządu, a także dyrektor operacyjny w Cobalt Inc.

Poza naszymi własnymi projektami, Filantropie H.M.C. wspierają miejscowe i regionalne organizacje non-profit, ale przez ilość próśb, które trafiają do nas każdego roku musimy być wybiórczy w przeznaczaniu pieniędzy.

- Mówisz o tych, które przysłałaś mi mailem wczoraj wieczorem? – pytam.

- Tak.

- Zatwierdź wszystkie – mówię. Podnoszę wzrok na zegar wiszący na ścianie. 8:05.

Farrow przyjdzie po mnie równo o 8:10. Mam zaplanowaną wizytę w tutejszym schronisku dla zwierząt oraz rozmowę na temat przyszłych zbiórek pieniędzy.

Gdy zabieram się za kończenie spotkania... przeklęte drzwi stają otworem. Wszyscy obracają gwałtownie głowy.

Ludzie zamierają, przykładając kubki kawy do ust albo zawieszając długopisy w powietrzu. Całą salę opanowuje milczenie niczym *wirus* przenoszony drogą powietrzną.

Co on tutaj robi, kurwa?

W progu stoi Charlie Cobalt, a jego sylwetka metr dziewięćdziesiąt jeden wygląda tak, jakby dopiero co kogoś przeleciał. Na serio. Biała koszula z rozpiętym kołnierzykiem wepchana niedbale w czarne spodnie. Jasnobrązowe włosy sterczące w dziwnych miejscach. Artystycznie potargane.

- Wybaczcie za spóźnienie. – Wnosi do środka swą władczą, odbierającą całe powietrze prezencję. Każdy wstrzymuje oddech – oprócz *mnie*.

Charlie przechodzi dumnym krokiem obok mojego krzesła i długiego rzędu członków zarządu, docierając do drugiego końca stołu. Oni obserwują.

Gapią się.

Jak gdyby był przekopującym się przez ziemię gadem w terrarium, ujawniającym się tylko wtedy, kiedy chce być zobaczonym.

Na stole rozbrzmiewa mój telefon. Odczytuję wiadomość bez otwierania jej.

Właśnie się dowiedziałem, że Oscar jest w biurze H.M.C. Uważaj, jeśli jeszcze nie ma tam Charliego, bo na pewno się pojawi. – Farrow

O jedną minutę za późno, ale doceniam fakt, iż Farrow próbował mnie ostrzec.

Podnoszę wzrok.

Charlie stoi po przeciwnym końcu. Potrząsam głową. Panoszy się ze swoim opanowaniem, jakby należało wyłącznie do niego. Jego tweety rozprzestrzeniają się w ciągu paru sekund. Jego słowa przypominają kule armatnie wystrzelone do basenu.

Widzieliście go w *Jesteśmy Calloway*. Oglądaliście go tak długo, jak mnie.

Pogłoski o tym, że Charlie to miniaturowa wersja jego ojca – iloraz inteligencji geniusza, egoistyczny, wyrachowany i pretensjonalny – opływają internet niczym fakty, ale to produkty zniekształconych wyobrażeń.

Myślicie, że znacie Charliego Keatinga Cobalta.

Ale nie macie jebanego pojęcia.

Znam go jako mojego kuzyna, który skończył dwadzieścia lat we wrześniu, dwa miesiące temu. Który przeskoczył dwie klasy i wylądował w mojej. Który spisał moje zadanie domowe z przyrody tylko dlatego, że mógł – nie dlatego, że musiał.

Jako najstarsi synowie dwóch potężnych mężczyzn wiemy, jak to jest być dręczonym przeszłością kogoś innego. Choć podzielamy wiele podobieństw – choć istnieje wiele rzeczy, które powinny nas ze sobą powiązać – postanowiliśmy pozwolić, żeby nas podzieliły.

Ostrzeżenie: jeżeli z nim zadrzecie, będę miał ochotę go obronić. Więc nie róbcie tego.

W jednym szybkim ruchu wysuwa sobie krzesło, zajmuje miejsce i kładzie czarne skórzane buty na dębowym stole. Wwierca we mnie żółtozielone oczy.

- Co przegapiłem?

- Co ty tutaj robisz, Charlie? – pytam spokojnie, powściągając irytację.

- A na ci to wygląda? – Rozkłada ramiona. – Biorę udział w spotkaniu rady.

- Nie brałeś udziału w żadnym spotkaniu odkąd *dostałeś* miejsce w zarządzie – przypominam. Jestem doskonale świadom, że piętnastu innych ludzi oddziela mnie od kuzyna. Piętnaście osób obserwuje tę interakcję z zainteresowaniem, które podnosi moje mury obronne.

- Na wszystko jest pierwszy raz. – Charlie zachęca gestem dłoni, bym mówił dalej i opiera łokieć na swoim krześle, podpierając głowę na palcu przyciśniętym do skroni.

Jest na mnie wkurzony.

Ale mamy dzisiaj wtorek i niebo jest błękitne. Więc wszystko jest takie, jak być powinno.

- I tak już skończyliśmy – zwracam się do reszty członków zarządu. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Dziękuję za przybycie.

Zbierają swoje przybory i posyłają ostrożne spojrzenia Charliemu przed opuszczeniem sali.

Gdy pomieszczenie pustoszeje, Charlie opuszcza stopy na podłogę. Nie wykonuje żadnego ruchu, by przejść przez salę konferencyjną i wciąż dzieli nas długi stół.

Splatam ramiona na torsie.

- Jak długo planowałeś to wejście?

- W tym tkwi twój problem – mówi Charlie – myślisz, że wszystko musi być skoordynowane i dokonane z premedytacją, kiedy prawda jest taka, że po prostu przejeżdżałem obok twojego biura. Chciałem z tobą porozmawiać, więc wpadłem. Nie, nie czekałem do końca spotkania, bo kogo to, kurwa, obchodzi.

- *Mnie* – mówię gniewnie. – I to jest twój problem. Troszczysz się tylko o własne uczucia.

- A czemu miałbym tego nie robić? – ripostuje. – Zdominowałeś rolę nadopiekuńczego brata i kuzyna. Nie mam, czym się przejmować, bo przejąłeś wszystkie moje pierdolone zmartwienia.

- Czy ty naprawdę siedzisz tu i obwiniasz mnie o swój brak empatii? – pytam otumaniony.

- To moje spostrzeżenie – mówi. – A po drugie, *zależy* mi, dlatego tutaj jestem. Po prostu nie potrafisz przyjąć do siebie scenariusza, w którym komuś zależy na tej rodzinie bardziej od ciebie. – Podjeżdża do krawędzi blatu. – Świat wierzy, że nie masz ego, ale doskonale udało ci się je przełknąć. Nie jestem nawet pewien, czy zdajesz sobie

sprawę, że ono tam jest. – Wymachuje palcem w kierunku mojego brzucha. – Rośnie powoli, ale zdecydowanie.

Wypuszczam oddech, zaciskając zęby. Czuję podchodzący do gardła *warkot*, ale nie pozwolę sobie na taki odgłos.

Kłócenie się z nim prowadzi donikąd. W młodości wdawaliśmy się w mnóstwo bójk, które zwykle przerywali jego brat bliźniak i Janie.

Jesteśmy wobec siebie zjadliwi. Nieważne jak bardzo staramy się o lepszą relację zawsze zjeżdżamy na tę samą drogę. Czasami wydaje mi się, że on lubi znajdować się po mojej przeciwnej stronie.

Rozkładam ręce. – Powiedz, po co przyszedłeś. Jeśli chodzi o Janie...

- Nie. Szanuję moją siostrę na tyle, żeby nie stawać na przeszkodzie waszej przyjaźni – mówi, ale oczywiście musi dodać – chociaż uważam, że potrafisz być niezłym gnojkiem.

- Dziękuję bardzo – rzucam oschle. – Mój dzień nie jest żywnościowo *zbalansowany*, dopóki nie nazwiesz mnie gnojkiem. – Wyłączam mojego tableta, kiedy przychodzi powiadomienie. – Dlaczego tu jesteś?

- Obóz dobroczynny – mówi. – Nie dostałem zaproszenia.

To chyba jakieś jaja.

- Już rok temu przestałem ci przysyłać zaproszenia na wydarzenia dobroczynne – przypominam. – Zwykle się nie pokazujesz. Jak czasem zaszczycisz nas swoją *przerysowaną*, puszącą się obecnością...

- *Puszczą*, klasyczne.

- ...nigdy nie odpowiadasz – mówię, ale jeszcze nie skończyłem. – W ciągu 365 dni nigdy nie przyszedłeś, żeby narzekać. Więc czemu teraz?

- To twoje największe wydarzenie roku – odpowiada. – Jestem szczerze zraniony, że nawet mi o nim nie napisałeś.

- Nie odpisujesz! – Zbliżam się do krawędzi klifu, z którego pragnę zepchnąć *jego*. Ale nie mogę. *To rodzina*. – Otwórz w tej jebanej chwili naszą rozmowę tekstową. Znajdziesz tam jakieś pięćdziesiąt wiadomości, na które *nigdy* nie odpowiedziałeś. – Gestykuluję z mojej piersi na *jego*. – To musi działać w obie strony.

Charlie nie zaprzecza. – Jestem zaproszony czy nie?

- *Nie* – mówię stanowczo. – Nie jesteś zaproszony, ponieważ jeśli wydam komunikat mediom, a ty się nie pojawisz, wszystko spadnie na filantropię.

- No to nie rób komunikatu.
- Nie chcę niespodziewanych gości.

Charlie wzdycha poirytowany.

- Po prostu mnie tam nie chcesz. Nie potrafisz tego przyznać, jak tchórz. – Wstaje, a ja idę w jego ślady.

Ktoś puka do drzwi. Milkniemy, kiedy się otwierają i Farrow powstrzymuje się przed wejściem do środka, zauważając Charliego i mnie.

- Mam wrócić później... - zwraca się do mnie.

- Nie. Już prawie skończyłem. – Patrzę, jak Farrow przechodzi przez próg i zamyka za sobą drzwi, opierając się o nie ramionami.

Skupiam wzrok z powrotem na Charliem.

- Jesteś niesłowny i *niekonsekwentny*. Nie jesteś zaproszony i mówię poważnie, Charlie. Jeżeli pojawisz się nieproszony, każę ochronie cię wyprowadzić. – Wątpię, że naprawdę spełniłbym tę groźbę, ale muszę postawić sprawę jasno.

Charlie stoi niewzruszony. – Wykorzystałbyś *naszą* ochronę przeciwko *mnie*? W Omedze jest tylko pięcioro ochroniarzy. Jeden stoi pod drzwiami i co byś mu powiedział? *Traktuj Charliego, jak wroga*.

- *Nie*. Nie jesteś moim wrogiem, tylko rodziną. Ilość energii, którą poświęciłem na *próbach* włączania cię do wszystkich wydarzeń w przeszłości mogłaby poprowadzić przeklętą flotę statków wikingów... ale ty nie chciałeś współpracować. Chciałeś robić swoje, a ja to rozumiem. Idź rób swoje. Przestań pieprzyć moje sprawy.

Charlie przysiadła na krawędzi stołu, trzymając rękę w kieszeni. Odwraca głowę do mojego ochroniarza.

- Powiedz, że widzisz, jaki z niego wielki przemądrzały dupek.

- Widzę, jakim ty jesteś wielkim palantem – odpowiada chłodno Farrow, stojąc w leniwej, lecz czujnej pozycji.

Charlie wygina jedną brew. – Oboje możemy mieć rację.

- Nie wydaje mi się.

- A więc ty także jesteś przemądrzałym dupkiem. – Charlie prostuje się. – Wygląda, że idealnie do siebie pasujecie.

Sztywnieję, chociaż odnosi się jedynie do naszej relacji ochroniarz-klient. Po tym Charlie wychodzi... a ja mam nadzieję i modłę się, że zostawi mój obóz w spokoju.

MAXIMOFF HALE

Farrow bada moją dziecięcą sypialnię, jakby to był relikwiarz w muzeum. Podchodzi do drewnianej komody i bierze do ręki figurki akcji *Czwartego Stopnia*. Brązowe oczy kierują się na czarne ściany, rysunki *X-Menów* oraz wszystkie plakaty *Batmana*.

Jest pierwszą osobą poza moją rodziną, którą wpuściłem *tak daleko* do mojego świata i to żadna jebana fantazja. Tysiąc cholernych razy wyobrażałem sobie w tym pokoju Farrowa Redforda Keene i zwykle znajdował się *tylko* w łóżku.

Wiecie co... wolę tą rzeczywistość, w której jest kimś o wiele więcej niż dobrym bzykankiem, do diabła.

Podnoszę z pomarańczowego dywanu mokrą kość i wrzucam na psie legowisko Gothama. Farrow gwizdże na widok półek wypełnionych komiksami i powieściami graficznymi, które sięgają sufitu. Przejeżdża palcami wzdłuż ich grzbietów.

Opieram się o biurko, krzyżując ramiona.

- Jak wygląda twój stary pokój?

- Jest bardziej zabałaganiony od twojego. – Farrow przekartkowuje masywną powieść *Cudowny pies Duncan* autorstwa Adama Hinesa, to jedna z moich ulubionych. – Plakaty Nirvany i Blink 182, same podręczniki szkolne, drogie kino domowe i worek treningowy. – Odwraca książkę pionowo, kiedy okienka komiksu zmieniają ułożenie. – W skrócie byłem fajniejszy od ciebie.

Wymuszam poirytowany uśmiech.

- Tak jakbyś chciał, żebym wykopał cię z tego pokoju czy coś.

Rozciąga usta w uśmiechu.

- Czy coś. – Odkłada powieść na miejsce i kontynuuje spacer.

Nie mogę oderwać od niego wzroku. Potrzeba mnóstwo wysiłku, żeby spojrzeć na zegarek na ręce.

- Nie możemy tu długo siedzieć. Moi rodzice w każdej chwili wrócą z tortem Luni.

Trzydziesty listopada oznacza osiemnaste urodziny Luni Hale. Kurwa, jak ten czas szybko leci... pamiętam, kiedy była niemowlakiem i stukaliśmy się po nosach, mówiąc „beep beep”.

Luna prosiła: *żadnych wielkich imprez, żadnych niespodziewanych gości*. Tylko mała kolacja z najbliższą rodziną, a później będą u niej nocować jej najlepsi przyjaciele Eliot i Tom Cobaltowie.

Farrow jest tutaj, ponieważ moja młodsza siostra ma okropny gust i zaprasza go na swoje urodziny od *dziewiątego* roku życia. Luna zawsze go lubiła pomimo tego, jak bardzo *mnie* irytował. Wytatuowany facet z kolczykami, który wyróżniał się na tle swojej schludnej rodziny czystej krwi. Gdy różnisz się od całej grupy, potrzebujesz większej odwagi, by pozostać sobą.

Lunę ciągnie do ludzi, którzy tego doświadczają.

- Ja także posiadam zegarek, wilczku – mówi Farrow. – Widzę czas. – Opada na moje małe łóżko okryte kołdrą Spidermana. Marszczy brwi.

- Co?

- To jedno z najbardziej niewygodnych łóżek, na jakich siedziałem. – Wierci się na materacu. – Ja pierdołę, ale *twarde*. – Podpiera się na rękach. – Dlatego przez cały czas jesteś taki sztywny?

Te podteksty seksualne pieszczą mojego penisa.

- Pewnie po wyprowadzce mój brat zamienił swój gówniany materac na mój. – Naprężam mięśnie i prostuję się, przyglądając się krótką chwilę jego kolczyku w wardze... potem włosom.

Ma czarne włosy.

Niedawno się przefarbował i ten nowy wizerunek całkowicie mnie pochłania. Nie chodzi o samo to, iż wygląda na starszego czy o to, że jest jeszcze bardziej onieśmiałający. Jest atrakcyjny w każdym kolorze włosów, w każdym doborze piercingu, nieważne czy byłby ozdobiony tatuażami czy nie.

Szczerze to wszystko dlatego, że za *pierwszym razem*, kiedy ujrzałem tego faceta... nie miał białych włosów. Ani niebieskich. Gdy poznałem Farrowa, miał kruczoczarne włosy. Tak jak teraz.

Dzisiaj.

Farrowa odsuwa poduszkę na bok i opiera się o moje wezglowie. Wyobrażam sobie, że do niego dołączam, on przyciska mnie do łóżka, a wtedy obracam go brzuchem do materaca.

Chwytam jego biodra, zsuwam czarne spodnie na tyle, żeby obnażyć *doskonałe* krągłe pośladki i przesuwam wargami wzdłuż jego karku. Docieram do miejsca pomiędzy jego muskularnymi barkami...

- Maximoffie. – Jego niski głos wygrzebuje mnie z fantazji.

Podnoszę wzrok.

Uśmiecha się.

- Co? – pytam.

Farrow zgina nogę w kolanie. – Zastanawiasz się nad filozoficznym sensem świata czy myślisz o przeleceniu mojego tyłka?

Chryste. Oblizuję wargi, pragnąc poczuć na nich nacisk jego ust. *Straszliwie.* Podchodzę do łóżka.

- Jeszcze się w tobie nie znalazłem.

- Jeszcze – powtarza, lustrując moje ciało gorącym spojrzeniem. Przywołuje mnie bliżej, po czym wyciąga się i łapie mój nadgarstek, pociągając na łóżko.

Znajduję się na Farrowie, trzymając dłonie po bokach jego głowy, ale zahacza nogami o moją talię i odwraca mnie tak gładko, jakbym był jego przeciwnikiem w mieszanych walkach. Uderzam głową o poduszkę. Teraz to on jest górą.

Farrow przysuwa wargi do moich.

- Możesz dominować w basenie, ale kiedy chodzi o gesty poddania i siłowanie się, zawsze cię pokonam.

Oddycham ciężko, poruszając pod nim klatkę piersiową. Pewnego wieczoru poprosiłem Farrowa, żeby pokazał mi gest poddania. Wierny swej naturze nie potraktował mnie łagodnie. Mimo, że jestem jego *chłopakiem*. Po niecałych dwudziestu sekundach musiałem się wycofać z jego duszącego uścisku.

Farrow siada okrakiem na moich biodrach i wsadza rękę do kieszeni swojej skórzanej kurtki. Mam właśnie powiedzieć: *nie możemy się tu pieprzyć*, ale milknę, kiedy nie pojawia się żadna prezerwatywa.

Trzyma czarne pudełko.

To samo czarne pudełko, które ja mu raz podarowałem. Odznaka *dupka* jest wszyta w tył jego kurtki, więc wiem, że nie zwraca mi prezentu.

Farrow odrzuca pudełeczko za siebie i ścisną przedmiot w pięści, nachylając się do mnie.

- Wyciągnij lewy nadgarstek – szepcze serdecznym, głębokim głosem.

Rzucił na mnie jebane zakłęcie. Nawet się nie waham. Podrywam nadgarstek, roztapiamy się nawzajem spojrzeniami. Farrow rozwiera wytatuowaną dłoń, odsłaniając szarą bransoletkę z paracordu, którą można rozwinąć w linę ratunkową.

Któregoś wieczoru obejrzelismy *Mad Max: Na drodze gniewu* i wspomniałem, że fajna jest bransoletka z paracordu na nadgarstku Toma Hardy'ego.

Emocja, którą odczuwam tylko w jego obecności wraca pełną falą. Wzbiera się potężnie w mojej piersi, ale jest także nieważka – *wystarczająco lekka*, bym mógł wznieść się ponad ziemię.

- Wiedz tylko, że jesteś o wiele seksowniejszy od Toma Hardy'ego. - Zapina bransoletkę na moim nadgarstku i śmieje się, czując pieczenie w oczach.

Farrow pochłania moją reakcję, unosząc pierś w mocnym wdechu.

- Nie mówiłem ci? – szepcze, a jego oczy prawie zachodzą mgłą. – Chodzi o małe rzeczy.

Tego mi właśnie brakowało w życiu i nie potrafię sobie wyobrazić bym nigdy nie odkrył tego uczucia. Bym nigdy nie miał *jego*. Chwytam go za potylicę i rozchylam jego wargi językiem. Całujemy się głęboko, dynamicznie – tak namiętnie, że podnoszę plecy z materaca, stykając się z jego torse.

Odrywamy się od siebie, bym mógł szepnąć:

- Jestem przekonany, że nazwałeś to głupimi, przeciętnymi rzeczami, nie *małymi*.

Śmieje się w moje usta. – Jeden chuj.

- MOFFY! – wrzeszczy mój brat z korytarza.

Kurwa.

Farrow schodzi ze mnie szybko i obaj podnosimy się z łóżka. Za drugim razem, kiedy Xander woła moje imię brzmi na mniej spanikowanego, a bardziej władczo mówiącego: *przyrowadź tu swój zadek*.

- Wzywają mnie – mówię do Farrowa, wychodząc na długi korytarz. Jego krok dopasowuje się do mojego. Zatrzymuję się przed pokojem brata. Na uchylonych drzwiach wisi znak z elfickim napisem „*Zawróćcie, głupcy*”.

Słyszę więcej niż sam głos brata. Wewnątrz znajduje się całe moje rodzeństwo.

Przed wejściem Farrow pyta:

- Chcesz, żebym zaczekał na dole...

- Nie – przerywam. – Chcę cię tutaj. – Urywam na chwilę. – Chyba, że nie chcesz...

Farrow w odpowiedzi otwiera kopniakiem drzwi. Wchodzimy razem do pokoju pełnego książek fantasy w miękkiej oprawie, gier wideo, ogromnych puf, a obok łóżka z baldachimem stoi rycerz mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Wbijam wzrok w Lunę, która wymachuje w naszego brata pistoletem do przekłuwania. Jest ubrana w bluzkę odsłaniającą brzuch z napisem „*Kosmiczna Ślicznotka*” oraz czarne dresy.

Xander góruje nad nią, jako czternastolatek mierzy już metr osiemdziesiąt.

- Powiedziałem, że to zrobię, ale nie żebyś ty mi to robiła.

- No weź, Xander, jestem w tym ekspertką.

- Co? Miałaś pieprzone zakażenie języka – mówi z niedowierzeniem. Obraca głowę i zauważa mnie z Farrowem. – Dobrze. Powiedzcie jej, żeby odsunęła się ode mnie z tą bronią.

- Oddaj. – Farrow podchodzi do Luny, która bez oporu podaje mu pistolet. – Wszystkiego najlepszego – dodaje, po czym ogląda całe to narzędzie.

- Co ty wyprawiasz? – pytam Lunę i pokazuję obiema dłońmi na pistolet. – I również wszystkiego najlepszego.

- Dziękujędziękuję. – Kiwa nam głową i odrywa naklejkę gwiazdki z okrągłego policzka. – I świętuję mój osiemnasty rok życia na tej planecie. – Przykleja naklejkę do powieki. – Xander i Kinney powiedzieli, że w prezencie dla mnie coś sobie przekłują.

Kinney leży na łóżku Xandera, przełączając kanały w telewizji. Wzrusza ramionami.

- To zdawało się łatwiejsze niż pójście do centrum handlowego po prezent.

Znacie Kinney Hale jako Księżniczkę Gotyki i wszystkiego, co nadprzyrodzone. Wielu z was cholernie ją czci i macie nadzieję, że pewnego dnia będziecie odbiorcą jej obelg i zabójczych spojrzeń. Stworzyliście nawet składankę filmików z jej epickim przewracaniem oczu oraz miną „nie, suko”. I chcielibyście być częścią jej dziewczęcego składu, do którego należą Winona Meadows, Audrey Cobalt i Vada Abbey.

Ja znam ją jako moją trzynastoletnią, twardą, młodszą siostrę z miękką stroną, którą pokazuje tylko przed rodziną. I kocham ją na zabój.

Ostrzeżenie: kiedyś zmieniałem jej pieluchy i karmiłem groszkiem, którym we mnie rzuciła. Zadrzecie z Kinney, to poderżnę wam gardło, a ona wepchnie was do czeluści wulkanu.

Luna obrzuca wzrokiem pistolet trzymany przez Farrowa, następnie odwraca się do Xandera.

- I tak przekłujesz sobie ucho, prawda?

- Tak. – Xander siada na brzegu swojego łóżka. – Ale Moffy to zrobi, nie ty.

Farrow przekrzywia głowę do mojego brata.

- Niby czemu on ma być lepszy od Luny?

- Jestem pięć lat starszy – staję w swojej obronie.

- Wymień mi jedną część ciała, którą przekłuteś, wilczku.

- Spłoń – rzuca Kinney, nadal przeskakując po kanałach.

- Żadną.

- Moffy jest we wszystkim najlepszy. - Xander przeczesuje sobie roztrzepane włosy, a Farrow wybucha głośnym śmiechem.

- Zamknij gębę – mówię do Farrowa i staram się powstrzymać uśmiech, kiedy podchodzę do niego i Luny.

- Mówię serio – dodaje Xander, co ucisza Farrowa. – Moffy w niczym nie był mniej niż przeciętny. Ilekroć próbuje czegoś nowego niemal od razu staje się w tym zawodowcem.

- Magia – stwierdza Luna.

- To demon – mówi Kinney. – Jeden z tych brzydkich, które mieszkają w żabich dziurach.

Farrow nie posiada się z radości, bo moja siostra nazwała mnie demonem z żabiej dziury. Udaje mu się skoncentrować i zwraca się do nich wszystkich.

- Mogę wam zagwarantować, że jestem lepszy od waszego brata we wszystkim.

Ożywiają się.

- *W bardzo niewielu rzeczach* – poprawiam.

- *Niektórych rzeczach* – odpowiada Farrow.

- Może.

Unosi brwi, kiedy mu przytakuję. Wolę, żeby to doświadczony Farrow przekłuł moje rodzeństwo niżeli ja miałbym coś spierdolić. Jednak nadal nie pojmuję dlaczego w ogóle mamy to robić.

- Naprawdę chcesz to zrobić, Luno? – pytam. – Po całym tym gównie, w które wpędziło cię przekłucie języka?

- Ale się zagoiło i jestem z tego bardzo zadowolona. – Wystawia język z limonkowo-zieloną kulką pośrodku. – A jeżeli wszyscy coś sobie przekłujecie połączy nas

solidarność rodzeństwa. Coś podobnego zrobiliby Cobaltowie. Czy my nie posiadamy takiej relacji?

Luna patrzy na każdego z nas, nawet na Farrowa, jak gdyby grupowała nas wszystkich jako rodzinę Hale'ów. Grupkę jebanych dziwaków.

Na naszych twarzach widnieją uśmiechy.

- Tak, siostró – mówi Xander i pokazuje na Farrowa oraz pistolet do przekłuwania. – Ufam ci, stary.

- Nic ci nie przekłuję tym pistoletem za dwanaście dolców z *Claire's*. – Odwraca się do Luny. – Potrzeba igieł...

- To też kupiłam... właściwie Eliot kupił. Jego prezent urodzinowy.

- Przynieś je, alkohol do nacierania, waciki i jabłko. – Farrow wyliczający przypadkowe przedmioty nie powinien być taki seksowny. Mój penis ma obsesję na punkcie najdziwniejszego gówna.

- Spoko. Zaraz wracam. – Luna wybiega z pokoju.

- Będzie boleć? – pyta Xander.

Marszczę brwi. – Chodzi o *igłę*. W twoim uchu. – *Oczywiście, że będzie boleć.*

- Moffy, pytam faceta z prawdziwymi kolczykami.

Farrow opiera się o kolumnę łóżka.

- Robisz się coraz mądrzejszy.

Posyłam mojemu ochroniarzowi środkowy palec, a ten celowo zwraca uwagę tylko na Xandera, żeby zrobić mi na złość.

- Poczujesz lekkie ukłucie.

- W porządku. – Xander przygryza paznokcie, to jego zły nawyk. Media czepiają się każdej fizycznej zmiany w naszych ciałach – koloru włosów, kolczyków, tatuaży, nawet siniaków czy zadrapań kotów. Mając świadomość nadchodzącej dodatkowej uwagi jestem poniekąd zaskoczony, że Xander chciałby przekłuć sobie ucho. Albo robi to z miłości do Luny, albo ma nadzieję, że piercing odwróci uwagę brukowców od jego nagłego wzrostu.

Zerkam na zegarek. *Mama i tata powinni w każdej chwili wrócić.*

Xander wypluwa paznokieć. – Co sobie przekłujesz, Moffy?

Napinam szczękę.

- Pewnie nic.

- A nie mówiłam – odzywa się Kinney z łóżka. – To świętoszek.

Farrow wrzuca sobie do ust gumę, uśmiechając się szeroko w stylu Jamesa Franco.

- Nie jestem świętoszkiem – zwracam się do siostry, która jest bardzo podobna do szczupłutkiej Luni o krągłej twarzy pomijając ciemne włosy, czarną kreskę oczu, tusz do rzęs i usta. – A nawet gdybym był nie ma w tym nic złego.

Kinney przyciska z roztargnieniem guziki pilota.

- Tak właśnie powiedziałyby świętoszek. – Wtem ląduje na kanale młodzieżowym i dobiega nas znajoma, wpadająca w ucho piosenka popowa.

- *Kurde*, nie! – Xander obraca się do łóżka, żeby okiełznać Kinney, która rzuca się do telewizora.

Podbiegam do nich i chwytam Kinney w talii. Jej kościste kończyny młóćą i walczą o dojście do telewizora. Waży trzydzieści pięć kilogramów, więc bez problemu mógłbym przerzucić ją sobie przez ramię, ale tego nie robię.

Bo spróbowalaby odgryźć mi ucho.

- Puszczaj. Mnie!! – wrzeszczy Kinney.

Farrow znajduje pilota i wyłącza reklamę. Siostra wciąż rzuca się w moich ramionach, chcąc rzucić się do urządzenia.

Xander zasłania swój płaski telewizor.

- Jest nowiuteńki, nie zniszczysz go.

Kinney wyrzuca przed siebie nogi i ściskam ją mocniej.

Luna wraca ze wszystkimi przyborami potrzebnymi do zabiegu, a za nią podąża nasz stary basset hound. Gotham podbiega powoli do każdego z nas i oblizuje nam nogi.

Luna wytrzeszcza oczy na naszą siostrę.

- Uch...

- Viv – wyjaśniam, ale uwalniam również imię, które sprawia, że Kinney przypadkiem wbija łokcia w moją tchawicę... *ja pierdolę*. Dostaję napadu kaszlu i rozluźniam uchwyt, wypuszczając Kinney, która natychmiast się do mnie odwraca, otwierając szeroko oczy.

- Do diabła. Moffy?

Wyciągam rękę w geście „*nic mi nie jest*”, ale Farrow do mnie podchodzi i kładzie mi rękę na plecach. Pochylam się do przodu, podpierając na udach. *Przestań kaszleć*. Próbuję się wyprostować i masuję sobie szyję.

- Powiedz coś – rozkazuje Kinney. – W tej chwili.

- Może najpierw pozwól mu odetchnąć? – odpowiada spokojnie Farrow.

Kinney posyła mu zabójcze spojrzenie.

- Wszystko dobrze. – Kaszlam ostatni raz w pięść ze łzami w oczach. Zaciskam powieki, po czym mówię do siostry: - Myślałem, że już doszłaś do siebie po Viv. Minęły trzy miesiące odkąd wyjechała do L.A.

Jej dziewczyna przeprowadziła się, żeby występować w programie młodzieżowym z tańcami i śpiewaniem, a rozstały się tylko dlatego, iż nie chciały decydować się na związek na odległość.

To wydarzenie bardziej utwardziło serce Kinney niż złamało. Za każdym razem, kiedy trafia na ten program albo piosenkę miażdży swój telefon. Albo telewizor. Już wykorzystała całe swoje kieszonkowe na rok czasu.

- Było warto – powiedziała wtedy.

Kinney prycha. – Bo doszłam. – Celuje palcem w telewizor. – Ten program jest do bani. Nic zachwycającego. Viv zasługuje na coś lepszego. Jest o wiele bardziej utalentowana.

- Uhm. – Luna przytakuje i podaje Farrowowi przyniesione rzeczy. On wyciąga z kieszeni zapalniczkę.

- Może powinnaś spróbować spotykać się z kimś innym? – proponuję. – Interesuje cię jakaś inna dziewczyna?

- Nie – burczy do mnie. – Nie masz doświadczenia w randkowaniu, więc musisz wyluzować.

Farrow uśmiecha się i przekłupa balona z gumy.

Zostać ośmieszonym przez trzynastoletnią siostrę to dla mnie nic nowego. Ale wzmianka o moim braku doświadczenia w randkowaniu *przed* Farrowem, cóż, to jest bezcenne.

- Tom powiedział, że zabierze cię do baru, żebyś zapomniała o Viv – mówi Luna.

- *Nie* – odzywamy się jednocześnie z Farrowem.

- Chodziło mi o bar dla lesbijek – tłumaczy Luna.

- Nadal *nie*.

Kinney wbija oburzone spojrzenie we mnie i Farrowa.

- Powinnam unieważnić wasze członkostwo w Tęczowej Brygadzie za tą niesprawiedliwość. – W wieku dziewięciu lat wymyśliła *Tęczową Brygadę* i wyznaczyła się na prezeskę, ponieważ jest jedyną lesbijką. Brygada składa się ze mnie, Toma, Farrowa, Oscara i Kinney. Wszystko to jest *duchowe*, ponieważ jako grupa nic jeszcze nie zrobiliśmy. – Wiem, że oboje bywaliście w gejowskich barach i klubach...

- Jesteśmy dorośli – mówi Farrow, przeżuwając powoli gumę.

- A ty jeszcze miesiąc temu miałaś dwanaście lat – dodaję.

- Posiadam serce czterdziestolatki – odpowiada z całkowitą powagą.

- Nadal posiadasz ciało dziewięciolatki – ripostuje Farrow.

Kinney przesywa go wzrokiem.

- Mam *trzydzieści* lat, gnojku.

- Nie nazywaj go gnojkiem – karcę siostrę.

- Ty też jesteś gnojkiem.

Farrow uśmiecha się i rozpala zapalniczkę, żeby wysterylizować igłę, ale nie zachodzi daleko w tym zadaniu. Gotham zaczyna czekać, jakby właśnie otworzyły się drzwi wejściowe.

Moje rodzeństwo, Farrow i ja zbieramy się na schodach. Jedna część domu tworzy tunel dźwięku i wszystko, co powiedzą rodzice w foyer staje się megafonem dla tych schodów.

Nie widać jeszcze mamy i taty, a Kinney wyciąga ramię, blokując nam zejście do salonu.

- Nie podsłuchujmy – szepczę do niej.

- Ciii – syczy. – Zapewne rozmawiają o czymś obrzydliwie słodkim. Poczekajcie.

Xander podpira się na balustradzie, Luna przysiada na stopniu, a ja odwracam się do Farrowa stojącego obok. Uśmiecha się w stylu „*to twoja rodzina, stary*”. Po czym podaje Lunie plasterek gumy.

Najpierw dochodzi mnie głos taty.

- To nie podlega dyskusji – mówi do mojej mamy. – On jest najgorszą postacią w całym uniwersum *X-Menów*. Koniec kropka.

- Jest zabawny. *Mnie* się spodobał.

- Nie możesz mówić tego na głos. Po pierwsze, to absurdalne. Po drugie, jego imię to *Goldballs*³.

- Nie lubię go przez jaja – odparowuje mu zaciekle.

- Ja to wiem, Lil, ale inni nie – mówi tata. – I jesteś kłamliwą kłamczuchą, ponieważ wiem, że nie znajduje się nawet w twojej pierwszej dziesiątce. Zamierzasz powiedzieć mi prosto w oczy, że jest dla ciebie lepszy od Sunspota, Magik, Emmy Frost, Cyklopa, X-23 albo Helliona. Chryste, nadaliśmy trójce naszych dzieci imiona po X-Menach.

Kinney, Xander i ja wymieniamy się spojrzeniami.

Luna nadmuchuje balona z gumy. Ona ma imię po Lunie Lovegood, postaci z *Harry'ego Pottera*.

- Wyobrażasz sobie, gdyby Maximoff miał na imię *Goldballs*?

Piorunuję Farrowa wzrokiem, który mówi *nigdy o tym nie wspominaj*. Umiera z rozbawienia, to jest oczywiste po jego minie.

Drogi Świecie, przestań sprawiać, że mój chłopak (który lubi się ze mną droczyć) bawi się dzisiaj lepiej niż kiedykolwiek. Z poważaniem, rozżłoszczony człowiek.

- Przestań, proszę – marudzi mama.

- A więc przyznaj, że nie ma go w twojej pierwszej dziesiątce.

- W pierwszej dwudziestce.

- Z tym mogę żyć.

- Dobrze, bo nie zamierzałam tego dla ciebie zmieniać – odpowiada mama. Wyobrażam sobie, że szczyrzy się uśmiechu, trzyma wysoko podbródek i krzyżuje ramiona w rozbawieniu. Widziałem to już tysiąc razy wcześniej.

- Auć – mówi tata w udawanym zranieniu. – Prosto w serce, Lil.

- To jedyne miejsce, którego sięgam – ripostuje.

- Nie jestem tego pewien... - Ich głosy cichną. Robi się za cicho, co znaczy, że do siebie przywarli.

- Mamo! Tato! – wołam i razem z Farrowem schodzimy pierwsi na dół.

W tej chwili uderza we mnie ogromna świadomość – właśnie wtedy, jak moim oczom ukazuje się zarumieniona mama, która macha do nas serdecznie.

³ Goldballs – czyli najprościej *złote jaja* bądź *złote jądra*.

Po raz pierwszy wezmę udział w rodzinnej kolacji z Farrowem jako moim chłopakiem. Rozumiem, że *teoretycznie* jest tutaj w roli gościa Luny. Jest nawet poza służbą jako mój ochroniarz. Lecz ten ukryty fakt chwyta mnie w żelaznym uścisku.

Myślałem, że niezdolność wyznania prawdy rodzinie będzie gorzko-słodką. Utrzymywanie związku w sekrecie. *W prywatności.*

Ale nie czuję się wcale zgorzkniały.

Dziękuję z nimi przekłucie ogromną część mojego życia. Ze wszystkimi. Tymczasowe posiadanie tej przestrzeni przeznaczonej wyłącznie dla Farrowa i mnie zdaje się *mniej* ograniczone i po prostu swobodne. Zero presji, zero oczekiwań. Tylko ja i on.

Tylko my.

FARROW KEENE

Jako były ochroniarz Lily uważam, że jestem dość zaznajomiony ze wszystkimi sprawami Hale'ów. I podczas wielu rozmów z Lo, jej mężem, nigdy nie czułem obawy ani strachu. Nigdy się nie spociłem.

Ale nigdy nie przebywałem z nim sam na sam w kuchni, przygotowując proste danie z makaronem na urodziny Luni, chowając wielką tajemnicę: *Nie tylko ochraniam twojego syna, ja z nim sypiam. Ach, dziś rano się pieprzyliśmy i nawet zrobiłem mu najlepszego loda w życiu. Sam tak powiedział.*

Udaje mi się zachowywać beztroško, ale stoję na krawędzi, do której nigdy wcześniej się nie zbliżyłem. To z pewnością całkiem nowe uczucie.

Nalewam wody do garnka, Lo rozpala palnik.

- Jak dogadujesz się z ojcem?

- Nie dogadujemy. – Zakręcam kurek. – Nie rozmawiałem z nim od ponad dwóch lat. – Stawiam do połowy wypełniony garnek na kuchence.

- Cóż, myślę, że ostatecznie zmieni zdanie. – Lo poklepuje mnie pocieszająco po ramieniu. Dr. Keene jest lojalny tym rodzinom od bardzo długiego czasu. Widzicie, mają nadzieję, że ojciec i ja zdołamy naprawić relację, ale to się stanie tylko, jeśli porzucę ochronę i podejmę karierę lekarza.

A nie opuszczę Omegi.

Nie opuszczę Maximoffa.

Zabiera rękę, żeby nalać sos pomidorowy do patelni.

- Tato. – Maximoff wchodzi do kuchni z salonu, gdzie reszta rodziny Hale'ów ogląda film science fiction przed kolacją. – Mogę pomóc z...

- Nie, *nie*. – Lo wymachuje drewnianą łyżką w stronę drzwi. – Wynocha.

To piąty raz, jak Lo przegonił swojego syna z kuchni. Maximoff patrzy na mnie zmrużonymi oczami w wyrazie *zrób coś*.

Opieram się o blat. – Nie możesz we wszystkim uczestniczyć, wilczku.

- Według ciebie – odpowiada. – Ja twierdzę, że mogę.

- Teraz wiemy przynajmniej, kto jest mądrzejszy.

- Ja...

- Farrow i ja mamy to pod kontrolą – przerywa mu tata. – My sobie rozmawiamy. Idź spędzić trochę czasu z mamą. Z tą, która szturchała cię we śnie, kiedy byłeś niemowlakiem, bo bała się, że przestałeś oddychać.

- Dobra. – Maximoff prostuje się i posyła mi spojrzenie mówiące: *nie mów mu, że jesteśmy razem.*

Bez jaj.

- Jak ochrona będzie działać w przyszłym tygodniu z namiotami? – pyta mnie Lo po zniknięciu jego syna. Chodzi mu o obóz dobroczynny. *Pozostał jeden tydzień.*

Dzisiaj nie mam przy sobie radia, ale Donnelly odlicza godziny do zamknięcia loterii. Przed północą zostanie wybranych 300 przypadkowych uczestników. Potem wszyscy dostaniemy żmudne zadanie prześwietlenia ich w siedem dni. Mam nastawienie, że jeśli prześlizgnie się nam jakiś sukinsyn, zajmiemy się tym na biwaku.

Najlepiej bez użycia pięści.

Już czterech ochroniarzy powiedziało mi „Lepiej przygotuj się na łapanie Maximoffa”, ponieważ wierzą, że będę musiał go wyciągać z bójek. Wszystko jest teraz w nowym świetle. *Będę wyciągał z bójek mojego chłopaka.* Nie tylko klienta.

Mojego chłopaka.

Przez moje żyły przepływa emocjonalny prąd o znacznie wyższym nasileniu.

Wsypuję sól do garnka wody.

- Ponieważ tylko Maximoff, Jane i Sulli biorą udział w obozie poza gośćmi z loterii, przydzielimy większość ochrony właśnie tej trójce w nocy – zacznam tłumaczyć Lo sytuację ze spaniem.

- W jaki sposób? – Miesza sos, okazując wyraźną troskę w bursztynowych oczach.

- Ich osobiści ochroniarze będą przebywali z nimi w namiotach...

- Zatem będziesz spał z Maximoffem w jego namiocie? – Jego głos jest ostry, co jest normalne dla Lorena Hale’a. Ale spinam się i obserwuję jego wyraz twarzy.

Cholera, orientuję się, że wstrzymuję oddech, a przecież nigdy tego nie robię. Nie licząc sytuacji, kiedy przeżywam oszałamiający, wywracający oczy do tyłu seks z jego synem.

Przeczesuję czarne włosy. – Tak. Przed namiotem będzie stał inny ochroniarz z Alfą. Nikt nie będzie mógł do niego wejść, chyba że zapragnie złamanego nadgarstka.

Lo nie przestaje mieszać sosu i kiwa głową w milczeniu.

- Skoordynowaliśmy wszystko do najmniejszych detaliów. Wszystko jest pod kontrolą, Lo. – Wyczuwam jego obezwładniającą troskę rodzica. Obracam się do taty Maximoffa. – Obiecuję, że nie pozwolę, by stało mu się coś złego.

Zakochuję się w twoim synu.

- Ufam ci, Farrow – odpowiada spokojnie Lo.

Te słowa jednocześnie wywołują we mnie ulgę i splot żołądka. Odwracamy głowy, kiedy do kuchni wchodzi Lily ubrana w czapkę Wampy z *Gwiezdných Wojen*. Trzy lata całodobowej obstawy drugiej osoby wydają się całą dekadą.

- Farrow. – Uśmiecha się do mnie.

- Lily. – Przytulam jedną z moich ulubionych osób na świecie. Nie pochylam się do jej wzrostu, tylko prostuję i wznoszę ją nad podłogą.

Lily zaciska dłonie na moich policzkach.

- Jak się masz? Jesz coś? Jesteś nawodniony?

Unoszę kąciki ust i stawiam ją na ziemi.

- Nawodniony, nakarmiony – zapewniam. – Wszystko jest dobrze⁴.

Lily uśmiecha się szeroko na mój dobór słów.

- Wszystko jest dobrze... słyszałeś, Lo?

- Słyszałem, skarbie. – Spogląda czule na żonę.

Lily zajmuje stołek i rozkłada dłonie na blacie kuchennym.

- Moffy nie jest zbyt uparty, prawda? Nie robi tego celowo. Po prostu lubi przyjmować na siebie całą odpowiedzialność.

- Zauważyłem – mówię i jak na zawołanie pojawia się Maximoff, zajmując stołek obok mamy.

- O czym rozmawiamy? – pyta.

- O tobie – odpowiadam rzeczowo.

- Nie przychodzi ci do głowy żaden inny temat? - Uśmiecha się z rozdrażnieniem.

- Nie bądź wredny dla Farrowa. – Lily daje mu kuksańca w zębra.

⁴ Chodzi o ostatnie zdanie z 7 części Harry'ego Pottera, tyle że musiałam zmienić trochę wypowiedź. Zamiast „Wszystko było dobrze” – „Wszystko jest dobrze”.

Marszczy brwi. – Mamo, on jest dupkiem dla *mnie*.

- Słuchaj mamy, Maximoffie. - Podpieram się na blacie.

Lo wrzuca makaron spaghetti do garnka.

- Mam pytanie, dlaczego zwracasz się do niego tylko pełnym imieniem?

- Zapytaj swojego syna.

- Moffy?

Ten napina ramiona. – Na litość boską, podoba mi się moje pełne imię i nie jestem dzieckiem.

Kiwam powoli głową, nareszcie dostając odpowiedź. *Nie chciałeś, żebym postrzegał cię jako dziecko*. Ma dwadzieścia dwa lata, ale kiedy był młodszy mówiłem do niego tylko „Moffy”.

Lo udaje zszokowanie. – Nie jesteś dzieckiem? Jezu Chryste, kiedy to się wydarzyło? Lily?

- Ja tego nie zrobiłam – odpowiada mu. – Chciałam, żeby był wiecznie młody. Jak Piotruś Pan.

- Piotruś Pan nie posiada rodziców – ripostuje Lo. – Wycinasz nas z obrazka, Lil.

- No to Piotrusiem Panem z rodzicami.

Maximoff obserwuje ich interakcje z czułością, następnie patrzy na mnie. *Chciałby czegoś takiego*. Pozwala sobie na pragnienie i tęsknotę za ogromną miłością oraz podziwem, które żywią do siebie jego rodzice.

Chcę ci to wszystko podarować.

- Farrow. – Lily przykuwa moje spojrzenie. – Spotykasz się z kimś nowym?

Zmuszam się, żeby nie zerkać na Maximoffa.

- Tak, ale to... skomplikowane.

- Sami to przerabialiśmy – mówi Lo.

Maximoff ściąga brwi i pokazuje na swojego tatę.

- Co było takiego cholernie skomplikowanego w tobie i mamie? Byliście *najlepszymi przyjaciółmi*, którzy mieszkali w tym samym sąsiedztwie.

Lo patrzy na syna, jakby wyrosły mu kopyta.

- Byliśmy nałogowcami, którzy nakręcali się nawzajem.

- Od samego początku byliśmy skazani na porażkę – stwierdza Lily.

- Ale wytrwaliście – mówi stanowczo Maximoff, pragnąc, by uwierzyli w swą wartość, ale Lo ostrzega swoje dzieci przed uzależnieniami, wykorzystując własne niepowodzenia jako „czego nie robić”. – Pokonaliście *wszystko* – ciągnie Maximoff. – Jesteście przeklętymi...

- Szczęściarzami – dokańcza Lo. – Co nie wymazuje ciężkich chwil, kolego.

Lily przeciąga się przez wyspę kuchenną w moją stronę.

- Masz jakichś przyjaciół, których mógłbyś przedstawić Moffy’emu?

Maximoff wygląda na zbitego z tropu nagłą zmianą tematu.

- *Mamo.*

Zaplatam luźno ramiona, śmiejąc się cicho. Chciałbym, żeby to mogło trwać cały wieczór.

- Nie chcesz, żebym przedstawił cię moim przyjaciołom? – pytam go.

- A masz takich? – odparowuje sarkastycznie.

- Moffy! – Lily otwiera szeroko usta. – Jesteś Puchonem. *Bądź miły.*

Maximoff obejmuje swoją mamę. – Farrow to mój wyjątek, mamo i nie został nawet przydzielony...

- Twoja mama przydzieliła mi dom w zeszłym roku. – Jej miłość do *Harry’ego Pottera* sięga bardzo głęboko.

Lily przytakuje stanowczo.

- Jest Gryffonem.

Puszczam drwiącego całusa w kierunku Maximoffa.

Oblizuje usta, starając się o grymas, ale nie bardzo mu wychodzi. Lily przygląda nam się kolejną sekundę, następnie znowu pyta:

- Być może znasz kogoś, kto zechciałby *umawiać* się z Moffym?

Maximoff jęczy i wzdycha ciężko.

- Już o tym rozmawialiśmy.

Zawsze chciała, żeby przestał szukać sobie jednonocnych przygód. Jej przeszłość jest wybrukowana przypadkowymi partnerami i jako że jest seksoholiczką obawia się, że jej syn wpadnie na niszczącą ścieżkę. Wszystko opiera się na jej własnych doświadczeniach.

Nim zdążę odpowiedzieć, Lo wyciera ręce w ręcznik kuchenny i zwraca się do mnie.

- Ile lat mają twoi kumple?

Myślę o większości „kółek przyjaciół”, które zebrałem na studiach. Zawsze wolałem innych facetów ze Studio 9, ale w tym hipotetycznym scenariuszu, w którym on nie jest moim chłopakiem... znam więcej niż kilka osób, które z wielką chęcią zechciałyby umawiać się z najseksowniejszym celebrytą w mieście.

Chcę powiedzieć: *on jest mój*.

Mój i nie będę się nim dzielić z żadnym pierdolonym mężczyzną czy kobietą. Zgrzytam zębami, ale zachowuję pozory.

- Mniej więcej dwadzieścia siedem.

- Nie – mówi wprost Lo. – Za starzy.

Poruszam mięśniami szczęki. – To tylko pięcioletnia różnica...

- A mój brat poślubił młodszą o siedem lat dziewczynę... wiąże się z tym za dużo komplikacji. Trzeba to zdusić w zarodku nim się zacznie. – Celuje palcem w Maximoffa. – Posłuchaj tej rady, kolego.

Lo pragnie dla swojego syna czegoś *łatwego*.

Ja ułatwiam mu każdy dzień, ale gdybyśmy ujawnili swój związek jego rodzinie i społeczności byłbym jednym z najbardziej skomplikowanych wyborów w jego życiu.

Ale przypominam sobie, że jestem z wiernym, niewzruszonym facetem. Maximoff patrzy prosto na mnie z oporem i ostatecznością, która mówi: *Pragnę ciebie*.

Tylko ciebie.

MAXIMOFF HALE

Po kolacji i torcie urodzinowym tata prosi mnie o rozmowę na osobności, więc wychodzimy na taras wychodzący na podwórze. Zapalam światła basenowe, żebyśmy nie siedzieli w ciemności.

Zajmuję miejsce na najbliższym krześle, a on siada na brzegu leżaka.

- Co jest? – pytam.

Mój tata posiada taką ostro zarysowaną twarz, nie ma w niej nic łagodnego. Gdy jest w poważnym lub refleksyjnym nastroju, staje się jeszcze mniej zachęcający.

Nigdy się go nie bałem.

Nawet teraz, kiedy zaciska mocno szczękę i przelewa na mnie intensywne skupienie.

- Nie poruszałem tego tematu od roku – zaczyna – ponieważ myślałem, że potrzebowałeś czasu, żeby samemu wszystko sobie ułożyć. Ale musimy porozmawiać o twoich włosach.

Kurwa.

Przejeżdżam dłonią po jasnobrązowych pasemkach.

- Rzeczywiście robią się długie – mówię ironicznie, obawiając się, do czego prowadzi ta rozmowa.

- Maximoff. – Tata jest naprawdę poważny, skoro używa mojego pełnego imienia. – Wyjaśnij mi, co się dzieje. Co się tłoczy w twojej głowie?

Podoba mi się, że mój tata zadaje mi pytania zamiast przypuszczać nie wiadomo co. Daje mi szansę, żebym wytłumaczył mój tok myślenia. I nie marnuję tej szansy.

- Nie chcę wyglądać jak wujek Ryke – mówię, ściskając w ręce butelkę wody. – Mam... *piekielnie* dosyć, że ludzie ciągle mnie do niego porównują. – Przełykam gulę w gardle. – Tak jest, co drugi dzień, tato. Jeżeli nie wdaję się w bójki tak jak on, to noszę *zieloną* bieliznę. To już się robi cholernie absurdalne. – Odkręcam wodę. – Zanim powiesz „*plotki nigdy nie ustaną*”, ja to wiem. Nie próbuję nikogo przekonywać, że to ty jesteś moim tatą. Mam na to dowód genetyczny. Nie o to chodzi.

Marszczy mocno czoło.

- Więc o co?

Od samego patrzenia mu w oczy i przymusu wypowiedzenia tych słów boli mnie klatka piersiowa. Ale minął już rok i pora to z siebie wyrzucić.

- Chodzi o to, by ludzie wiedzieli, że cię kocham – mówię zdecydowanie. – Że jesteś dobrym tatą. Że ty mnie wychowywałeś i byłbym *dumny* będąc taki, jak ty. Ale im bardziej wyglądam i zachowuję się, jak *on*, tym bardziej oddzielają mnie od ciebie.

Dlaczego moje sukcesy nie mogą być związane z rodziną Hale'ów? Czy to tak kurewsko trudne, by media uwierzyły, że nałogowcy mogą wychować porządnego człowieka? Porządnego syna?

Tata potrząsa głową, jakbym patrzył na świat poprzez wypaczone okulary.

- Moffy, nie wyobrażam sobie dla ciebie niczego gorszego niż bycie bardziej podobnym do mnie – oznajmia prosto, wyraźnie, niewątpliwie. Zimny sztylet przeszywa mój żołądek. – Fakt, iż bardziej przypominasz Ryke'a jest moim największym osiągnięciem rodzicielskim.

Poruszam nozdrzami i prawie zgniatam butelkę w rękę, starając się pohamować emocję, która chce mną zachwiać. Nie zgadzam się z nim. Nie potrafię się zgodzić, ale on siedzi sobie tutaj i twierdzi, że wyszedłem na ludzi. Może jest to komplement, ale widzę tylko, że mój tata burzy siebie, żeby podbudować mnie.

- Chcę przypominać bardziej ciebie – odpowiadam. – Ty jesteś wspinałym człowiekiem. Przeklęty problem tkwi w tym, że nie widzicie tego ani ty, ani media. – Oni widzą jedynie leczącego się alkoholika. Czekają, aż popełni błąd. Odczuwają szok i zdziwienie, kiedy osiąga sukces. Jakie to irytujące, kurwa.

- Nie znałeś mnie w najgorszym okresie mojego życia – przypomina. – A media tak. Żyłem ze sobą zbyt długo, by być pozbawionym złudzeń, że moje złe cechy magicznie wyparowały. One wciąż we mnie istnieją i codziennie prowadzę bitwę, której *cieszę się*, że nie odziedzyczyłeś.

Przyciskam palce do piekących oczu.

- Więc skończysz z tym? – pyta.

Opuszczam rękę i oddycham przez żarliwą determinację.

- Nie chodzi o to, co ty myślisz. *Nigdy* o to nie chodziło. – Chodzi o wszystkich innych. Być może on widzi siebie jako czarny charakter, ale ja nie będę nasycać demonizacji Lorena Hale'a.

Moim obowiązkiem jest podtrzymywanie narracji, w której jest bohaterem. W której jestem synem, który go uwielbia i potrzebuję, żeby ujrzeli to wszyscy inni.

Jego żuchwa mogłaby przecinać lód, a wzrok jest równie brutalny.

- Nie. Nie ma cholernej mowy, że będziesz zmieniał tego, kim jesteś, bo uważasz, że świat musi mnie pokochać.

- Nie zmieniam tego, kim jestem – sprzeciwiam się. – To tylko włosy i jebany kolor, którego nie noszę.

- To dlaczego nie będziesz uczestniczył w ultra? – odparowuje. – Podaj mi inny powód, dlaczego miałbyś zrezygnować z takiego doświadczenia. No proszę. Czekam.

Ja pierdolę.

- Tak, Ryke do mnie dzwonił – mówi na widok mojej zszokowanej miny. – Sulli mu powiedziała, że masz wątpliwości. Wszystko dlatego, że mój brat biegł w ultra maratonie. Moffy, czy ty widzisz, co się tutaj dzieje?

Wbijam intensywne spojrzenie w gwieździste niebo i właśnie w tej chwili podejmuję decyzję.

- Wezmę udział w ultra.

- I przestaniesz farbować włosy – dodaje i słyszę niewypowiedziane słowa: *całkowicie z tego zrezygnujesz*. Czy mogę zrezygnować i nic nie robić? Czy będę mógł ze sobą żyć?

Spuszczam wzrok na tatę.

- Muszę dalej próbować.

On tylko na mnie patrzy i mówi:

- Pewnego dnia spojrzysz wstecz i uświadomisz sobie, dlaczego byłeś w błędzie. Wtedy zrozumiesz. Pewnego dnia.

FARROW KEENE

- Co za chuj – mamrocze Maximoff, przyglądając się pudełku z farbą do włosów, następnie jeszcze raz czyta etykietkę.

Jesteśmy w mojej łazience, która jest tak samo diabelnie mała, co jego, ale nie ma tu żadnych dekoracji. Widzicie, oba mieszkania są w tej chwili puste. Jane i Quinn spędzają noc na Manhattanie u jej braci bliźniaków, dlatego mamy moje miejsce tylko dla siebie dzisiaj i przez większość dnia jutrzejszego.

- Brakuje ci czegoś? – pytam, stojąc przy umywalce. Wsadzam ostrze #2 do mojej maszynki do włosów.

- Rękawiczek. – Przeczesuje siatkę góvien, które dopiero co kupił w drogerii. To wyjście wymagało trzech godzin, dodatkowej ochrony i mojego kolana w lędźwiach jednego pojeba.

Jak wyszliśmy ze sklepu, fotograf w średnim wieku próbował chwycić Maximoffa za krocze. *Próbował* to słowo kluczowe.

Facet skończył zgięty w pół z bólu.

Maximoff może i przywykł do bycia ciągle dotykany w ogromnych tłumach – do ludzi szarpiących jego ubranie, a nawet ciągnących za włosy i szyję – ale nie ma jebanej mowy, że pozwolę komuś łapać go za tyłek albo penisa.

- Pod umywalką znajduje się więcej jednorazowych – mówię i odkładam maszynkę na jej brzeg. Spoglądamy sobie w oczy przez gorącą sekundę, a potem opuszcza wzrok na moje odkryte mięśnie brzucha, wcześniej ściągnąłem koszulkę i wsadziłem do tylnej kieszeni spodni.

Oblizuje usta. – Wezmę sobie.

Zbliża się do mnie, po czym klęka i przeszukuje szafkę. Ociera się ramieniem o moją nogę.

- Dobrze wyglądasz na kolanach – rzucam.

- Jeszcze lepiej od ciebie – odparowuje.

Wyginam kącki ust. – Co innego mówiłeś wczoraj, kiedy doszedłeś w moich ustach.

Maximoff patrzy na mnie mało przekonującym wściekłym spojrzeniem. Powiem szczerze: zasadniczo się uśmiecha. Podnosi się z siadu, trzymając rękawiczki – i przypadkiem zderza się ze mną torsem.

Żaden z nas uparcie nie ustępuje miejsca.

Na jego twarzy powoli pojawia się zirytowany uśmiech mówiący: *to ty stoisz na mojej drodze*.

Zdecydowanie zaczynam uwielbiać ten brak przestrzeni. Podnoszę rękę i przesuwam palcem przez jego gęste włosy.

- Chcesz więc dopasować kolor do odrostów?

Maximoff wpatruje się przed siebie odległym wzrokiem, kiedy przejeżdżam palcami wzdłuż jego linii włosów. *Naprawdę mu się to podoba*. Przysuwa się bliżej, stukając się z moim biodrem.

Jeszcze raz przeczesuję mu włosy.

- Nie jest za późno, żeby zdecydować się na niebieski.

- Co? – Wybudza się z otępienia. *Gdzie odleciałeś?*

Nie usłyszał mnie.

- Niebieskie włosy, wilczku – powtarzam, masując mu głowę.

Marszczy brwi. – Podoba mi się twój czarny kolor.

Prawie wybucham śmiechem. Zapłaciłbym, żeby ujrzeć, co takiego widzi, kiedy wyłącza się na całe otoczenie.

- Dobrze, ale nie chodziło mi o niebieskie włosy dla mnie. Miałem na myśli *dla ciebie*.

- Nie ma szans. – Odwraca się, żeby wziąć swoje pudełeczko farby, ale odrywam od niego ręce. – Możesz to odłożyć do kategorii „*nigdy się, kurwa, nie wydarzy*”.

Opieram się bokiem o umywalkę.

- Czyż to nie jest ta sama kategoria, do której wsadziłeś „*mnie kierującego autem*”? – Posyłam mu spojrzenie. – Wygląda na elastyczną.

- Nie jest. – Pokazuje mi środkowy palec.

Patrzę, jak otwiera pudełko i zaczyna mieszać farbę w plastikowej miseczce. Maximoff zawsze sam sobie farbuje włosy, więc ten proces nie jest dla niego żadną nowością.

Dzielimy lustro oraz ciasną przestrzeń przed umywalką. Podłączam do prądu maszynkę do włosów.

Ten zdejmuję swoją koszulkę. *Cholera*, co za sześcioopak. Maximoff odrzuca na bok szary półgolf.

- Uważasz mnie za świętoszka? – pyta niespodziewanie.

Maximoffie.

- Nawet nie przeszło mi to przez myśl. – Przypominam sobie, jak go nazwała Kinney dwa dni temu. – Ale widzę, że gryzie cię.

Wciera sobie balsam w czoło tuż pod linią włosów, żeby nie nanieść farby na skórę.

- Myślę o tym, że nie dołączyłem do rodzeństwa w przekłuwaniu uszu i zastanawiam się, co to znaczy. Może nie kocham ich na tyle, żeby się tak poświęcić.

- A może nie ulegasz łatwo presji grupowej, nawet takiej składającej się z twojego rodzeństwa. – Wpatruję się w niego przez lustro. – Odmówiłeś piercingu, ponieważ go nie chciałeś... to seksowne.

Uśmiecha się, a równocześnie próbuje zachować powagę. Zakłada rękawiczki.

Zaczესuję długie czarne kosmyki na górze, ponieważ zamierzam tylko leciutko przystrzyzc boki.

- W każdym bądź razie – mówię – nie uważam cię za świętoszka, ale na pewno jesteś podobnym słowem na „ś”. – Przejeżdżam maszynką nad uchem.

- Lepiej, żebyś powiedział *światny*. – Maximoff rozlewa farbę na włosach, jakby to był szampon. Bardziej przygląda się ruchom moich dłoni niż swoich.

Uśmiecham się szczerzej.

- Święty.

Przeszywa mnie wzrokiem. - Zapomniałem, że nie znasz definicji świętości.

Przesuwam ostrzem po tym samym miejscu.

- Możesz być świętym i uprawiać dużo seksu. – Zawsze będę go postrzegać jako osobę o szczerze dobrym sercu. – A jeśli ktokolwiek ma odmienne zdanie, mam to w dupie.

Przełyka ciężko ślinę, jakby moje słowa naprawdę go podnieciły. Spina się, po czym odgarnia włosy do tyłu ciemnobrązową farbą.

- Wiesz dlaczego wracam do naturalnego koloru?

- Mogę zgadywać, ale nie wiem na pewno. – Nie chciałem na niego naciskać, żeby mi powiedział. Stwierdziłem, że sam o tym powie, kiedy będzie gotowy.

Patrzemy sobie w oczy w lustrze.

- To wydawało się słuszne – mówi zdecydowanie. – Nie przeszkadzało mi farbowanie włosów na jaśniejszy odcień ani noszenie częściej czerwieni niż zieleni, ale to tylko dodawało konfliktu w mojej rodzinie. Dlatego poczułem, że najlepiej będzie wrócić do tego, co było. – Wciera więcej farby we włosy. – Wymyślę inny sposób, by pokazać światu, że jestem dumny z taty.

Przycinam drugą stronę głowy. Zawsze wierzyłem, że wyjdzie i tak źle, i tak nie dobrze, może jedynie zaufać swojemu instynktowi. Zapytał kiedyś, co sądzę, a ja powiedziałem tylko:

- *Stawiałbym na opcję, żebyś nie walczył ze samym sobą.*

Maximoff zna się lepiej niż większość innych osób zna siebie. Gdyby coś mu nie pasowało, on pierwszy by to wyczuł. I cieszę się, że się nie zawahał.

- Wiesz, że będę stał przy twoim boku bez względu na wszystko – mówię z uśmiechem, przechylając głowę, żeby sięgnąć maszynką dalej do tyłu. – Chyba, że to będą kompletne bzdury. Wtedy ci o tym powiem i to ty będziesz stał przy moim boku.

- Cóż za obrót spraw – odpowiada bez sarkazmu – *buntownik* pragnie kogoś u swego boku.

- Tak. Pragnę twojej przemądrzałości. – Podtrzymuję jego wzrok. Nigdy nie spędziłem tyle czasu z drugą osobą. Nawet z ostatnią klientką. Z żadnym byłem ani kolegą, a gdyby doba miała więcej godzin chciałbym je spędzić właśnie z tym facetem.

Kurwa, jestem stracony.

Maximoff powściąga spojrzenie „*przeleć mnie*”, żeby ostatni raz zgarnąć włosy. Ściąga rękawiczki i po wyrzuceniu ich do śmietnika, ustawia minutnik w telefonie na dziesięć minut.

- Potrzebujesz pomocy? – pyta.

Nie, wilczku. Potrafię sam sobie strzyc włosy, ale nikt nigdy nie *pytał* czy mi pomóc. Do diabła, to więcej niż słodkie.

- Proszę. – Podaję mu maszynkę, a Maximoff staje za mną taki pewny siebie. Patrzę na niego w lustrze. – Jedź od karku do góry, nie wyżej niż ucho.

- Spoko.

Zaciskam ręce na brzegu umywalki. Ustawiam się w lekkim rozkroku i pochylam głowę, żeby dosięgał mojego karku bez nadwyrężania ramion.

Maximoff trzyma mnie za ramię, żebym stał nieruchomo, następnie przejeżdża maszynką wzdłuż szyi. Wykonuje więcej niż dobrą czy przyzwoitą robotę. Naprawdę bym uwierzył, że już tysiąc razy wcześniej mnie obcinał. Przypominam sobie słowa jego brata o tym, że Maximoff jest zawodowcem we wszystkim, co próbuje pierwszy raz.

Dobra, to jest poniekąd prawdą.

Jego ciemnozielone tęczaówki przenoszą się na mnie w odbiciu. *Tak, pozwalam, żebyś mi pomógł.* To go podnieca.

Wyciągam ramię za siebie i chwytam jego pośladki, a on podchodzi bliżej, napierając penisem na *moje* pośladki. Mój oddech przyspiesza, *ja pierdolę...* czuję jak twardnieje.

Naprężam mięśnie, żyły zaczynają pulsować.

- Ktoś tu jest podekscytowany.

- Ledwo – odparowuje.

Przewracam oczami. – Wiem, jaki jest twój „ledwo” twardy penis, wilczku, i na pewno nie taki.

Próbuje spojrzeć na mnie spode łba, ale ma w tej chwili spojrzenie mówiące *pocałuj mnie, przeleć, przytul.*

Zaciskam zęby, czując krew napływającą do dolnych regionów.

Patrzę, jak wyłącza maszynkę i strzepuję kosmyki włosów z ramion do umywalki. Oceniam jego pracę i myślę: *Tak, może zrobić to jeszcze raz.*

Maximoff odkłada maszynkę na bok.

- Dobrze?

- Ech, *ledwo.*

Pokazuje mi dwa środkowe palce i prostuje się, podchodząc bliżej. Opieram się o ścianę i lustruję go wolnym spojrzeniem. Nadal musi zmyć farbę z włosów.

Niech mnie, nie potrafię przestać na niego patrzeć.

Moje przezwisko dla Maximoffa pasuje mu lepiej niż ma świadomość. Jest agresywny, porywczy i chorobliwie opiekuńczy wobec swojego stada. Jak wilk. Potem jest przedsiębiorczy, wytrzymały, samodzielny oraz odpowiedzialny. Potrafi przetrwać każdą sytuację, jak każdy skaut.

Dlatego nazwa jego klubu harcerzy pasuje Maximoffowi Hale'owi bardziej niż jakikolwiek inny przydomek. I póki żyję, będzie dla mnie właśnie *wilczkiem.*

Podpiera rękę na ścianie obok mojego ramienia. Odpinam mu dzinsy, a jego druga ręka wsuwa się w przód moich czarnych spodni, gładząc mnie... *kurwa*, jęk staje mi w gardle.

Obserwuję, jak na krótką chwilę jego oczy robią się zamglone, następnie skupia na mnie spojrzenie.

Obejmuję dłońią jego bardzo-dalekiego-od-ledwo *stwardniałego* członka.

- O czym właśnie myślałeś?

Oblizuje wargi. – Że cholernie uwielbiam twój zapach.

Pierwszy raz powiedział mi coś takiego.

- Jaki to zapach?

Nieruchomieje, kiedy zmieniam nacisk dłoni. Przeklina pod nosem.

- Mięta... słodka woda i męczyzna.

Mógłbym do niego przyłgnąć, ale w tej chwili rozzwania się minutnik. Odsuwamy się od siebie, próbując na razie zignorować gęstniejącą atmosferę. Po niecałych dwóch minutach znajduje się goły pod prysznicem i zmywa farbę z włosów.

Gdy na niego czekam, wyciągam czasopismo *Celebrity Crush* z siatki zakupowej z drogerii. Kupił to pismo, by przekonać się czy napisali o obozie dobroczynnym, który rozpoczyna się za pięć dni.

Opieram się o umywalkę i przerzucam lśniące strony.

Maximoff przeczesuje ciemnobrązowe włosy i obserwuje mnie pod natryskiem wody. Podnoszę na niego wzrok, obracając na następną stronę.

- Chcesz coś powiedzieć?

- W cholere dziwnie jest widzieć cię z brukowcem w ręku.

Nie zdaje sobie sprawy, jak często muszę szperać w mediach społecznościowych oraz komentarzach szmatławców w poszukiwaniu potencjalnego „chaosu” i pogrózek.

Przerzucam kolejną kartkę i łąduję na artykule Tacy Jak My.

Przyglądam się ogromnej fotografii Luny, Xandera i Kinney – rodzeństwo Hale zebrało się w łoży w lokalu Superheroes & Scones. To zdjęcie musiał zrobić jakiś fan.

Artykuły Tacy Jak My pojawiają się w tym magazynie od paru lat i są stosunkowo nieszkodliwe. Podtytuł jest zawsze taki sam: *Hale'owie, Meadowsowie, Cobaltowie – są tacy jak my! Czytaj książki. Uwielbiają filmy. Chodzą na zakupy!*

Pamiętam, jak kilka lat temu widziałem nagłówek *Bystry Jak My* z fotografią Jane, która brała udział w szkolnej olimpiadzie z matematyki.

Obecne zdjęcie pokazuje przybliżenie na nowe kolczyki Luni, Xandera i Kinney pod tytułem: *Fajni Jak My*.

- Czego się szczerzysz? – pyta Maximoff.

- Nazwali cię *niefajnym*.

Maximoff ściera wodę z twarzy i wysuwa ramię zza kabiny, żeby pokazać mi palec.

Już zamierzam się roześmiać, ale na podłodze dzwoni mój telefon. Widzę z daleka, kto dzwoni: *Dupek z Alfya*.

Cholera.

Istnieje 85-procentowa szansa, że ochrzani mnie za wyłączenie radia. Nie mam nawet przy sobie mikrofonu. Więc oszczędzam sobie tej migreny i piszę wiadomość do Price'a: „*Nie należę do SBA*”.

Szybko odpisuje.

Wiemy z kamer, że Moffy jest w domu. Musisz przyjechać pomóc w prześwietleniu uczestników obozu. – Price

Odpowiadam jeszcze szybciej.

Już dzisiaj robiłem to przez sześć godzin.

Celowo zgłosiłem się na zmianę, podczas której Maximoff pracował w biurze H.M.C.

Potrzebujemy więcej osób. Jesteś dostępny, więc przyjeżdżaj. – Price

Mógłbym spokojnie wyłączyć komórkę i zachowywać się, jakbym nie dostał tego jebanego rozkazu. Ale jeżeli na obozie wydarzy się najgorsze – tylko dlatego, że nie poświęciłem trzech godzin ekstra na prześwietlaniu uczestników loterii – byłbym bardziej niż wkurzony na siebie.

„*Niedługo będę.*”

Wysyłam tą jedną wiadomość i wsuwam telefon do kieszeni.

- Maximoffie.

Rozsuwa lekko drzwi kabiny.

- Tak?

- Muszę wyjść. Ochrona mnie potrzebuje. – Zakładam czarną bluzkę.

Wygląda na to, że nie tylko on przekłada nasze spotkania.

FARROW KEENE

Zielone pola zasłane dębami i świerkami, które sięgają wysoko do nieba rozciągają się do jasnoniebieskiego horyzontu. Liście nabrały pomarańczowych i czerwonych barw, kiedy jesień zbliża się ku końcowi. Ze wzgórza można dostrzec błyszczące jezioro, kajaki wsparte o stojak oraz dmuchane dętki przywiązane do drewnianego pomostu.

Maximoff wykorzystuje do swego grudniowego wydarzenia setki akrów ziemi Obozu Calloway – obozu letniego jego ciotki w górach Pocono.

Widok jest majestatyczny, uspokajający, ale zachowuję wielką czujność. Nie zamierzam dać się ponieść naturze. Nie, kiedy znajduje się tutaj trzystu uczestników loterii w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat.

Wszyscy biorą udział w pierwszym grupowym zajęciu zaplanowanym przez Maximoffa: w wielkiej zabawie w zdobycie flagi.

Kilkudziesięciu ludzi zostało podzielonych na cztery drużyny oznaczone czerwonymi, zielonymi, niebieskimi oraz żółtymi koszulkami i chustami. Gdy ganiają po łące i lesie, wykrzykując strategię i szukając flag przeciwnych drużyn, ekipa bezpieczeństwa wiję się w tłumie.

Każdy ma na sobie czarną bluzkę podpisaną jaskrawozielonym napisem *OCHRONA*.

Przez minionych dwadzieścia minut koncentruję się tylko i wyłącznie na Maximoffie, nie tracąc na baczności. Wcześniej skonfiskowałem sztylet, który ktoś próbował przemycić na teren obozu. Najwyraźniej sądził, że będzie „łowić ryby” i filetował własną kolację.

Okej.

Jasne.

Moja słuchawka buzuje od nieustannych rozmów.

- Widziałem, gdzie Żółci ukryli swoją flagę – mówi Donnelly. Chociaż jego klientem jest Beckett Cobalt, Trój-Siła zwerbowała najbardziej doświadczonych ochroniarzy na ten event. Meadowsowie, Cobaltowie i Hale’owie dostali tymczasową ochronę na te trzy dni.

- Czy ty naprawdę pomagasz Jane w oszukiwaniu? – pyta Akara. Przypuszcza, że chodzi o Jane, ale tak czy inaczej, Donnelly jest w drużynie Cobaltów.

- Nic nie robię – odpowiada Donnelly z wyraźnie słyszalnym akcentem. Zauważam, że okrąża obszar lasu, a na jego wytatuowanym przedramieniu widnieje niebieska chusta, chociaż nie bierze udziału w zabawie.

Maximoff siedzi swobodnie na pniaku, bo utkwiał w „więzieniu” niebieskich dopóki nie wydostanie go zawodnik jego czerwonej drużyny. Chwilowo się odprężam, podpierając o dąb.

Spogląda na mnie przelotnie z uśmiechem w oczach i wsuwa palce w ciemnobrązowe włosy. Jakimś cudem wygląda na parę lat starszego w tym naturalnym odcieniu.

Nadal nie potrafię przestać o tym myśleć.

I wymyślił alternatywny sposób na rozjaśnienie włosów. Odział się w biwakowe skarpetki z Thorem, dodatkowo poprosił Lunę, żeby narysowała mu Spidermana na butach. To jego sposób na oświadczenie „*Kocham mojego tatę*” paparazzim i każdemu, kto wysłucha.

Zaczynam odwzajemniać uśmiech.

- Quinn do ochrony. – Następny głos w uchu. – Właśnie usłyszałem, jak jakieś dziewczyny mówiły o zaciągnięciu kogoś. Mam zainterweniować?

- Neeee – odzywa się znowu Donnelly. – To tylko gadka fandomu.

- Co? – pyta Quinn.

Włączam mikrofon. – To nie groźba, zostaw je. – Czy ja właśnie naturalnie „pokierowałem” Quinnem? Ja pierdołę, zamieniłem się w nauczyciela.

- Ugh, zapomniałem o mojej przekąsce – marudzi Oscar. – Ktoś ma coś przy sobie?

- Brachu, *dopiero* jadłeś – odpiera Quinn. – Z piętnaście naleśników.

- Nie widzę, w czym rzecz. Przekąski to podstawowy element życia. I wiesz co, jeśli jeszcze się tego nie nauczyłeś mamy poważny problem – ludzie, mój brat potrzebuje jebanej pomocy, coś jak Spotkania o Wiedzy z Przekąsek.

Kiedy głosy zaczynają na siebie nachodzić, wyciszam trochę głośność.

Maximoff wyszedł z „więzienia” i pędzi do strefy bezpieczeństwa. Zwalnia, jak grupka osiemnasto- lub dziewiętnastolatek w czerwonych koszulkach pożera go wzrokiem.

Nie mam im tego za złe.

On jest cudowny, z czym zdecydowanie zgadza się mój penis.

Zwracam o wiele większą uwagę na osoby, które są wobec niego apatyczne, bo to znaczy, że najprawdopodobniej są na tym obozie z niewłaściwych powodów. Akara zdążył już podkreślić nam dwadzieścia trzy nazwiska, które mamy obserwować. Ich motywy, co do dołączenia do wydarzenia dobroczynnego wydawały się podejrzane.

Maximoff podchodzi do dziewcząt, a te piszczą radośnie, podskakując na palcach i ściskając jego ramiona.

Spokojnie.

Pogląsniam radio i wychwytyuję końcówkę prośby Oscara o żarcie.

- Mam batonik proteinowy – mówię do mikrofonu. – Jestem pod dębem.

- Redford, tu wszędzie są drzewa.

Przewracam oczami.

- Stary, jak bardzo jesteś głodny? Bo nie zamierzam rysować ci pierdolonej mapy.

- ...widzę cię. – Oscar przebiega obok grupy chłopaków w zielonych bluzkach i zatrzymuje się obok mnie. Kręcone kosmyki włosów zwisają nad jego zwiniętą niebieską chustą.

Wyciągam batonik z torby pierwszej pomocy. Stanowisko medyczne znajduje się po drugiej stronie wzgórza, dlatego porozrzucaliśmy kilka apteczek po całym terenie.

- Wariactwo. – Oscar wgrzyza się w przekąskę. – Jestem teraz naprawdę zestresowany.

Rozkładałam do tej pory skrzyżowane ramiona, nie rozluźniając jednak mięśni.

- Widziałeś ile zarobił pieniędzy na loterii?

- To już wszystko jest na koncie? - Oscar bierze łyk wody ze swojej butelki.

- Siedemdziesiąt milionów.

- Jasna cholera.

Maximoff cieszył się przez cały poranek. Prawdę mówiąc, gdyby został pchnięty nożem w środku nocy i przewieziony do szpitala, nadal uważałby to za sukces. Bardzo mało rzeczy może wpłynąć na porażkę obozu dobroczynnego.

Ale dla mnie jego krzywdą byłaby cholernym koszmarem.

- Quinn do ochrony. Właśnie znowu powiedziały „zaciągnąć ją”. I wiem, że mówią o Jane. To brutalne.

- Wciąż język fandomu – odpowiada Donnelly.

- Nie podoba mi się – stwierdza Quinn.

- Brachu. – Oscar przemawia do swojego mikrofonu obok mnie. – Spraw sobie konto na Twitterze.

- Nie jesteś na Twitterze? – pyta Donnelly.

- Tylko na Facebooku – oznajmiam ekipie z uśmiechem.

Donnelly śmieje się do naszych słuchawek.

- Facebook jest bardzo ciekawy – odparowuje Quinn.

- To nie jest najlepsze wykorzystanie radia. – Głos zabiera Akara. - ...ale Facebook jest lepszy.

Oscar pożera batonik proteinowy i parska śmiechem.

- Właśnie powiedziały: *Jane i Sulli są wykasowane* – dodaje Quinn.

- To tylko nadgorliwe stany⁵ – tłumaczy Donnelly.

- Co to kurwa jest stan? – pyta Quinn, po czym dodaje: - Dobra, to już mi się *serio* nie podoba. Powiedziały, że Jane powinna się powiesić.

- Porozmawiaj z nimi – wtrącam. To mogła być groźba, a może to tylko fanki. Gdy do gry wchodzi kultura fandomu, linie się rozmazują.

Oscar szturcha mnie ramieniem.

- Spójrz na siebie, pomagasz mojemu młodszemu braciszкови. – Przeżuwa batonik, uśmiechając się szeroko. – Rób tak dalej, a Trój-Siła przydzieli ci wszystkich nowicjuszy.

- Kurwa – przeklinam.

Quinn powtarza następną możliwą pogroźkę, ale nie zwracamy uwagi. Oscar wrzuca opakowanie po batoniku do czerwonej torby.

- Nie cierpię tego, jak znieczulony stałem się na to całe gówno. Czemu w ogóle uważamy, że to normalne?

- Wiem.

Obserwuję Maximoffa, który odłącza się od grupki dziewczyn. Unosi rąbek czerwonej bluzki, żeby zetrzeć pot z czoła, odsłaniając swoje cenne mięśnie brzucha. Następnie całkowicie ściąga bluzkę.

Niech mnie.

⁵ Stan – ze względu na następną wypowiedź pozostawiłam oryginalną wersję tego wyrazu, ale na polski to „nadgorliwy fan”

Obozowicze wrzeszczą i wyciągają swoje komórki. Niektórzy chyba nagrywają, bo kierują na niego kamery przez dłuższą chwilę.

Niedaleko nas przechodzi dziewczyna i staje jak wryta, wytrzeszczając oczy.

- O. Mój. Boże.

Wiem.

Rozciągam ramię, czując przyływ gorąca w penisie.

Wysuwa z kieszeni swój telefon i mówi do niego:

- Jest piękniejszy na żywo.

Trafne.

- Widzicie to, ludzie?! – piszczy podekscytowana, czyli zapewne prowadzi transmisję.

- Wszędzie erekcje i mokre cipki – szepcze do mnie Oscar i daję mu kuksańca łokciem, na co śmieje się.

Po chwili obaj milkniemy i patrzymy, jak rudowłosa dziewczyna pędzi przed siebie, nie odrywając spojrzenia od Maximoffa. Niczym w zwolnionym tempie zahacza kostką o korzeń w ziemi i zalicza twardy upadek.

Maximoff wszystko widział i oczywiście to on pierwszy rusza biegiem do dziewczyny. Chwytam już za torbę pierwszej pomocy.

- Akara do Farrowa. Jesteś najbliższej z apteczką. Nie wygląda aż tak źle na opiekę prawdziwego lekarza.

Przewracam oczami i włączam mikrofon w połowie biegu.

- *Jestem* lekarzem. – Mam tytuł doktora.

Gdy docieram do dziewczyny i Maximoffa, Donnelly oczywiście musi dorzucić swoje trzy grosze.

- Czy ktoś jeszcze uważa za dziwne, że przypomina nam o tym, że jest lekarzem *tylko* wtedy, jak mówimy, że nim *nie* jest? W każdej innej sytuacji gada, że nie może przepisać leków. Nie może pracować w szpitalu. Nie może...

Przekręcam gałkę w radiu, wyciszając jego głos. Kucam obok dziewczyny, która trzyma się za kostkę z wyrazem bólu na twarzy.

Maximoff klęczy przy niej. Wymieniamy się szybkim powitalnym spojrzeniem.

- Cześć, kochanie – zwracam się do dziewczyny. – Jak ci na imię?

- Ella – duka przez zęby.

- Myślę, że to tylko zwichnięcie – mówi do mnie Maximoff.

Przechylałam głowę. – W jakim roku skończyłaś szkołę medyczną?

- W jakim roku skończyłaś tę rezydenturę?

- Nadal jestem lepszy od ciebie.

Pokazuje mi środkowy palec i oślepia nas parę błysków fleszy. Przez cały dzień na Twitterze trendowało #ObózHMC. Maximoff ma nawet na swojej profilowej stronie link, który pozwala przekazać pieniądze na Jeszcze Jeden Dzień.

Skupiam się na Elli. Upadła na dłonie, potem głowę.

- Kręci ci się w głowie?

- Trochę.

Podsuwam torbę Maximoffowi, który wierci się, żeby coś zrobić. Jak on lubi wszystko naprawiać.

- Poszukaj worka z lodem.

Badam jej kostkę: zaczerwieniona skóra, niewielka opuchlizna. Przyciskam palce do kilku miejsc.

- Czy to boli? – pytam, ale już odpycha moje dłonie i lamentuje, jakbym wbił jej nóż w tętnicę.

Dobra.

Widziałem w moim życiu aż za dużo dramatyzmów, więc potrafię rozpoznać, co jest prawdziwe, a co udawane. Odwraca się do Maximoffa.

- Nie mogę... - Próbuje wycisnąć z siebie łzy, ale jej nie wychodzi.

- Nic ci nie będzie – uspokaja ją. Obejmuje ją ramieniem w luźnym uścisku, po czym podaje mi miękki worek z lodem.

Ella krzywi się zanim jeszcze przykładam lód do jej kostki.

- W skali od jeden do dziesięciu, jak bardzo boli? – pytam.

- Dziewięć i pół.

Okej. Jasne. Wybadałem kończynę na tyle, by wiedzieć, że kość jest nietknięta.

Maximoff wygląda na poważnie zatroskanego.

- Może na wszelki wypadek powinniśmy zadzwonić po karetkę...

- Nie, nie, nie. – Podnosi ręce. – Naprawdę nie jest tak źle. Mogłabym... na niej chodzić... albo się postarać.

Wsadzam jej do ręki worek z lodem.

- Przyłóż to do głowy. Mogę zabandażować kostkę i jeśli potrzebujesz, znajdziemy ci kule. Co ty na to?

Przytakuje zawzięcie głową i spogląda na Maximoffa, przygryzając wargę.

- Czy... mógłbyś ze mną zostać przez chwilę?

Unoszę brwi.

- Oczywiście – odpowiada szczerze Maximoff i jeszcze raz ją przytula. Szukam w torbie bandażu, a po kilku sekundach podnoszę wzrok.

Niedaleko nas przy stanowisku z napojami grupa białych facetów po dwudziestce obgaduje Jane, która rozmawia z paroma innymi dziewczynami wśród drzew.

- Jane Cobalt jest obrzydliwa – mówi jeden. Jego znajoma koścista twarz oraz orli nos rozpalają moją pamięć. Czerwona lista możliwych zagrożeń – on na niej jest i nazywa się Tyler.

- Tak strasznie chce zostać przeleciana, że to aż żałosne.

- Ja bym ją bzyknął. Ale najpierw musiałbym ją związać.

Wybuchają śmiechem.

Moje nozdrza drgają i zaciskam mocno szczękę.

Maximoff jest zajęty słuchaniem Elli, ale jego rysy stają się coraz bardziej zaostrome. *Wszystko słyszy.*

Przeszywam ich wzrokiem, grzebiąc w torbie pierwszej pomocy.

- To gówny z BDSM to stek bzdur – stwierdza blondyn. *On również znajduje się na liście.* Brad. – Za każdym razem, kiedy ktoś ją popycha w tej grze ze zdobyciem flagi, praktycznie dostaje orgazmu. Obserwujcie ją.

Pierdolcie się.

Oscar zaczyna kierować się ku facetom, łapiąc za mikrofon.

- Trzeba uważać na te pizdy w żółtych bluzkach. Będę miał na nich oko.

Odwracam głowę i szepczę do mikrofonu, żeby nie usłyszała mnie Ella.

- Przekaż im „*pieprzcie się*” ode mnie.

- Wszyscy o tym myślimy – mówi Oscar.

Zrywam plastikowe opakowanie bandażu i obracam się z powrotem do dziewczyny.

- Jak się czujesz, Ello? – pytam przed zabraniem się za jej kostkę.

Wzrusza niepewnie ramionami.

Maximoff nagle zsuwa z niej ramię, co było dla niego dziwne.

Odkładam bandaż i przysuwam się do niego, kładąc dłoń na jego bicepsie.

- Maximoff?

Przyciska ręce do kołnierzyka, drapie się po gardle, ma problem z oddychaniem... i już wiem.

Wchodzi w szok anafilaktyczny. Przegrzebuję prędko torbę, kiedy on dyszy, a wydobywające się z niego odgłosy przypominają kogoś duszonego na śmierć.

Jego gardło zaczyna puchnąć.

Próbuje wypowiedzieć moje imię.

- Wszystko w porządku. Zachowaj spokój – mówię do niego, jakbym był całkowicie wyluzowany. Kompletnie beztroski.

Gdzie ten jebany EpiPen?!

- Przynieście mi EpiPen – mówię do mikrofonu, bo nie ma go w tej torbie.

- Mój Boże, Maximoffie?! – Ella prawie do niego przywiera, ale delikatnie ją odpycham. Maximoff łapie mnie za kark i zwiesza głowę, oddychając chrapliwie.

- Nic ci nie jest.

Dzieje się z nim coś złego. Reaguję spokojem w każdym medycznym kryzysie, nawet jeśli znam ofiarę. Nawet jeśli serce pragnie podejść mi do gardła. Przełykam to wszystko i mam jedną myśl, która mówi: *Napraw to. Pomóż mu.*

Pomóż mu.

Nie zostawiaj go.

Nie mogę go zostawić. Widzę w oddali Quinna, który biegnie do nas z EpiPenem.

- Jest uczulony na mrówki ogniste! – krzyczy do mnie Ella.

- Wiem. – Obejmuję jego szczękę. Jego zmrużone oczy okazują determinację, by oddychać, kiedy nie może. Próbuje nabrać tchu.

Gdybym mógł przekazać mu mój własny oddech, tak bym zrobił.

Zrobiłbym w jebanej sekundzie – ale jego przejście powietrza się kurczy, puchnie język. Maleje ciśnienie krwi, zwalnia rytm serca. Sztuczne oddychanie w niczym nie pomoże.

Potrzebuje epinefryny.

Powinienem był mieć przy sobie EpiPen. Jest pierwszy tydzień grudnia. Oboje sądziliśmy, że nie będzie tu żadnych mrówek.

Jego twarz czerwienieje. Dyszy ciężko, łzawią oczy. Ściskam mocno jego szczękę.

- Jestem tutaj. Wszystko w porządku.

Maximoff nie pokazuje strachu, tylko zmusza ciało do zachowania przytomności.

- On umrze! – wrzeszczy Ella i zalewa się łzami.

- Nic z tego. – Patrzę prosto na Maximoffa. – Nie umrzesz pod moją opieką, wilczku. – *Obiecałem ci to.*

Maximoff już nie potrafi oddychać, jest bliski omdlenia.

Quinn rzuca mi na kolana EpiPen. Odgryzam zakrętkę i przekłuwam udo Maximoffa. Słyszę kliknięcie i sprężynowa igła przebija jego ubranie.

Maximoffa bierze głęboki wdech, jak gdyby wypłynął na powierzchnię basenu po bliskim utonięciu.

Trzymam długopis w miejscu przez dziesięć sekund.

Próbuje coś powiedzieć.

- Nic nie mów – mówię i włączam mikrofon. – Akara, trzeba wezwać pogotowie. Musi zostać przebadany. – I muszę się dowiedzieć, gdzie został ugryziony.

Maximoff choć raz się nie sprzecza.

Tak naprawdę, to martwi mnie jeszcze bardziej.

Lekarze badają jego stan w karetce przed opuszczeniem obozu i odnajdują mały, poczerwieniały ślad po ugryzieniu na jego karku. Po wszystkim Maximoff wyskakuje jak gdyby nigdy nic z karetki i wraca do dzisiejszych planów. Ledwo coś przegapił.

- Zwolnij na jedną chwilę. – Chwytam jego nadgarstek nim wejdzie do kantyny na obiad.

Maximoff zatrzymuje się i zerka na swój zegarek.

- Oni są tutaj dla mnie i moich kuzynek. Nie mogę się zmyć...

- Nikt nie będzie cię obwiniął, jeżeli potrzebujesz odpoczynku – przerywam mu, zauważając jego pobladłą skórę.

- Czuję się dobrze, a przynajmniej na tyle, żeby coś zjeść. – Zagląda mi głębiej w oczy spojrzeniem wyrażającym te same słowa, które wypowiedział, kiedy tylko mógł mówić: *Cieszę się, że tu jesteś.*

Ja też.

Niemal sięgam po jego rękę, ale obok przechodzą dziewczyny i chłopcy, którzy pstrykają mu zdjęcia.

A potem moją uwagę przykuwa głos w słuchawce.

- Akara do ochrony.

Maximoff wskazuje głową na budynek kantyny. Przytakuję i podążam u jego boku.

Spośród wielu rzędów drewnianych stołkowych stołów zajmują miejsce obok Jane przy jednym z najbardziej opustoszałych.

Jeden stolik dalej siedzi Maximoff, do którego dociska się pęczek osób. Podobnie stół Sulli jest zalany ludźmi, którzy chcą posłuchać historyjek z olimpiady.

Otoczają ją Akara, Donnelly i Oscar.

Nie mogę zapomnieć o wcześniejszej rozmowie przez radio.

Oscar: *Jakim cudem miał na szyi mrówkę?*

Akara: *Może opierał się o drzewo.*

Donnelly: *Albo ktoś mu ją podrzucił.*

Quinn: *Nieemożliwe.*

Ja: *Widziałbym to.*

Nie zgadzam się z tą teorią spiskową. Nikt nie kolekcjonował ognistych mrówek, żeby tylko podrzucić je Maximoffowi i patrzeć jak się dusi. A nawet jeśli jakimś cudem nie zauważyłem gnojka, który próbował umyślnie lub nieumyślnie go zabić, to i tak mu się nie udało.

I ta osoba straci rękę, jeżeli jeszcze raz tego spróbuje.

Jane dmucha w łyżkę chili. – Nadchodzi następna – ostrzega i oczywiście po chwili siada przede mną dwudziestoparoletnia brunetka.

To już siódma dziewczyna, która podeszła do mnie podczas tego posiłku. Podczas dłuższych wydarzeń to zdarza się całkiem często najatrakcyjniejszym ochroniarzom. A bądźmy szczerzy, Omega jest pełna seksownych sukinsynów.

Ludzie zaczynają błędzić spojrzeniami i zauważają facetów, których nie mogą mieć. Tych, którzy stoją cicho po kątach z wyrzeźbionymi mięśniami i gniewnymi spojrzeniami. Dzięki temu poszczęściło się wielu ochroniarzom.

Podrywało mnie paru facetów, o wiele więcej kobiet, a moja odpowiedź rzadko się zmienia: *nie, do diabła.*

Dziewczyna macha do Jane, jakby ta siedziała nie obok mnie, ale po drugiej stronie kantyny. Większość uwagi skupia na mnie i odzywa się.

- Nazywam się Tara. Moja współlokatora z namiotu dzisiaj wyjechała, więc jestem sama. Mógłbyś wpaść, obejrzeć zabezpieczenie. Pokażę ci moje tatuaże...

- Jestem gejem – mówię, odgryzając kawałek czerwonego jabłka.

Rumieni się. – Mogłeś powiedzieć, że nie jesteś zainteresowany.

- Nie jestem zainteresowany – mówię – i jestem gejem.

Wstaje i wraca pędem do swojego stolika.

Jane posyła mi zaciekawione spojrzenie.

- Co?

- Jesteś popularniejszy ode mnie.

- Gdybym był taki popularny, nie byłbym ochroniarzem. To *ja* potrzebowałbym ochrony. – A Tara jutro nie będzie pamiętać mojej gęby.

Jane wypowiada francuskie słowo, które jak przypuszczam oznacza „prawda”. Potem podążam za jej spojrzeniem do Maximoffa.

Nie jest w stanie dotknąć swojego obiadu, dlatego już wziąłem mu torebkę na wynos. Za każdym razem, kiedy sięga po gorącą kanapkę, podchodzi do niego następna osoba, żeby się przytulić. Większość wyraża radość, że nic mu się nie stało. Inni chcą się podzielić swoją historią.

A on słucha.

Jest w tym dobry.

Niektórzy płaczą podczas opowieści, a on poklepuje ich pocieszająco po plecach. Skupia się bardziej, przysuwa bliżej i daje im zachętę oraz pochwałę.

Na przykład teraz jedna dziewczyna ociera mokre oczy. Nie ma więcej niż dwudziestu lat i ściska w dłoni komórkę.

- To brzmi głupio, ale ilekroć wrzucasz coś na Instagrama, oglądam cię w wiadomościach albo wychodzi nowy odcinek *Jesteśmy Calloway* po prostu czuję radość. Zawsze byłeś moim ulubieńcem. Przyglądałam ci się odkąd *ja* byłam mała. I mam wrażenie, że na ten dziwny sposób razem dorastaliśmy.

- Nie jest dziwny – zaprzecza.

W jej oczach zbierają się pełne emocji łzy, a choć niektórzy faceci poczuliby dyskomfort, Maximoff kładzie dłoń na jej ramieniu.

- Chcę tylko, żebyś wiedział – podejmuje dalej dziewczyna – że pomogłeś mi przetrwać trudny okres i to, co tutaj robisz dla nas wszystkich... to naprawdę ma znaczenie.

- Mogę cię przytulić? – pyta Maximoff, jego oczy robią się czerwone.

- Tak. – Ona się uśmiecha, ociera łzy i wtula się mocno w mojego chłopaka.

Jest jedną z setek ludzi, ale wiem, że Maximoff zapamięta ten moment. Jej imię. Wszystko. Takie interakcje przypominają mi, jak to ludzie odnajdują pocieszenie we wszystkich miejscach, ze wszystkimi ludźmi.

Wyraz twarzy Jane można opisać jako czystą dumę.

- Kochają go – mówi czule. – Tak jak powinni. – Zjada łyżkę chili.

Wgryzam się w czerwone jabłko. Nie mogę przestać myśleć o obozowiczach i o tym, jak obgadywali Jane, a nawet Sulli.

Kobiety w tych sławnych rodzinach mają o wiele cięższe zadanie zdobycia przychylności tłumów, co nie ma dla mnie żadnego sensu.

Sami pomyślcie: „fani” twierdzą, że kochają Maximoffa na śmierć, jednak nadal nienawidzą Jane. Gdyby naprawdę go tak kochali, wiedzieliby, że gardziłby każdym, kto plułby jadem na jego najlepszą przyjaciółkę.

Przez cały dzień przez moją głowę przewija się jedna myśl: *chronić Jane Cobalt*.

A jeśli na początku ktoś by mnie zapytał, co bym wybrał, gdybym miał szansę usiąść obok Maximoffa albo Jane w kantynie na obozie... nie uwierzyłbym, jakby ten ktoś powiedział, że wybiorę Jane.

Ale oto jestem tutaj.

Dotrzymuję jej towarzystwa, bo tak chciałem, kurwa.

- Ciebie też mogą pewnego dnia pokochać, Jane – mówię, obracając jabłko, by ugryźć z innej strony. Posiada dość dużo fanów w sieci, ale tutaj chyba nie ma ich zbyt wielu.

- Nie potrzebuję ich miłości. – Jane miesza swoje chili, po czym spogląda mi w oczy.

Oboje słyszymy tych pięciorga łajdaków, którzy zebrali się przy stoliku po naszej lewej. Nadal mają na sobie żółte koszulki po grze w zdobycie flagi. Nadal są wstrętnie skoncentrowani na Jane.

- Widzicie, w co ona jest ubrana? Boże, paskudztwo.

Biorę większy, bardziej zirytowany kęs jabłka.

Jane ma na sobie spodnie w lamparcie cętki, koszulkę z falbankami z jakimś morskim sztucznym futerkiem na kołnierzu. Kogo obchodzi, co ona nosi, do cholery? Jane sięga po swoją wodę, nie okazując żadnych emocji.

- Czy jej mama nie jest projektantką mody? Jakie to kurewsko żałosne, ludzie.

Przeżuwam agresywnie i patrzę wściekle, gotów skonfrontować się z tymi dupkami. „Rozmowa” Oscara najwyraźniej głównie dała.

- To wszystko dla popularności.

Jane ani drgnie.

Ale Maximoff tak, bo doszła do niego ostatnia część, kiedy podnoszą głosy. Jego ciemnozielone tęczęwki zamieniają się w gorące lasery.

Koniec z tym.

- Nie idźcie za mną – mówię do ekipy, przykładając palec do mikrofonu. Podnoszę się z miejsca, trzymając w dłoni do połowy zjedzony jabłko i ściszam radio do miękkiego pomruku, który potrafię zignorować.

Stopy niosą mnie do stolika pięciu dwudziestoletnich palantów. Znam ich imiona na pamięć, ale szczerze mówiąc, nie zamierzam ich dłużej używać. Dla mnie są zwykłymi gnojami i chamami.

Gdy tylko stoję nad ich stołem, zapada wśród nich absolutna cisza. Wlepiają ślepią w moją gromadę tatuaży oraz bluzkę z napisem *OCHRONA*.

- Porozmawiajmy na zewnątrz – oznajmiam im wszystkim.

- Nie robimy nic złego – odpowiada jeden z nich.

- Nic takiego nie powiedziałem – mówię spokojnie, przygryzając jabłko. Nie mogę unieść głosu. Nie mogę unieść pięści. Zastraszam bez wzniesienia chaosu. – Wyjdźmy sobie po prostu na dwór i pogadajmy. To nie zajmie długo. – Kiwam głową w stronę wyjścia.

I tak oto się zgadzają.

Przez kilku minut wygłaszam im kazanie na temat znaczenia bycia uprzejmym i taktownym. Wiecie, absolutne minimum ludzkiej przyzwoitości.

Dużo przytakują. Nie wiadomo jeszcze czy naprawdę mnie słuchają.

- Jasne – mówi do mnie blond idiota – ale myślę, że to główniane z twojej strony, że wzięłeś nas na bok i wyróżniłeś. Zapłaciliśmy, żeby tu być. Marnujesz nasz czas, który mogliśmy spędzić na siedzeniu paru metrów dalej od Jane Cobalt. – Kiepsko mu wychodzi ukrywanie uśmiechu.

Jego koledzy również się szczerzą.

Zaciskam mocno zęby i kiedy piorunuję ich gniewnym wzrokiem, natychmiast przestają.

- Postawmy sprawę bardzo, kurwa, jasno – mówię. – Ona nie jest wam nic winna. Nie musi poświęcać wam swojego czasu ani powietrza pomiędzy swoim ciałem, a waszym. Zapłaciliście, żeby wziąć udział w loterii. *Dla celów dobroczynnych*. Jeśli posuniecie się za daleko, ochrona wyrzuci was na zbity pysk. Ale widzicie, nie chcę, żeby tak się stało.

Milknę, kiedy chwytają się każdego mego słowa i pomimo niesamowitej pogardy, postanawiam mówić dalej.

- Wydajecie się spoko. – *Tak spoko, jak pierdoleni idioci*. – Więc ostatnie, czego chcę, to żebyście przegapili te ostatnie dni. Szanujcie ludzi. Stonujcie zachowanie.

- Ta, ta, ta. Rozumiemy – odpowiada jeden. – Postaramy się być miłsi czy coś.

Czy coś. Na serio.

Następny kiwa mi głową.

- Dzięki, stary.

- Nie ma problemu. – Kurwa, właśnie zakolegowałem się z tymi gnojkami.

Gdy tylko odchodzą, słyszę w uchu ciche zakłócenia, więc pogłaśniam radio.

- Przywalił im? – Głos Oscara.

- Nie, poszli sobie – odpowiada Donnelly.

- Hej, chłopcy. – Włączam mikrofon. – Mam nowych przyjaciół.

- Dobra robota – przyznaje szczerze Akara.

- Zapisujecie sobie notatki? – pytam.

- Jednak następnym razem ktoś powinien iść z tobą – dodaje Akara. – Z tego mogłaby powstać bójka pięciu na jednego.

Dałbym sobie radę ze wszystkimi.

- Zapisz to sobie, Farrow – mówi Donnelly.

Przewracam oczami i obserwuję tych dupków, którzy schodzą dumnym krokiem do jeziora. Chciałbym móc po prostu ich wykopać z obozu. Koszmar publicystyczny wiążący się z odesłaniem kogoś do domu zniszczyłby sens tego wydarzenia dobroczynnego.

Więc muszą zostać.

MAXIMOFF HALE

Farrow otwiera nasz namiot po zakończeniu spotkania przy ognisku. W ten drugi wieczór obozu nie widać na niebie księżycy. Nakierowuję światło latarki na wejście i obserwuję jego palce, które wsadzają klucz do kłódki, następnie rozsuwają zamek błyskawiczny.

Spróbujcie mieć swojego ochroniarza parę metrów od siebie przez cały dzień i oglądać go w swoim żywiole: zastrasza jebanych dupków, jest obyty w medycynie, jest twardzielem i cholernym bystrzakiem. Teraz spróbujcie *nie* wyobrażać sobie jego penisa milion razy dziennie.

Tak, to twardy orzech do zgryzienia. Gra słów zamierzona.

Teraz spróbujcie *nie* być w stanie go dotknąć. Spojrzeć pożądliwie. Złapać go za kark i przywrzeć do jego ust.

Kotłuje się we mnie tyle emocji, że mógłbym zawarczeć. *Pragnę go.*

Pragnąłem go cały dzień, a nawet nie mogłem go przytulić.

Nie zamierzam się na niego rzucić, jakby był moją zabawką erotyczną. Być może jest zmęczony. Dlatego kiedy wchodzimy na czworaka do namiotu, staram się myśleć o innych rzeczach.

Na przykład o tym, że to ostatnia noc obozu i jak do tej pory nie było żadnych złamanych kości. Nie za dużo łez – większość z nich ze szczęścia. I brak Charliego. Było całkiem piekielnie dobrze, pomimo tego ataku alergii na mrówki pierwszego dnia.

Jeśli chodzi o *niebezpieczeństwo*, atmosfera jest bezpieczniejsza niż chyba przewidywała cała ekipa ochronna. Po jutrzejszym śniadaniu wszyscy zaczną się pakować, pożegnamy się i wrócimy do domów.

Rozciągam nogi na pomarańczowym śpiworze, a Farrow zamyka namiot na kłódkę od *środka*. Chociaż uwielbiam biwakowanie, nie jestem fanem tych dodatkowych zabezpieczeń. Przywykłem do większej wolności na pustkowiu. W obecności tak wielu osób oraz ich aparatów komórkowych – to praktycznie przeciwieństwo tego, dlaczego biwakuję.

Zrywam z siebie bluzkę, czując powiew zimnego grudniowego powietrza. Farrow przysuwa się do tyłu obok mnie, przyglądając mi się kątem oka i powoli wyciąga słuchawkę, okręcając przewód wokół radia. Wsuwa pistolet w kaburze pod poduszkę.

Wyłączam latarkę, przez co po ścianach namiotu przestają tańczy cienie.

I jesteśmy odizolowani od obozowiczów – mamy prywatność, ale nie aż *taką* prywatność. Na zewnątrz jest więcej ochroniarzy.

- Wiesz co – szepczę. – Nigdy nie pieprzyłem się w namiocie.

Nic jeszcze nie zrobiliśmy przez moją reakcję alergiczną. Moje ciśnienie krwi wciąż skakało, ale teraz już wszystko dobrze.

Unosi brwi i ściąga przez głowę czarną koszulkę.

- Nie potrafiłeś nikogo przekonać do szybkiego numerku w namiocie?

- Nie. – Śledzę wzrokiem wytatuowany sztylet na jego brzuchu, ledwo widoczny w ciemności. – Nie podobała mi się myśl, że kiedy będę uprawiać seks tylko cienkie płótno będzie mnie oddzielać od mojego ochroniarza. – Zwykle jest przynajmniej *ściana*.

- Zrozumiałe. – Farrow obserwuje mnie, jak patrzę na jego palce. Odpina guzik spodni, rozpina zamek i pozbywa się ich. Lustruje mnie długim, gorącym spojrzeniem. Obcisłe czarne bokserki przylegają do jego mięśni, pośladków i długiej, grubej erekcji.

Chryste.

Wszędzie przepływa szybciej krew, dopóki nie staje się jedną pulsującą żyłą.

Chwytam jego ramię, ale on już się na mnie kładzie. Splatamy się nogami, usta walczą o kontrolę i szarpie go za włosy wygłodniałymi palcami.

Mocuje się z moimi spodniami, zsuwając je po moich biodrach i udach, aż pozostają w samych majtkach.

Tak, kurwa, tak.

Zniżam głos do kolejnego szeptu.

- Mówiłeś, że jak daleko są ochroniarze? – Niektórzy powinni stać pod namiotem przez całą noc.

Gdy schyla się, żeby zetknąć się ponownie z moimi wargami, ociera się o mnie twardym penisem. *Ja pierdolę.*

- Kazałem dać ci co najmniej pięćdziesiąt metrów.

Prawie tyle, co ma boisko.

- Poważnie? – szepczę, czując wzburzone podekscytowanie i pożądanie. Przesuwam prawą ręką po jego wyrzeźbionych mięśniach i dotykam kciukiem kolczyka w sutku.

Wygina kąciki ust. – Ta, ale nie zrobiłem tego dlatego, byśmy mogli się bzykać. – Podpiera się nade mną na przedramionach i leżę pod jego sylwetką, która rozpala mnie żywcem. – Tylko po to, byś mógł zasnąć.

Oblizuję piekące wargi, widząc, że *sen* nie jest teraz moim celem.

Farrow ściska moją szczękę, szepcząc przy moich ustach.

- Spróbuj nie hałasować.

Cholera. Przełykam jęk, a kiedy mój penis błaga o nacisk, sunie dłonią po moim brzuchu i niżej, dopóki nie bierze do rąk mojego wzvodu, potem jąder.

- Kurwa – dyszę, podrywając biodra. *Przeleć mnie, koleś*. Zazwyczaj w tej chwili odwróciłbym nasze role, ale ciężar jego ciała jest piekielnie przyjemny.

Zrywam z niego bokserki, kiedy pozbywa się moich. Poruszamy się w bardziej gorączkowy sposób, nasze usta miażdżą się nawzajem, jego silna dłoń przesuwa się po moim karku. Wszystko jest wrażliwe, jakby rozpalone i tłumię jęk w gardle.

Przywieramy do siebie nawzajem, skóra przy skórze. Rozgrzewa nas intensywne tracie. Nie czuję już szczypania zimnego powietrza, ale przygryza mój bark. Otwieram usta, ale hamuję ochryply odgłos.

Po chwili wyciągam rękę i gładzę jego członka, na co cały się napręża. *Jezu*. Zgrzyta zębami, by nie wydać żadnego dźwięku.

Przesuwa dłonią wzdłuż mojego penisa i pociera kciukiem czubek. Wbijam ramiona w śpiwór, pragnąc odchylić głowę do tyłu. *Ja pieprzę*.

Japieprzejapieprzejapieprzę – spinam się, powstrzymując przed orgazmem. *Jeszcze nie*. Przykładam rękę do jego piersi i wypuszcza mnie z rąk. Wyciągam ramię na bok, poklepując jego śpiwór w poszukiwaniu małej torby.

Farrow przechyla się i znajduje. W ciągu kilku sekund wyciąga nawilżacz oraz kondoma. Odkłada je na bok i całuje moją szczękę, ssie skórę szyi... oddycham ciężiej.

Obejmuję dłońmi jego pośladki i *kurwa*, podwijam palce stóp, kiedy przejeżdża zębami po zarysie mojego barku. Jego ciepły oddech parzy moją skórę. Jestem tak podekscytowany, że z łatwością mógłbym teraz szczytować. Ale chcę, żeby to trwało o wiele dłużej.

- Farrow – mówię cicho.

Przypatruje się moim rysom twarzy, chociaż nie ma tu za wiele oświetlenia. Chyba myśli o naszej pozycji. Pozwoliłem mu pozostać na górze i jak na razie nie spieszę się do obrócenia nas.

Farrow przeczesuje czule moje włosy i dotyka wargami mojego ucha.

- Pragniesz mnie dziś poczuć w sobie?

Jego szorstki, lecz erotyczny głos zaciska pięść na moim kutasie.

- Hmm. – W moim gardle narasta pomruk i napinam mięśnie pod jego silną sylwetką.

Porusza nozdrzami, kiedy uderza w niego własna oszałamiająca żądza.

- Maximoffie – szepcze, sunąc powoli dłonią do mojego tyłka.

Natychmiast łapię go za nadgarstek, zatrzymując. Sztywnieję w całkiem inny sposób. Tak jakby ktoś wewnątrz mojego ciała wykrzyknął „ogień!” w zatłoczonym pomieszczeniu.

- Wszystko dobrze – mówi, nie zrywając kontaktu wzrokowego.

- Wiesz, że ci ufam. Po prostu... - Oblizuję usta. – Nie potrafię zrobić tego tak spontanicznie. Chcę tego, ale... - Nigdy mu nie powiedziałem tego, co zamierzam teraz. Okazywanie słabości przypomina roztrzaskiwanie betonu na wielu warstwach twardego metalu.

Obniżam głos do jeszcze cichszego szepotu. Jest tak blisko, że zdoła mnie usłyszeć.

- Dwa razy, jak tego próbowałem miałem osiemnaście lat i wycofałem się do mojej głowy. I to... cóż, bolało jak diabli, więc nie pozwoliłem, żeby trwało długo.

Obejmuje moją szczękę.

- Czy on cię najpierw przygotował?

- Nie.

Farrow przełyka ciężko ślinę, jego mina skłania się ku *wkurzonej*.

- Dlaczego nie...? – Potrząsa głową. – Nie odpowiadaj. – Wypuszcza oddech. – *Kurwa*, zależy mi na tobie, człowieku. – Całuje moją skroń, potem usta, wypowiadając bezgłośnie i zdecydowanie: *nigdy cię nie skrzywdzę*.

Gdy odrywamy się od siebie, przez chwilę milczymy.

- A więc nie chodzi o samo zaufanie – odzywa się cicho. – Denerwujesz się?

- Troszeczkę.

- Troszeczkę – powtarza, jakbym ukrywał prawdę.

- Bardzo – poprawiam się.

- Zaplanujemy na to wieczory. To będzie proces przygotowawczy, ponieważ nie łatwo cię odprężyć.

- Naprawdę? – odpieram sarkastycznie. Żeby pozwolić chociażby jego palcom na wejście muszę się *nie* denerwować, nie spinać, nie bać – a to może zająć godziny, dni albo tygodnie.

Pragnę spróbować. Z nim. Tylko z nim.

Obrzucam wzrokiem jego usta.

- Chcesz tego?

Unosi brwi, jakbym nie dostrzegał tego, co mam tuż pod nosem.

- Czy chcę wsadzić w ciebie mojego penisa?

Mój oddech robi się płytki. – Tak, czy chcesz mnie przelecieć?

- Cholernie mocno. - Muska wargami moje ucho.

Mimowolnie drgają mi biodra i przylegamy do siebie miednicami.

W gardle Farrowa urywa się dźwięk. Odzywa się cicho, ale szybko.

- Dziś wieczorem to może się odbyć na dwa sposoby. Pierwszy: zostanę na górze i wsunę w siebie twojego kutasa. – On jest kurewsko silnym pasywem. Facet napiera poślankami na mojego członka za każdym razem, kiedy się pieprzymy. Dlatego nie miałby problemów w takiej pozycji.

- Albo weźmiesz mnie tak, jak fantazjowałeś, że ja cię biorę.

To. Mój penis reaguje na *to*. Jego naprężające się mięśnie także. Odpowiadam zepchnięciem go z mojego ciała. Jestem agresywny w łóżku.

Ilekcioć obchodzę się z nim brutalnie, wydaje ochryple przekleństwo. Erotyczne „*cholera*” i „*kurwa*”. Klękam przy nim i rozrywam prezerwatywę, osłaniając prędko mój wzwód.

Farrow oddycha szybciej, gładząc swojego penisa, kiedy mnie obserwuje.

Ja pierdolę.

Gotujemy się od środka na nieustające oczekiwanie. Ustawiam go w odpowiedniej pozycji na czworakach i opiera kolana na śpiworach, a ręce na poduszkach.

Farrow ogląda się przez ramię, rozchylając wargi. Wyciąga rękę do tyłu, kładąc ją na moich żebrach. Nawilżam jego szparkę, okrążając palcem wejście.

- Kurwa – jęczy tak cicho, jak tylko można. Wsuwam dwa palce, otwierając go.

Po chwili zastępuję palce erekcją i powoli, powolutku wchodzę w Farrowa. *Chryste, jak ciasno.* Warczę przez zaciśnięte zęby, moje oczy płoną. Zaciska dłoń na moich żebrach.

Przenosi na mnie wzrok i myślmy o tym samym: iż pewnego dnia to będzie on; to on będzie klęczał za moimi pośladvkami, zanurzając się głęboko we mnie...

Wchodzę w niego do końca i zaczynam się poruszać. Chwytam jego silne uda i wyrównuję rytm. Zwiesza głowę do przodu i zabiera rękę, musząc chwycić się ziemi w jakiś sposób.

Blżej. Moje ciało pragnie kontaktu. *Blżej.*

Blżej.

Pragnę skóry, tarcia i potu.

Zanurzam się w niego głębiej i opada na przedramiona, przeklinając oszołomionym głosem. Przylega do mnie tyłkiem. *Kurwa mać.*

Przyciskam tors do jego pleców, pokrywa nas cienka warstwa potu. Obejmuję go mocniej.

Tak, kurwa, tak. Nacisk, tarcie, jego muskularne ciało i wyraz twarzy, nasz bliski kontakt... *wszystko* łączy się ze sobą w przyspieszającej tętno, pieprzącej w umyśle fali.

Naprężam mięśnie pośladków przy każdym pchnięciu. Ledwo potrafi utrzymać prosto głowę. Właściwie to prawie leży na śpiworze. Jesteśmy podobnego rozmiaru, podobnej budowy i okrywam jego ciało, wisząc na górze, wbijając się w niego. Zahaczam ramieniem o jego obojczyki i wchodzę w głębszy rytm.

- *Kurwa* – mruczy w śpiwór. Rozkłada szeroko nogi, kiedy pieprzę go od tyłu.

Farrow obraca głowę i nakrywa moje wargi. Nasze języki walczą o ten słodki ból. Tętno dudni w bębenkach usznych. Wbijam się *mocniej.*

Odrywa się od moich ust, by wydać dudniący odgłos, który obraca mój świat do góry nogami. Farrow chowa twarz w śpiworze, tłumiąc jęki.

FARROW KEENE

Kurwa.

Kurwa. Jestem odłączony od mojego ciała, dusi mnie wszechogarniająca rozkosz. W kącikach oczu zbiera się woda. Jego ciężar przygniata moje ciało do ziemi. Leży na mnie.

Tak właśnie chce, żebym ja go przeleciał. Mocno, głęboko i nieubłagalnie, ale również opiekuńczo. W pełni połączeni.

Ściska moje przedramiona, podpira się na nich, by móc dotrzeć głębiej... *psiakrew.* Wywracam oczami do tyłu, otwierając szeroko usta.

Maximoff wyjękuje moje imię do ucha, kiedy wlatuje na sam szczyt. Moje mięśnie pulsują od ciągłego napinania. Spowalnia, ciesząc się dłużej orgazmem, a ja próbuję złapać oddech.

Gdy wychodzi ze mnie, odwraca mnie na plecy. Łapię go za włosy, kiedy doprowadza mnie do rozkoszy ustami. Przygryzam wewnątrz policzka, chyba zaraz padnę.

- Kurwa – przeklinam, doznając wyzwolenia.

Maximoff przełyka resztkę spermy. Potem dyszymy ciężko, wpatrując się w siebie i moje oczy wyrażają to, co wrzeszczy umysł: *czekają nas wspólne tygodnie.*

Miesiące.

Lata.

To nie kończy się w tym miejscu.

Dam mu to, co on właśnie dał mnie. Ciągnę go w dół i teraz obaj leżymy na plecach, patrząc w sufit namiotu. Wplątam palce w jego włosy, odgarniając leniwie niektóre mokre kosmyki.

On ociera się kostką o moją nogę.

Jedynym dźwiękiem są świerszcze i omiata nas ciemność. Maximoff obraca głowę w moją stronę i jego wyraz twarzy wyraża coś więcej niż zadowolenie.

Jest szczęśliwy.

MAXIMOFF HALE

Akara zakłada tyłem do przodu bejsbolówkę.

- Moffy, zostały ci tylko trzy godziny do zakończenia. Musisz się z nimi konfrontować?

- *Tak.* – To moja jedyna odpowiedź.

Tłoczmy się wokół stojaka z kajakami przy jeziorze. Niedaleko stąd obozowicze składają swoje namioty i pakują torby, szykując się do ostatniego śniadania.

Sulli i Jane stoją po moich bokach, naprzeciwko nasi trzej ochroniarze. Pod butami chrzęszczą pomarańczowe liście.

- Gdybyś usłyszał, co gadali – kontynuuję – sam byś mnie do nich *pchał*.

Akara jest niewzruszony.

- Wątpię. My powinniśmy się tym zająć. – Pokazuje na siebie, Farrowa i Quinna.

- Nie ty – dodaje Farrow, wlepiając we mnie twarde spojrzenie mówiące: *nie ma jebanej mowy, że będziesz się z kimś konfrontował beze mnie, Maximoffie*.

Rozumiem, że oni są ochroną, a ja celebrytą. Lecz nie mogę wzywać posiłków, żeby wywalczyły wszystkie moje bitwy. Nie potrafię stać jak pozbawiony głosu posąg, Janie także. Nie w tym przypadku.

- Możesz iść z nami. Farrow może iść z nami. Chryste, weźcie też Quinna. Ale jako prezes organizacji *nie* zamierzam zakończyć tego obozu, nic im nie mówiąc.

Jane przytakuje zdecydowanie.

Dziś rano Brad, Tyler i nie wiem jak nazywają się pozostałe trzy gnojki – znowu wykonywali wulgarne gesty w stosunku do Jane. Tyle, że wspomnieli o związaniu jej i *przeleceniu*, i jestem dumny z faktu, że wtedy się na nich nie rzuciłem.

Odszedłem razem z Jane. Uspokoilem się. Wymyśliliśmy plan.

Ale Akara nie postrzega tego jako *postępu* z mojej strony.

- Będę z nim – przypomina Jane naszym ochroniarzom. – Ja też muszę coś powiedzieć. Jest tutaj mnóstwo dziewcząt, a jeżeli ci faceci wyjadą z myślą, że mówienie takich rzeczy jest w porządku... to zawiedliśmy. Nie możemy milczeć.

Sulli wyciąga za mną ramię, by złapać dłoń Janie.

- Jeśli będziesz mnie potrzebować, jestem tu.

- Dziękuję. – Jane odrywa się od mojego boku i przytula się do kuzynki.

- I? – zwracam się do Farrowa.

Wbija we mnie wyluzowane spojrzenie pewnie dlatego, że wypowiedziałem magiczne słowa: *chodź ze mną*.

- Myślę, że nie zmienisz zdania.

Tak.

Odwraca się do Akary. – Jeżeli wszyscy do nich podejmiemy, to będzie wyglądać na atak.

Akara zastanawia się nad opcjami.

- Ci kolesie cię polubili.

Farrow wywraca oczami, ale przytakuje.

- Idź z Jane i Maximoffem. – Pomija Sulli i sądzę, że dlatego, iż nie chce by była w pobliżu tej sprzeczki. Akara patrzy na mnie. – Nie wdaj się w bójkę. – Dodaje do Farrowa:
- Nie pozwól mu.

- Nie pozwolę.

Akara podkreśla mi swój punkt.

- Wykonałeś tutaj dobrą robotę, Moffy. Jeżeli komuś przyłożysz, media tylko o tym będą gadać. Nie o sukcesie ani pieniądzach, które zarobiłeś. *Proszę*, bądź spokojny podczas tej rozmowy. Jeżeli nie zdołasz tego zrobić... pozwól, że Farrow, Quinn i ja sami się tym zajmujemy.

- Będę spokojny.

Farrow stara się ukryć uśmiech.

- A jak to wygląda?

- Zaraz się przekonamy. – Spoglądam na Janie, która trzyma wysoko głowę i prostuje się dumnie, niczym kobieta, która ją wychowała. Nie muszę pytać czy jest gotowa.

Chodźmy skopać czyjeś tyłki.

W cywilizowany sposób.

Sprowadzamy Brada i czwórkę jego kumpli pod chatki letniskowe, które są wykorzystywane podczas wakacji przez Obóz Calloway. Kilkanaście osób stoi w pobliżu, żeby obserwować, co się wydarzy. Nie ma tu żadnej prywatności, ale gdybyśmy zabrali ich do biura obozowego obawiam się, że dałbym się ponieść gniewowi.

Janie pierwsza zabiera głos.

- Słyszałam wszystko, co o mnie mówiliście w ciągu tych paru ostatnich dni. – Poprawia pasek torebki w kształcie dyni, który ześlizguje się z jej ramienia. – Nie powinno się mówić takich rzeczy na temat drugiego człowieka. Koniec kropka.

Brad drapie się po czole, uśmiechając z kpina.

- Więc... nie chciałabyś zostać związana za ręce i nogi?

Jego przyjaciele wybuchają śmiechem.

Farrow trzyma rękę na moim ramieniu i wbija palce w mięśnie.

Furia objaja się o moją klatkę piersiową, ale stoję nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami.

- Nie – odpowiada Jane – nie powinieneś pytać o coś takiego. To nieuprzejme i niewłaściwe. Gdybyś zrobił to innej dziewczynie...

- Hej. – Brad podnosi rękę. – Nigdy bym nie powiedział czegoś takiego innej lasce. Ale ty sama się o to prosisz. Zawsze gadasz o BDSM w tym programie. No sama pomyśl, zachęcasz to gównu. To twoja wina.

- Mówi o tym, że *nie* interesuje jej BDSM – warczę. – Ponieważ tacy faceci, jak wy nie potrafią zrozumieć, że ona nie jest swoją mamą.

- I chyba nie pojmujecie znaczenia *przyzwolenia* – dodaje Jane. – Gdybym nawet lubiła BDSM tak jak moja mama, nie macie prawa odzywać się w taki sposób do mnie czy do niej. Nie bądźcie podli. Czy to tak okropnie trudne?

- Czy ona właśnie porównała się do swojej mamy? – Tyler śmieje się do Brada.

Brad chichocze. – Widziałem seks taśmy Rose Calloway i... - Gestykułuje na ciało Jane. – To tania imitacja. – *Niech się jebią.*

Jane prawie wychodzi naprzód, ale Farrow teraz ją chwyta za ramię.

Jakim cudem nie jest gotów zadać ciosu? We mnie gotuje się krew. Naprężam mięśnie, zaciskam pięści. Tysiąc razy przełykam ślinę, przypominając sobie: *nie walcz z nimi.*

Nie ruszaj się.

To niczego nie rozwiąże.

- Jaki macie cel w mówieniu takich głupot? – pyta opanowanym głosem Farrow. – Oni wam mówią, że to krzywdzące. *Posłuchajcie.*

Tyler kiwa głową do Jane. – Spraw sobie grubszą skórę.

- Pierdol się – warczę. – Jesteście tutaj gośćmi.

Brad uśmiecha się ironicznie, ale jego ton się zmienia – wkrada się do niego coraz więcej wrogości.

- Nie, *wygraliśmy* w loterii, za którą zapłaciliśmy.

Zgrzytam zębami. *Spokój. Zachowaj spokój.* Oddycham głęboko, po czym pytam *spokojnie*:

- Po co w ogóle brać udział w loterii, skoro nas nienawidzicie? Po co tutaj przyjeżdżać i zabierać taką okazję innym, którzy na waszym miejscu byliby *przeszczęśliwi*.

- Darmowa wycieczka. - Brad rozkłada ramiona.

Nie mam słów. Po prostu ich nie rozumiem. Nie potrafię się z nimi utożsamić, nie potrafię im współczuć. Nie wiem czy to dlatego, że stoję na piedestale zbyt wysokim, by mieć tę samą perspektywę, co oni. Nie wiem czy to dlatego, że kiedy staram się wskoczyć do ich butów, zalewa mnie czysta *furia*.

Moje rysy twarzy przypominają brutalnie zaostrome sztylety.

Tyler parska śmiechem.

- Czy wy naprawdę wzięliście nas na bok, żeby palnąć kazanie?

- Właśnie to zrobili – prycha Brad. Poklepuje kolegę po torsie i wybuchają śmiechem.

Tyler potrząsa głową.

- Tak jakby uważali się za lepszych od nas. To naprawdę obrzydliwe, jacy jesteście wyniośli.

Kątem oka widzę, że ludzie filmują zaistniałą sytuację telefonami komórkowymi. Wszystko to poszło w kierunku, o którym nawet bym nie pomyślał.

Czasami nie umiem przewidzieć zachowania ludzi, zachowania publiki. Gdzie jest Jack Highland, kiedy jest potrzebny?

Jane unosi podbródek.

- Uważamy tylko, że powinniście być miłsi. Nie mówcie dziewczynie, że trzeba ją spętać, nawet jeśli to osoba znana z telewizji. Nawet jeśli mówi, że to lubi... to nie znaczy, że chce zostać związana przez was. – Bierze głęboki wdech. – Jeżeli bierzecie to za wyniosłość, to... dobrze. Przepraszam.

- Kurwa, nie przepraszaj – mówię do niej. Oczerniali ją przez trzy ostatnie dni, nie pozwolę na takie stanowisko.

- Ojej. Uderzyliśmy w czułe miejsce – odzywa się Brad.

- W nic nie uderzyłeś, gnoju – warczę.

- Maximoff – mówi ostrzegawczo Farrow przy moim uchu.

Wytykam palcami tych palantów. – Mam szczerą nadzieję, że nie zwracacie się w taki sposób do kobiet w waszym życiu – warczę. – Jebać to, nie powinniście odzywać się tak do *nikogo*. A jeśli nie odróżniacie dobra od zła, wyciągnijcie z tyłków te zakute łby.

Gdy tylko milknę, wokół nas zaczynają rozbrzmiewać dzwonki komórek. Ludzie szepczą, rzucając nam spojrzenia. Nawet w mojej kieszeni szaleje telefon. Tak jakby ktoś zgasił lampę i pogrążył nas w ciemności.

Co się dzieje, do chuja?

Czuję natarczywe oczy na sobie i Janie, jak gdybyśmy właśnie rozebrali się do naga pośrodku pola. Moje serce przyspiesza.

Brad praktycznie rechocze, spoglądając ze swojego telefonu na mnie i z powrotem.

- Nic dziwnego, że tak bronisz Jane Cobalt – mówi. – Bzykasz ją.

Rzucam się do przodu.

- Nie. – Farrow chwyta mnie w pasie. Gotuję się ze złości. Wyciągam rękę w stronę Brada, wbijając mocno stopy w ziemię, jak Farrow mnie więzi.

- Jesteś *sukinsynem* – warczę wściekle.

- Myślisz, że ja jestem *sukinsynem*? – Śmieje się. – Koleś, ja nie pieprzę swojej kuzynki.

- Nie pieprzę jej! – wrzeszczę z całych sił.

- Moffy – odzywa się ostrzegawczo Jane złowrogim głosem. Wpatruje się udręczona w swój telefon.

Co się stało, kurwa?

MAXIMOFF HALE

Jane, Farrow i ja mamy jakieś dziesięć minut na rozmowę nim moi rodzice, jej rodzice oraz nasz wujek oraz ciocia pojawiają się w obozie. Przyjechali tutaj, kiedy tylko zobaczyli artykuł.

Maximoff Hale i Jane Cobalt: Sekretny romans!

Bujda.

Wy też nie powinniście w to wierzyć.

Takie wymyślone artykuły ciągle pojawiają się w sieci. Wtedy przechodzimy do działania, wydajemy publiczne oświadczenie i wszystko załatwiamy. Jeśli o mnie chodzi, to niczym się nie różni.

W porządku, jest tutaj mała cholerna różnica.

Nigdy nie byłem oskarżony o kazirodztwo. Nigdy nawet nie pomyślałem, że można by mi zarzucić coś takiego, ale jak tylko opowiemy naszą stronę tej historii... wszystko wróci do normy.

- Czekają tam na nas? – pyta Janie ochroniarza Alfę, który opuszcza domek obozowy o nazwie *Zielona Wierzba*. Przytakuje sztywno ze stoickim wyrazem twarzy.

Pokonuję krótkie schodki razem z Jane i zatrzymujemy się na ganku.

- Wszystko w porządku – przypominam jej. – Poradzimy sobie z tym tak, jak zawsze. Mam w szybkim wybieraniu numerów mojego publicystę i jestem pewien, że twój tata chce, byśmy uzgodnili wszystko z jego ludźmi.

Kontrola strat. Wszyscy jesteśmy w tym zawodowcami.

Jane bierze wdech pełen napięcia i kiwa pokrzepiająco głową. Oglądam się do tyłu.

Farrow trzyma stopę na stopniu i spogląda pomiędzy nami.

- Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, będę tutaj. – Rozpraszają go rozmowy w słuchawce. Porusza mięśniami szczęki, po czym dotyka mikrofonu przypiętego do kołnierzyka.

Nie słyszę jego cicho wypowiedzianych słów.

Ruszam do przodu, chwytając dłoń Jane.

Gdy wchodzimy do domku, energia ulega całkowitej zmianie. Nasi rodzice oraz ciocia i wujek niespodziewanie wpadają w mroczne milczenie.

Zajmujemy miejsca na dwóch drewnianych krzesłach zwróconych do ściany łóżek piętrowych i części ludzi, których kochamy najmocniej na świecie. Szóstki osób, które na nas wpłynęły. Wychowały nas.

Które nadały nam kształt.

I chroniły.

Na jednym górnym łóżku siedzi wujek Ryke obok swojej żony – cioci Daisy, właścicielki Obozu Calloway i mamy Sulli: ma jasne, nierówno ścięte włosy oraz długą bliznę na policzku. Wymachuje nogami przez ramę łóżka i przenosi iskrzące się oczy na ciemne Ryke'a.

On wygląda na wkurzonego. Ale sam nie wiem... często ma taki wyraz twarzy.

Pod nim na czarnym kufrze siedzi moja mama i trzyma na kolanach plastikową torebkę mieszanki studenckiej, wpychając sobie nerwowo garść do buzi. *Jest zdenerwowana.*

Mama ciągnie za półgolf taty, jakby chciała, żeby on także usiadł. Potrząsa głową, opierając się o słupek drugiego łóżka i krzyżuje ramiona na torsie.

Jego spojrzenie jest ostre.

Patrzę na rodziców Jane. Wujek Connor i ciocia Rose stoją ręka w rękę, uzbrojeni do bitwy niczym król i królowa.

Tyle, że nie wiem, z kim zamierzają walczyć. Raz jeszcze patrzę na każdego z nich. Zdaję sobie sprawę, że ustawili te krzesła tak, byśmy siedzieli naprzeciw nich.

Czy to jest przesłuchanie?

- Cieszę się, że wszyscy tu jesteście – mówię na wstępie, dając im przywilej wątpliwości. – Trzeba pogadać o tym, jak zająć się artykułem. – Milknę, kiedy żadne się nie odzywa.

Moja mama posyła swojej siostrze Rose podejrzliwe spojrzenie. *Jezu.*

Ryke wpatruje się twardo w moją dłoń opatulającą rękę Jane... i Jane mi ją wrywa. *Co.*

Obrzucam ich wszystkich piorunującym spojrzeniem.

- *To nieprawda.* Chryste, nie powinienem musieć tego mówić.

Connor przejmuje wodze. – Mamy tylko kilka pytań. – Tata Jane to głos rozsądku. On pierwszy zrozumie. Wszyscy inni są dramatyczni – jednak, jakim *pierdolonym* cudem mogliby w to uwierzyć przez jedną sekundę?

A może nie uwierzyli.

Może ich zwątpienie to moja paranoja wlewająca się do zdrowego rozsądku. To nasza rodzina, nigdy by z nami nie walczyli.

Jane siada prosto na skrzypiącym krześle.

- Jakie pytania?

- Nous avons besoin d'explications, mon coeur. – *Potrzebujemy wyjaśnień, skarbie.*

- Żadnego francuskiego – mówi do niego mój tata.

- Wszyscy musimy być po tej samej stronie – odzywa się lodowatym głosem Rose. – Nie możemy pozwolić, żeby to nas rozdzieliło. – Świdrujące żółtozielone oczy wydrążają dziury w praktycznie każdej obecnej osobie. Nawet w jej mężu.

- Tego właśnie chcemy – mówię, spinając ramiona. Jestem gotów to rozwiązać i ruszyć dalej.

- Dobrze. – Connor kiwa głową. – Zaczniemy od nocy, kiedy pouciekały koty. Dlaczego byłeś w samej bieliźnie?

Kurwa, dlaczego jest potrzebne na to wytłumaczenie?

- Graliśmy w grę alkoholową.

- Niepijący uczestnicy mieli się rozbierać – dodaje Jane.

- I korzystaliśmy z *twoich* zasad. – Podnoszę wzrok na wujka Ryke'a.

Ryke odchyła się, jakbym przywalił mu w brzuch.

- *Moich* zasad? No nie, kurwa. Zawdzięczacie je Cobaltowi.

Krzywię się do wujka Connora. – To ty wymyśliłeś zasadę z rozbieraniem? – On jest tym eleganckim... i pije alkohol. Zawsze myślałem, że pomysłodawcą musiał być tata albo Ryke.

- Jesteśmy dopiero przy pierwszym pytaniu i już zbaczamy z tematu – odpowiada – i *tak*, wymyśliłem. Wróćmy do tej samej nocy...

- Wigilii Halloween dla Przyjaciół – poprawia go mama.

- Cóż za urocza nazwa – uśmiecha się jej młodsza siostra Daisy.

- Mówisz tak tylko dlatego, bo wymyśliła ją twoja córka – odparowuje Rose.

Daisy nabiera gwałtownie powietrza w drwiący sposób.

Connor ignoruje siostry i pyta mnie bez ogródek:

- Dlaczego miałeś ślady po ugryzieniu?

Mama zerka na Jane. Zaczynam potrząsać głową. *Nie*. Chyba nie wierzy, że to Jane mogła mnie ugryźć. Ciocia Daisy przygląda się naszej parze, tak jak ciocia Rose.

Trzepoczę powoli powiekami, jakby mój świat zaczął się kręcić, a ja staram się mocno czegoś trzymać.

Szczęka taty staje się bardziej zaostrzona z każdą mijającą minutą. Powietrze w domku zostaje wysane przez nowe krępujące spięcie. Znów wyczuwam zmianę.

Wyczuwam niepokój.

Wyłamuję sobie knykcie, prostując boleśnie kręgosłup.

- W jak dużą część *nie* wierzycie? – Na mojej piersi osiada ciężar. – Nie zadajecie tych pytań ze względu na publicystów. Zadajecie je dla siebie, prawda?

Jane przysuwa do mnie dłoń i splatamy palce. Wszyscy obserwują to podejrzliwie, co wbija nóż pomiędzy moje żebra.

- Nim podejmiemy decyzję, musimy usłyszeć waszą wersję – odpowiada mi tata.

Odrywam palce od Jane. Nie jestem już w stanie dłużej usiedzieć, więc prostuję się do wzrostu taty. Z moich oczu ciskają gromy.

- Naprawdę *wierzysz*, że mógłbym uprawiać seks z Jane?

- Nie wiem, co mam myśleć, Moffy. – W jego oczach płonie żar. – To *kazirodztwo*, na litość boską. Raczej byś do mnie z tym nie przyszedł!

- Jestem twoim *synem*. – Gestykułuję na niego gniewnie. – *Znasz* mnie. *Znasz* mnie lepiej od większości ludzi. Jak mógłbyś w ogóle pomyśleć... - Słowa kleją się do mojego obolałego gardła. On nie wygląda nawet, jakby odczuwał współczucie.

Wciąż jest czujny, jakbym kłamał mu prosto w oczy.

Chcę wrzeszczeć w pieprzone niebogłosy: *nie sypiam z Jane!* Ale nie potrafię wyrzucić z siebie tych słów. Brakuje mi tchu. Jestem oszołomiony ich zwątpieniem.

Mama Jane przejmuje kontrolę.

- Gdy byłam w twoim wieku myślałam, że znam moją siostrę, ale przez wiele lat Lily ukrywała przede mną swoje uzależnienie – oznajmia mi Rose. – Kłamała. Wykradała się. Przegapiłam *wszystkie* znaki. – Słyszę w jej głosie poczucie winy. Żałuje, że nie mogła wcześniej wspierać mojej mamy.

I uważa, że kłamię tak jak moja mama.

Kurwa. Przeczesuję sobie włosy i warczę:

- *Nie* jestem nałogowcem. Mówimy prawdę! – Ale oni są ukształtowani przez własne doświadczenia.

Tak jak ukształtowały i *nas*. Ile razy moi rodzice twierdzili Rose, Connorowi, Ryke'owi i Daisy – *nie kłamiemy*? Ile razy byli przyłapywani na kłamstwie?

Niech to szlag jasny trafi.

- Nie kłamiemy – mówi mniej wrogim głosem Jane. – Przyrzekam.

Nie przestaję kiwać cholerną głową.

- To pierdolone kazirodztwo, Mof – mówi Ryke i słychać napięcie w jego szorstkim głosie. – Jak powiedział twój tata, nie przyznałbyś się dobrowolnie do czegoś takiego.

- Więc co? – pytam. – Chcecie twierdzić, że kłamiemy, dopóki nie będziemy zmuszeni się przyznać? Czy to jest waszym celem?

Nic nie odpowiadają.

- Jezu – mruczę.

- Trzymaj... - Moja mama wstaje z podłogi ze łzami w oczach. – Weź sobie trochę mieszanki.

Piorunuję ją wzrokiem.

- Nie chcę twojej mieszanki, mamó. – Od razu czuję się jak palant. Chyba nigdy w życiu nie warknąłem na mamę. Opada z powrotem na kufer i drży jej broda. Pociąga nosem i próbuje trzymać głowę wysoko w górze.

- Ja trochę wezmę, skarbie. – Tata zabiera od niej torebkę.

- Tato – odzywa się ostrożnym i miękkim tonem Jane. – Naprawdę mówimy prawdę.

Connor jest niemal niewzruszony.

- Muszę trzymać się faktów. – Urywa na chwilę. – I chcę byście mieli świadomość ryzyka zdrowotnego, jeśli...

- Przestań. – Rose zakrywa mu usta.

Mama wybucha płaczem. Ciocia Daisy wyciera oczy rąbkiem koszulki.

- Ja pierdolę, Cobalt – burczy Ryke.

Mój tata wygląda na chorego.

- Nie współżyjemy ze sobą! – krzyczę i prawie wychodzą mi żyły na szyi. Przykładam ręce do głowy, oddychając ciężko. *Farrow*.

Niemal odwracam się w prawo, spodziewając się go tam. Zawsze jest obok mnie, ale teraz stoi pod zamkniętymi drzwiami. Wysłuchuje mojej frustracji i furii.

Ryke celuje we mnie palcem. – Wytłumacz jebane ugryzienia.

- Nie byłam to ja – mówi Jane, wciąż siedząc, ale jej słowa podpierają pewność siebie oraz siła. *Prawda*.

To przeklęta prawda.

- Więc kto, do chuja? – pyta mnie Ryke.

Cholera.

Cholera.

Cholera.

Jane, Farrow i ja rozmawialiśmy już o *tym* sekrecie. Tym prawdziwym, ukrywającym fakt, że sypiam z moim ochroniarzem.

- Nie zamierzam być przyczyną ujawnienia waszego związku – powiedziała Jane.

Była stanowcza, żebyśmy nie ujawniali naszej tajemnicy światu. Jest inteligentna oraz wykalkulowana, i takie były jej słowa.

- Nie ma pewności, iż media uwierzą, że ty i Farrow w ogóle ze sobą chodziliście. Najprawdopodobniej stwierdzą, że to sztuczka mająca na celu ukrycie naszego rzekomego romansu. Wyczucie czasu jest podejrzliwe. A potem co, Moffy? Farrow straci pracę i prywatność. Ty dostaniesz nowego ochroniarza. A wszyscy i tak będą sądzić, że uprawiamy seks.

Nie ma żadnego dowodu na moje spotkanie się z Farrowem. Nie posiadamy żadnych zapisów wiadomości, które moglibyśmy wrzucić do sieci. Żadnych maili. Żadnych zdjęć z przeszłości. Żadnych nagrań. Ta nasza cholerna ostrożność... nie pomyślałbym, że zadziała przeciwko nam.

Porównajcie tę stertę *niczego* z niezliczonymi fotografiami oraz dowodami Jane i mnie razem. Wszystkie uściski. Wszystkie całusy w policzki. Moje tulące ją ramiona. Jej głowa na mojej piersi.

Jesteśmy ze sobą blisko.

Zawsze byliśmy blisko, ale teraz każde zdjęcie można przekreślić. Dodać do tego godziny nagrań *Jesteśmy Calloway*, podczas których opowiadamy o tym, jak bardzo się kochamy. Platoniczna miłość – ale to również można obrócić.

Nawet Wigilia Halloween dla Przyjaciół obfituje w dowody. Media opublikowały zdjęcie, na którym trzymam Jane w ramionach. Jestem praktycznie nagi, a ona w pidżamie. Twierdzą, że to zbyt bliska relacja dla kuzynów.

Po raz pierwszy w życiu czuję się samotny. Całkiem sam. Jakbyśmy Jane i ja weszli na pokład łodzi ratunkowej i zostali wypchani na otwarty ocean.

- Maximoffie – mówi twardo Ryke. – Kto cię ugryzł?

Przygotowywałem się na radzenie z brukowcami, z całym światem. Ale nie z własną rodziną. A choć możecie uważać, że gorsza bitwa byłaby ze światem... to nie.

To jest gorsze. *Okaleczające.*

- Nie Jane – odpowiadam stanowczo.

- Ale te ugryzienia nie mogą być po jednonocnej przygodzie – mówi tata.

Marszczę brwi, zastanawiając się, po czym wysunęliby taki wniosek.

- Nie chodzisz do klubów od czterech jebanych miesięcy – zwraca się do mnie Ryke.
- Zadzwoń do Price'a, żeby zapytać o umowy poufności, ale nie posiada *żadnych*.

- Co znaczy, że nie sypiałeś z przypadkowymi osobami – kontynuuje Connor. – Podążasz za tą logiką, Moffy?

Przypominam sobie kłamstwo, które Farrow podał ekipie bezpieczeństwa.

- Myślicie, że spotykam się z jedną dziewczyną.

- Price mi powiedział – mówi Ryke. *Price*. Potrząsam głową. – Mówił, że sypiasz z tą samą dziewczyną i odmówiłeś podpisania przez nią umowy, ponieważ ona nie spodobałaby się twoim cholernym rodzicom.

Wszyscy przenoszą wzrok na Jane.

Cholera jasna.

- To nie ja – powtarza sztywno Jane.

- Kto miałby się nam nie spodobać? - Tata wymachuje ręką w moją stronę. – Nie potrafię wyobrazić sobie żadnej innej osoby oprócz twojej kuzynki.

Farrow Redford Keene.

Wpatruję się przed siebie udręczonym wzrokiem. Moralność to wymagająca bestia, która prosi mnie, *błaga na kolanach*, bym zrobił to, co właściwe. Ale co jest jeszcze właściwe? Szukam miecza, na który muszę się rzucić. Po prostu nie chcę przy tym skrzywdzić Jane albo Farrowa.

Nie mogę go skrzywdzić.

Nie mogę.

Niech przesyje tylko mnie.

- Może to nie romans – mówi dalej Ryke. – Czy ty pijesz? Masz jakieś pierdolone kłopoty?

- *Nie* – odpowiadam stanowczo.

- A ty? – Ryke odwraca się do Jane.

- *Nie* – mówi tym samym tonem, co ja.

- My tylko chcemy pomóc – odzywa się mama, a na jej policzkach widnieją ślady łez.
- Gdybyście oboje byli szczerzy, udałoby nam się to wszystko ułożyć. – Myślę, że kłamiemy.

I rzeczywiście kłamię.

Prawda stoi tuż za tymi drzwiami. Pamiętam, co powiedział jednym razem Farrow. „*Musisz po prostu wiedzieć, że będę ponosił rany, a ty nie możesz przybiec mi na ratunek, wilczku. Musisz na to pozwolić.*” Nie mam go ochraniać. Chociaż to mnie zabija. Chociaż zawiązuje mi żołądek na milion supłów.

Mamy stać równo obok siebie. I razem musimy przyjąć ten cios.

Idź po prawdę.

Odwracam głowę.

- Sypiacie w tym samym łóżku? – pyta wymuszonym głosem tata.

Sztywnieję, a w pokoju wzrasta temperatura.

Wracam do niego spojrzeniem. Nie będę zakopywał się pod następnym kłamstwem.

- Czasem – odpowiadam. – Zawsze platonicznie.

Mama siedzi na samej krawędzi kufra.

- Ale śpicie w tym samym łóżku – mówi, jakby potrzebowała ekstra zapewnienia. Jakby źle usłyszała.

- Ta.

Mama przykładła dłoń do klatki piersiowej.

- Twój tata i ja... zwykliśmy spać w tym samym łóżku, kiedy tylko się przyjaźniliśmy.

Kurde.

Oblizuję suche usta. – Pociągaliście się nawzajem. Nie czuję pociągu do Jane.

- Nawzajem – mówi Jane, wierząc się w miejscu. – Nie pociąga mnie Moffy.

- Byliśmy także kłamcami – dopowiada tata.

W tej chwili ja także jestem kłamcą, co wyczuwają niczym kroplę krwi w oceanie. Są rekinami, a ja zdobyczą. I jestem rozrywany na pół.

Tata nie odrywa ode mnie oczu, wyglądając na złamanego i zbolanego.

- Kochamy cię – mówi. – Kochalibyśmy cię bez względu na wszystko. Ale nie możemy ci pomóc, dopóki nie będziesz z nami szczerzy.

- Nie potrzebuję pomocy – odpowiadam. – Nic mi nie jest.

Przytakuje. – Sam to kiedyś mówiłem. – Jego słowa praktycznie pokrywają się lodem. Posyła mi swój klasyczny gorzki uśmiech. – Gratuluję, Maximoffie, dostałeś to, czego chciałeś. Jesteś bardziej podobny do mnie. – Jego rozczarowanie to tsunami, które zderza się z moją klatką piersiową.

Patrzę tacie prosto w oczy i wypowiadam słowa, których nie chciałem wydukać w całym przeklętym życiu. Potrzeba każdej namiastki mojej wewnętrznej siły żeby przyznać to sobie, jemu, wszystkim tutaj zgromadzonym... a nawet wam.

- Nie jestem taki jak ty – oznajmiam mojemu tacie.

Nigdy nie zraniłbym moich bliskich kłamstwem, a tak się teraz dzieje. Krzywdzę jego, mamę, ciotkę, wujków... a nawet Jane. Potrafię znieść zwątpienie świata. To powszechne. Ale nie potrafię żyć z ich wątpliwościami.

Idź po prawdę.

Odwracam się do drzwi i nagle zamieram.

Podchodzi do mnie Farrow i wygina kąciki ust w wyrazie „*wiem*”.

FARROW KEENE

Słyszałem wszystko zza drzwi i w połowie spotkania wiedziałem już, co trzeba zrobić. Czuję na sobie sześć niedowierzających, zdezorientowanych spojrzeń, kiedy wchodzę do środka. Jeszcze nie zwracam na nich uwagi.

Nim Maximoff zdąży wydukać pytanie: *Na pewno chcesz to zrobić?*, chwytam jego nadgarstek, stając u jego boku.

- Twoja moralność przechodzi na mnie – szepczę cicho. Niedobrze mi się robi na myśl stawiania Maximoffa Hale'a w miejscu, gdzie jest zmuszony okłamywać tych ludzi.

Jego rodzinę, która go potrzebuje.

Która mu ufa.

Która go kocha.

Stałby się gorszym człowiekiem, gdyby zdeptałby ich wszystkich kłamstwem i uczynił mnie lepszym człowiekiem, ponieważ nawet się nie waham z wyjawieniem prawdy. Nie przejmuję się konsekwencjami zawodowymi i jesteśmy wystarczająco silni, by przeżyć negatywny efekt. Pod koniec drogi wiem tylko, że ochraniając i utrwalając istotę jego osoby.

I zrobiłbym to pięćset razy od nowa.

Gestykułuję Maximoffowi, żeby kontynuował. *Powiedz im.*

Bierze w garść moją koszulkę i przyciąga do swej piersi. W jednej szybkiej chwili kładzie dłoń na moim karku i styka się z moimi wargami. Zero zawahania, zero zastanowienia – duma, którą odczuwa z naszego związku wznosi jego postawę na wyżyny.

Musi czuć, jak rozciągam kąciaki ust. Nie potrafię opanować uśmiechu. I tak bym tego nie zrobił, nawet gdyby mi kazano. Przysuwamy się bliżej w głębszym, niespiesznym pocałunku i zarzucam ramię na jego szerokie bary. Przeczesuje moje czarne włosy, jego żądza i pragnienie ponownie rozwierają mi usta. Przyspieszają przepływ krwi w żyłach. Wszystko to już wcześniej czułem przy Maximoffie.

Poszedł na całość.

Poszedł na całość ze mną.

Zdaję sobie z czegoś sprawę, tak jak wszyscy inni: *to jego pierwszy pocałunek przy widowni*. Jeżeli teraz mu nie uwierzą, to będą iść po prostu w zaparte.

Gdy nareszcie przerywamy pocałunek, wymieniamy się jednym silnym, diabelnie upartym spojrzeniem mówiącym: *razem tkwimy w tym gównie i razem się z niego wydostaniemy. Bez względu na wszystko*.

Stajemy twarzą w twarz z jego ogłuszoną rodziną i obejmuję jego dolną część pleców.

- To jest prawda – oznajmia Maximoff. – I nie kłamię, kurwa.

Jego nadopiekuńczy tata przebija mnie lodowatym, wściekłym spojrzeniem. I tylko mnie.

- Albo jesteś najlepszym przeklętym ochroniarzem i go osłaniasz... albo jesteś najbardziej gównianym ochroniarzem i sypiasz z moim synem.

- Sypiam z twoim synem – odpowiadam bez chwili zawahania.

Lo miażdży mnie wzrokiem, gotując się ze złości. Spodziewałem się tego, ale cały szacunek oraz zaufanie, które u niego zdobyłem przez te wszystkie lata niespodziewanie zostają wyrwane z mojego ciała.

Obraca się do swojego brata. Ryke zeskakuje z górnego łóżka nim jego żona zdoła złapać go za ramię.

Maximoff celuje w nich gniewnie palcem.

- Farrow nie jest wrogiem. To mój pieprzony chłopak!

Staram się nie uśmiechnąć. *Cholera, dobrze było to usłyszeć*.

Connor Cobalt zawłada pomieszczeniem, robiąc jeden krok do przodu.

- Oczyszcmy atmosferę zanim zacznie się dramatyzowanie. – Unosi spokojnie dłoń do mnie i Maximoffa. – Wierzmy, że jesteście parą, ale świat to inna sprawa. Teraz nikt w to nie uwierzy. Media pójda w historię romansu Moffy'ego i Jane.

Ta wersja jest pikantniejsza.

- Odkładając ten temat na bok – mówi dalej Connor – w tej chwili musimy zająć się prywatną kwestią ochroniarza współżyjącego ze swoim klientem...

- Moim synem – Lo warczy do Connora. – Przysięgam na Boga, Connor, nie traktuj tego jakby to nie było nic takiego...

- *Tato* – przerywa mu Maximoff. – Jestem dorosły. Oboje jesteśmy świadomymi swych czynów *dorosłymi*. Nie ma nic złego...

Ryke celuje we mnie palcem. – To twój jebany ochroniarz, Moffy!

Lily przepycha się przez mur mężczyzn i staje tuż... przede mną, spoglądając na mnie zboląłymi zielonymi oczami. Próbowałem nie wyobrazić sobie tej sceny.

W której krzywdzę jedyną kobietę, którą chronilem kilka lat.

Ale należałem do Alfy trzy lata, otaczali mnie ci wszyscy zgromadzeni tu ludzie... kurwa, wiedziałem jak by zareagowali na wieść o *jakimkolwiek* ochroniarzu sypiającym z ich dziećmi.

Wiedziałem, że spotka mnie potępienie. Wiedziałem, że według nich złamałem świętą zasadę.

- *Ja* dobrałam cię do mojego syna. – Jej podbródek zaczyna dygotać, ale bierze głęboki wdech, unosi głowę i wbija wściekle palec w moją klatkę piersiową. – Ufałam ci, Farrow. Spojrzałeś mi w oczy i przyrzekłeś, że będziesz go chronić.

- Chronilem – odpowiadam głęboko. – Chronię...

- Wykorzystałeś naszego syna – przerywa mi Lo. – To nie jest chronienie. – Zmuszam się, żeby nie wywrócić oczami. Trwałem przy Maximoffie Hale każdego pierdolonego dnia i na pewno nie zmusiłem go, żeby mi obciągnął.

Maximoff wydaje sfrustrowany warkot.

- Nie wykorzystał mnie. *Tak*, jestem celebrytą. *Tak*, wie o moim prywatnym gównie, ponieważ jest moim ochroniarzem. Czy kiedykolwiek wykorzystał swoją pozycję, żeby mnie uwieść, zaszantażować albo skrzywdzić? *Nigdy*.

Rose podpira ręce na biodrach.

- Ale zatrudniamy ochroniarzy, żeby *chronili* nasze dzieci. – Wbija we mnie płomienne spojrzenie. – Nie, żeby ich pieprzyli. Za tę zradę twoje serce powinno zostać oddane na pożarcie wilkom. – Wyciąga rękę do męża. – Nóż, Richardzie.

Connor opuszcza jej ramię. – Zostawmy w spokoju hiperboliczne morderstwa, kochanie.

Maximoff próbuje przykuć uwagę swojego taty, ale wciąż skupia całą swą siłę na mnie.

- Tato, mam dwadzieścia dwa lata. Podejmuję własne decyzję i wybrałem jego.

- Jak długo? – pyta mnie Lo, lekceważąc syna, żeby mnie wypytywać. – Czy to się zaczęło zanim zostałeś mu przydzielony...

- *Nie* – zmuszam się do odpowiedzi.

Lo zastawia się nad tym chwilę.

- Nie oddaję łatwo zaufania. A oddałem ci tyle, ile oddaję *rodzinie*, a ty ot tak nasrałeś na mnie i Lily. Po co?

- Po co? – powtarzam, kręcąc głową. *Po co?* – Zrobiłbym dla Maximoffa wszystko. Jestem tutaj, gotów poświęcić dla niego karierę. Chcę być z nim, ponieważ zależy mi na nim. I przykro mi, że zawiodłem wasze zaufanie, ale nie potrafię okłamywać ani ciebie, ani Lily. Gdybym miał szansę, zrobiłbym to wszystko jeszcze raz.

Jestem w nim zakochany.

Nie wypowiedziałem jeszcze tych słów Maximoffowi i nie usłyszy ich pierwszy raz z mojej rozmowy z jego ojcem.

Lo zachowuje powątpiewające stanowisko, ale wszyscy słyszą, co mówię.

- Mówię wam w tej chwili – Maximoff zwraca się stanowczo do całego pomieszczenia – że nie zwolnicie Farrowa. Żadne z was. On wciąż będzie moim ochroniarzem.

- Żeby tak było wasza relacja musi pozostać w tajemnicy przed światem zewnętrznym – odzywa się Connor.

- Kurwa, kto powiedział, że on zostanie w ekipie i jako ochroniarz Moffy’ego? – wtrąca Ryke.

- A kto go zwolni? – odparowuje Maximoff. – Ty?

Ryke piorunuje mnie wzrokiem, jakby chciał, żebym zrezygnował z roboty. *I miałbym wepchnąć innego ochroniarza w ramiona Maximoffa?* Ja pierdolę, nie.

- Nie zrezygnuję – mówię mu. – I nie przeszkadza nam utrzymywanie tego w tajemnicy.

- Nadal przekroczyłeś granicę – mówi jego tata – i muszą nastąpić reperkusje.

Maximoff wymachuje ręką do Lo. – Powtarzam, ty go nie...

- To sprawa ochrony – oświadcza jego tata. – Oddamy tę decyzję w ręce ekipy. Jeżeli powiedzą, że Farrow nie jest w stanie dłużej cię chronić i to zbyt niebezpieczne, nie ma go. To cholernie dyplomatyczne z mojej strony.

- Słusznie – zwracam się do Lo nim zabierze głos Maximoff.

Brzmie ugodowo, ale ekipa ma więcej powodów, żeby mnie zwolnić niż zatrzymać. Poza tym mogę się założyć, że Price i Thatcher z przyjemnością chcieliby mnie zastąpić sztywnym kołesiem uszczęśliwiającym wszystkich na siłę. Zasadniczo kimś, kto nigdy nie wyciszyłby radia, nie kłóciłby się ani nie przespał ze swoim klientem.

I szczerze nie jestem przekonany czy Akara i reszta Omegi wstawią się za mną, czy może odwrócić się ode mnie. Moje czyny rzuciły kiepskie światło na SBO i jeżeli wolą pozostać nieskazitelną, przyzwoitą siłą, przeniosą mnie.

Oto, co wiem: mogę zostać zwolniony z całego zespołu, przeniesiony do ochrony innej osoby albo przerzucą mnie na okres próbny.

Wszystko pozostaje pod znakiem zapytania.

FARROW KEENE

Nie mam pistoletu ani radia.

Ochrona zarekwirowała oba na czas omówienia mojego pozostania w ekipie. Akceptuję zmianę lepiej niż większość ludzi, więc naturalnie nie „obawiam” się przeszkód na drodze. Lecz mam świadomość, co mogę utracić. To prawie nostalgiczne uczucie, kiedy wpatrujesz się w ukochany uniwersytet i wiesz, że za chwilę być może już nigdy więcej nie postawisz stopy na kampusie.

Mogę stracić te późne spotkania sił bezpieczeństwa Omegi w Studio 9, żartobliwe docinki przez radio, bycie informowanym o prywatnych sprawach, przytłaczającą dumę wobec Cobaltów, Meadowsów i Hale’ów, którą wszyscy podzielamy oraz ten żyty zespół, który dobrowolnie, zażarcie poświęca swój czas i życie, żeby ochraniać te rodziny.

Zapinam skórzaną kurtkę, kiedy grudniowy wiatr potrząsa gałązkami klonów i przetacza się przez Smoky Mountains. Nie jesteśmy już w Obozie Calloway.

Gdy wczoraj rano oficjalnie zakończył się dobroczynny obóz Maximoff nie chciał wracać od razu do Filadelfii. Istnieje tylko jedno miejsce, które rodziny wykorzystują jako sanktuarium z dala od mediów i publiki.

Czteropiętrowy dom nad jeziorem ukryty w Smoky Mountains.

Osiemdziesiąt kilometrów krętych żwirowych drózek prowadzi do pełnego ukojenia miejsca odwiedzanego przez rodziny na święta i wakacje. Wiśniowy dach zlewa się z gąszczem klonowych drzew, których liście są krwiście czerwone tuż przed upadkiem.

Byłem już tutaj. Półtora kilometra na wschód wybudowali drugi dom dla ochrony. W gruncie rzeczy pomagamy zapewnić im prywatność na tych wielu akrach ziemi przed mediami... oraz różnymi wycieczkowymi samochodami, które zechciałyby wybrać się przypadkowymi drogami.

Schodzę po stopniach domowego tarasu i pokonuję wzgórze, kierując się do jeziora.

Jane i Maximoff siedzą na krawędzi pomostu. Lśniaca woda odbija krajobraz gór.

Co jest mocno zauważalne: oddzielająca ich przestrzeń. Dziwny widok.

Między nimi zmieściłyby się jeszcze dwie sylwetki, a ona siedzi sama pod kocem. Ledwo na siebie patrzą, ale przynajmniej rozmawiają.

Nasza trójka, plus Quinn, to jedyne osoby znajdujące się w domu. Media nie przestają spekulować o ich niby „romansie”, a Twitter wymyślił im nawet nazwę: #HaleCozirodztwo.

Prawdziwe Hale Co. przeżywa koszmar publicystyczny. Ponieważ tata Maximoffa jest prezesem, Loren Hale zwalcza większość negatywnych skutków.

Gdy docieram na pomost, Jane i Maximoff trwają w zamyśleniu. Jak na razie nie załamali się. Rzucają takimi tekstami, jak: „*ciagle wychodzą jakieś plotki*”, „*to nic nowego*” i „*razem zdołamy przetrwać wszystko*”.

Ale to pierwszy taki atak na ich przyjaźń.

Maximoff zamierza się podnieść na mój widok, ale zamiast tego zajmuję miejsce obok niego i obejmuję mnie ramieniem.

- Jakież wieści od ochrony? – pyta.

- Jeszcze nie.

Zauważam jego komórkę na drewnianych deskach oraz czarny ekran. Przy ogromie trwającego chaosu powinien być zasypywany różnymi powiadomieniami.

Patrzę na niego spod uniesionych brwi.

- Wyłączyłeś telefon? – Chyba pierwszy raz w życiu.

Jane otula się mocniej kocem. – Oddał pełną niezależność na podejmowanie decyzji dyrektorowi operacyjnemu Filantropii H.M.C. i wyłączył komórkę.

- Dyrektor ma władzę tylko przez dwa dni – wyjaśnia Maximoff. Następnie zwraca się do najlepszej przyjaciółki. – Nie jestem tu, żeby pracować. Chcę być tutaj dla nas, Janie...

- Z nami wszystko jest w najlepszym porządku, tak przecież mówiliśmy. – Chwyta za zwinięte czasopismo, które kupiła na stacji benzynowej i przerzuca bezmyślnie strony. – To nic nie znaczy.

Maximoff odrywa ode mnie ramię, żeby wyłamać knykie. Ugniatam mu ekstremalnie napięte mięśnie barków.

- Więc o co chodzi w tym półtorametrowym odstępnie? – pytam.

Jane przysuwa się bliżej, dopóki nie znajduje się tylko kilkanaście centymetrów dalej.

- Dziwnie się czuję, że nasi rodzice i część członków rodziny uwierzyli, że ze sobą sypiamy. Nie wspominając o ochronie. – Wydaje westchnięcie, które zmienia się w cichy warkot, po czym wzdyga się. – Nigdy w życiu nie czułam się bardziej zażenowana...

Maximoff wykrzywia twarz całkowicie rozbity. Nie może tego naprawić fizycznym pocieszeniem Jane. W tym właśnie problem.

- Omega nie uwierzyła w tę plotkę – przypominam jej.

- I nasza rodzina teraz nam wierzy – dodaje Maximoff.

Jane podnosi na nas wielkie błękitne oczy.

- Bo pocałowaliście się. Nie dlatego, że nam ufali, a *nic* nie zrobiliśmy, żeby stracić to zaufanie. Narzucili na nas własną przeszłość, jak robią zwykle media, a nigdy nie powinni w nas zwątpić. *Nie powinni* – mówi stanowczo.

- Przepraszam – mówię, kiedy gryzą mnie rzadko odczuwalne wyrzuty sumienia. – To moja wina. – Po pierwsze, mogłem się postarać, żeby nie wgryzać się tak mocno w Maximoffa. Po drugie, kłamstwo, które wymyśliłem tamtej nocy nakreśliło wątpliwości ich rodziców. – Przeze mnie wykorzystali przeciwko wam tamte dowody.

Maximoff rzuca mi spojrzenie.

- Jestem pewien, że to nie ty tuliłeś ją w ramionach, tysiąc razy całowałeś jej policzek, obejmowałeś ją...

- Wszyscy się do tego przyczyniliśmy – wtrąca Jane – ale bądźmy okropnie szczerzy, jak do tej pory to najdziwniejsza sytuacja, w jakiej kiedykolwiek byliśmy.

Bez jaj.

Obrzuca wzrokiem jakiś artykuł, następnie przyciska kartki do piersi.

- Widzieliście nowy artykuł *Tacy Jak My*?

- Nie – odpowiadamy.

- Zgadnijcie tytuł – mówi Jane.

Maximoff patrzy wściekle na jezioro. - Gniewni Jak My.

- Miałeś chyba na myśli *Dziwni Jak My* – droczyć się.

Jane prawie się uśmiecha, co sprawia, że Maximoff odpręża barki, a wtedy ona pokazuje nam czasopismo.

*Uszkodzeni Jak My*⁶.

Fotografie ukazują Jane i Maximoffa na obozie: on niesie ją na barana i całuje po policzku, Jane przytula go w pasie i śmieje się. Wszystko przekręcone, żeby pasować do nagłówka.

⁶ Swoją drogą to tytuł książki ;)

Zabieram jej gazetę i rzucam nią przez jezioro jak Frisbee, słysząc po chwili chlupot.

Gdy wracam spojrzeniem do Maximoffa, ten pyta:

- Gdybyśmy my byli na tych zdjęciach, jak myślisz, jaki byłby tytuł?

Zaczynam się uśmiechać i mówię pierwsze, co przychodzi mi na myśl.

- Zakochani Jak My⁷.

⁷ | tytuł drugiej części.

FARROW KEENE

O ósmej rano w domu nad jeziorem przygotowuję bekon i ciągle zerkam na Maximoffa. Pólnagi i roztrzepany wybija jajka do miski, a skorupki wyrzuca do pobliskiego śmietnika. Ciemnozielone tęczówki kierują się w moją stronę równie często.

Jeszcze nie dotarły żadne wieści od ochrony, ale jest za wcześnie, żeby się przejmować.

A ja po prostu cieszę się chwilą.

Mocno.

Piekielnie mocno.

To pierwszy raz, kiedy możemy wspólnie przyrządzić śniadanie. To także pierwszy poranek, kiedy nic się nie stanie, jeśli przyłapie nas ochroniarz albo członek rodziny. *Znają prawdę.*

Przesuwa bezwstydnie wzrokiem po moim torsie i mięśniach brzucha, zatrzymując się na pasku czarnych bawełnianych spodni.

Uśmiecham się szeroko.

- Skorupka wpadła ci do miski.

- Kurwa. – Obraca gwałtownie głowę. - ...nie widzę, stary. – Wyciera ręce w ręcznik kuchenny.

Zdejmuję bekon z palnika i podchodzę do Maximoffa. Otacza mnie ręką w pasie i przyciąga mocno do piersi. *Niech to.*

Obejmuję jego pośladki i prowadzę tyłem do krawędzi blatu. Pożera mnie wzrokiem, następnie całujemy się w szaleńczej żądzy. Kurwa.

Trzymam go za ostro zarysowaną szczękę, by mieć kontrolę nad pocałunkiem. Chwytam zębami jego wargę, a jemu wyrывa się krótkie westchnięcie.

- Moje ciuchy dobrze na tobie wyglądają – szepczę mu do ucha. Ma na sobie moje czarne dresy.

Maximoff wsuwa dwa palce za mój pasek. – Zalety posiadania tego samego rozmiaru, co mój chłopak.

Słuchanie jak wypowiada na głos słowa „*mój chłopak*” powoduje, że uśmiecham się jeszcze szerzej.

Powiedziałbym, że moja garderoba również się powiększyła, ale nie mogę chodzić w jego ciuchach w miejscach publicznych. Zauważyłyby to brukowce i fani, a mimo plotki o „HaleCozirodztwie” podkreśliliby inną historyjkę. Nie odpuściliby romansu Moffy’ego i Jane, ale dodaliby mnie do równania.

Maximoff zarzuca na mnie ramiona.

- Co będzie, jeśli dostanę nowego ochroniarza?

Nie będę przy tobie każdego dnia.

- To słodkie, że lubisz odwiedzać te hipotetyczne alternatywne rzeczywistości – odpowiadam – ale trzymajmy się naszej, w której nadal jestem twoim ochroniarzem.

Maximoff obejmuje tył mojej głowy. Jest przekłęcie silny i wykrzywia do mnie biodra... wszystko to, wszystko dotyczące jego oblewa mnie benzyną i rozpala, kurwa.

- Kto komu ssie o 8:12 w naszej rzeczywistości? – szepcze.

Przesuwam wzrokiem po jego pięknych kościach policzkowych.

- Mogę cię teraz rzucić na kolana, ale myślę, że ty chcesz zrobić to samo ze mną.

Marszczy ciemne brwi, udając konsternację.

- Skąd wiedziałeś?

- Uwielbiasz, jak biorę do ust twojego penisa...

- Farrow! – To Oscar. *Jest tutaj ochrona.* Słyszę więcej niż jedną parę stóp.

Maximoff prostuje się, przygotowując na kolejną gorzką sytuację, w której zostanie wyrzucony z ekipy bezpieczeństwa. Opieram się beztrąsko o blat obok niego i obejmuję jego plecy, kładąc dłoń na biodrze, kiedy on – oczywiście – krzyżuje ręce, naprężając mięśnie. Gotów walczyć o mnie.

Ta ostatnia myśl wzbiera we mnie emocje: *jest gotów o mnie walczyć.*

Oscar pierwszy wślizguje się do kuchni i staje jak wryty, badając napotkaną scenę: jesteśmy półnaczy, w trakcie robienia śniadania i nadal przytulam Maximoffa.

- Redford – odzywa się, marszcząc czoło i unosząc wysoko brwi – czy on ma twoje spodnie?

Przewracam oczami, ale uśmiecham się cholernie szeroko.

- Jesteśmy razem od kilku miesięcy – mówi Maximoff.

- W moim umyśle to dopiero dwa dni, a ty już nosisz jego...

- To nie jest teraz kurewsko ważne – przerywa mu Maximoff.

Oscar kładzie dłoń na wyspie kuchennej. – Moffy, nie rozumiesz jacy wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Od dziesięciu lat nie miałem takiego mętliku w głowie. – Przenosi wzrok na mnie. – Ty lekkomyślny skurczybyku, jeśli jeszcze raz usłyszę w radiu jak Alfa nazywa cię indywidualistą, odwołam twoją subskrypcję Netflix.

- Nie znasz moich haseł, Oliveira. – Podałem mu je w Yale, żeby mógł korzystać z mojego HBO, ale zmieniłem je dawno temu.

Maximoff opuszcza ramiona, zamierzając wyjść poszukać Akary, ale łapie go za nadgarstek, następnie wsuwam dłoń w jego rękę.

Wtedy Akara wchodzi do wielkiej kuchni, a za nim Donnelly i Quinn. Tamta dwójka pozostaje z Oscarem przy wyspie, a przywódca Omegi podchodzi do mnie.

- Moffy – mówi Akara – powinieneś wyjść...

- Nie – odmawiam. – Powinien wysłuchać.

Maximoff ponownie zaplata ramiona.

Akara gestykuluje na moją pierś.

- Spędziłem łącznie trzydzieści pięć godzin na przekonywaniu dwójki mężczyzn, że jesteś warty tego, by cię zatrzymać. – *Price i Thatcher*.

Koncentruję się na tym, iż próbował ich przekonać, żeby mnie nie wywalili.

- Chciałeś, żebym został? Zdajesz sobie sprawę, że samolubnie wybrałem faceta ponad zespołem?

Maximoff posyła mi spojrzenie mówiące, że kopię sobie własny grób, ale nie odrywam oczu od Akary.

- Tak – przytakuje Akara – i czworo z nas w Omedze miało pecha znać cię zanim jeszcze dołączyłeś do ekipy.

Donnelly posyła mi całusa składającego się ze środkowego palca. W wieku osiemnastu lat poznałem go w studiu tatuażu. Był tam siedemnastoletnim praktykantem, który rzucił liceum, a jego rodzice byli w więzieniu za posiadanie metamfetaminy. Pozwoliłem mu wykonać *kilka* moich tatuaży, dopóki nie stał się lepszy i wytatuował ich więcej. Zwykł nocować w moim dormitorium w Yale i biegał nago po korytarzach dla śmiechu.

Oscara poznałem w Yale, a potem jego brata Quinna.

Akara dorastał dwie przecznice ode mnie. Widzicie, nie brałem pod uwagę tych relacji, ponieważ złamałem nienaruszalną zasadę. Nie wchodzi w stosunki seksualne ze swoim klientem.

- Nie zamierzam cię tu wychwalać przez godzinę – mówi Akara. – Co zrobiłeś było główniane, ale daleko ci do bycia niekompetentnym. Alfa i Epsilon mają cię za tykającą bombę. My w Omedze znamy cię jako dobrego przyjaciela.

Pocieram się po szczęce i przytakuję kilka razy. – Dziękuję.

Donnelly wyciąga rękę do Oscara.

- Dostaliśmy podziękowanie. Wyskakuj z kasy.

- Pierdol się, Farrow – odzywa się Oscar. – Teraz jestem winien Donnelly’emu pięćdziesiąt dolców przez twoją wdzięczność.

- Mówiłem, żebyś nie przyjmował zakładu, brachu – mówi Quinn.

Niemal się uśmiecham, ale pamiętam, że Akara to tylko jeden głos na trzy jeśli chodzi o transfery i zwalnianie ochroniarzy. Musiał przekonać Thatchera albo Price’a, żeby pozwolili mi zostać w ekipie i Omedze. Nie powiedział, że mu się udało.

Maximoff pozostaje na właściwym torze.

- Co z nim będzie? – pyta przywódcę Omegi. – Zostanie przeniesiony albo zwolniony?

- Price stanowczo powiedział, żeby cię zwolnić. Często z nim przebywam. Jest ochroniarzem Daisy Calloway od dwudziestu lat i postrzega to, co zrobiłeś jako nadużycie zaufania rodziców.

- Kurwa – mruczę, opadając na szafkę kuchenną. Maximoff bierze swój telefon z blatu.

- Porozmawiam z Thatcherem i Pricem. – Miał nie wpływać na ich decyzję, to był warunek jego taty. Pozwolić ochronie zdecydować o moim losie. Nikt z rodziny nie spróbuje przekonać ekipy.

- Nie musisz – odpowiada Akara z cieniem uśmiechu.

Potrząsam głową niedowierzająco.

- Thatcher nie zagłosowałby, żeby pozwolić mi zatrzymać pracę.

- Wiąże się to z olbrzymią karą i ostrzeżeniem – mówi Akara – ale Thatcher zgodził się ze mną, że powinieneś zostać w Omedze i dalej ochraniać Maximoffa.

Dalej ochraniać Maximoffa.

Te trzy słowa wydzwaniają w moich uszach, dopóki nie odwracamy się do siebie i Maximoff zarzuca ręce na moje ramiona, a ja obejmuję jego klatkę piersiową. Czuję przy piersi jak mocno bije mu serce.

Dalej ochraniać Maximoffa.

Odsuwamy się od siebie w tym samym czasie, co Oscar mówi:

- Ta, nadal jestem wstrząśnięty.

Donnelly skupia się na Maximoffie. – Masz na sobie spodnie Farrowa czy co?

- Jezu Chryste – marudzi.

- Masz na sobie spodnie Jezusa Chrystusa?

Wszyscy się śmieją, ale Akara pierwszy zabiera głos, kiedy humor opada.

- Usłyszałeś część o tym, że jest kara i ostrzeżenie?

- Usłyszałem – odpowiadam. – I dalej nie wiem dlaczego Thatcher miałby zagłosować za tym, żebym został.

Akara przeczesuje sobie czarne włosy.

- Przypomniałem mu, że cenisz prywatność swojego klienta bardziej niż dzielenie się informacjami z ekipą i w rzeczywistości ochraniaś tego klienta w takich sytuacjach. Moffy jest dorosły i jeżeli kazał ci zachować sekret, to miałeś zachować sekret. Po jakimś czasie Thatcher w końcu to sobie uświadomił... a Price nie potrafił.

Cholera.

- Czy będę musiał wysłać mu butelkę wina? – *Co w ogóle lubi Thatcher?*

- Nie – mówi Oscar i podchodzi, żeby zabrać sobie plasterek bekonu. – Słuchaj dalej.

Maximoff przekłada komórkę do drugiej ręki.

- Co? – pyta Akarę, który teraz patrzy na niego. – Chodzi o mnie?

Odrywam plecy od szafki. – Co się dzieje?

- Thatcher zostanie przydzielony do ochrony zarówno Maximoffa, jak i Jane.

Wsuwam dłonie we włosy, odrzucony z powrotem do tyłu. *Psiakrew.*

- To niepotrzebne – mówi Maximoff – i mój brat potrzebuje Thatchera. On jest *jego* ochroniarzem.

- Xander nadal posiada Banksa jako swojego całodobowego ochroniarza, a po tych plotkach Jane będzie potrzebować dwóch ochroniarzy.

Maximoff przytakuje.

- Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli – mówi Akara – to wasza kara. Thatcher sądzi, że teraz będziecie mniej ostrożni wobec ukrywania swojego związku, skoro możecie być otwarcie razem przed rodziną i ochroną. Zgodził się, żeby Farrow pozostał ochroniarzem Maximoffa tylko, gdyby mógł dołączyć i upewnić się, że niczego nie spieprzycie.

Przewracam oczami. – Chce być moją przyzwoitką?

- Tak, ale z dobrego powodu.

Unoszę brwi. – Zgadzasz się z tym?

- To twoje ostrzeżenie. Jeżeli media i społeczeństwo dowiedzą się, że Maximoff chodzi z ochroniarzem, to nie skrzywdzi tylko was dwóch.

- Co masz na myśli? - Maximoff marszczy brwi.

- Jak myślisz, co zrobią twoi fani, jeżeli zobaczą, że ochroniarz może umawiać się z twoim kuzynem albo rodzeństwem?

Cholera.

Maximoff też sobie to uświadamia.

- Będą spekulować, który ochroniarz będzie następny.

- Zaczną nas parować – przytakuje Akara. Zaraz pojawią się strony na Tumblru zadedykowane ich życiom miłosnym, gdzie ludzie będą przewidywać ich przyszłe związki i małżeństwa. – Będą patrzeć, którzy ochroniarze są wolni i „w odpowiednim wieku”, a Omega to najmłodszy zespół.

- Opuściłeś plusy – mówię.

- Farrow...

- Wiem. – *To nie żarty.* – Nikt z nas nie może stać się sławny. – Bo inaczej nie będziemy mogli chronić naszych klientów. To stara jak świat zasada, której nie da się obejść tak jak tej, którą właśnie zламаłem.

Maximoff łapie się za kark. – Więc jeżeli ktokolwiek się dowie, że chodzę z moim ochroniarzem cała ekipa może zostać zagrożona. Wszyscy stracie pracę i zostaniecie zastąpieni starszymi, poślubionymi ochroniarzami.

Ta.

Musimy być ekstremalnie ostrożni w miejscach publicznych.

- Hej, wiem, że jestem krótko w ochronie - Quinn podchodzi do lodówki – ale chcę powiedzieć, że cholernie lubię tę robotę.

- Jak my wszyscy – mówi Akara.

Wszyscy przyzwalają nam być razem, a jeśli coś spierdolimy to może potencjalnie kosztować ich karierę. Kurwa, jestem dłużny im wszystkim, dlatego mówię:

- Będziemy uważać.

Maximoff spogląda na każdego z mężczyzn.

- Dziękuję – mówi tak mocno, że w kuchni zapada cisza. Wielu kiwa mu głową.

Potem milczenie przerywa skrzypienie podłogi i odwracamy głowy w kierunku drzwi kuchni.

Sulli macha do nas ręką i Maximoff zaczyna się uśmiechać na widok kuzynki.

- Koniec spotkania ochrony? – pyta. – Pomyśleliśmy, że pomożemy wam w śniadaniu.

- My? – pyta Maximoff.

Naszym oczom pokazuje się Beckett Cobalt. Posiada ciemniejsze i bardziej kręcone włosy niż jego brat bliźniak Charlie i wytatuowane prawe ramię widoczne przez czarną koszulkę bez boków. Ludzie nazywają go *niegrzecznym chłopcem baletu*.

Nim Maximoff zdąży zabrać głos, pojawia się również Jane w pidżamie z kotami.

- Siostrzyczko. – Beckett przytula siostrę, a potem z ich prawej strony wychodzi naprzód Charlie Cobalt, wbijając żółtozielone oczy tylko w Maximoffa. Zachowuje czujność, ale Maximoff robi krok przed siebie ze skamieniałym wyrazem twarzy.

- Co ty tutaj robisz? – pyta Charliego.

Charlie nie zrywa kontaktu wzrokowego.

- Jestem kuzynem, który w ciebie nie wątpił.

Jane zalewa się za nim łzami i Beckett całuje ją w czubek głowy.

Maximoff kiwa głową i wyciąga rękę do Charliego. Jego kuzyn ściska mu dłoń, po czym przytulają się.

Ludzie zaczynają się przemieszczać, wymieniając uściskami i powitaniem – pięcioro ochroniarzy Omegi i ich klienci nie byli *sami* od dłuższego czasu. Zdecydowanie nie od chwili, kiedy dołączyłem do SBO.

Potem każdy zajmuje sobie miejsce w kuchni, pomagając w gotowaniu. Staję obok Maximoffa i odpakowuję bochenek chleba.

- Więcej bekonu – mówi do mnie Oscar, zjadając cały bekon, który usmażyłem. Donnelly otwiera już zamrażarkę, by wyciągnąć mięso i paczkę mrożonych ciastek, i podaje je Beckettowi.

Quinn trzyma drugi karton jajek i zaczyna pomagać Maximoffowi w wybijaniu ich do miski. Sulli i Akara wyciągają z szafek naczynia, podczas gdy Charlie i Jane rozmawiają po francusku, przyrządzając wspólnie kawę.

Mogliśmy zniszczyć ekipę bezpieczeństwa i jego rodzinę, ale niczym uderzenie doskonałego pioruna jeszcze bardziej zbliżyliśmy całą tę dziesiątkę.

I mam faceta.

Mam faceta. Otaczam go ramieniem w pasie i wspiera na mnie część ciężaru, odprężając się. Uśmiecham się szeroko.

MAXIMOFF HALE

Niedaleko domu nad jeziorem wędruję z Farrowem jednym z moich ulubionych szlaków górskich. Wiatr przepływa przez strzeliste jodły, klony oraz skaliste szczyty i zrzuca na ziemię ostatnie jesienne liście.

Natura nie równa się z Farrowem. Jestem mocno *rozkojarzony*. Kruczoczarne kosmyki włosów opadają na rzęsy. Plecak przypięty do twardej klatki piersiowej, jak u mnie. Bicepsy wybrzuszające się w bluzce z długim rękawem.

Głównie skupiam się na tym, że rozciąga swój krok, kiedy idziemy w górę stromego zbocza. Przez cały czas dotrzynamy sobie kroku, żaden nie zostaje w tyle.

Dużo o tym myślę.

Myślę o tym, jak powiedział, że mam czyste serce.

Myślę, ile czasu zajmie mojej rodzinie postrzeganie go jako kogokolwiek innego niż mojego ochroniarza, ale ja i on – od samego początku widzieliśmy się jako coś więcej.

Myślę, jak pomógł mi przejść przez mur, po którym nigdy wcześniej nie próbowałem się wspiąć.

Myślę o was.

O tym, jak strasznie się bałem was zawieść. Może i tak do tego dojdzie, może już do tego doszło... ale będzie potrzeba o wiele więcej niż złego skrętu czy ludzkiego błędu, żeby rozczarować jego.

Myślę o tym, że istnieje tylko jedna osoba, obok której pragnę się budzić i widzieć przed snem. To irytująco wszechwiedzący facet, który uwielbia mnie wkurwiać.

Myślę o nim.

Dlatego, kiedy docieramy na polanę – której nadają tło ogromne góry oraz jasnoniebieski horyzont – zapominam o jebanym widoku. Odwracam się do Farrowa.

Odgryza plastikowy korek bukłaku na wodę, uśmiechając się.

- Podziwiałeś ten widok już setki razy? – Im dłużej wpatruje się w moje oczy, tym większe dostrzega w nich emocje. Wznosi pierś w głębokim wdechu.

- Muszę ci coś powiedzieć – przyznaję.

Przysuwa się bliżej. Nasze dłonie ocierają się o siebie, następnie ściskają mocno. Nie odrywamy od siebie wzroku.

Chryste, pozwól mi to dobrze powiedzieć.

- Z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że wyobrażałem sobie typ osoby, z którą chciałem być więcej niż jeden dzień, na dłużej. Wiesz, coś takiego... - *kurwa*. Wymachuję ręką w powietrzu, szukając odpowiedniego słowa.

- Trwałego?

- Ta. - *Trwałego*.

Czegoś niezniszczalnego.

- Liczyłem na kogoś, kto nie będzie bał się pokazać mi gdzie moje miejsce, kogoś, dzięki komu poczuję się człowiekiem. Liczyłem na kogoś, kto będzie tak silny, żebym ja mógł okazać słabość, ale kto nigdy nie sprawi, że będę czuł się słaby albo gorszy. Liczyłem na zaufanie, zrozumienie i wrodzoną miłość do mojej rodziny. I uświadomiłem sobie, Farrow...

Przesuwa dłonią po mojej szyi do szczęki, pieszcząc mnie szklistymi oczami.

- Uświadomiłem sobie – szepczę – że zawsze liczyłem i życzyłem sobie ciebie. – *Wypowiedz te słowa*. – Jestem w tobie zakochany i to ja jestem szczęściarzem.

Śmieje się, wyciągając kąciki ust w najserdeczniejszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek widziałem. Obejmuje moją twarz wytatuowanymi dłońmi. Przylegamy do siebie torsami i szepcze:

- Ubiegłeś mnie.

Kocha mnie. Moja twarz okazuje przekłęcie czyste szczęście.

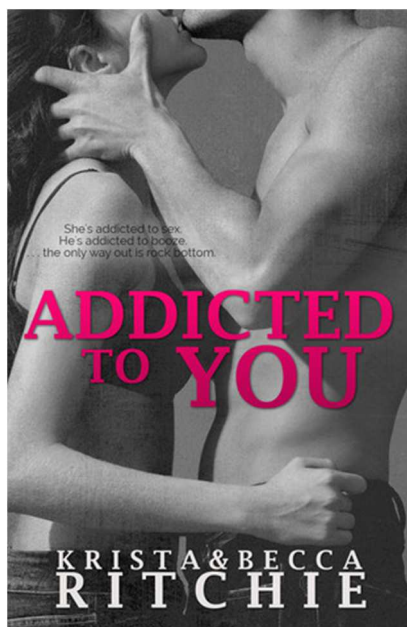
- Cóż, nie możesz być we wszystkim pierwszy. Tak zawsze mówi mi jeden facet.

- Jeden facet – powtarza Farrow.

- Pewien cholerny facet – poprawiam, przejeżdżając ręką po jego karku.

- Facet, którego kochasz – drażni się. Oblizuje dolną wargę i podsuwa usta do mojego ucha. Trzyma nieruchomo moją głowę i szepcze nisko, opiekuńczo: - Też cię kocham.

Chcecie dowiedzieć się więcej o tym, jak siostry Calloway i ich rodziny zdobyły sławę? Cała seria Addicted jest dostępna na moim chomiku **waydale**. Zaczynjcie od historii Lily & Lorena Hale'ów w Addicted to You.



Ona jest uzależniona od seksu. On uzależniony od alkoholu... jedyne wyjście to uderzenie o samo dno.

Nikt nie odgadłby największego sekretu nieśmiałej Lily Calloway. Kiedy wszyscy inni tańczą w najlepsze w studenckich barach, Lily spędza czas w łazience. Żeby kogoś zaliczyć. Wewnętrzny przymus prowadzi do przygód jednej nocy, gorących numerków i wydarzeń, których mocno żałuje. Jedyne osoba znająca jej sekret ma także swój własny.

Loren Hale za najlepszą przyjaciółkę ma butelkę burbonu. Lily posiada wysokie drugie miejsce. Przez trzy lata udawali prawdziwy związek, ukrywając przed rodzinami swoje uzależnienia. Opanowali sztukę chowania flaszek oraz przypadkowych facetów przewijających się przez ich mieszkanie.

Lecz kiedy toną pod ciężarem własnych uzależnień, mocniej trzymają się swojego destruktywnego związku i zastanawiają się czy prawdziwe wspólne życie jest lepsze od kłamstwa. Nieznajomi oraz rodzina zaczynają wtapiać się w ich strzeżone życie i wraz z nowymi wyzwaniem zdają sobie sprawę, że być może nie tylko od seksu i alkoholu są uzależnieni.

Być może ich wpływ na siebie nawzajem jest negatywny.